Fern Michaels
Miłość Rileya
(Texas Rich)

Saga Teksasu
Tom 2

Alfredowi P. Andersonowi, mężowi i ojcu

Rozdział pierwszy

Posiadłość Sunbridge niewiele się zmieniła w ciągu czternastu lat, które upłynęły od przyjazdu Billie. Obfite deszcze sprawiły, że pastwiska zieleniły się soczyście, krzewy wokół domu były teraz wyższe, ale ogród różany nadal wyglądał jak przed laty; był to jedyny ślad po Jessice, która już od ponad dwunastu lat spoczywała na wzgórzu za domem. Białe płoty ciągnęły się całymi milami, sam budynek wybladł nieco, upalne teksaskie lata nadały mu jaśniejszy, delikatniejszy odcień.

Pozorna niezmienność Sunbridge nie dotyczyła jego mieszkańców. Czas naznaczył wszystkich. Seth Coleman, pan i władca, coraz ciężej opierał się na lasce, a jego gęste włosy znacznie posiwiały. Tylko język miał równie ostry jak dawniej, a oczy tak samo błękitne. Całą uwagę poświęcał dziesięcioletniemu wnukowi, Rileyowi. Chłopiec albo latał samolotem z ojcem, albo jeździł konno z dziadkiem. Niedawno przesiadł się z kucyka na prawdziwą klacz, potomkinię starej Nessie.

Riley stał się integralną cząstką Sunbridge od dnia narodzin. Miał być spadkobiercą imperium, uczono go, więc kochać swoje dziedzictwo i przygotowywano do przejęcia pewnego dnia władzy. Był szczupłym chłopcem o niebieskich oczach i okrągłych policzkach. Nie był zepsuty, choć go rozpieszczano i uprzedzano wszystkie jego życzenia. Nigdy niczego nie żądał. Nie musiał o nic prosić, dostawał bowiem wszystko, o czym zamarzył. Nadmiar posiadanych rzeczy przerażał go; z czasem nauczył się ukrywać swoje zainteresowania, odwracać wzrok od tego, co przyciągało jego uwagę. Spełniano, bowiem każde jego marzenie. Małego Rileya Colemana przytłaczał ogrom spraw, którymi musiał się zajmować, o które musiał dbać.

To kłopotliwe być właścicielem skomplikowanego aparatu fotograficznego i nie umieć go obsługiwać (jemu wystarczyłby dużo prostszy model). Godzinami więc ślęczał nad instrukcją obsługi i podręcznikami fotografii i to, co miało być przyjemnością, okazywało się żmudną pracą.

Riley nie był skłonny do okazywania uczuć. Kochał jednak bardzo obie siostry i poważnie traktował rolę brata. Zawsze wiedział, kiedy ma przestać żartować, i nigdy nie zdradzał ich sekretów. W oczach Billie

Riley był dzieckiem ciepłym i kochającym, czekającym na serdeczny uśmiech i buziaka na dobranoc. Dla babci Agnes był uprzejmym, małym dżentelmenem, choć w rozmowie ograniczał się najczęściej do: „tak, babciu", „nie, babciu", „dziękuję, babciu". Agnes była wielce zadowolona.

Za to w obecności Mossa Riley stawał się prawdziwym małym chłopcem, hałaśliwym i pełnym energii. Z ojcem również dzielił plany, marzenia i smutki. Nigdy nie płakał, bo to byłoby niemęskie. Dziewczynki, które uważano raczej za dzieci matki niż ojca, mogły sobie szlochać do woli.

Riley starał się tego nie ujawniać, ale jego ukochaną siostrą była Susan. Nigdy nie krzyczała i nie przezywała go. Była cicha i delikatna jak mama i pięknie grała na fortepianie. Susan zawsze robiła, co jej kazano, i nikt nigdy jej nie karał.

Maggie zaś była dzika i zbuntowana, wykazywała również niewiarygodną wręcz pomysłowość w pakowaniu się w kłopoty. Czasem w nocy Riley się zastanawiał, dlaczego jest taka. Chwilami miał wrażenie, że go nienawidzi, podobnie jak innych ludzi ze swego otoczenia. Piła piwo z kowbojami w stodole. Kiedy ojca i dziadka nie było w domu, jeździła ich samochodami po ranchu. Miała okropnych przyjaciół, których przyciągały do niej jedynie pieniądze i to, że nie bała się kraść wina, piwa i papierosów. Co wieczór się za nią modlił. Powinien powiedzieć o wszystkim rodzicom, wiedział o tym, ale nie mógł tego zrobić. Pewnego dnia natknął się na nią w nowej stajni. Szedł po konia. Maggie leżała na świeżym, pachnącym sianie i szlochała tak, że krajało się serce. Nigdy nie widział, by ktoś tak rozpaczał. Wybiegł, przerażony. Maggie nie chciałaby, żeby ją widział w takim stanie, to tylko pogorszyłoby jej samopoczucie. Wiedział też, że zabiera ze sobą chłopaków do szopy, ale i o tym nikomu nie mówił. Oni wychodzili dumni i uśmiechnięci, a Maggie - smutna i zgaszona. Pewnego dnia porozmawia z tatą. Tata będzie wiedział, co zrobić. Tata wiedział wszystko, nie będzie więc miał kłopotów z rozwiązaniem problemów czternastolatki. Na pewno...

Tita i Carlos otrzymawszy trzy akry dobrej colemanowej ziemi i sowitą odprawę, przeszli na emeryturę. Seth nigdy nie mógł się nadziwić łatwości, z jaką Agnes kierowała jego majątkiem. Na miejsce starszego małżeństwa zatrudniła rezolutną dziewczynę, imieniem

Charlotte, i jej brata, Miguela. Agnes zamawiała tuzinami szyte dla nich u krawca liberie. Wyszkoliła ich na doskonałych służących, którzy, co było najważniejsze w jej oczach, uznawali jej pozycję w domu i respektowali ją. W Sunbridge wszystko chodziło jak w zegarku.

Trzeba było przyznać, że Agnes Ames pięknie się postarzała. Zawdzięczała to doskonałym fryzjerom, eleganckim kreacjom, cotygodniowym masażom, starannie dobranej diecie i ćwiczeniom, którym potajemnie oddawała się w swoim pokoju. Wybrawszy się w podróż na Wschód („żeby odwiedzić starych przyjaciół"), udała się nie do Filadelfii, lecz do Nowego Jorku, gdzie chirurg usunął jej worki pod oczami i poprawił linię podbródka. Teraz, gdy zbliżała się do sześćdziesiątki, Agnes żyła tak, jak zawsze tego pragnęła. Od sześciu lat należała do rady nadzorczej Sunbridge Enterprises. Przygotowywała się do drugiej kadencji prezesury w prestiżowym Canterbury Club. Władała żelazną ręką. Nikt, nawet Seth, jej się nie sprzeciwiał. Agnes Ames zasypiała z uśmiechem na ustach.

Po powrocie z japońskiego obozu jenieckiego Moss był pełen zapału i chęci do pracy. Zgodnie z życzeniem Setha, rzucił siew wir obowiązków związanych z kierowaniem imperium. Wiedział wszystko o hodowli bydła, uprawie kukurydzy, wydobywaniu nafty. Najwięcej jednak uwagi poświęcał elektronice, którą się zawsze interesował i mógł przy tym wykorzystać swoją znajomość samolotów. Wraz z powołanym przez siebie zespołem naukowym opatentował szereg wynalazków, stosowanych później w produkcji samolotów. Wkrótce miało się spełnić jego wielkie marzenie -budowa największych, najefektywniejszych zakładów lotniczych, Coleman Aviation.

Moss pracował i bawił się. Choć pił więcej niż powinien, zachował szczupłą sylwetkę. Nie stronił od kobiet. Billie była jego żoną, matką jego dzieci i kochał ją bardzo. Jednak śmierć nieraz zajrzała mu w oczy, w Muishi przeżył piekło na ziemi i teraz korzystał ze wszystkiego, co ofiarował mu los. Życie nie skąpiło darów, a on nie widział powodów, dla których miałby sobie czegokolwiek odmawiać.

Miłością jego życia był Riley. Jego syn. Jego szansa na nieśmiertelność. Maggie i Susan nigdy nie będą równie ważne. Córki są ładne, wdzięczne, urocze. Syn to kopia ojca, to odtworzenie przeszłości i nadzieja przyszłości. Córki dorastają, wychodzą za mąż i inni mężczyźni stają się ośrodkiem ich życia. Syn na zawsze zostaje z

ojcem, należy do niego jak własnoręcznie zarobione pieniądze czy znoszone buty.

W ciągu tych lat, sam nie wiedział dokładnie kiedy, Moss przekształcił swój stary pokój dziecinny w gabinet i warsztat. Szeroki tapczan zastąpił wąskim łóżkiem. Często pracował do późna w noc i tam zasypiał. Nie miał zamiaru wyprowadzać się ze wspólnej z Billie sypialni, ale coraz to więcej ubrań przenosił do pokoju na dole. Coraz rzadziej wspinał się na piętro. Stało się, i już. Billie nie oponowała.

Swój czas dzielił między pracę, plany i przyjaciół. Nie było tygodnia, by nie rozmawiał z Thadem Kingsleyem W miarę jak rozwijała się kariera Thada w marynarce, rosły rachunki za połączenia z najdalszymi zakątkami świata. Teraz Thad, kontradmirał, stacjonował w Corpus Christi i od Sunbridge dzielił go zaledwie krótki lot.

Moss zwierzał mu się i pił z nim do świtu. To Thad układał go do snu. To Thad dzwonił następnego dnia, by się dowiedzieć, czy przyjaciel wyleczył kaca. Nierzadko ten szczupły wysoki mężczyzna w nieskazitelnym mundurze wyskakiwał ze swego pipercuba na piaszczysty pas startowy, oddalony o dwie mile od domu, i wędrował do Sunbridge na drinka. Zazwyczaj zostawał na kolacji. Wtedy obaj z Mossem wspominali dawne czasy, robili plany na przyszłość.

Thad lubił przyjeżdżać do Sunbridge, lubił patrzeć na Billie, obserwować ją przez szerokość stołu, słuchać jej miękkiego głosu, w którym nadal pobrzmiewał wschodni akcent. Zachwycał się delikatną urodą Susan, tak podobnej do matki, ulegał urokowi Rileya, kontemplował rozkwit Maggie, najpiękniejszej, najciemniejszej róży w ogrodzie Billie.

Ostatnio w czasie swoich nie zapowiedzianych wizyt nie zastawał Billie w domu. Jest zajęta, tłumaczył Moss, bardzo zajęta. Widząc zdumione spojrzenie przyjaciela, wyjaśnił:

- Mam wrażenie, że Billie kontynuuje to, co zaczęła moja mama. Należy do wszystkich możliwych kobiecych kółek i stowarzyszeń i, oczywiście, pomaga szpitalowi. Tata tego po niej oczekuje, a ona się nie sprzeciwia. No i maluje. Jest dobra, Thad. Powinieneś zobaczyć pejzaż Sunbridge, który tata dostał od niej na Gwiazdkę. Powiedział wtedy, że jej bazgrały wreszcie okazały się pożyteczne.

Billie wtarła po kropelce perfum za uszy -nieprzyzwoicie drogich. Wpływało to zawsze dodatnio na jej samopoczucie, a tego ranka

szczególnie było jej to potrzebne. Co prawda, perfumy to kiepska namiastka męża, ale trzeba się i tym zadowolić.

Co chwila zerkała na stertę prezentów na szezlongu. To urodzinowe podarki od rodziny i przyjaciół, wręczone jej poprzedniego wieczora na przyjęciu w Canterbury Club. Rzucał się w oczy brak paczuszki od męża. Chyba że za prezent uzna się bukiecik zwiędłych stokrotek leżący na toaletce. Charlotte przyniosła je przed przyjęciem ze słowami, że pan Coleman zrywał je własnoręcznie. Zrywał własnoręcznie, ale nie raczył ich osobiście wręczyć. Wściekła, rzuciła je na ziemię.

Moss zatańczył z nią jeden raz. Ba, nawet przyniósł jej drinka- co z tego, że nie był to drink, o który prosiła? Potem usiadł przy barze, razem z Sethem i innymi farmerami.

Po przyjęciu Susan przytrzymała jej płaszcz. Maggie się żachnęła, widząc łzy w oczach matki:

- Czego się spodziewałaś, mamo? Czyżbyś naprawdę liczyła, że tata usiądzie z nami?

Tak, na to właśnie liczyła. Tego pragnęła. Nie spała, leżąc sama w wielkim pustym łóżku. Czekała do świtu. Pragnęła męża. Chciała, by leżał obok niej, by szeptał jej do ucha jak dawniej. Choćby w jego słowach miało nie być namiętności, chciała je usłyszeć. Zawsze zdąży oddzielić prawdę od kłamstw...

Dlaczego nie przyszedł do ich sypialni? Do jej sypialni. Dlaczego jej nie chciał? Czy nie widział, jak za nim tęskni?

Gdzie popełniła błąd? Kiedy jego ubrania zniknęły ze wspólnej szafy? Nie pamiętała. To się działo stopniowo, aż pewnego dnia na wieszakach wisiały tylko jej sukienki, na półkach stały tylko jej buty. Jak to możliwe, że niczego nie zauważyła? Czy już za późno? Czy małżeństwo da się naprawić jak stary płot? Czy w ogóle warto próbować?

Teraz ma własne życie, wypełnione zakupami, wizytami u fryzjera, spotkaniami w klubach, nauką malarstwa. Żachnęła się pogardliwie.

Wiedziała, że spóźni się na śniadanie. Ostatnio nigdy nie zdążała na czas. Ale czy ma to znaczenie? Moss rano pijał tylko kawę, a i to w biegu, w drodze do samochodu. Agnes jadała wraz z Sethem o wschodzie słońca. Riley, Maggie i Susan, uczniowie ekskluzywnych szkół w mieście, wracali do Sunbridge tylko w weekendy, i to nie zawsze.

Stół był upiornie długi. I pusty. Billie zadzwoniła małym dzwoneczkiem stojącym przy nakryciu.

- Proszę kawę i tosta. I jajko na miękko - dodała po chwili namysłu.- Gdzie są wszyscy?

- Nie wiem, proszę pani. Czy zawołać pani matkę? Ona na pewno wie.

- Nie, Charlotte. I nie chcę jajka.

- Dobrze, proszę pani.

- Kolejny dzień w Sunbridge. -Billie westchnęła głośno.

- Wiedziałam, że cię tu znajdę. Mamo, potrzebne mi są pieniądze. Pięćdziesiąt dolarów. - W drzwiach stała Maggie, sztywna i arogancka. Jednak na jej twarzy malowała się słodycz i niewinność, niebieskie oczy patrzyły ufnie, ciemne włosy były grzecznie przygładzone. Billie odpędzała od siebie myśl, że Maggie przybiera pozę potulnej, dobrej córeczki, ilekroć czegoś chce. Pochmurne spojrzenia, gorycz dziewczęcych ust, buntownicze wyzwanie w głosie znikały wtedy bez śladu. Przed nią stało bezradne dziecko w potrzebie.

- Wiem, że to dużo, mamo, ale to na książki i u Kapłana mają taki angorowy sweterek... - umilkła, widząc minę matki.

- Nie mów mi tylko, że za dużo wydaję- dorzuciła ostro. -Powiedz tak lub nie. Nie mam dziś ochoty na słuchanie kazania.

- A ja nie mam ochoty go wygłaszać - odparła cicho Billie.

Maggie skrzywiła się pogardliwie:

- Nadal bolejesz nad tym, jak tata cię wczoraj zignorował? Na twoim miejscu kazałabym mu za to zapłacić. Widziałam, jak ludzie patrzyli na ciebie z politowaniem.

Kiedy Billie, niezdolna się bronić, odwróciła głowę, Maggie zaatakowała ponownie:

- No więc, dasz mi te pieniądze czy nie?

- Na książki, mówiłaś? I na sweter?

Billie nie wierzyła w ani jedno słowo, ale obawiała się usłyszeć prawdę. W przypadku Maggie, jej biednej nieszczęśliwej córeczki, wszystko jest możliwe. To dziecko bardziej niż inni pragnęło miłości Mossa. Jest taka podobna do Amelii. Jest w niej to samo cierpienie, ten sam rozpaczliwy bunt. Billie starała się mówić ciepłym, troskliwym głosem:

- Jakiego koloru jest ten sweterek, kochanie? Czy pasuje do

niebieskiej spódnicy, którą ci ostatnio kupiłam? A może posiedzisz tu ze mną?

Maggie nie miała zamiaru ani ochoty przyjmować zaproszenia. Miękki głos matki oznaczał, że zwyciężyła. Właściwie miała już te pięćdziesiąt dolarów w kieszeni.

- Nie mogę. Umówiłam się z przyjaciółmi. No więc, tak czy nie?

Billie z najwyższym trudem opanowała złość. Tego ranka nie miała siły na awanturę z Maggie.

Dziewczyna wzięła pieniądze i wepchnęła je do kieszeni.

- W weekend jadę do Galveston z Carol i jej rodzicami. Powiedz mi od razu, jeśli chcesz robić cyrk.

- A jeśli zrobię „cyrk", jak to nazywasz?

- Wtedy po prostu już dzisiaj pójdę do Carol i nie wrócę do domu. Proszę, rzuciła jej wyzwanie prosto w twarz. Pokonała ją. Jednak matczyna troska kazała Billie drążyć dalej:

- Maggie, musimy porozmawiać. Nie uważam, żeby twoi przyjaciele...

- Daruj sobie, mamo. Nie lubisz nikogo oprócz faceta, za którego wyszłaś, pytanie tylko, czy tato lubi ciebie? Po wczorajszym wieczorze chyba znasz odpowiedź. Nie liczysz się, mamo. Ja się nie liczę, Susan też nie. Ważny jest tylko Riley, Riley i dziadek. No, proszę, powiedz, że to nieprawda.

- Maggie...

- Dosyć, mamo. Wystarczy kazań na dziś. Potąd mam słów, które nic nie znaczą-pomogła sobie dosadnym gestem.

- Maggie, uważaj co mówisz. Wyrażasz się jak parobek. Dlaczego nie...

-... postępuję, jak na Colemanów przystało? Wiesz co? Mam dosyć Colemanów. Mam po prostu dość całej naszej rodziny. Nie prosiłam się na świat w tym cholernym domu. Nie mogę się doczekać dnia, gdy się stąd wyrwę i odetchnę innym powietrzem. Powietrzem, które nie należy do Colemanów. Na Boga! Nawet cholerne powietrze jest ich własnością!

- Co za bzdury! - ofuknęła ją Bilie. - Maggie, weź się w garść.

- Jasne, ja zawsze gadam bzdury. Czy kiedykolwiek słyszałaś, bym plotła coś innego niż bzdury? Do niczego się nie nadaję. Jestem brzydka. Jestem głupia. Ale jestem jedną z Colemanów, a to już coś,

prawda, mamo?

Billie otwierała i zamykała usta, ściągnęła brwi nad kształtnym nosem, ale nie zdradzała się ze swoim współczuciem dla córki.

- Maggie, o co chodzi? Zapytałam tylko, jakiego koloru sweter chcesz kupić.

- Myślisz, że nie wiem, dlaczego tak ochoczo dajesz mi pieniądze? Obawiasz się, że znowu będziesz musiała jechać na policję, kiedy mnie przyłapią na kradzieży. Tłumaczyłam ci, że to nieporozumienie, ale proszę, leć do ojca i o wszystkim mu opowiedz. I tak wiem, że tego nie zrobisz, mamo. Ponosisz winę, jak wszyscy rodzice. Proszę bardzo, nie pomagaj mi nigdy więcej. Mam to gdzieś!

To był celny strzał. Billie zawsze się martwiła, czy jest dobrą matką.

- Maggie, naprawdę chciałabym z tobą porozmawiać...

- Dobrze. Załatwmy to od razu. - Maggie opadła na krzesło. Czternaście lat, a tyle nienawiści, tyle wrogości. Billie zdawała sobie sprawę, że w tej chwili rozmowa tylko podsyci gniew córki, wyrządzi więcej szkody niż pożytku. Czy kiedykolwiek dojdą do porozumienia? Dlaczego Maggie nie wystarcza jej miłość? Dlaczego akurat Moss jest dla niej taki ważny?

- Nie teraz, Maggie. Wieczorem. Do tego czasu obie zdążymy ochłonąć. Jesteśmy zbyt podenerwowane.

- No jasne. Zawsze „później", nigdy „teraz". Zabawne, że „później" to tak naprawdę „nigdy". Zauważyłaś to? Tak, pewnie tak. Wczorajsza noc to twoje „później", jeżeli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

Billie zerknęła na zegarek, a potem znowu na córkę, która obserwowała ją uważnie. Nic by się nie stało, gdyby dziś nie poszła na zajęcia z malarstwa, już jest spóźniona. Rzecz w tym, że nie chce ich tracić, nie chce siedzieć w domu ze zbuntowaną, rozgoryczoną dziewczyną. I nie chce wiedzieć, czy Moss wróci na lunch. Lekcje stanowiły jej ucieczkę.

- Dziś wieczorem, Maggie. Do zobaczenia - stwierdziła twardo.

- Widzisz, mamo? Nie słuchałaś, co do ciebie mówię. Nocuję u Lambertów i jadę z nimi na weekend do Galveston. Porozmawiamy kiedy indziej, jeżeli, oczywiście, nie zapomnisz.

- Maggie! Nie pozwoliłam ci...

- Ale co z tego? Billie bez słowa wzięła torebkę i wyszła.

Maggie odprowadzała ją wzrokiem, aż zniknęła za zakrętem. Płacze? Trudno. Maggie zabroniono wstępu do Lambertów. Uznano, że jest nieodpowiednim towarzystwem dla tej skończonej idiotki, ich córeczki, kiedy nakryto je pijane, z pustymi puszkami po piwie i resztkami whisky w butelce. Maggie już nigdy nie pojedzie z nimi do Galveston. Carol było przykro z tego powodu, ale nie chciała sprzeciwiać się rodzicom. Zresztą Lambertowie nie donieśli na nią Mossowi i Billie tylko dlatego, że pan Lambert robił interesy z dziadkiem. Poza tym onieśmielała ich władza i fortuna Colemanów. Mimo to plotki krążyły. Teraz rodzice jej przyjaciółek zapraszali ją rzadko i niechętnie. Koniec z wyjazdami do Galveston, koniec z przyjaźniami. Trudno.

Są inne sposoby na spędzanie weekendu, choćby w motelu przy autostradzie z każdym, kto ją poderwie. Dwa dni z nieznajomymi, z mężczyznami, którzy nie bali się Colemanów. Żadnych pytań. Żadnych odpowiedzi. Potem długa gorąca kąpiel, żeby zmyć z siebie brud...

Riley z trudem wyhamował przy podeście schodów.

- Dokąd to, Maggs? - zapytał, wskazując niedużą torbę podróżną.

- Galveston. Jedziesz ze mną?

- Nie. Tata i ja polecimy nowym pipercubem. Daleko do tego Galveston? Czy mama wie? A może to tajemnica? - Riley zawsze zadawał to pytanie.

- Mówiłam mamie. Nic ją to nie obchodzi. Mam w nosie, czy ze mną jedziesz czy nie. I tak tego nie chciałam. Proszę bardzo, lataj sobie z tatą. Jest mi to obojętne. Jesteś do kitu, Riley. I Susan też.

- Co ci zrobiłem? Zapytałem tylko, czy to tajemnica. Wiesz co? To ty jesteś do kitu! -Widząc ostry błysk w oczach siostry, Riley oddalił się na bezpieczną odległość.

Maggie zajrzała do zalanego słońcem salonu, gdzie Susan grała na fortepianie. Każdy coś potrafił: Riley pilotuje samolot, Susan świetnie gra, mama gra i w dodatku maluje. Nic dziwnego, że tata kocha wszystkich oprócz niej. Jest nikim, niczym. Promienie słońca lśniły w złotych lokach Susan. Była taka ładna, taka delikatna, zupełnie inna niż ona.

- Jesteś do kitu, idiotko! - Jej krzyk zagłuszył muzykę.

Susan grała dalej, smukłe palce tańczyły na klawiaturze. Słyszała to już wcześniej. Maggie nienawidzi całego świata.

Rozdział drugi

Dillie zaparkowała nieduży sportowy, włoski samochód przed wejściem do atelier. Nadal była spięta, choć poranna scena z Maggie nie zdarzyła się po raz pierwszy. Musi spojrzeć w twarz rzeczywistości: zawiodła jako matka. Maggie potrzebuje Mossa. Wszystkie dzieci, cała trójka potrzebuje Mossa. Niestety, tylko Riley cieszył się jego miłością.

Jeszcze przed wejściem do środka wyobrażała sobie, że czuje zapach terpentyny i farb olejnych. Tutaj, wśród pędzli, palet i w towarzystwie innych uczniów zapominała o Sunbridge, nieudanym małżeństwie i nieszczęśliwej rodzinie. Odpoczywała, rzucając wyzwanie pustej sztaludze. Mieszkała w domu o dwudziestu pokojach, a w poszukiwaniu prywatności przyjeżdżała tutaj.

Atelier było obszernym pomieszczeniem z dwoma świetlikami w suficie, od północy i południa. Było wygodne. Co ważniejsze, w jej oczach było piękne dzięki obrazom, setkom obrazów pod ścianami. Tętniło kolorami radosnymi i smutnymi, żywymi i wyblakłymi. Tu jest życie, pomyślała.

Zdjęła żakiet, usiadła na swoim miejscu. Tego dnia oprócz niej malowało tylko dwóch uczniów. Wkrótce potem zjawił się ktoś jeszcze. Na jej widok uśmiechnął się szeroko, z serdecznością, dzięki której ogarnęła ją fala ciepła.

Jordan. Jordan Marsh, wysoki, szczupły, o kasztanowych włosach przyprószonych siwizną na skroniach, nauczyciel i przyjaciel. Kiedy się uśmiechał tak jak teraz i błyskał idealnie równymi zębami, był bardzo przystojny. Odwzajemniła uśmiech. Więc jednak kogoś na świecie cieszy jej widok.

Odprężyła się jeszcze bardziej, gdy przystąpiła do mieszania farb. Dzisiaj skończy martwą naturę, którą zaczęła w zeszłym tygodniu: stokrotka w dzbanku, przypominającym pulchną dziecięcą rączkę. Rączkę Rileya.

Pracowała ponad godzinę, gdy Jordan stanął za nią i obserwował, jak nanosi farby na płótno pewnymi, ostrymi ruchami.

- Coś nie tak, Billie? - zapytał miękko.

Odwróciła się na stołku, żeby na niego spojrzeć. Od dawna nikt nie mówił do niej takim tonem, nie pytał, naprawdę czekając na odpowiedź. W jej oczach zalśniły łzy.

- Nie wiem, Jordanie. Chyba wszystko.

- Mogę ci pomóc? Chcesz porozmawiać? Nie maluj dzisiaj. To bez sensu. Spójrz na kolory. Łodyga wygląda jak zdechły wąż.

- Masz rację, nie powinnam dzisiaj w ogóle brać pędzla do ręki. Ale nie miałabym nic przeciwko filiżance kawy, jeśli możesz mnie poczęstować.

- Mam cały dzbanek, dopiero zaparzyłem. Chodźmy do mnie.

Była u Jordana tylko raz, kiedy zaprosił uczniów na lunch, żeby uczcić wystawę swoich prac. Mieszkanie było przytulne, swojskie i, co najważniejsze, położone tuż obok atelier. Jordan mógł wchodzić i wychodzić w dzień i w nocy, kiedykolwiek tylko miał ochotę malować. W przeciwieństwie do niej nie musiał w tym celu uciekać z domu.

Oprowadzał ją po swoich apartamentach. Pokoje odzwierciedlały jego osobowość. Salon był utrzymany w żywej, jaskrawej tonacji, kuchnia tętniła życiem dzięki ręcznym malowidłom na szafkach. Za zasłony służyło szare płótno, podwiązane jaskrawofioletowymi wstążkami. Rośliny doniczkowe i miedziane rondle dopełniały wystroju.

Najbardziej jednak przypadła Billie do gustu sypialnia. Jordan urządził ją w odcieniach ziemi, w brązach, żółciach i rdzawościach. Panowała tu atmosfera całkowitego relaksu. Billie złapała się na myśli, jak kochałoby się w takim przytulnym pokoju... i od razu się zarumieniła.

- Nie wiem, o czym myślisz, ale do twarzy ci z rumieńcem! - zawołał Jordan. Roześmiała się, lecz czerwień nie zniknęła z jej policzków. Wrócili do kuchni, gdzie rozmawiali popijając luizjańską kawę z pełnych filiżanek.

Plotkowali o uczniach, wspomnieli o zbliżającej się wystawie jednego z nich. Nagle Jordan zmienił temat:

- A teraz, moja droga, powiesz mi, co cię trapi.

- Och, zapewne znowu przesadzam. Wstałam dzisiaj lewą nogą- zaczęła. - Wczoraj teść wydawał dla mnie przyjęcie urodzinowe. Nie było tak, jak sobie wyobrażałam. Byłam zawiedziona, Jordan. Nieważne, dlaczego.

- Owszem, Billie, ważne. Ważne dla ciebie. Jeśli mi o tym opowiesz, zobaczysz wszystko z innej perspektywy. Spójrz na mnie, Billie. Jak myślisz, co by się ze mną stało, gdyby w swoim czasie nie

znalazł się ktoś, kto mnie wysłuchał, kto mi pomógł, gdy zabijałem się alkoholem? Pewnie siedziałbym na rogu ulicy i żebrał o parę groszy na flaszkę taniego wina. Komuś zależało na mnie na tyle, że zechciał mi pomóc. Opowiedz mi o swoich problemach, dziewczyno. Nie pochodzę z twojej klasy, ale znam życie i chcę ci pomóc.

- To, kim jesteś czy z jakiej klasy pochodzisz, nie ma najmniejszego znaczenia, Jordan. Trudność sprawia mi choćby przyznanie, że jest jakiś problem. Widzisz, Colemanowie nie mają problemów. Nie wolno nam. Tak więc ignorujemy wszelkie przykre sprawy. Przecież i tak przeminą, prędzej czy później. - Westchnęła głęboko. - Ale to nie przeminie.

Jordan nie rezygnował:

- Billie, musisz mi powiedzieć, co cię gryzie? Co nie przeminie? Na przyjaciół zawsze można liczyć.

- Nie mogę tak po prostu zwalić na ciebie moich kłopotów tylko dlatego, że sama nie jestem w stanie się z nimi uporać.

- A próbowałaś? Czy tylko chowałaś głowę w piasek?

- Obawiam się, że to drugie - przyznała ze smutkiem. - Zawiodłam na całej linii. Nie wiem, kiedy i gdzie wszystko się popsuło. Nie podam ci dnia ani godziny. Mam wrażenie, że wisi nade mną czarna chmura, która z dnia na dzień opada coraz niżej. - Potrząsnęła bezradnie głową. - Może tylko rozczulam się nad sobą- stwierdziła z wymuszonym uśmiechem.

- Sama w to nie wierzysz. Nie przyszłabyś do mnie, gdybyś nie była smutna. Ile razy cię zapraszałem? Co najmniej ze sto. Zawsze odmawiałaś, bo przecież mężatki nie odwiedzają samotnych mężczyzn.

Roześmiała się. Jest taki dobry. Skoro się śmieje, jeszcze nie wszystko stracone.

Jordan usiadł wygodniej, nie spuszczając z Billie oka.

Czyżby nie wiedziała, że pragnie wziąć ją w ramiona? Czy nie wyczuwa, że ogarnia go płomień na sam jej widok? Czy na wieki zostanie tylko jej nauczycielem, nikim więcej?

- Nie sądzę, żebyś mógł mi pomóc - powiedziała. - Ale jeśli masz ochotę słuchać, opowiem ci.

Jordan obmacywał kieszenie w poszukiwaniu fajki. Wetknął ją pomiędzy zęby, i jak zwykle, nie zapalił. Skinął głową. Był gotów. Billie uśmiechnęła się ponownie.

- Pewnego dnia nie znajdziesz fajki i co wtedy zrobisz?

- To będzie mój koniec - stwierdził żartobliwie. - Fajka pomaga mi się skoncentrować. To moje koło ratunkowe. Wiesz, wszyscy musimy mieć coś takiego.

- Nie, nie wiedziałam. Nigdy nie miałam czegoś, co niosłoby pocieszenie. Bo przecież o to chodzi?

- Właśnie tak. Opowiadaj, Billie.

Słowa popłynęły. Jak wodospad. Jordan nie ruszał się, cały czas trzymał fajkę w ustach. Nie robił nic, co mogłoby przerwać lub zakłócić jej opowieść. Nawet nie kiwał głową.

A potem zwalniała, wytracała tempo jak hamująca lokomotywa. Znowu się zaczerwieniła. Otworzyła się przed nim, opowiadała o rzeczach, dawno, jak sądziła, zapomnianych... Nie mogła się zdecydować, czy teraz czuje się lepiej czy gorzej.

W końcu odezwał się Jordan:

- Nosiłaś wielki ciężar, Billie. Czy nie ulżyło ci, kiedy się wygadałaś? Zastanowiła się.

- Tak - stwierdziła po chwili. - Ale nadal nie wiem, co robić. A co ty o tym sądzisz?

- Moim zdaniem tylko ty możesz się uporać z twoimi problemami. Nie powiem ci, co masz robić, Billie. Musisz podjąć pewne decyzje i w nich wytrwać. Nie możesz pozwolić innym kierować twoim życiem. Oboje o tym wiemy. Powiem ci tylko jedno, coś, co wiem z własnego doświadczenia. Moim problemem był alkohol. Wykańczał mnie. Jednocześnie największą miłością mojego życia była i jest sztuka. Musiałem wybrać, co jest dla mnie ważniejsze. Do tej pory zdarzają się dni, kiedy za jednego drinka mógłbym zabić. Wtedy patrzę na moich uczniów i wiem, że nie tknę butelki. Moje życie na ziemi ma jakiś cel. To głupie, ale... Billie, kocham cię. Wiesz o tym, prawda.

- Tak sobie właśnie myślałam - odparła z uśmiechem.

Jordan wyglądał na zaskoczonego i zadowolonego jednocześnie.

- Czy pomogła ci rozmowa? - zapytał.

- Tak. Muszę wiele rzeczy przemyśleć. I muszę coś zrobić z Maggie, zanim będzie za późno.

- Może i tak. Czy nie lepiej jednak dotrzeć do sedna? Nie twierdzę, że Maggie nie jest ważna, ale dopóki nie rozwiążesz innych spraw, nie będziesz w stanie jej pomóc. Zresztą ona i tak wyczuje twoją

niepewność.

- Jestem tchórzem, Jordan.

- Jak my wszyscy.

- Boję się, że ulegnę.

- Wtedy będziesz musiała z tym żyć. Co lepsze: spróbować czy rezygnować od razu?

- Muszę to przemyśleć.

- Oczywiście.

- Sama nie wiem, jakie uczucia żywię dla ciebie. - Zdziwiła ją własna odwaga i szczerość.

- Tak sobie właśnie myślałem - uśmiechnął się szeroko.

- Potrzebuję czasu.

- Dobrze.

- Kawa była wyśmienita, rozmowa jeszcze lepsza. Podoba mi się tu u ciebie, ale teraz powinnam malować. To chyba odpowiednia pora, abym dokończyła pejzaż ze wzburzonym morzem.

-Tak, doskonała.

- Czas, Jordan. Daj mi trochę czasu.

- Ile tylko chcesz. Nigdzie się stąd nie ruszam.

W drodze do Sunbridge Billie rumieniła się na wspomnienie tej rozmowy. Spodziewała się jego wyznania. Jordan ją kocha. Kocha czy tylko jest zakochany? Nieważne. Cieszyło ją że mężczyzna równie atrakcyjny i utalentowany uważa ją za godną uwagi. Ostatnimi czasy niewiele z tego, co się działo, umacniało jej wiarę w siebie.

Romans z Jordanem. Musi to przemyśleć. Zastanawiała się, jak może wyglądać miłość w jego sypialni. Jordan w niczym nie przypominał Mossa.

Jordan -mężczyzna, artysta, kochanek.

A później, kiedy romans się skończy, bo przecież romanse nie trwają wiecznie, co zostanie? Gorycz? Rozczarowanie? Czy popioły romansu są równie zimne i wrogie jak popioły małżeństwa?

Przez całą drogę myślała intensywnie. Zanim wjechała do Sunbridge, zdecydowała, że kobieta nie wdaje się w romans ot tak, naiwnie i niewinnie. W każdym razie, nie kobieta zamężna. Jest to działanie celowe. Billie przyznawała się przed sobą że potrzebuje

miłości mężczyzny. Potrzebuje jego bliskości i szeptanych zapewnień o miłości. Wiedziała także, że w końcu to ona zerwie z kochankiem. Już nigdy żadnemu mężczyźnie nie odda się tak jak Mossowi.

Zaparkowała niebieski samochód obok porsche'a męża. Jest w domu. Zanim rzuci się w ramiona Jordana, jeszcze raz porozmawia z Mossem. Spróbuje się do niego zbliżyć, poszuka w jego oczach iskierki, która będzie sygnałem, że nadal mu zależy na niej i na ich małżeństwie. Pragnęła i zawsze będzie pragnąć tylko Mossa. Nadal kocha go bezgranicznie.

Co w takim razie może ofiarować Jordanowi? Czy leżąc w jego ramionach będzie sobie wmawiała, że jest z Mossem? Obcasy głośno stukały po ceramicznych płytkach podłogi. Nagle zapragnęła zobaczyć Mossa, usłyszeć jego głos. Jak to możliwe, że po tylu latach nadal ma taki na nią wpływ? Dlaczego na myśl o nim szybciej bije serce, a dłonie wilgotnieją? Jest głupia i tyle.

- Charlotte, proszę gin z tonikiem. Będę na tarasie - mruknęła półgłosem. Potrzebowała trochę czasu, zanim się zmierzy z Mossem. Musi opracować strategię.

Choć od wielu lat wiedziała, że nie jest jej wierny, świadomość jego zdrady była równie bolesna, jak wtedy gdy się dowiedziała o tym po raz pierwszy. Nie chciała żyć. Czego jej brakowało, czego szukał u innych? Wściekłość zżerała ją jak rak. Nigdy się do końca nie otrząsnęła.

Wtedy, w ciemności pustej sypialni, podjęła decyzję: nie będzie rozmawiała z Mossem. Prędzej czy później do niej wróci. Ich małżeństwo jeszcze się umocni. Czasami zdrady wzmacniają więzi. Wybaczy mu, ale nigdy nie zapomni. To będzie jej kara; wszak to ona popełniła jakiś błąd.

Zawsze wiedziała, kiedy nie był jej wierny. Za każdym razem wracał troskliwy i kochający jak w pierwszych dniach małżeństwa. Obdarowywał ją drogimi prezentami, sypiał z nią trzy razy w tygodniu, szeptał czułe słówka. Znosiła to, bo go kochała.

Szklanka była pusta. Stanowczym ruchem odstawiła ją na stolik. Czas odszukać męża. Ukryła drżące dłonie w kieszeniach żakietu.

- Mama? Tato, zobacz, mama przyszła! - zawołał Riley.

- Billie, co cię tu sprowadza? Coś się stało? - zapytał Moss.

- A cóż mogłoby się stać w raju, zwanym Sunbridge? - odparła ze

sztuczną swobodą. - Riley, chciałabym porozmawiać z tatą. Idź do kuchni i poproś Charlotte, żeby zrobiła nam kawy.

Zostali sami. Billie usiłowała ocenić Mossa obiektywnie. Nadal wysoki i ogorzały, dojrzalszy niż dawniej, ciągle zabójczo przystojny. Ciemne, gęste włosy, na skroniach posrebrzone siwizną, i niewiarygodne spojrzenie niebieskich oczu. Mocny, władczy mężczyzna. Nic dziwnego, że się podobał kobietom. Nawet tu, wśród szkolnych trofeów i proporczyków, emanował siłą, przejawiającą się w tonie głosu, w błysku oczu, barczystej sylwetce.

Wzięła głęboki oddech, wiedząc, że musi zacząć mówić, zanim zabraknie j ej odwagi.

- Moss, jak ci się podobało wczorajsze przyjecie?

- Bardzo. Dobrze się bawiłaś? Tata zorganizował je specjalnie dla ciebie. Chyba podziękowałaś staruszkowi?

- Owszem, podziękowałam Sethowi. A czy się dobrze bawiłam? Cóż, bawiłabym się lepiej, gdybyś spędził ze mną nieco więcej czasu. Cokolwiek by o tym pomyśleć, to były moje urodziny.

- Narzekasz? - Powoli podniósł na nią wzrok.

- Nie... tak. Było mi wstyd. Słyszałam, jak ludzie szeptali za moimi plecami. Ciekawe, dlaczego. A może ty wiesz?

- A skąd do licha miałbym wiedzieć? Billie, wiesz, że nie nadaję się do roli troskliwego mężulka. Po prostu się nie nadaję.

- Być może, ale nie jesteś głupi. Pytałam, dlaczego szeptali za moimi plecami?

- Wmawiasz coś sobie. - Odwrócił się do niej plecami. Normalnie uznałaby rozmowę za zakończoną, ale nie tym razem.

- Moss, zadałam ci pytanie.

Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

Dzieje się coś dziwnego. Takie przesłuchania nie są w stylu Billie. Ponownie odwrócił się w jej stronę. Światło z okna za biurkiem nadawało jej twarzy złoty odcień, rozjaśniało włosy. Jest piękna, ta jego żona, jego Billie. Piękna i zdenerwowana.

Na jej policzkach wykwitły rumieńce.

- Czekałam na ciebie, Moss - szepnęła. - Czekałam do świtu. Dzieje się coś niedobrego. Oddalamy się od siebie. Nie wiem dlaczego, i to mnie przeraża.

Słowa dławiły ją w gardle. Na Boga, nie miała zamiaru żebrać. Ale

czyż nie to właśnie robiła? Żebrała, by Moss uratował ją od romansu z Jordanem Marshem?

- Billie, jesteśmy starym małżeństwem. Miesiąc miodowy dawno się skończył. Wiesz, proza życia codziennego...

- Moss, nie obchodzi mnie proza życia codziennego. Nie chcę tracić tego, co jest między nami. Mam wrażenie, że umieram. Czy pamiętasz, kiedy ostatnio byłeś w naszej sypialni? Musimy ze sobą rozmawiać. Mamy dzieci, które nas potrzebują, obojga nas. Kiedyś byliśmy szczęśliwi. Powiedz, co się zmieniło? Powiedz, co zrobiłam nie tak, dlaczego mnie już nie chcesz.

Nie chciała powiedzieć tego w ten sposób, nie chciała, by to brzmiało tak żałośnie, tak rozpaczliwie. Kiedyś jednak te słowa musiały paść. Może to był najodpowiedniejszy moment. Może Moss nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ją krzywdzi.

- Billie, co to za bzdury? To do ciebie niepodobne.

- Nie zmieniaj tematu. Masz kogoś, Moss? Kochasz ją?

- Nigdy nie ma cię w domu. Ciągle jesteś zajęta: a to malarstwo, a to dzieci, a to Bóg wie co jeszcze. Ja też mam swoje zajęcia: spotkania w interesach, rancho. Widzisz ten bałagan? - wskazywał półki i biurko uginające się pod stosami dokumentów. - To wszystko na mojej głowie. Tata na mnie polega.

- Rozumiem to doskonale, ale mógłbyś sobie znaleźć kogoś do pomocy. Tak, jestem ciągle zajęta. Tylko w ten sposób jestem w stanie przetrwać kolejny dzień. Ale co z nocami, Moss? Wtedy nie jestem zajęta, a ty? Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Masz kogoś? Jeśli tak, powiedz mi. Musimy porozmawiać.

- Przecież rozmawiamy. Tobie po prostu nie odpowiada to, co słyszysz. - Billie wie. Rany boskie, wie, i nigdy nie powiedziała ani słowa. To cała Billie: zignoruj, a nieprzyjemności znikną. Ciekawe, czy Agnes wie także. - Nie, nie mam nikogo. Billie, jesteśmy małżeństwem i nic tego nie zmieni. Składaliśmy przysięgę.

- Skoro tak, dlaczego nigdy się nie kochamy? Ostatnio robiliśmy to dwa miesiące temu, a i wtedy to ja wykazałam inicjatywę... Nie podoba mi się rola, jaką mi wyznaczyłeś. - Odzyskała pewność siebie. Mówiła bardziej opanowanym głosem. - Fakt, że ze mną nie sypiasz, oznacza jedno. Spotykasz się z inną kobietą. Jesteśmy dorośli. Chyba możemy o tym porozmawiać?

- A co chcesz wiedzieć, poznać wszystkie pikantne szczegóły? Jaką nosi bieliznę? Czy jest podniecająca? O co ci chodzi?

- Moss! -Była w szoku. -Nie, nie o to mi chodzi. Chcę, żebyśmy rozmawiali. O nas. O naszych dzieciach. Nie widzisz, że oddalamy się od siebie w zastraszającym tempie? Jeśli czegoś nie zrobimy, będzie za późno.

- Billie, Billie - pokręcił głową. - Skąd u licha bierzesz te pomysły? Nic się nie zmieniło. Starzejemy się, dzieci dorastają. Ty masz swoje zajęcia, ja moje. Tak to jest w małżeństwie. Tak było w przypadku moich rodziców. Twój ojciec umarł, kiedy byłaś malutka, więc nie masz porównania. Zaufaj mi, Billie. Wszystko jest w porządku. Jesteś romantyczką, myślałaś, że miesiąc miodowy trwa wiecznie. Moja mama też taka była, dopóki ojciec jej nie wytłumaczył.

Wątpliwości opadły Billie ciemną chmurą. Ostre, zdecydowane słowa raniły jej serce.

- Niestety, Moss, to mi nie wystarczy. Chcę więcej. Chcę, żebyśmy byli rodziną. Maggie cię potrzebuje. Nie widzisz, co jej zrobiłeś, jaką krzywdę cały czas jej wyrządzasz? Jesteś taki sam jak Seth wobec Amelii. Obchodzi cię tylko Riley. Zapominasz, że masz jeszcze dwie córki. Zwłaszcza Maggie...

-... powinno się zostawić samej sobie - wpadł jej w słowo. - Masz rację. Jest taka sama jak Amelia. Samowolna i dzika. Z czasem się uspokoi. Im więcej będziemy jej pilnować, tym bardziej się będzie stawiała. Wierz mi, wiem o czym mówię. Za dużo się martwisz, Billie. Odpręż się, ciesz się życiem.

- Tak jak ty? - rzuciła gorzkim, oskarżycielskim tonem. Nie opuścił wzroku. Patrzył jej w oczy.

- Tak jak ja.

- Dobrze, Moss, właśnie tak postąpię. - Łzy upokorzenia piekły ją pod powiekami. Sugerował, żeby poszła w jego ślady i miała romans! Nie wierzył wcale, że ją stać na coś takiego. W głębi serca był pewien, że nie może jej utracić. Uważał, że świat Billie kończy się i zaczyna na nim, i że wystarczą jej rzucane od czasu do czasu resztki.

W czym leży jej błąd? Czy kochała go nie dość mocno? Dawała zbyt mało? Pochyliła głowę. To bez sensu.

Podszedł do niej i uniósł jej podbródek czułym gestem.

- Billie, kochanie, nie miej takiej smutnej miny. Wszystko będzie

dobrze, jak zawsze. Jesteś i zawsze będziesz moją żoną. Należysz do mnie, prawda?

Zanim poniżyła się do odpowiedzi, zanim zaczęła błagać o miłość, cofnęła się o krok. Odwróciła się na pięcie, chcąc wyjść z tego pokoju, z jego przystani.

Westchnął znużony, tak samo jak wtedy, gdy wymieniła imię Maggie.

- Dokąd idziesz, Billie? Myślałem, że chcesz porozmawiać. Wracaj.

- Idę cieszyć się życiem, Moss, jak mi to proponowałeś. Będę robiła to samo co ty. - Cicho zamknęła za sobą drzwi.

Siedział spokojnie, opanowując odruch, by za nią pobiec. Ilekroć tracił kontrolę nad tym, co do niego należało, odczuwał taką potrzebę. Coś mu mówiło, że nic by się nie zmieniło, gdyby pobiegł za Billie. Zranił ją zbyt głęboko, zbyt boleśnie. To jego wina. Dopiero teraz uświadomił sobie, ile musiało ją kosztować przyjście tu i żebranie, by się zajął żoną i rodziną. Przykro mu, ale nie znosił, gdy stawiano mu wymagania. Billie zawsze pozwalała mu być sobą, rozwijać skrzydła. Co się zmieniło?

Była zrozpaczona. Chyba rzeczywiście powinien poświęcać jej więcej uwagi, okazywać więcej uczucia. Do cholery, przecież ją kocha na swój sposób. Billie to najlepsze, co spotkało go w życiu. Dała mu Rileya, a Bóg jeden wie, ile chłopak dla niego znaczy.

Popatrzył na stertę papierów na biurku. Kiedy się z tym upora, pójdzie na górę. Wypada kochać się z nią powoli, leniwie, aby wszystko wróciło do normy. Przeprosi ją. Billie zawsze mu wybaczała. Później każą sobie podać kolację do pokoju i porozmawiają o Maggie. Dzięki temu Billie odzyska spokój ducha.

Rozległo się pukanie do drzwi; przyszedł Riley z książkami pod pachą.

- Co tam masz, synu?

- Podręczniki. Chciałbym, żebyś mi pomógł. Ten, kto najlepiej narysuje i objaśni, jak działa pompa, dostanie nagrodę. Pomożesz mi, tato?

- Nagrodę? - Powtórzył Moss w zadumie. - Wiesz już, jaką pompę chcesz opisać? - Uśmiechnął się na wspomnienie podobnej pracy domowej, którą odrabiał będąc w wieku Rileya. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Przepełniła go duma.

- Może pokażę, jak się czerpie wodę dla krów? Co ty na to, tato? Moss robił już na biurku miejsce dla jego podręczników.

- Tak, to niezły pomysł. Ale jesteś Colemanem, Riley. Może narysujemy, jak się wydobywa ropę?

Chłopiec rzucił książki na biurko. Wolałby opracować projekt poidła dla krów. Krowy są takie ładne. Bardzo lubił zwierzęta.

- Dobrze, tato. Narysujemy, jak się wydobywa ropę.

- To mi się podoba, synu. Pamiętaj, cokolwiek robisz, musi to być coś ważnego. Ropa jest ważna. Używamy jej jako paliwa do samolotów i...

W swoim pokoju Billie zrzuciła buty z nóg i rozejrzała się po dowodach bogactwa Colemanów. Nic jej nie cieszyło: ani satynowe draperie, ani antyczne meble, ani szafy pełne ubrań. Do szczęścia wystarczyłoby jej dwupokojowe mieszkanko, gdyby Moss co noc brał ją w ramiona. Tak właśnie wyobrażała sobie przyszłość, gdy się poznali, zanim w ogóle usłyszała o Colemanach, ich pieniądzach i władzy. Moss utwierdzał ją w przekonaniu, że jest prostym parobkiem, farmerem. W tej chwili uszczęśliwiłby ją, gdyby po prostu do niej podszedł i przytulił.

Dzwonek telefonu przerwał ciszę. Raz, drugi, trzeci. Charlotte zapewne nie słyszy. Billie podniosła słuchawkę:

- Halo?

- Dzień dobry, tu Hester Eastland ze szkoły Perret. Czy mogłabym mówić z panią Coleman?

- Przy telefonie, pani Eastland. Czy coś się stało?

- Pani Coleman, martwimy się o Margaret. Czy zachorowała? Nie było jej dzisiaj w szkole.

- Och, powinnam była do pani zadzwonić. Maggie pojechała na weekend do Galveston z Carol Lambert i jej rodzicami. Przepraszam, że pani nie zawiadomiłam. - Spokojny głos Billie nie zdradzał jej gniewu. Cholerna Maggie! Ani słowem nie wspomniała, że nie idzie do szkoły. Billie zakładała, że Lambertowie wyjeżdżają dopiero wieczorem. A przecież chciała zadzwonić do Dottie Lambert i podziękować, że zabierają Maggie ze sobą. Ostatnio traci nad wszystkim kontrolę... Wszystko dlatego, że za bardzo przejmuje się sobą.

- Nie rozumiem, pani Coleman. Carol Lambert jest w szkole. Właśnie przed chwilą przyniosła mi pewne dokumenty. Pani Coleman, czy pani wie, gdzie jest jej córka?

- Nie, nie wiem. Byłam pewna, że wybiera się dzisiaj do szkoły, ale z drugiej strony, wspomniała także coś o zakupach. Na pewno nie ma powodów do niepokoju.

- Jak pani wiadomo, Margaret już wcześniej sprawiała pewne kłopoty wychowawcze. Zapewniam panią, że chcemy jak najlepiej dla pani córki. Skoro jednak pani twierdzi, że nie ma powodu...

- Najmniejszego, pani Eastland. - Z gorzkim grymasem odłożyła słuchawkę. Dzwonienie do szkoły Susan i pytanie o Maggie nic nie da. A Riley, powodowany lojalnością, nabierze wody w usta jak zwykle. Może tylko czekać. Wtedy wpadła na pewien pomysł. Wykręciła numer Lambertów.

- Halo? Dottie? Tu Billie Coleman. - Coś nakazało jej ukryć troskę i paplać radośnie. - Zastanawiałam się, czy kiedy będziecie w Galveston, wpadniecie do centrum po zakupy? Moss przepada za czekoladkami z tego sklepiku na rogu.

- Och, z chęciąje dla was kupimy, gdy tylko uda się nam stąd wyrwać, choć Bóg jeden wie, kiedy to nastąpi. Zachary właśnie kończy ospę wietrzną. Jezus Maria! nie pamiętam nawet, kiedy ostatnio wychodziłam z domu! Biedak drapie się przez cały czas, boję się, że blizny mu zostaną do końca życia.

Billie słuchała niecierpliwie. Zachary choruje od co najmniej tygodnia, więc Lambertowie nie zmienili planów w ostatniej chwili. Gdzie jest Maggie? Czy naprawdę poszła na zakupy? Dlaczego skłamała?

W końcu odłożyła słuchawkę. Ciężko osunęła się na szezlong. Martwiła się o córkę, ale nie wpadała w panikę. Do wieczora jeszcze dużo czasu. Maggie wróci na kolację.

Ból głowy narastał, niedługo przerodzi się w migrenę. W takim stanie nie mogła o niczym myśleć. Postanowiła zasnąć. Maggie wróci na kolację...

Rozdział trzeci

W sobotni poranek admirał Thaddeus Kingsley zjawił się z nie zapowiedzianą wizytą. Colemanowie właśnie kończyli śniadanie. Nawet Seth i Agnes skusili się na dodatkową filiżankę kawy. Puste krzesło Maggie rzucało się w oczy. Wszyscy udawali, że tego nie widzą. Piękny widok; rodzina Mossa je śniadanie na tarasie w ciepły czerwcowy poranek. Billie ciągle bolała głowa. Obfite teksaskie śniadanie, stek i jajka, przyprawiało ją o mdłości. Upiła łyk słabej herbaty i zapaliła papierosa nie dlatego, że chciała palić, lecz żeby czymś zająć ręce, jakoś ukoić nerwy.

Maggie nie wróciła poprzedniego wieczoru. Po kolacji Billie powiedziała Mossowi o telefonie ze szkoły i powtórzyła rozmowę z Dottie Lambert.

- Co mam robić? - zapytała.

- Co robić? Nic. Poczekamy. Może ją źle zrozumiałaś, Billie. Może mówiła, że wybiera się do innej koleżanki.

- Zrozumiałam bardzo dobrze. Maggie miała jechać do Galveston z Lambertami. Zagroziła nawet, że pojedzie bez względu na to, czy się zgodzę. Dzwoniłam do Dottie Lambert. Zachary ma ospę wietrzną. W ten weekend w ogóle się nie wybierali do Galveston.

- Co się dzieje? - dobiegł ich głos Setha. Właśnie stanął w drzwiach. Jak zwykle, wybrał najbardziej niefortunny moment.

- Moss, co się stało twojej żonie? Trzęsie się jak byk do krowy. Billie odwróciła się do teścia.

- W mojej obecności mógłbyś zwracać się bezpośrednio do mnie, Seth. Wyobraź sobie, umiem mówić. - Ponownie spojrzała na męża. - Powinniśmy zadzwonić na policję. Mam prawo wiedzieć, gdzie jest moja córka!

- Która córka? - zaryczał Seth. -Nie, nie mówcie. Maggie, tak? Jest jak Amelia, cierniem w boku własnego ojca. Co tym razem nabroiła?

Moss szybko wyjaśnił sytuację.

- I zadzwoniłaś do Lambertów? Dziewczyno, ty w ogóle nie masz oleju w głowie! Dzwonić do Lambertów! Teraz wiedzą, że Maggie nie można ufać. Wszyscy się o tym dowiedzą, będą o nas plotkować! Trudno byłoby zrobić większe głupstwo! - Seth wystukiwał rytm słów końcem laski. - Nie zadzwonimy na policję, Jezu, wszyscy by się o tym

dowiedzieli w ciągu dwudziestu minut. Jesteś jej matką. Dlaczego nie wiesz, gdzie jest?

I na tym się skończyło. Poczekają.

Maggie wróci do domu, prędzej czy później. Wieczór ciągnął się bez końca, tak przynajmniej wydawało się Billie. Moss zapukał do jej sypialni z pytaniem, czy może z nią pobyć. Fakt, że nie obchodziły go los Maggie i uczucia, jakie w niej budził, wprawił ją w taką wściekłość, że z hukiem zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Wizja Maggie leżącej w przydrożnym rowie pojawiała się w jej wyobraźni. Billie zakrztusiła się dymem. Nienawiść do Colemanów zabarwiła jej policzki na czerwono. Nie powinna bezczynnie siedzieć. Gdzie jest Maggie?

Mossa bardzo ucieszyło przybycie Triada. Mężczyźni objęli się serdecznie. Thad się nie zmieniał, był nadal szczupły, spokojny, opalony, przystojny. Billie nie widziała go od roku. Seth się naburmuszył, ale podał mu rękę. Thad Kingsley, kontradmirał. Człowiek wpływowy. Jak głosiła plotka, awans na wiceadmirała był tuż-tuż. Moss już dawno temu przewidywał, że pewnego dnia przyjaciel będzie dowodził flotą Pacyfiku. Czas potwierdził jego słowa, a tego było dla Setha za wiele. Wszystkich znanych sobie mężczyzn porównywał ze swoim synem. Thad czasami zdobywał wyższą lokatę niż Moss. Niechęć teścia do Kingsleya sprawiała Billie cichą satysfakcję.

- Billie, to niemożliwe! - krzyknął Thad. Pochylił się, żeby musnąć ustami jej policzek.

- Co takiego? - zapytała.

- Że jesteś piękniejsza niż wtedy, gdy ostatnio cię widziałem. Moss, na twoim miejscu ściągnąłbym cugli tej klaczce!

- A jak myślisz, dlaczego ukrywam ją w Sunbridge?- zażartował Moss, jednak w jego oczach nie było uśmiechu. Zauważyła to Billie, zauważył i Thad.

Szybko zajął się dziećmi:

- Boże, Susan, ilekroć cię widzę, jesteś coraz ładniejsza. Kiedy recital w Carnegie Hall?

Zarumieniła się uroczo i zagryzła dobą wargę. Lubiła tego przyjaciela taty. Był miły, uprzejmy i nie żądał, żeby go całowała na powitanie, jak inni. W głębi duszy uważała, że wygląda prawie jak

Gary Cooper.

- A gdzie Maggie? - zainteresował się Thad.

- Spędza weekend u przyjaciół - odparł szybko Seth.

Thad wyczuł kłamstwo. Przez chwilę patrzył Billie w oczy, zanim wyciągnął rękę do Rileya.

- Cześć, Riley. Co nowego? Nadal latasz z ojcem i w powietrzu przejmujesz stery?

- Tak jest! Tata ma nowego pipercuba. To cudo! Jest w nim nowy autopilot! Tata sam go zaprojektował! Chętnie go panu pokażę, jeśli pan zechce.

- Bardzo chętnie, Riley. - Thad uśmiechnął się do chłopca. - A więc, Moss, wprowadziłeś autopilota do produkcji? Czy linie lotnicze już się tym zainteresowały? Czy może zachowujesz najlepsze kąski dla marynarki wojennej?

- Jak myślisz? Ciężko pracowałem, ledwo skończyłem w zeszłym roku. Pentagon wyraził zainteresowanie, choć kręcą nosem na zbyt wysoką cenę. Muszą ją jednak zaakceptować, bo Sunbridge Enterprises mają patent.

Billie toczyła nic nie rozumiejącym wzrokiem po twarzach mężczyzn, co chwila zerkała też na syna. Autopilot? Czy to nad tym urządzeniem Moss tak zawzięcie pracował w zeszłym roku? Skoro już skończył, dlaczego nie pisnął ani słówka? Z przykrością uświadamiała sobie, jak mało wie o swoim mężu i jak niewiele Moss mówił o swojej pracy najbliższym.

Przyszły dziedzic Sunbridge i jego siostra wstali od stołu, również Seth i Agnes się podnieśli, tłumacząc się „nawałem zajęć". Thad został z Mossem i Billie. Charlotte podała mu połówkę melona i kawę.

Nigdy w życiu, nawet na „Enterprise" przed nalotem, Thad nie odczuwał takiego napięcia. Billie wyglądała pięknie, ale robiła wrażenie tak kruchej, jakby lada chwila miała się rozsypać na milion kawałków. Moss był napięty jak struna. Czyżby chmury na horyzoncie?

- Więc co nowego? - zapytał od niechcenia.

- Nic - burknął Moss.

- A cóż może być nowego w Sunbridge? - dodała Billie pogodnie. Zbyt pogodnie.

- Czy mi się zdaje, czy zjawiłem się w nieodpowiednim momencie? - Thad nie owijał w bawełnę.

- Martwię się o Maggie - wyznała Billie. No proszę, powiedziała to. Niech Moss się tłumaczy, teraz, w obecności Thada. Niech przyjaciel się przekona, jakim jest dobrym, kochającym ojcem.

Moss zamarł na chwilę, by zaraz parsknąć wymuszonym śmiechem.

- Ach, te matki! Moja była taka sama.

- Nie całkiem - zaperzyła się Billie. - Nie całkiem, Moss. Nie myśl sobie, że skończę jak Jessica. Idę do domu. Zadzwonię do wszystkich znajomych Maggie. Powinnam była zrobić to wczoraj. Mam w nosie, czy tobie i Sethowi to się podoba. Muszę wiedzieć - z tymi słowami wstała od stołu.

Thad odprowadził ją wzrokiem.

- O co chodzi? - zapytał. - O ile pamiętam, twój ojciec mówił, że wyjechała z przyjaciółmi, czy coś takiego?

- Tak. Tylko że Billie wbiła sobie do głowy, że dziewczyna się włóczy, albo coś w tym rodzaju. Jest matką, Thad. Wszystkie kobiety trzęsą się o dzieci.

- Czy nie na tym polega macierzyństwo? Ty się tak właśnie odnosisz do syna, tak samo traktował cię twój ojciec. Dlaczego nie martwisz się o córkę?

- Maggie jest jak Amelia. Bez względu na to, co mówiliśmy, czy robiliśmy, nie byliśmy w stanie okiełznać mojej siostry. Była dzika, zbuntowana i zdecydowana robić to, co chciała i kiedy chciała. A przecież wszystko się dobrze skończyło. Maggie jest taka sama. Nie ma o co robić tyle zamieszania.

Billie wróciła na taras z poszarzałą twarzą. Thad zerwał się na równe nogi.

- Nikt nie wie, gdzie jest. Obdzwoniłam połowę Austin. Moss, musimy zawiadomić policję.

- Billie, opanuj się. Jeśli Maggie zapowiedziała, że wróci w poniedziałek, to tak będzie, a wtedy wyjdziesz na idiotkę. Denerwujesz się bez powodu.

- Bez powodu! Bóg jeden wie, gdzie jest i co robi. Moss, do licha, ona nie ma nawet czternastu lat! Nie mówiłam ci tego, ale już raz wpadła w tarapaty. W kwietniu zeszłego roku odebrałam ją z posterunku policji w Austin. Złapano ją na kradzieży w sklepie. Na szczęście załatwiłam wszystko po cichu, zapłaciłam za to, co zabrała.

Jeszcze wcześniej włóczyła się z chłopakami i piła. Tym razem skończyło się na ustnym upomnieniu. Nic ci nie mówiłam, bo nie znoszę wyrazu nienawiści na twarzy twojej i twojego ojca.

Moss się roześmiał.

- Maggie chyba czytała pamiętniki Amelii. Moja siostra zachowywała się identycznie. Poczekaj, aż tato o tym usłyszy.

- No tak, zapewne nie omieszkasz mu tego opowiedzieć - rzuciła kąśliwie.

- Co masz zamiar robić, Billie? - zapytał spokojnie Thad. - Chcesz jej szukać?

- Tak. Nie mogę bezczynnie siedzieć.

- A ty, Moss? Jedziesz? - zwrócił się do przyjaciela.

- Żeby smarkula i mnie wystawiła na pośmiewisko? Nie, dzięki.

- Pojadę z tobą.

Billie posłała Thadowi spojrzenie pełne wdzięczności. Zdawała się nie słyszeć ostatnich słów Mossa.

- Pójdę po notes z adresami. Mój samochód jest przed domem. Tam na ciebie poczekam.

- Miałem na ten weekend inne plany - mruknął Moss.

- Ja też - odciął się Thad. - Powiedz, co będziesz robił, kiedy ja pojadę szukać twojej córki?

- Wybieramy się na przejażdżkę z Rileyem. Pokażę mu twój samolot. Dzieciak będzie latał, zapamiętaj sobie moje słowa. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Taaak... akurat tego światu potrzeba. Jeszcze jednego Mossa Colemana -stwierdził Thad zimno. Podniósł z ziemi torbę podróżną i zniknął w domu.

Dziesięć minut później biały mundur został starannie powieszony w szafie gościnnego pokoju. Thad przebrał się w strój obowiązujący w Sunbridge: dżinsy i koszulę.

Billie czekała przy samochodzie. Nerwowo bawiła się breloczkiem. Wsiadła na fotel pasażera, oddając mu kluczyki. Thad wślizgnął się za kierownicę, uruchomił potężny silnik, wyjechał na podjazd.

- Prowadź.

- Do Austin. Nie wiem, jak ci dziękować, Thad. Traciłam rozum ze zmartwienia, a nie miałam do kogo się zwrócić. Chociaż nie podoba mi się ta myśl, uważam, że powinniśmy zacząć od biura szeryfa.

- Zgadza się. Czy od dawna masz kłopoty z Maggie?

- Nie wiem, czy kłopoty to odpowiednie słowo... Widzisz, Maggie zawsze była samowolnym dzieckiem. Jest... jest zazdrosna o Rileya, Susan, nawet o mnie. O każdego, kogo ojciec darzy uczuciem. Zrobiłaby wszystko, byle tylko zwrócić na siebie uwagę Mossa, który, oczywiście, nie ma o tym najmniejszego pojęcia. Serce mi się ściska, kiedy to widzę... ja także nie jestem bez winy. - Zacisnęła usta w wąską linię. - Pozwoliłam Colemanom dyktować mi, jaką mam być matką - rzuciła z goryczą. - Mylili się, Thad, a ja powielałam ich błędy.

- Nigdy nie jest za późno - mruknął cicho. - Weź wszystko w twoje ręce. Rób, co w twojej mocy. Mieć się na baczności to już połowa wygranej.

Obserwowała go kątem oka. Przyjaźń tego opanowanego, solidnego mężczyzny znaczyła dla niej bardzo wiele.

- Zawsze byłeś dla mnie dobry. Doceniam to. Powinnam była powiedzieć ci o tym dawno temu.

- Przyjaciołom nie trzeba takich rzeczy mówić, Billie. - Na chwilę oderwał wzrok od szosy, napawając się jej widokiem. Nawet teraz, gdy zamartwiała się o Maggie, nie traciła nic ze swojej urody, zmysłowego piękna. Podmuch wiatru z uchylonego okna rozwiewał złote kosmyki. Jej twarz, dawniej po dziecinnemu pulchna, odznaczała się delikatną regularnością rysów. Biło od niej kobiece ciepło, jednak w piwnych oczach widniała taka sama naiwność, jak podczas ich pierwszego spotkania przed laty, w Filadelfii.

- Wstyd mi, Thad. Nic dziwnego, że zawiodłam własne dzieci, skoro nie jestem w stanie zapanować nad swoim życiem. Nie wiem, co mam robić. Może w ogóle nie mogę im pomóc.

- Owszem, możesz. Kiedy trzeba, działasz, tak jak teraz. Nie bądź dla siebie zbyt surowa, Billie. Nie zgodzę się na to.

Na parkingu przed posterunkiem policji wziął ją za rękę. Cisza w zamkniętym samochodzie dudniła Billie w uszach.

- Jestem przy tobie - powiedział cicho. Uścisnęła jego silną dłoń.

- Wiem o tym i cieszę się.

Thad pragnął przytulić ją do siebie i szeptać do ucha, że zawsze przy niej będzie...

- Dalej, pani Cołeman. Do dzieła. Uśmiechnęła się mimo zdenerwowania.

- Wiem, że tylko żartujesz, ale proszę, nie mów do mnie „pani Coleman". „Billie" oznacza, że jesteśmy przyjaciółmi, że mamy ze sobą więcej wspólnego niż tylko Mossa.

- Tak jest, psze pani. Chodź, Billie.

Opuścili posterunek godzinę później. Billie szła z opuszczoną głową. Ze wstydem myślała o pytaniach, które jej stawiano, a ona nie umiała znaleźć na nie odpowiedzi. Ciężko oparła się na ramieniu Thada.

- Oni mają rację, Billie. Jest za wcześnie, żeby uznać Maggie za zaginioną. Powiedziała, że wróci przed poniedziałkiem? Wie, że musi iść do szkoły, więc pewnie zjawi się jutro wieczorem. Trzymajmy się tej myśli. A teraz możemy pojechać do kilku miejsc, gdzie twoim zdaniem mogłaby być. Przynajmniej będziesz miała wrażenie, że coś robisz.

- Dzięki, Thad.

- Za co?

- Za to, że jesteś moim przyjacielem. Nie mam prawdziwych przyjaciół. Wiedziałeś o tym? Mam wielu znajomych, ale to co innego. Za to nikogo, komu mogłabym zaufać. - Jordan się nie liczy, uznała w myślach.

W porannym świetle oczy Thada błyszczały dobrocią i łagodnością. Zdecydowanie prowadził ją do samochodu. Miała ochotę wypłakać się na jego piersi, nie chciała jednak obarczać go swoimi problemami. Thad zasługuje na coś więcej.

Późnym wieczorem poddali się.

- To bez sensu.

- Muszę przyznać ci rację. Jutro też jest dzień. Wyruszymy wczesnym rankiem i objedziemy miejsca, do których dzisiaj nie zdążyliśmy. Może warto sporządzić , listę?

W Sunbridge przez dłuższą chwilę nie wysiadali z samochodu, każde zagłębione w swoich myślach. W końcu Thad przerwał ciszę:

- Czy zastanawiałaś się już, co powiesz, kiedy Maggie wróci do domu? To ważne, żebyś miała coś konkretnego do powiedzenia. - Widział, jak drży. Potrzebował całej siły woli, by nie wziąć jej w ramiona.

- Chyba dam sobie radę, Thad. Maggie ma tylko mnie. Zrobię, co w mojej mocy. Właściwe reakcje przyjdą w swoim czasie.

- Za żadne skarby świata nie chciałbym być matką- zażartował.

Jednak to nie jego słowa przyciągnęły jej uwagę, lecz wyraz wpatrzonych w nią oczu. Przez chwilę czułość i gorące uczucie przesłoniły żartobliwy ton i przyjacielskie oddanie. W nagłym odruchu objawienia miała ochotę pogładzić go po policzku. To, co ujawniło się w jego oczach, napełniło ją radością i nadzieją.

- Od kiedy? - Tylko tyle była w stanie powiedzieć.

- Od Diamond Head. Od pierwszego dnia w Filadelfii... Nieważne od kiedy. - Dla mnie ważne.

- Więc niech wystarczy ci „od zawsze". -Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu, trzymając się za ręce.

- Późno już - powiedział w końcu. -Chodźmy. Opowiemy, co robiliśmy.

- Komu? Czy naprawdę sądzisz, że w tym domu jest ktoś, kogo to obchodzi? - zapytała z goryczą.

- Billie, popatrz na mnie. Dasz sobie radę. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że zawsze masz wolność wyboru. Tylko ty decydujesz, co, kiedy i jak robisz. Naucz się tego zdania na pamięć. A teraz mam ochotę na drinka. Ruszaj się, kobieto. Mam za sobą ciężki dzień.

- Odkąd jesteś takim tyranem? - zapytała kpiąco, gdy już wysiedli z wozu.

- Odkąd na „Enterprise" musiałem pilnować, by twój mąż zbytnio nie popuszczał sobie cugli. - Pożałował tych słów w tej samej chwili, w której je wypowiedział. Choć Billie się uśmiechała, w oczach miała rozpacz. Nie mógł tego znieść. Odwrócił się na pięcie i pobiegł do domu.

Budynek był pusty i cichy, jak miejsce, w którym mieszkańcy żyją oddzielnie, każdy dla siebie. Dopiero teraz zrozumiał.

- To żałosne - syknął przez zaciśnięte zęby.

- Mówiłeś coś?

- Mówiłem tylko, że chce mi się pić.

- Jeszcze chwileczkę. Usiądź, zdejmij buty. Zrobię kanapki.

- Dobra dziewczynka. - W odpowiedzi posłała mu olśniewający uśmiech. Czuł się jak dzieciak w bożonarodzeniowy poranek. Billie Coleman uśmiechała się specjalnie dla niego. Czegóż więcej mógł pragnąć? Całej Billie Coleman, nie tylko jej uśmiechu.

Szafa grająca rozświetlała posępnym światłem półmrok panujący w Eddie & Arnie's Bar. Z głośników dochodziła ckliwa piosenka country. Na parkiecie ospale kołysały się nieliczne pary.

Mężczyzna upił łyk burbona z wodą sodową i zerknął na dziewczynę, która siedziała obok niego. Na kpinę zakrawało myśleć o niej jak o kobiecie - dla niego kobiety miały co najmniej trzydzieści lat. A jednak wiek sąsiadki był trudny do ustalenia. Mogła mieć zarówno dziewięć, jak i dwadzieścia dziewięć lat. Okrągły podbródek, pełne policzki i ramiona należały do małej dziewczynki, ale w podmalowanych oczach kryło się doświadczenie. Świadczyły też o tym zmysłowo wydęte usta.

Zdziwił się, kiedy usiadła obok niego. Jego zdumienie wzrosło, gdy barman podał jej drinka. Choć cały czas milczała, każdym ruchem dawała mu do zrozumienia, że jest świadoma jego bliskości. To także było dziwne, zwłaszcza że w barze było wielu mężczyzn młodszych od niego. Zastanawiał się, czy dziewczyna na kogoś czeka. Jest wcześnie, tłumy gości zwalą się później.

Opróżniła szklankę jednym haustem i poprosiła, by jej postawił następnego drinka. W pierwszej chwili chciał odwrócić się za siebie i sprawdzić, do kogo mówi. Do licha! Ma czterdzieści sześć lat, trójkę dzieci i spory brzuch. Odkąd ostatnio podrywała go młoda dziewczyna minęło już tyle czasu, że prawie zapomniał, jak się zachować. Prawie.

Maggie poprawiła się na wysokim barowym stołku. Założyła nogę na nogę przybierając, jak sądziła, uwodzicielską pozę. Bransoletki na przegubach brzęczały cicho, gdy sięgała po paczkę pall maili. Czarna sukienka bez rękawów opinała biodra, odsłaniała długie smukłe nogi w pantofelkach na wysokich obcasach. Podoba mu się. Wiedziała o tym równie dobrze, jak i o tym, że jest obwoźnym sprzedawcą. Oni wszyscy byli komiwojażerami.

Ktoś wrzucił monetę do szafy grającej. Rozległy się dźwięki powolnej melodii. Chciała, żeby z nią zatańczył.

- Uwielbiam tę piosenkę, ty nie? - zapytała. Wsunęła papierosa do ust, czekając, aż poda jej ogień.

Zapalił zapałkę. Patrzyła mu prosto w oczy, jak Joan Crawford na filmach. Tak, udało się, widziała lekkie drżenie jego ręki. Nagle wstrzymał oddech. To łatwiejsze niż przypuszczała.

- Słucham? - Był wyraźnie zbity z tropu. - A, piosenka. Rzadko słucham muzyki.

- Pochodzisz z tych okolic?

- Nie, to tylko część mojej trasy. Mieszkam w Oklahomie. Austin to przyjemne miasto, nieco prymitywne w porównaniu z Nowym Jorkiem czy Los Angeles, ale przyjemne. -Liczył, że zaimponuje jej swoją znajomością metropolii, ona jednak była bardziej zainteresowana swoim drinkiem.

- Czekasz na kogoś? Na chłopaka? -Nie miał zamiaru wyrzucić następnych siedemdziesięciu pięciu centów w błoto.

- Nie, wpadłam tylko na jednego w drodze do domu. - Znowu cytat z filmu, tym razem była to kwestia Barbary Stanwyck. Przyglądała mu się uporczywie, spodziewając się, że zada następne pytanie.

- Mieszkasz sama?

Na to czekała. Teraz wszystko pójdzie łatwo. Nie przerywając rozmowy przysunęła się bliżej. Wkrótce otoczy ją ramieniem. Młodsi mężczyźni, zebrani w przeciwległym krańcu baru, obserwowali tę scenę jak zwykle. Kiedy przyszła tu po raz pierwszy, usiłowali zawrzeć z nią znajomość, ale spławiła wszystkich. Byli zbyt młodzi, beznadziejnie głupi, budzili strach. A tacy jak Fred dawali poczucie bezpieczeństwa. Poza tym starsi mężczyźni byli wdzięczni za odrobinę zainteresowania ze strony młodej dziewczyny. Byli uprzejmi, opiekuńczy, serdeczni. Młodsi nie chcieli rozmawiać; w głowie mieli tylko jedno.

- Ruthie, nie odpowiedziałaś na moje pytanie - domagał się Fred. - Mieszkasz sama?

- Nie, niezupełnie, ale moja koleżanka wyjechała na weekend. Dlatego tu jestem. Nie chce mi się wracać do pustego mieszkania.

- Zdawało mi się, że mówiłaś, iż zajrzałaś tu w drodze do domu.

- No, właśnie, przecież mówię: nie chce mi się wracać do pustego mieszkania. Fred, zatańczymy?

Przez chwilę się wahał, ale zaraz poprowadził ją na niewielki parkiet koło szafy grającej. Przywarła do niego całym ciałem. Nagle ogarnęły go wyrzuty sumienia. Wydawała się drobniejsza od jego szesnastoletniej córki. Ile ma lat?

Maggie oparła głowę na szerokim ramieniu Freda. Przy nim czuła się bezpiecznie. Podobało jej się, że rozmawiał z nią i słuchał, co mówiła. Tańcząc z nim, wymyślała kłamstwa o swojej pracy. Tego

wieczora była sprzedawczynią z domu towarowego Kapłana. Fred okazał się, jak przypuszczała, obwoźnym sprzedawcą artykułów metalowych. Dla Maggie to nie miało znaczenia. Nie przejęłaby się nawet, gdyby wyznał, że jest Kubą Rozpruwaczem; był dla niej miły, to najważniejsze. Na tyle miły, że zechciał z nią zatańczyć i porozmawiać.

Tata nigdy nie rozmawiał z nią o interesach, nie tak jak Fred. Zdaniem taty była na to za młoda, a to nieprawda. Gdyby tata uśmiechał się do niej jak Fred albo gdyby dawał jej takie poczucie bezpieczeństwa, uczyłaby się dniami i nocami.

Muzyka ucichła. Fred dał jej garść monet i kazał wybrać ulubione piosenki. Wybierała na chybił trafił. Nie chciała przegapić okazji, utracić jego zainteresowania. Później, gdy zapyta, czy może ją odprowadzić do domu, zaproponuje pobliski motel, tłumacząc się wścibską gospodynią. Ta część będzie najgorsza. Nagi Fred się na niej położy. Do tego czasu jednak wypije jeszcze ze dwa drinki. Wtedy będzie jej wszystko jedno.

Neon przed motelem Morningside świecił jaskrawo.

- Hej, Ruthie, wiesz, co to jest: letom? Motel, czytane od tyłu! - Fred zarykiwał się ze śmiechu, uważał to za doskonały kawał. Był wstawiony, ale nie pijany; Maggie poznawała to po sposobie, w jaki przyciskał jej dłoń do swojego krocza.

Pokój nie różnił się od setek innych. Był ciemny, brudny, obskurny. Dobrze chociaż, że łazienka wyglądała czysto. Pościel zmieniano nie dawniej niż w zeszłym tygodniu. Dzięki czterem colom z rumem wszystko stało się Maggie obojętne. Liczyło się tylko, że Fred był dla niej miły i lubił ją.

Za ścianą głośno grało radio. Peny Como zawodził swój ostatni przebój „Prisoner of love". Nie lubiła smutnej piosenki. Fred nucił ją w łazience.

- Idziesz do kibla, Ruthie? - zawołał wchodząc do pokoju. Kiedy zobaczył, że naga leży w łóżku, mruknął: - Nie, chyba nie. Fajna z ciebie dziewczyna, Ruthie. Naprawdę fajna. Od dawna nie spotkałem równie fajnej dziewczyny.

Maggie mocno zaciskała powieki. Miała nadzieję, że Fred zgasi światło. Nie chciała go oglądać nagiego, widzieć jego sztywnego członka, którym rozerwie jej ciało. Wolała nie wiedzieć, czy ma obwisły brzuch i chude nogi. Wyobrażała sobie, że jest wysoki,

przystojny i wspaniały.

Objął ją, poczuł kruchość kości, dziecięcą wąskość bioder. Po raz kolejny zastanowiło go, ile ma lat. Nie dosyć, by zaokrągliły się biodra... Nagle ogarnęły go wątpliwości, ale jej dłonie muskały jego barki i nie było już czasu na myślenie.

Przytłaczał ją jego ciężar, rozsunęła nogi bardziej, niż wydawało jej się to możliwe. Wbił się w nią, zadawał ból, przerażał. Nienawidziła tego. Nienawidziła zapadać się w materac śmierdzący stęchlizną. Nie śmiała protestować. Zrobiła to, gdy po raz pierwszy została z miłym, jak się jej zdawało, mężczyzną. Uderzył ją, a potem i tak zrobił, co chciał. Później wyszedł, zostawił ją w ciemności, by płakała, płakała, płakała. W przerwie między szlochami wzywała jednego człowieka-tatę.

Zagryzła wargi, żeby nie krzyczeć. Gdzieś na zewnątrz słyszała męskie głosy. Fred zorientował się dopiero, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Znieruchomiał, zmełł przekleństwo w zębach.

- Otwierać! Policja!

Biegł do drzwi, po drodze owijając się prześcieradłem.

- Spokojnie, już idę!

Drzwi otworzyły się szeroko. W progu stanął jeden ze stróży porządku. Zaglądał do pokoju nad jego ramieniem.

- Dowód tożsamości proszę. Czy to pańska żona?

Fred przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu portfela. Na pobladłej twarzy malował się wyraz strachu i poniżenia. Nie chciał, żeby żona się o tym dowiedziała.

- Czy to pańska żona? - powtórzył policjant. - Czy może pani okazać dowód tożsamości?

Maggie zaniemówiła. Ściskała cienką kołdrę, jakby to była ostatnia deska ratunku.

- Państwo pozwolą, że zapalę światło - zapytał drwiąco oficer. Ponownie zwrócił wzrok na Maggie. Zauważył rozmazany makijaż, czarne smugi pod przerażonymi oczami.

- O co w ogóle chodzi? - zapytał Fred, podając mu prawo jazdy.

- Powszechnie wiadomo, że do tego motelu sprowadzają klientów prostytutki. To obława, proszę pana. Pytam po raz trzeci: czy to jest pańska żona?

Fred odwrócił się do Maggie. Nawet mu do głowy nie przyszło, że

jest prostytutką. Nie było mowy o pieniądzach.

- Nie, poderwałem ją wieczorem - wykrztusił.

- Dowód tożsamości, proszę pani?

- Ja... nie mam przy sobie.

- Nie ma pani prawa jazdy? Karty ubezpieczenia? Dowodu z miejsca pracy? Ile ma pani właściwie lat? Nazwisko i adres? - W ostrym świetle żarówki zobaczył łzy w jej oczach. Robił się coraz bardziej podejrzliwy.

- Nie, nic - szepnęła. - Chyba że wystarczy legitymacja szkolna?

- Legitymacja szkolna! - Słowa z trudem przechodziły Fredowi przez gardło. - Niech pan posłucha: poznałem ją kilka godzin temu. Nie wiedziałem, ile ma lat. Przecież miała na twarzy pół drogerii, do tego ta sukienka... Nie miałem pojęcia!

- Czy namawiała pana do nierządu? - zapytał policjant. - Proszę się dobrze zastanowić. Grozi panu zarzut uwiedzenia nieletniej.

Fred namyślał się krótko. Bladł coraz bardziej. Alkohol wywietrzał mu z głowy. Teraz musi się troszczyć o własną skórę.

- A jakże, namawiała. Dwadzieścia dolców. Byłem na tyle głupi, że się na to zgodziłem. Nie aresztujecie mnie, prawda?

- Nie, jeśli mówi pan prawdę. Pudłujemy dziwki, nie klientów.

Maggie miała ochotę umrzeć. Kazali jej się ubrać. Pojedzie z nimi do miasta. Wsadzą ją do więzienia.

- Więc jak się pani nazywa?

- Maggie. Margaret Coleman. Znajdziecie mojego ojca na ranchu Sunbridge. To Moss Coleman.

Oficer popatrzył na nią zdumiony. Szykowała się niezła afera.

Telefon zadzwonił dziesięć po trzeciej nad ranem. Billie od razu podniosła słuchawkę. Spodziewała się tego. Była spokojna i opanowana. Chodzi o Maggie - czuła to.

- Tu Billie Coleman.

- Pani Coleman, sierżant Daley. Niedawno aresztowaliśmy pani córkę. Czy mogłaby pani przyjechać jak najszybciej?

- Czy z Maggie wszystko w porządku?

- Nie jest ranna, pani Coleman. Zajmiemy się nią, dopóki pani nie przyjedzie, pani Coleman.

- Zaraz tam będę. Dziękuję, sierżancie.

Zapukała do drzwi Thada. Nie zdziwiło jej, że był ubrany.

- Słyszałem telefon. Chodzi o Maggie, prawda? Billie tylko skinęła głową.

- Jestem gotów. Może powinniśmy obudzić Mossa i zabrać go z nami?

Skwitowała tę propozycję wzruszeniem ramion.

W tej chwili Thad z rozkoszą udusiłby Mossa własnymi rękami, Przyjaźnili się od dawna i często bywał zły na przyjaciela, ale tym razem było inaczej. Teraz ogarnęła go nienawiść. Dręczył go gniew i poczucie winy, najbardziej jednak cierpiał widząc bezradność i rozpacz Billie.

- Może zostawisz mu chociaż wiadomość?

- Po co? Teraz rozumiem, co przeżywała Maggie. Jedynym uczuciem, jakie znajdziesz w rodzinie w Sunbridge, jest „rodzinna" duma. -Wyszli na dwór, w chłodną, rześką noc. Billie podała mu kluczyki:

- Thad, proszę, zawieź mnie do mojej córki.

Po krótkiej rozmowie z sierżantem Daleyem zaprowadzono ich do niewielkiego pomieszczenia. Nawet przez zamknięte drzwi słyszeli szloch Maggie. Siedziała na końcu długiego stołu, ukrywała twarz w dłoniach, płakała.

- Maggie - Billie wyciągała do niej ramiona.

W głowie jej się nie mieściło, co mówił sierżant Daley - jej mała córeczka aresztowana za prostytucję! Jej klienta zwolniono po przesłuchaniu. Kiedy Maggie wyjawiła kim jest, postanowiono uznać całą sprawę za problem rodzinny i nie wnosić oskarżenia.

Dziewczyna powoli uniosła głowę. Na policzkach miała zacieki od łez i rozmazanego tuszu. Billie nigdy nie widziała sukienki, którą Maggie miała na sobie - tandetnej, obcisłej, wyzywającej. Mimo że ciemne włosy zasłaniały jej oczy, matka dostrzegła rozpacz w spojrzeniu dziewczynki.

- Maggie, kochanie... - Był to krzyk z głębi serca. Płacz matki.

- Mamo, ja... nie chciałam, żebyś mnie widziała w takim stanie. Prosiłam, żeby pozwolili mi się umyć, ale nie zgodzili się... -umilkła. Wtedy zauważyła Thada. Stał za Billie.

- A co on tu robi? Gdzie tata? Dlaczego nie przyjechałaś z ojcem? - W pytaniu było oskarżenie i błaganie zarazem. - Czy tato jest w samochodzie?

- Nie, kochanie. Thad mnie przywiózł.

- Ach, rozumiem. Taty nie ma w domu albo nie chciało mu się ruszać z miejsca - przerwała jej Maggie. - Możemy już jechać?

- Tak. Maggie... czy policjant mówił prawdę? Że ty... że...

- Że byłam w łóżku z facetem, który mógłby być moim ojcem? Tak. Ale nie prosiłam go o pieniądze. Nigdy tego nie robię!

Billie zatoczyła się jak od niewidzialnego ciosu. Miała ochotę wymierzyć Maggie siarczysty policzek, z drugiej zaś strony pragnęła ją utulić i pocieszyć. Gdzie się podziała jej mała córeczka? Kiedy do tego doszło?

- No więc, jedziemy czy nie? - dopytywała się Maggie. - A może mnie wyrzucicie?

- Ależ skąd. Sunbridge to twój dom, Maggie. Biedna Maggie. - Billie miała łzy w oczach. Postąpiła krok do przodu, wyciągnęła ręce chcąc przytulić córkę.

- Pewnie opowiesz tacie wszystkie pikantne szczegóły - rzuciła Maggie.

- Kochanie, twój ojciec się o niczym nie dowie, chyba że sama mu powiesz. -Billie sądziła, że to właśnie Maggie chciała usłyszeć.

Tymczasem dziewczynka opuściła głowę i zaczęła płakać. Thad lekko pchnął Billie w jej stronę i patrzył, jak się objęły. Moss powinien tu być, powinien to widzieć i słyszeć. Nie było go jednak. Zastępował go przyjaciel rodziny. Przyjaciel, który pragnął być kimś więcej.

Rozdział czwarty

Billie obserwowała huragan szalejący za oknem. Choć nie było jeszcze dziesiątej rano, świat spowijała ciemność. Seth mawiał, iż jest to prawdziwa teksaska burza. Billie przeszedł dreszcz. Splotła ręce na piersi. Tego dnia nie uda się jej pojechać do atelier. Deszcz i wicher wściekle atakowały szyby. Cofnęła się o krok, pełna obaw, że szkło pęknie lada moment. Nie wiedziała, czym się zająć. Mogłaby poczytać albo poszydełkować. Może także wrócić do łóżka i spać dalej. Ale na nic nie miała ochoty. Mogłaby napisać do Thada, ale o czym? Nie była w nastroju do zwierzeń, a zresztą ostatnio nie wydarzyło sienie nowego.

Może pościeli łóżko? Nie, biedna nieśmiała pokojówka odbierze to jako krytykę i zaraz się poskarży Agnes. Niech łóżko zostanie nie posłane.

A gdyby poczytała stare listy od Thada? Pisał do niej co tydzień, dwie i pół strony co najmniej. Zawsze dopytywał się o zdrowie mieszkańców Sunbridge i dzielił się nowinkami z rodzinnego miasteczka. Prenumerował tamtejszy tygodnik. Billie rozpoczynała czytanie listów od ostatniego akapitu, poświęconego jej osobie. Czasami były to lekkie, kpiące słowa, innym razem przepełniała je rozpacz. Ostatnio ciągle namawiał ją, by spróbowała sił jako projektantka. On jeden nie wyśmiał jej, gdy wyznała, że to właśnie chciała robić od dziecka- Thad - to ktoś wyjątkowy.

Łzy piekły ją pod powiekami. Zamknęła oczy, żeby złagodzić przeszywający ból. Kiedy je otworzyła ponownie, w progu stała matka. Wyglądała jak z żurnala. Dla Billie stała się osobą zupełnie obcą, ale nie miało to już znaczenia. Tyle je różniło od siebie, jakby pochodziły z różnych stanów, z różnych środowisk.

- Zaparzyłam kawę. Ta paskudna burza uwięziła wszystkich w domu. Pomyślałam sobie, że porozmawiamy jak dawniej. Ostatnio obie byłyśmy tak zajęte, że nie miałyśmy dla siebie czasu. Nie możemy do tego więcej dopuścić. Jesteśmy rodziną.

Billie z trudem opanowała grymas. Agnes zachowywała się tak, jakby to córka była wszystkiemu winna. Billie przypomniała sobie, co Thad pisał o odwiedzinach w swoim rodzinnym miasteczku; wyobraziła sobie kochającą, zżytą ze sobą rodzinę, wspólne śmiechy, wzajemną bliskość. Ogarnęła ją zazdrość. Nic dziwnego, że w Sunbridge Thad czuje się zawsze zakłopotany, patrząc na to, co tam się dzieje.

- Dziękuję za kawę, mamo. Chętnie się napiję- odparła obojętnym tonem. -Sądziłam, że poprzednia burza była straszna, a przecież to nic w porównaniu z dzisiejszą. Jak zamierzasz spędzić dzień?

- Pewnie tak samo jak ty. Seth mówi, że pogoda się nie zmieni aż do popołudnia, ale nawet wtedy nie ma sensu ruszać się z domu, bo drogi będą zalane. Nie wiem, nie będę w każdym razie siedziała bezczynnie.

- Czy chciałaś ze mną omówić jakiś konkretny problem, mamo? Dzieci, Mossa, Setha? Moje codzienne wyprawy do atelier?

Agnes udawała, że nie słyszy cierpkiego tonu.

- W rzeczy samej, skoro już sama wspomniałaś o dzieciach, nie mogę się nadziwić, jaka Maggie była cicha i spokojna w miniony weekend.

Billie ściągnęła brwi. Nikt nie musiał zwracać jej uwagi na fakt, iż Maggie zamknęła się w sobie. Stała się zupełnie inną dziewczyną odkąd Thad i Billie przywieźli ją z posterunku. Jej ponure nastroje, buntownicze usposobienie zniknęły, ustępując miejsca zachowaniu niezrozumiałemu, trudnemu do zdefiniowania. Billie wolała nie myśleć o wizycie na policji; chciała o tym zapomnieć. To przeszłość, wmawiała sobie. Tamta noc wydawała się częścią koszmaru sennego; poczuła ulgę, kiedy zaciągnęła Maggie do doktora Warda, który po przeprowadzeniu analizy krwi nie stwierdził żadnego śladu zarażenia się chorobą weneryczną.

Przez całe lato i od początku nowego roku szkolnego Maggie przesiadywała godzinami w swoim pokoju. Twierdziła, że odrabia prace domowe, jednak Billie w to wątpiła. Napisała do Thada. Radził, by okazywała miłość córce, dała jej do zrozumienia, że zawsze może na nią liczyć. Billie robiła wszystko co w jej mocy, ale Maggie nadal zamykała się w sobie.

-Najwyższy czas, żebyś ściągnęła cugle temu dziecku, Billie - wyraziła swoją opinię Agnes. - Bóg jeden wie, kiedy ludzie przestaną obracać jęzorami. Zdaniem Setha mamy nie zwracać uwagi na plotki, mnie jednak przychodzi to z trudem. Jesteś jej matką Billie. Zrób coś!

- Maggie ma także ojca i dziadka, którzy ją lekceważą.

- Gdybyś nie ochraniała tego dziecka przez cały czas, wszystko byłoby inaczej. To karygodne, iż chciałaś utrzymać w tajemnicy fakt, iż Maggie była z mężczyzną w motelu. Gdybyś od razu poszła z tym do Setha czy Mossa, plotkę zduszono by w zarodku.

Oczywiście, takie było zdanie Setha. Moss odwrócił się od Maggie ze wstrętem i uznał, że wszystkiemu jest winna Billie.

Poczuła ucisk w klatce piersiowej.

- Zadziwiające, mamo jak szybko wynajdujesz moje błędy. Seth i Moss są dla ciebie bez winy. Ale nie mylisz się. Jestem jej matką i zrobię, co w mojej mocy, żeby jej pomóc. Maggie zawsze będzie mogła na mnie liczyć, tak jak ja mogłam liczyć na ciebie.

- Mamy dzisiaj kiepski humorek, co? - Agnes siliła się na sarkazm. - To przez pogodę. Wszyscy wstali lewą nogą. Pisałaś list?

Przeszkodziłam ci? Do Thada, prawda? Korespondujecie regularnie? Co Moss o tym sądzi?

- Mamy dzisiaj dużo pytanek, co? - przedrzeźniała Billie. - Odkąd muszę pytać Mossa o pozwolenie, gdy chcę napisać do starego przyjaciela?

- Kiepski humorek, i do tego agresywność. - Agnes uniosła brwi w zdumieniu. - Co cię ugryzło?

- Po prostu nie podoba mi się to przesłuchanie. Nie muszę ci niczego tłumaczyć. Thad to dobry przyjaciel i chcę, żeby tak było nadal.

- Cóż, w obecnej sytuacji dobrzy przyjaciele będą ci potrzebni - rzuciła Agnes od niechcenia. Spacerowała po pokoju i wąchała perfumy Billie.

- Mamo, jeśli masz mi coś do powiedzenia, zrób to od razu.

- Kochanie, nie chciałam tego mówić, ale uważam, że to mój obowiązek. Szkoda, że nie poświęcałaś mężowi więcej czasu. Nie powinnaś była dopuścić, by się przeniósł do innej sypialni... zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Nie wiem, czy mnie zrozumiałaś...

- Innymi słowy: pytasz, czy wiem, że Moss ma romanse na boku? To właśnie nie mogło ci przejść przez gardło, mamo?

Na twarzy Agnes malowało się bezgraniczne zdumienie.

-Wiedziałaś o tym?

-Wbrew temu, co słyszałaś i w co, być może, wierzysz, żona nie zawsze dowiaduje się ostatnia. Tak, wiedziałam.

- A Moss wie?

- Tak.

- I?

- I co, mamo?

- Czy to początek końca? Czy rozmawialiście? Czy obiecał, że przestanie...

-... mnie zdradzać? Ależ mamo, pewnych rzeczy dowiaduję się ostatnia. Mój mąż nie pyta mnie o zdanie przy podejmowaniu takich decyzji.

- Jego wcześniejsze ... przygody to jedno, wszyscy mężczyźni prędzej czy później przechodzą przez tę fazę. Jednak z tego co wiem, obecny związek ciągnie się od prawie trzech lat. To coś poważnego, moja droga.

Billie zdawało się, że największy ogier Setha kopnął ją w żołądek. Prędzej umrze, niż przyzna się matce, że plotki o tym długotrwałym romansie do niej nie dotarły.

- I co, twoim zdaniem, mam robić, mamo? - zapytała chłodno.

- Muszę przyznać, że dobrze to znosisz. Spodziewałam się ataku histerii. Musimy opracować strategię. Nie możemy dopuścić, by to się ciągnęło. Im dłuższy romans, tym gorsze małżeństwo. To fakt, Billie.

- Strategia?! Mamo, mówimy o moim małżeństwie. Jeśli Mossowi na nim nie zależy, dlaczego ja miałabym się martwić? Pogodziłam się z tym.

Agnes z trudem zachowała panowanie nad sobą.

- Chyba nie myślisz o rozwodzie, Billie? Co z dziećmi? Moss nie odda ci Rileya. Dziewczynki tak, ale nie Rileya. To twój jedyny syn, twoje dziecko. - Twój atut w negocjacjach, chciała dodać, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. - Co zamierzasz zrobić?

- Nie zamierzam, już zrobiłam - skłamała Billie. - Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

- Billie Coleman! - Agnes brakowało słów oburzenia. - Chcesz powiedzieć, że ty... że... moja córka... Nie, nie uwierzę w to. Nie ty!

-Wierz w co chcesz, mamo.

- To Thad Kingsley, tak? Billie patrzyła jej prosto w oczy:

- Nie, mamo, nie Thad Kingsley. Thad jest zbyt szlachetny, by mieć romans z żoną przyjaciela. Myślałam, że o tym wiesz.

- Więc kto... Żądam odpowiedzi.

- Żądaj sobie, czego chcesz. Moje prywatne życie to moja sprawa.

- Jakim cudem zachowujesz spokój, spotykając Alice Forbes w klubie? - Głos Agnes ociekał jadem. - Wiedząc, że sypia z twoim mężem, że robi z nim to samo co ty... Jak możesz to wytrzymać?

- Dość, mamo. Nie chcę na ten temat rozmawiać.

Alice Forbes, dziewczyna ze zdjęcia w chłopięcym pokoju Mossa. Billie zbierało się na mdłości. Alice Forbes, autorka sztuk teatralnych. Sztuk wystawianych na Broadwayu. Dziedziczka fortuny Forbesów. Forbesowie mieli tylko trochę mniej pieniędzy niż Colemanowie. Poważne zagrożenie. Trzy lata to dużo, to prawie wieczność. Czy Thad wiedział? Nagle stało się to bardzo ważne. Zaraz po wyjściu matki zadzwoni do Thada i zapyta. On powie prawdę. Nigdy jej nie okłamał. Trzy lata!

Przygoda na jedną noc, przypadkowe spotkanie nieznajomych, których namiętność zaprowadziła do łóżka, to można wybaczyć, chociaż się o tym pamięta. Trzy lata? Tyle planów, tyle kłamstw...

Poczucie zdrady było w niej tak silne, że wypchnęła matkę z pokoju i przekręciła klucz w zamku. Dopiero teraz nieco się uspokoiła.

Romans od trzech lat. Zasypiali przytuleni do siebie. Spędzali razem weekendy. Wakacje. Nie tak dawno temu Moss poleciał do Europy. Teraz przypomniała sobie, że w tym czasie Alice Forbes nie przychodziła na zebrania klubu. Alice i Moss w Europie.

Billie przemierzała pokój nerwowym krokiem. Łzy gniewu spływały po policzkach. Trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, przez trzy lata. Co ona robiła w te dnie, podczas gdy jej mąż kochał się z inną kobietą? Ile razy w tym czasie kochał się z nią, z Billie? Ty draniu, ty parszywy draniu, jak mogłeś mi to zrobić? - pytała go w myślach.

Co miała Alice, czego nie miała ona? Pieniądze? Zawód? Wspólne korzenie? Wspólne wspomnienia z dzieciństwa? A może lepsze ciało? No pewnie - Alice Forbes nie urodziła trójki dzieci. Ona jednak dała mężowi syna. Alice Forbes nie mogła tego o sobie powiedzieć, ale też nie musiała. Alice Forbes nie była nieśmiała, niepewna, żaden Seth ani Agnes jej nie przytłaczał. Była sobą. Robiła karierę. Była fascynująca. Miała ciekawą osobowość, wyrafinowany umysł, oryginalną urodę i uznanie w świecie rozrywki. Lubiła jeździć konno. I latała własnym samolotem.

Billie płakała, aż zabrakło jej łez. Wtedy głośno wytarła nos i umyła twarz. W dłoni ściskała kalendarzyk, prezent od Rileya na ostatnie Boże Narodzenie. Po raz pierwszy zadzwoni do Thada do biura. On jej nie okłamie.

- Chciałabym rozmawiać z kontradmirałem Kingsleyem. Tu... tu Billie Coleman.

- Chwileczkę, proszę pani. Admirał w tej chwili rozmawia. Czy może pani poczekać?

- Tak.

Thad odezwał się po dwóch minutach.

- Billie, czemu zawdzięczam tę niespodziankę? Odchrząknęła i przeprosiła.

- Thad, muszę cię o coś zapytać. Czy wiedziałeś, że Moss ma romans z Alice Forbes? Od trzech lat?

Jej pytania spadły na niego jak grom z jasnego nieba. Co, na Boga, ma odpowiedzieć?

- Billie, nie powinnaś mi zadawać takich pytań.

- Wybacz. Właśnie na nie odpowiedziałeś. Nie powinieneś być taki delikatny. Ludzie to wykorzystują. Do widzenia.

Noga za nogą powlokła się do ładnej łazienki, której była jedyną użytkowniczką. Zerknęła w lustro, nie widząc swego odbicia. Nie wiadomo dlaczego widok śliwkowych ręczników na tle błękitnych kafli przyniósł jej ulgę. Moss zawsze rzucał swoje ręczniki na ziemię albo do wanny. Deska klozetowa była opuszczona. Moss zazwyczaj zostawiał ją podniesioną. Jej żółta szczoteczka do zębów, sama w podwójnym stojaku, sprawiała wyjątkowo przygnębiające wrażenie. Bez namysłu otworzyła szafkę i wyjęła nowiutką, czerwoną szczoteczkę. Teraz lepiej, są dwie.

Na półce stała tylko tubka pasty do zębów, słoiczek kremu i fiolka tabletek nasennych. Wzięła ją do ręki. To takie proste. Wystarczy popić wodą i iść spać. Aż do kolacji nikt nie zauważy jej nieobecności. Ile ma tabletek? Potrząsnęła fiolką, chcąc je policzyć. Czternaście.

Nagle przypomniała sobie zachowanie Setha na pogrzebie Jessiki. Gdyby miała pewność, że Moss będzie po niej szczerze rozpaczał, zgodziłaby się umrzeć. Jednak na myśl, że na jej pogrzebie zachowa się jak jego ojciec na pogrzebie matki, wyrzuciła zawartość fiolki do toalety. Szum spuszczanej wody wydawał się bardzo głośny w cichej łazience. Pusta fiolka wpadła do kosza na śmieci z głuchym stuknięciem.

Z łazienki wyszła pewnym, zdecydowanym krokiem. Burza szalała nadal, ale traciła już na sile. Czerń przechodziła w szarość. Deszcz nadal zalewał okna strumieniami wody, ale wycieraczki dadzą sobie z tym radę. Narzuciła żółty sztormiak z kapturem.

Nie jechała do atelier. Jechała do Jordana.

Rozdział piąty

Dillie jechała szosą lśniącą od deszczu, bijąc się z myślami równie czarnymi i groźnymi jak chmury na niebie. Deszcz smagał przednią szybą potokami wody. Wycieraczki walczyły z nimi zawzięcie. Będąc małą dziewczynką Maggie nazywała je „brzytwami". Boże, czy

trzynastolatka nie jest małą dziewczynką? A może Billie przestała ją uważać za dziecko tamtej czerwcowej nocy? W twarzy córki widziała doświadczenie dorosłej, zmęczonej życiem kobiety. Kobiety, która zna mężczyzn, jak powiedziałaby Agnes.

Prowadziła jak automat. Automat. Autopilot. Moss pracował nad tym urządzeniem od roku, a nie wspomniał jej o tym ani słowem. Dlaczego? Uważał ją za zbyt głupią, by zrozumiała? Zaraz po ślubie ciągle mówił, że nie powinna sobie zawracać swojej ślicznej główki. Później przywykła, że to on się o wszystko martwi, a przynajmniej tak się jej zdawało.

Nacisnęła pedał gazu. Włoski silnik ryknął głośno. Nawet ten cholerny samochód również wybrał Moss. To on się znał na silnikach i uznał, że ten wóz będzie dla niej odpowiedni. Billie do dzisiaj żałowała, że mu uległa i nie kupiła chevroleta, którego tak bardzo chciała. Włoskie wozy sportowe to coś dla kobiety w stylu Alice Forbes. Chevrolety są dobre dla wszystkich Billie Ames z Filadelfii.

Moss decydował o każdym szczególe jej życia, podejmował zarówno drobne decyzje, jak wybór marki samochodu żony, jaki poważne, na przykład, do jakich szkół poślą dzieci. Ulegała jego „sugestiom" przez tyle czasu, że zapomniała już, kiedy ostatnio zdecydowała o czymś samodzielnie. Zagryzła dolną wargę, pokonując ostry zakręt. Cóż, dzisiaj właśnie to zrobiła. Jechała do Jordana. To jej wybór.

Wjechała na nieduży parking przed atelier. Był pusty, jeśli nie liczyć starego oldsmobile'a Jordana. Najwyraźniej burza zatrzymała innych uczniów w domu. Przez dłuższą chwilę kurczowo ściskała kierownicę. Nic łatwiejszego niż przekręcić kluczyk w stacyjce i wrócić do domu. Jordan nigdy sienie dowie, że tu była. Ona sama o tym zapomni. Zanim zmieniła zdanie, wysiadła z samochodu i przeskakując kałuże, podbiegła do drzwi.

- Jordan! To ja, Billie! Jordan! -mocno pukała w szybę.

- Billie? Wchodź! Przemokłaś do suchej nitki! Nie przypuszczałem, że ktoś dzisiaj przyjedzie. Sądziłem, że burza odstraszy uczniów. Przynajmniej tych mniej pilnych. -Uśmiechnął się do niej. Ten uśmiech rozpędził chmury.

Billie weszła do środka i z jego pomocą zdjęła płaszcz. Koło jej stóp utworzyły się małe kałuże.

- Jordan, nie przyszłam na lekcję. Przyjechałam do ciebie. - Choć słowa już padły, bała się spojrzeć mu w twarz. Ślepo wyciągnęła ku niemu ręce. Po chwili była w jego ramionach. Był taki miły, tak ładnie pachniał. Sprane dżinsy i wytarta koszula opinały smukłe ciało. Wtuliła twarz w jego ramię, czuła jego usta we włosach. Kiedy wyszeptał jej imię z radością i niedowierzaniem, uwierzyła, że przyjazd tutaj nie był błędem.

Moss ją zranił. Jordan ją uleczy.

Uniósł jej brodę wąskimi palcami artysty. Pocałował ją delikatnie, powoli. Potem zajrzał głęboko w oczy i zapytał:

- Czy jesteś pewna?

W odpowiedzi przywarła do niego mocniej, podsunęła mu usta do pocałunku. Potrzebowała go, potrzebowała tego przeżycia. Chciało jej się płakać. Kiedy ostatnio ktoś ją tulił, ktoś jej pragnął tak bardzo? Nieliczne wizyty Mossa w jej sypialni ograniczały się do rutynowego, mechanicznego aktu, w którym oboje samolubnie dążyli cło spełnienia. Gdzieś zagubiła się spontaniczność, potrzeba brania i dawania.

- Billie? Co się stało? - szukał odpowiedzi w jej oczach.

- Nic. Potrzebuję cie. Bardzo, -powiedziała szczerze. -Muszę czuć, że jestem kochana, że ktoś mnie pragnie.

- Tak właśnie jest, Billie. Kocham cię i pragnę. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Ich ubrania opadały jak płatki kwiatów. Dziwnie się czuła dotykając jego ciała. Nie miał tak szorstkiego zarostu jak Moss. Jego dotknięcia były bardziej delikatne, badające jej ciało. Moss znał je jak swoje własne. Billie z trudem poddawała się pieszczotom Jordana. To, czego w tej chwili najbardziej potrzebowała, na co rozpaczliwie czekała, pragnienie czułości, troskliwości, nie spełniło się. Przeszkadzało jej w tym wspomnienie mężczyzny, którego kochała bardziej niż siebie samą.

Jordan błądził ustami po jej piersiach i szyi. W końcu Billie uległa hipnotycznemu działaniu jego pieszczot. Poddała się jemu i magii chwili. Zaakceptowała jego bliskość, jego dotyk. Przyjęła je, jak się przyjmuje jedzenie, picie i powietrze. Były potrzebne, by utrwalić jej wiarę w swoją kobiecość.

Leżała spokojnie i słuchała rytmu jego serca i słów, które szeptał jej do ucha. Jest piękna, kusząca, ciepła. Jest wspaniałą kochanką... Tak naprawdę wszystkie te komplementy odnosiły się raczej do Jordana niż

do niej. Zbliżyli się do siebie najbardziej jak to możliwe między dwojgiem ludzi. Dłonie i usta Jordana tchnęły życie w jej ciało. Jednak to jej dusza umierała, a Jordan nie mógł nic na to poradzić.

Jej ciało było ukojone, ego usatysfakcjonowane, lecz nie przestała cierpieć. Ona i Jordan nie mieli żadnej przyszłości. Wzięła wszystko, co był w stanie zaoferować, i nie dała nic w zamian. Kiedy była z Mossem, największym dla niej szczęściem było zatracić się w ukochanym mężczyźnie, oddać mu się całkowicie. Nie kochała Jordana. Niczego nie dawała, a branie jej nie wystarczało.

-Wrócisz tu jeszcze, Billie? - zapytał szeptem. - Było ci dobrze? Tak dobrze jak mnie?

-Tak - mruknęła, całując go w szyję. - Wrócę.

Billie nie znosiła niedzielnych kolacji w Sunbridge. Stół uginał się pod porcelaną, kryształami i srebrem. Pokojówki nosiły jasnoróżowe mundurki, białe czepeczki i koronkowe fartuszki. Po ciężko strawnym, obfitym posiłku limuzyna odwiezie dzieci do szkoły. O ile nakrycia i otoczenie przypominały Hollywood, o tyle zachowanie biesiadników było charakterystyczne dla Colemanów. Seth jadł jakby od roku nie miał nic w ustach, rozmawiając z pełnymi ustami, głównie o sprawach rancha. Agnes starała się przybierać jak najbardziej dystyngowaną pozę. Jadła jak ptaszek, brała małe kęsy do ust, i każdy przeżuwała trzynaście razy.

Moss i Riley trajkotali jak katarynki. Maggie i Susan siedziały cicho, na barki matki zrzucając obowiązek podtrzymywania rozmowy o stopniach i szkole.

Po posiłku Billie zawsze łykała dwie aspiryny.

Tego wieczora coś było nie tak. Maggie odpowiadała na pytania, ale poza tym milczała. Billie martwiła się. Czy mała jest chora? A może, jak to określał Seth, szykuje następny numer w stylu ciotki?

- Maggie, dobrze się czujesz? - Wszystkie rozmowy umilkły. Rodzina nadstawiła ucha, ciekawa, co też Maggie wymyśli tym razem.

-Tak, mamo. Dlaczego pytasz?

- Masz rumieńce. Po kolacji zmierzę ci temperaturę.

- Nie mam gorączki, mamo. Po prostu jest tu ciepło.

- Zobaczymy. Nie pojedziesz do szkoły, jeśli jesteś chora. Zaraziłabyś całą klasę.

- Dlaczego nie jesz? - zainteresował się Moss.

Maggie gwałtownie podniosła głowę. Dużo czasu upłynęło od dnia, w którym ojciec bezpośrednio ją o coś zapytał. Billie ściskało się serce, gdy widziała jawne uwielbienie w jej oczach. Natychmiast zabrała się do jedzenia.

- Myślałam o jutrzejszym teście - wyjaśniła między jednym kęsem a drugim. -Nie musisz tak napychać sobie buzi. Chyba w twoim wieku umiesz zachować się przy stole? I nie mów z pełnymi ustami.

Billie zaciskała pięści pod stołem. Obserwowała całą scenę zmrużonymi oczyma.

- Nie mogę już więcej. Mamo, czy mogę odejść od stołu? - Maggie była na krawędzi płaczu. Billie nie chciała doprowadzać jej do łez.

- Oczywiście. Pójdę z tobą. Od razu zmierzę ci temperaturę. - Billie położyła serwetkę na stół. Posłała Mossowi mordercze spojrzenie.

- Nic jej nie jest! - ryknął Seth. Billie zatrzymała się w pół kroku.

- Nie ty będziesz mi mówił, co się dzieje z moją córką. Nie waż się między nas wtrącać, zrozumiałeś?

- Billie! - Agnes była oburzona. - No proszę, ta dziewczyna zepsuła nam kolejną kolację. Naprawdę trzeba z nią coś zrobić.

Billie dumnie podniosła głowę:

- Następnym razem, gdy będziesz obwiniała kogoś o złą atmosferę w czasie posiłku, wybierz właściwą osobę. Mojego męża! - powiedziawszy to ostro, opuściła szybkim krokiem pokój.

- Moss, ta twoja żona wymyka ci się spod kontroli.

- Dosyć, tato. Billie jest matką. Mama była taka sama.

Agnes skuliła się nieznacznie, czując na sobie jego oskarżycielskie spojrzenie.

Na górze Billie strząsała termometr.

- Nie masz gorączki, ale nie wyglądasz najlepiej, Maggie. Masz dobre stopnie, więc możesz sobie pozwolić na dzień lub dwa nieobecności. Naprawdę się martwię, Maggie. Jak sypiasz?

- Dobrze. Chociaż dużo myślę. Mamo, ja...

-Tak, Maggie? Chcesz o czymś porozmawiać?

- Och, nic takiego. Nie dzisiaj. Może pojedziemy na zakupy w przyszły weekend? Chyba trochę utyłam. Za bardzo objadam się słodyczami.

Jej blady uśmiech nie dawał Billie spokoju.

- Świetnie, Maggie. Tylko my dwie. Odwiedzimy wszystkie duże sklepy i kupimy ci nową garderobę. Najwyższy czas, żebyś sprawiła sobie trochę nowych ubrań. Kiedy ostatnio jechałam do miasta z Susan, nie chciałaś się z nami wybrać.

- Bo wtedy niczego nie potrzebowałam. Po co marnować pieniądze taty? Mówiłam mu, że nie potrzebuję takiego wysokiego kieszonkowego, że oszczędzam, ale on nie słucha. Mamo, ja się staram, a on...

- Ciiii, kochanie. Wiem. Zajmę się ojcem. Jeśli naprawdę dobrze się czujesz, spakuj się i chodź na dół. Musisz zdążyć do szkoły przed ciszą nocną.

Maggie szybko porwała niedużą torbę i kilka książek.

- Zobaczymy się za tydzień. Przepraszam za kolację. Nigdy mi się nie udaje powiedzieć tego, co trzeba. Nie wiem, dlaczego. Chyba naprawdę siedzi we mnie diabeł, jak mówi dziadek.

Billie poczuła, że na nowo ogarnia ją wściekłość.

- Powiedział ci to?

- Mniejsza o to. Tata też tak uważa. Jestem zupełnie jak ciotka Amelia. Tata lubi ciotkę, ale nie lubi mnie. Rozumiesz to, mamo? Ja nie. Muszę już iść.

- Obiecaj, że zadzwonisz, jeśli poczujesz się gorzej.

- Obiecuję- zawołała Maggie przez ramię.

Susan i Riley szybko pocałowali Billie w policzek i zbiegli na dół. Ich tupot przywołał uśmiech na jej twarzy, zaraz jednak trzasnęły drzwi wejściowe i Sunbridge znowu przypominało grobowiec.

Ciężko usiadła na krześle obitym pluszem. Zrzuciła z nóg pantofle na wysokich obcasach i oparła stopy na podnóżku. Odruchowo sięgnęła po pakiet listów od Thada leżących na podręcznym stoliku. Ich lektura zawsze poprawiała jej humor. Pewnego dnia powie mu, ile dla niej znaczyły. Znała je na pamięć, mimo to nadal szukała pewnej koperty. Papier przyjemnie szeleścił pod jej palcami.

Mogę sobie tylko wyobrazić, jak bardzo cierpisz z powodu Maggie. Musisz być silna, droga Billie. Maggie to jeszcze dziecko, pod wieloma względami. Jeszcze nie kobieta, a już nie mała dziewczynka. Przechodzi teraz ciężkie chwile. Zgadzam się z Tobą; to nie pieniądze, czy też raczej ich nadmiar, leżą u podstaw jej problemów. Oboje wiemy, co to

jest. Dopóki nie zmusisz Mossa, by spojrzał prawdzie w oczy, będziecie w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Czasami trzeba Mossowi siłą otwierać oczy. Niewielu znam ludzi równie upartych jak on. Tę cechę, niestety, Maggie odziedziczyła po nim. Ciągle porównania z Amelią tylko pogarszają sprawę. Pytałaś, co o tym sądzę; tylko dlatego piszę te słowa. W żadnym wypadku nie chcę Ci narzucić mojego zdania. Wierzę, że uda Ci się rozwiązać ten konflikt. Masz w sobie siłę, o jaką sama się nie posądzasz. Uwierz mi i zdaj się na siebie.

Bardzo chętnie złożyłbym wizytę w Sunbridge, uważam jednak, że byłoby to błędne posunięcie w zaistniałych okolicznościach. Podczas mojego ostatniego pobytu Moss przekroczył pewną granicę i czułbym się nieswojo, przebywając w jego domu. Uznał za zdradę to, że pojechałem wraz z Tobą szukać Maggie. Moss tego nie znosi. Nasza przyjaźń jest zagrożona, o czym zapewne wiesz. Wiem także, że to jest główna przyczyna Twojego zaproszenia. Niestety, droga Billie, to Moss musi uczynić pierwszy krok. A może Ty i dziewczynki odwiedzicie mnie podczas któregoś weekendu w Corpus Christi? Jest tu dużo miejsca, wspaniała kucharka i schludna gosposia. Mam także olbrzymi kominek, przy którym można sobie siedzieć i marzyć. Kominki buzujące ogniem, z bibelotami na gzymsie i szklaneczką ponczu, to dobre dla rodzin. Ojej, niemal zapomniałem o psie! Kundelek przywędrował pewnego dnia i został na zawsze. Nazwałem go Salomon, bo od razu wykazał się wielką mądrością; wiedział, że jeśli nie będzie wychodził za potrzebą na dwór, koniec naszej znajomości. Rozumiemy się doskonałe. Wita mnie od progu i nie odstępuje ani na krok. Wyobrażasz nas sobie przy kominku?

Czas na wieczorny spacer Salomona, więc kończę. Uważaj na siebie, Billie, i pamiętaj, że możesz na mnie liczyć w każdej sprawie.

Thad.

Billie złożyła starannie list i wsunęła do zniszczonej koperty. Czytała go już wiele razy.

Szkicowała coś węglem, kiedy w drzwiach stanął Moss. Zacisnęła usta. Niech zobaczy, co ona robi. Co jato obchodzi? Przygotowała się, że usłyszy ostre słowa. Jej mąż najwyraźniej czuł się nieswój o, co było raczej niezwykłe.

- Słucham, Moss?

- Nie mogę nigdzie znaleźć...

- Czegokolwiek szukasz, nie ma tego tutaj. W tym pokoju nie ma ani jednej twojej rzeczy. Zasłaniasz mi światło.

- Billie... do cholery, chcę z tobą porozmawiać. Billie zacisnęła zęby tak mocno, aż przeszył ją ból.

- Może się umówimy na przyszły tydzień, chyba wtedy znajdę dla ciebie chwilkę.

- Nie będzie mnie tutaj. Jadę na północ na kilka dni. Musimy porozmawiać teraz.

Alice Forbes jest w Nowym Jorku. W klubie mówiło się, że próby jej nowej sztuki idą pełną parą.

Billie spojrzała na swój szkic. Dawał jej tyle radości, dopóki Moss nie przyszedł. Przedstawiał Thada w głębokim fotelu przed kominkiem. U jego boku drzemał Salomon. Zignorowała Mossa i ponownie zajęła się rysowaniem.

- Porozmawiamy po moim powrocie.

- Jeśli przypadkiem trafisz na Broadway, przywieź Susan programy teatralne. Zbiera je.

- Dobrze - odparł szorstko. - Dobranoc, Billie. - Na korytarzu czekał, aby go zawołała albo za nim pobiegła. Nie zrobiła tego. Poczuł się głęboko zraniony.

Billie rysowała dalej. Szkic nie tylko sprawiał jej przyjemność; zastępował terapię. Thad na pewno się uśmiechnie na jego widok.

Skończyła o północy. Podobizna Thada była bardzo udana, martwiła się tylko, że Salomon wygląda w rzeczywistości inaczej. O drugiej nad ranem rysunek był już oprawiony i zapakowany. Jutro zaraz po śniadaniu użyje pieniędzy Colemanów na dobry cel. Prywatny kurier dostarczy przesyłkę do Corpus Christi, do biura Thada.

Tej nocy Billie spała spokojnie po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Kapral Calvin James przyjął przesyłkę i podpisał kwit. Żwawym krokiem pomaszerował do biura admirała.

- Specjalna przesyłka, sir.

- Co takiego? - zaciekawiony Thad uniósł głowę znad stosu dokumentów. –Nadawcą jest niejaki Billie Coleman, sir.

- Nie stój tak, James. Dawaj to.

Miał wrażenie, że ubyło mu wiele lat, gdy rwał karton i bibułkę. Zobaczywszy szkic, nie wiedział: śmiać się czy płakać. Jednak kapral James nie wychodził.

- Sir, za pięć minut ma pan spotkanie.

- Kiedy wrócę, obrazek ma wisieć na ścianie. O, tam, żebym go stąd widział. -Thad wskazał ścianę naprzeciwko biurka. Ilekroć tu usiądzie, będzie na niego patrzył. Boże drogi, kto mógłby pomyśleć, że Billie zrobi coś takiego? Zadzwoni. Do diabła z tym, co Moss sobie pomyśli. Taki piękny prezent zasługiwał na osobiste podziękowanie.

- Tak jest, sir! Natychmiast się tym zajmę!

Dziesięć minut później cały personel biura podziwiał dzieło Billie Coleman.

- Stary jak na fotografii, co? - stwierdził James. - Ciekawe, od kiedy ma psa.

- Kto to jest, ten Billie Coleman?

- Pewnie stary kumpel; może razem walczyli - odparł. - Wygląda super. Szef będzie zadowolony.

Świat Billie Coleman od dawna wisiał na włosku. W dniu, w którym miały jechać z Maggie na zakupy, roztrzaskał się na kawałki.

Billie poszła ją obudzić. W sypialni poniewierały się ubrania, na wysokim łóżku leżała skotłowana pościel. Maggie była w różowej łazience, gdzie wymiotowała, zgięta w pół. W głowie Billie rozległ się dzwonek alarmowy.

Maggie miała wszystkie typowe objawy: senność, nagła apatia, brak apetytu. Maggie były potrzebne nie zakupy w mieście, lecz wizyta u lekarza. Potwierdzi on to, co Billie już wiedziała; jej córka była w ciąży.

Billie oparła się o łóżko, żeby nie upaść. Jak to możliwe? Przecież zabrała Maggie do doktora Warda kilka dni po tamtej nocy. Tylko że wtedy było za wcześnie na stwierdzenie ciąży. Tamta wizyta odbyła się prawie cztery miesiące temu, w czerwcu. Ledwo udało jej się uwolnić od wizji córeczki nocującej z nieznajomymi w tanich motelach, a teraz to... Właśnie teraz, kiedy zbliżyły się do siebie, odnajdywały powoli utraconą miłość i zaufanie... Biedna Maggie! Jej życie już nigdy nie będzie takie samo. Życie ich wszystkich ulegnie zmianie. Billie przemogła słabość i podeszła do drzwi łazienki.

- Maggie, dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Mamo... - z trudem uniosła głowę. W trupio białej twarzy przyciągały uwagę zapadnięte, nieszczęśliwe oczy.

Billie opadła na kolana, przyciągnęła ją do siebie.

- Dlaczego do mnie z tym nie przyszłaś? Dlaczego, Maggie? -pytała załamującym się głosem.

- Bo powiedziałabyś tacie, a on i tak mnie nienawidzi!

- To nieprawda, Maggie. Tata musi się dowiedzieć. Teraz czy później. Jaka to różnica?

- Wyślij mnie gdzieś, mamo. On nie musi o tym wiedzieć. Błagam cię, pomóż mi!

- Och, Maggie, chciałabym, żeby to było takie proste. Od kiedy nie masz okresu?

- Od trzech miesięcy.

- Boże drogi!

- Mamo!

Siedziały razem na zimnej podłodze łazienki, matka i córka. Dwie kobiety. Billie odgarniała ciemne włosy z twarzy Maggie i pocieszała ją, gdy ta wymiotowała.

- Nie powstrzymuj tego, kochanie, bo będzie jeszcze gorzej.

Na rany Chrystusa, co ma teraz zrobić? W tej chwili było jej równie niedobrze, jak córce. Jakie jest najlepsze wyjście dla Maggie? Zastanawiała się, jak zareaguje rodzina. Słowo „aborcja" przemknęło jej przez myśl, ale zaraz odepchnęła od siebie to rozwiązanie. W żadnym wypadku! Zbyt dobrze pamiętała cierpienia Amelii.

Musi powiadomić Mossa. Ciekawe, co powie, co zrobi? Miała łzy w oczach. Zawiodła na całej linii. Westchnęła ciężko, wiedząc, że w domu wkrótce rozpęta się burza. Najtrudniej będzie się uporać z samą Maggie.

- Chyba mi lepiej, mamo. Wracam do łóżka. Nie mam dziś ochoty na zakupy. Billie potrząsnęła głową, chcąc uporządkować myśli. Jeszcze przed chwilą

Maggie i ona były tak blisko, a teraz córka zamyka się w sobie i mówi o zakupach. Chyba sobie zdaje sprawę z powagi sytuacji?

- To dobry pomysł. Kładź się. Poproszę Charlotte, żeby przyniosła nam herbatę. I tosty albo herbatniki. Niczego więcej nie utrzymasz w żołądku.

Odezwała się ponownie dopiero, gdy córka wypiła filiżankę herbaty.

- Co zrobimy, Maggie?

- To moja sprawa. Załatwię to.

- W jaki sposób? Proszę, powiedz mi. Na razie nie mam pojęcia, jakie jest wyjście z tej sytuacji.

- To już twój problem, mamo. Nigdy nie wiesz, co należy robić. Będziesz mnie kryła. Wyjadę stąd. Mam trochę oszczędności. Jeśli się ma odpowiednie znajomości, zabieg jest dziecinnie łatwy do załatwienia. To proste.

- Wcale nie, Maggie. Usunięcie ciąży to koszmarne przeżycie. Nie możesz podejmować tej decyzji ot, tak sobie. Muszę to wszystko przemyśleć.

Nagle w Maggie obudziła się mała dziewczynka. Z całej siły przytuliła się do matki. Na chwilę strach zagłuszył wrogość i niepewność.

- Co tato na to powie?

Billie zabolało serce, gdy zobaczyła jej rozpacz. Maggie nie przeszkadzało, że ona wie. Nie szkodzi, że matka widzi ją w takim stanie. Matki zaakceptuj ją wszystko. Nieważne, co sobie pomyślą. W głębi duszy Maggie wierzyła, że Billie wszystko naprawi.

- Kochanie, nie wiem, co powie. Na razie jest w Nowym Jorku. Dzięki temu mamy trochę czasu do namysłu. Maggie, kto jest ojcem dziecka?

Maggie spojrzała na nią pustym wzrokiem.

- Ojcem?

- Tak, kochanie, ojcem. Kto jest ojcem twojego dziecka? Boże, niech wymieni jakieś nazwisko. Niech się nie okaże, że...

Maggie opadła na poduszki. Na jej twarz powróciła pochmurna, nonszalancka mina.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- To wcale nie jest śmieszne.

- Bo nie miało być. W porządku, jakiś facet, którego poderwałam. Steve Coś-tam. Nie pamiętam. A może to Earl? Z drugiej strony, równie dobrze mógł to być Harry. Albo Dick, albo John. Wybieraj. Jakie to ma znaczenie?

- Bardzo duże.

- Mamo, spójrz prawdzie w oczy. Jestem M.K.

- M.K? Co to znaczy?

Maggie roześmiała się; był to smutny, gorzki dźwięk.

- Nie wiesz? Tata i dziadek ci nie powiedzieli?

Billie zgrzytnęła zębami.

- Co to znaczy, Maggie? I skąd wiesz, że dziadek i ojciec tak o tobie mówią?

- Susan i Riley usłyszeli i przybiegli mi powiedzieć. Naprawdę nie wiesz?„Mała kurewka". Przynajmniej nie zawiodłam ich oczekiwań.

Wydawało się, że w twarzy Billie nie została nawet jedna kropla krwi.

- Maggie, przysięgam, że nie wiedziałam. Gdybym wiedziała... - wyciągnęła rękę, ale córka odtrąciła ją gniewnie.

- Co byś zrobiła, mamo? Powiem ci: odwróciłabyś głowę w inną stronę, jak zwykłe. Dziadek rządzi wszystkimi, a tato mu pomaga. Czy stanęłabyś w mojej obronie? Wątpię. To naruszyłoby twój bezpieczny światek. Wiesz przecież, że tata zdradza cię na prawo i lewo. Dziadek robił to samo.

W ciszy pokoju policzek, jaki Billie wymierzyła córce, zabrzmiał jak klaśnięcie biczem.

- Jeszcze raz, mamo, z drugiej strony. Może to poprawi ci humor. Mnie jest wszystko jedno. Nie możesz mnie zranić, ani ty, ani nikt inny. Co ja takiego powiedziałam? Prawdę? Postępuj tak dalej, mamo. Co ci zostanie, kiedy tata odejdzie? Ach, jakże mogłam zapomnieć: pieniądze Colemanów!

Billie kręciło siew głowie, jej serce waliło jak oszalałe. Było jej niedobrze. Ciężkim krokiem wyszła z pokoju. Roziskrzony wzrok Maggie odprowadził ją do drzwi.

W luksusowym apartamencie hotelu Astor zadzwonił telefon. Zaspany Moss wyciągnął rękę, jakby chciał wyłączyć natarczywy budzik. Z łazienki dobiegał szum prysznica i kobiecy głos, nucący piosenkę z broadwayowskiego musicalu. Moss powoli przytomniał. Było dziesięć po dziesiątej w Nowym Jorku, dwie godziny później niż w Sunbridge. Spojrzał na łóżko i z niesmakiem wydął wargi. Nie znosił widoku nie pościelonych łóżek. Telefon nie ustępował. Moss pogodził się z myślą, że musi go odebrać. Przychodziło mu to z trudem, co nie powinno dziwić, jeśli się weźmie pod uwagę, że miał za sobą noc przebalowaną ze znajomymi Alice. Potem dwie godziny erotycznych zapasów...

W słuchawce usłyszał głos Billie w tej samej chwili, w której do

pokoju weszła naga Alice Forbes. Jej ciało zawsze na nowo go zaskakiwało. Miała delikatną, kobiecą twarz o regularnych rysach, jednak jej ciało, szczupłe i drobne przy wodziło na myśl młodego chłopaka. Moss był przyzwyczajony do miękkiej krągłości Billie, do jej pełnych piersi. Kiedy po raz pierwszy szedł z Alice do łóżka, obawiał się, że nie będzie miał erekcji. Na szczęście były to płonne obawy. Teraz lubił jej drobne, dziewczęce piersi o dużych ciemnych sutkach, i chude biodra, które poruszały się z taką zmysłowością.

- Kochanie, nie śpisz już? - zawołała. - Muszę iść do teatru. Drugi akt ciągle nie jest gotowy. Powiedz, że się na mnie nie gniewasz. - Uniosła rękę do ust, uświadomiwszy sobie, że kochanek rozmawia przez telefon.

Moss poczuł zimne krople potu na czole. Billie musiałaby być głucha, żeby nie usłyszeć Alice. Panie Jezu! Dlaczego akurat tę godzinę sobie wybrała, żeby go poinformować, że Maggie jest w ciąży? Przecież i tak niczego nie zmieni.

- Nie mogę na razie wracać do domu - powiedział do słuchawki chłodniej niż zamierzał. - Jeszcze nie załatwiłem wszystkich spraw. Dasz sobie sama radę, prawda? Porozmawiaj z Sethem i Agnes.

Kłopoty. Od pierwszego dzwonka wiedział, że ta rozmowa oznacza kłopoty. Jeszcze gorzej niż z Amelią. Seth pęknie ze złości.

Alice ubrała się błyskawicznie. Zapytała bezgłośnie:

- Billie? - Widząc, jak Moss kiwa głową, uniosła brwi w zdumieniu. Posłała mu konspiracyjny uśmiech. Zignorował ją.

- Wrócę pod koniec tygodnia - powiedział. - Wtedy wszystko omówimy. Dziewczyna musi mieć zabieg, co do tego nie ma wątpliwości.

Jego córka w ciąży! W wieku lat trzynastu. Pięknie! Gdzie w tym czasie podziewała się Billie? Jak mogła do tego dopuścić? Jeszcze tego brakowało. Maggie to mała kurewka. Seth nieraz to powtarzał.

- Dość już, Billie. To nie jest rozmowa na telefon. Dziewczyna jest w ciąży, kilka dni nie zrobi wielkiej różnicy. Po powrocie znajdę lekarza, do którego ją zabierzesz. Wracam w piątek wieczorem. Napij się czegoś mocniejszego. To nie koniec świata. Nam przecież przydarzyło się coś podobnego.

Lodowaty głos Billie na długo pozostał mu w uszach:

- To co innego. Twoja córka nie wie, kto jest ojcem. I co ty na to?

Moss patrzył na słuchawkę tępym wzrokiem. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, że Billie przerwała połączenie.

Nie wrócił w piątek wieczorem. „Interesy", jak wyjaśnił Sethowi przez telefon. Zdobył jednak dla Billie nazwisko lekarza.

Sunbridge było ciche i puste jak mauzoleum, kiedy wrócił do domu w niedzielne popołudnie. Od czasu rozmowy z Billie dręczyły go wspomnienia: Maggie jako dziecko, później mała dziewczynka, jej pierwsza zabawa z gośćmi. Jakim cudem córeczka wpakowała się w coś takiego? Gdzie była Billie w tym czasie? A on?

Moss często wyobrażał sobie powrót mężczyzny w domowe zacisze: śliczna żona zwiewnie biegnie ku drzwiom, by go powitać, dzieci tłoczą się wokół, chcąc ściągnąć na siebie jego uwagę. Tatuś wrócił, pomyślał z goryczą, ale obchodzi to tylko Rileya.

Billie usłyszała jego kroki. Wyprostowała się, ale nie przerwała rysowania. Słońce wpadające przez okna salonu jeszcze przed chwilą wydawało się ciepłe i przyjazne.

Moss zajrzał do środka.

-Wróciłem - oznajmił. - Pewnie jesteś zbyt zajęta, żeby zrobić mi drinka?

- Nie. - Starała się zachować spokój. Odłożyła ołówek, podeszła do niego i od niechcenia pocałowała go w policzek. Zapach jej perfum działał na jego zmysły.

To nie uszło uwagi Billie. Czy nigdy nie uda jej się stłumić uczuć do niego? Po tylu latach, po tylu rozczarowaniach, nadal go pragnęła. Nie miało to nic wspólnego z ich małżeństwem, to był tylko pociąg fizyczny.

Moss wziął szklankę i czekał, aż Billie coś powie. Ona tymczasem ponownie otworzyła szkicownik. Zirytowało go to, choć wiedział, że nie ma ku temu powodów. Nie może przecież oczekiwać od niej, by udawała, że nie słyszała Alice w jego pokoju. Nie może od niej żądać, by rzuciła mu się na szyję i witała serdecznie. W końcu zapytał:

- Dzwoniłaś do lekarza w sprawie Maggie?

Billie odwróciła się ku niemu. Mierzyła go ostrym spojrzeniem piwnych oczu.

- Nie. I nie zrobię tego. Moss westchnął.

- Dobrze, skoro jesteś taka uparta, ja się tym zajmę.

- Nie, Moss. Żadnego lekarza, oprócz tego, ma się rozumieć, który

pomoże naszemu wnukowi albo wnuczce przyjść na świat. Miałam czas do namysłu, więcej nawet, niż mi trzeba. -Posłała mu oskarżycielskie spojrzenie. - Choć Maggie mając trzynaście lat jest jeszcze dzieckiem, stała się teraz doświadczoną dorosłą kobietą. Musi się nauczyć ponosić konsekwencje swoich czynów. Bóg jeden wie, w co się wplącze następnym razem. Kiedy to się skończy? Nie przyłożę do tego ręki, Moss. Ona nie ma nawet czternastu lat. Będzie musiała żyć z tą decyzją przez wiele lat. Wolę, żeby urodziła to dziecko, niż je zabiła. Innymi słowy, dwa błędy nie dają w sumie pozytywnego skutku.

- Nie powinnaś jej do czegoś zmuszać tylko dlatego, że inne rozwiązanie jest sprzeczne z twoimi zasadami.

- A czyje zasady ty chcesz jej narzucić, Moss? To tylko dziecko. Trzeba jej wskazać właściwą drogę. -Billie wierzyła w to, co mówi. Być może jej zasady i jej moralność są śmieszne, ale tylko tyle może ofiarować Maggie.

- Jest zbyt młoda, żeby obciążać ją dzieckiem, Billie. Chodzi mi o jej dobro, bez względu na to czy mi wierzysz, czy nie.

- Aborcje nie zawsze się udają. Znałam kiedyś... -urwała, przypomniawszy sobie obietnicę złożoną Amelii. - Maggie nie będzie obciążona niczym, na co nie ma ochoty. Mamy czas, by zdecydować co z dzieckiem. Jest wiele doskonałych agencji adopcyjnych.

-Wybij to sobie z głowy. Dziecko ma w sobie krew Colemanów, a Colemanów nie wyrzuca się jak nie chcianych szczeniąt. Upieraj się dalej, a przyjdzie ci żyć „z konsekwencjami". Gdybyś była dla Maggie lepszą matką, nigdy by do tego nie doszło.

Billie zamarła w bezruchu. To były najgorsze, najbardziej raniące słowa, jakie powiedział, a ona nie zemdlała. W jej oczach nie lśniły łzy. Moss poczuł dla niej podziw.

- Nie ja, lecz my. Maggie to efekt naszego psującego się małżeństwa. - Proszę, wypowiedziała na głos słowa, których dotychczas nie przyjmowała do wiadomości. - To tylko kwestia czasu, zanim sytuacja między nami zniszczy Susan i Rileya. Jeśli teraz zawiedziemy, Moss, wszystko okaże się daremne. Nie pozwolę na to. Nie wiadomo kiedy ani jak się pogubiliśmy. Chcę to zmienić. Od zaraz.

Miał wrażenie, że uszło z niego całe powietrze. Spodziewał się konfrontacji, a nie czegoś takiego.

- O co ci chodzi, Billie? Wiesz, że dam ci wszystko, co w mojej

mocy.

- Chcę, żebyś się zaangażował. Żebyś dbał o dzieci i o nasze małżeństwo. Chcę, żebyśmy byli rodziną. Żądam tego.

- Żądasz? - Nie wierzył własnym uszom.

- Tak. I wierzę, że w głębi duszy pragniesz tego samego.

- A czego chcą dzieci? Na przykład Maggie. Mówiła o aborcji.

- Początkowo chciała usunąć ciążę, chciała udawać, że nic się nie stało. Jest bardzo młoda i nie wyobraża sobie, że mogłaby mieć dziecko. Kiedy jej powiedziałam, że uważasz zabieg za jedyne wyjście, od razu zmieniła zdanie. Teraz chce urodzić. Moss, nie wiem, co jest dobre, a co złe. Ważna jest Maggie, jej przyszłość. Twierdzi, że pragnie tego dziecka. Co ty na to?

Wzruszył ramionami.

- Jest już prawie dorosła. Miała prawo zmienić zdanie.

- Na Boga, czy ty nigdy nie dostrzegasz rzeczy oczywistych? Nie pojmujesz, że Maggie postąpi inaczej, niż zasugerujesz? Dlaczego? Bo jest to jedyny znany jej sposób zwrócenia twojej uwagi. Sprzeciwisz się, a tato zareaguje. Zgodzisz się: zapomni, że istniejesz. Tylko że to zbyt poważna sprawa na takie gierki.

Opróżnił szklankę do dna.

-Billie, jestem zmęczony. Muszę to przemyśleć. Czy nie możemy porozmawiać po kolacji? Przyjdę do ciebie i pogadamy, jak za dawnych dobrych czasów. -Posłał jej uwodzicielski uśmiech.

- Za dawnych dobrych czasów nigdy nie rozmawialiśmy. Ty mówiłeś, ja słuchałam. Teraz będzie inaczej.

- Jezu, Billie, daj mi odetchnąć, dobra?

- Nie. Skończymy tę rozmowę. Nigdy niczego od ciebie nie żądałam. Może to błąd. Teraz oświadczam, że jeśli mi nie pomożesz zrobić z nas rodziny, odejdę. Zabiorę dzieci i odejdę. Chcę, żeby dzieci miały ojca. Chcę mieć męża. Chcę mieć rodzinę. I to od zaraz.

- Tak po prostu? Bez oglądania się w przeszłość? Bez oskarżeń i wyrzutów? Zapomnieć wszystko i zacząć od nowa?

Patrzyła mu prosto w oczy.

- Tak. Tak po prostu.

- W porządku, Billie, umowa stoi.

- Słowo honoru?

- Tak. Słowo honoru. Billie..ja...

- Nie mów nic...

Zwyciężyła, jednak się nie cieszyła. Czy naprawdę tego chciała? Oschłej umowy, jak w interesach?

- Nie, Billie. Ja też mam ci coś do powiedzenia. Jesteś moją żoną, a ja cię zawiodłem. Postępowałem okropnie, ale ty mi na to pozwalałaś. Myślałem, że to cię nic nie obchodzi, że ci już na mnie nie zależy. Wiesz, ile dla mnie znaczy to, że tale nie jest? - mówił miękkim głosem. Błękitne oczy patrzyły łagodnie.

Otworzył ramiona i Billie podbiegła do niego. Przez króciutką jednak chwilę wyobrażała sobie, że to Thad ją całuje, że to jego serce bije pod jej dłonią. Szybko odepchnęła tę myśl od siebie. Oto jej mąż, ojciec jej dzieci, mężczyzna, którego ślubowała kochać aż do śmierci. I rzeczywiście, jakaś jej cząstka kochała go nadal - cząstka bardzo stara i zmęczona.

Moss obejmował żonę, całował ją, składał obietnice bez słów. Zanim uniosła ku niemu głowę, zadrżała. Nadal miał na nią potężny wpływ. Może to nie takie złe. Podobała mu się myśl o powrocie do prawdziwej rodziny.

Rozdział szósty

Czasami Billie wydawało się, że własnoręcznie stworzyła sobie piekło na ziemi. Moss dotrzymywał słowa. Był oddanym ojcem i mężem. Mimo to sprawy nie układały się tak, jak tego chciała. Moss był troskliwy i czuły, najwyraźniej zaprzestał także spotkań z innymi kobietami, jednak Billie nadal dręczył wewnętrzny niepokój. Nocami leżała w jego ramionach, zmęczona miłością, i starała się nie poddawać falom goryczy. Przecież właśnie tego pragnęła. Chciała, by znowu był jej mężem. Powinna być w siódmym niebie, tymczasem ogarniało ją rozczarowanie. Tylko że tym razem jego źródłem była ona sama.

Moss rzucił się w wir pracy ze zdwojoną energią, jakby chcąc sobie wynagrodzić spokojne życie rodzinne. Opowiadał o planach stworzenia nowego przedsięwzięcia, zakładów lotniczych, Coleman Aviation. Narzekał na trudności z uzyskaniem licencji. Billie starała się go słuchać, udawała zainteresowanie, ale robiła to nieszczerze. Zazdrościła mu pracy. Sama nie miała takiej odskoczni.

Zerwawszy z Jordanem Marshem, przestała uczęszczać na zajęcia malarstwa. Przyjął to ze spokojem, co kazało jej przypuszczać, że niedługo sam zakończyłby ich związek. Malowanie bez nauczyciela, który krytykowałby jej prace, okazało się bardzo trudne. Billie postanowiła stworzyć sobie pracownię w starej wozowni, jednak odnosiło się wrażenie, że bardziej interesuje ją jej urządzanie niż sama myśl o twórczej pracy. Dzień po dniu zmagała się z podjętym zobowiązaniem dbania o dom i rodzinę.

Maggie w niczym jej tego zadania nie ułatwiała. W miarę rozwoju ciąży stawała się coraz cichsza i bardziej zamknięta w sobie, jakby miała za złe rodzicom, że stosunki między nimi poprawiły się. Nienawidziła wszystkich i wszystkiego: zielonej fasoli, żółtej farby na ścianach pokoju dziecinnego, niemowląt.

Szkoła Susan wrzała od plotek, bo ciąża Maggie stała się tajemnicą poliszynela. Maggie wyładowywała złość i zazdrość na Rileyu podczas jego weekendowych wizyt w domu. Kiedy Amelia załatwiła swej utalentowanej chrześniaczce miejsce w renomowanym londyńskim konserwatorium, rodzina uznała, że lepiej będzie wysłać ją do Anglii. Riley zaś musi po prostu schodzić Maggie z drogi.

Seth i Agnes, zespół równie zgrany jak Flip i Flap, chodzili z kwaśnymi minami. Demonstracyjnie okazywali, iż byli przeciwni decyzji Billie. Teraz, gdy ich nazwisko okryła hańba, byli bardziej podatni na ciosy wrogów, prawdziwych i wyimaginowanych.

Billie łagodziła konflikty i wmawiała sobie, że wszystko się dobrze skończy. Nie przyznawała sama przed sobą, że być może popełniła błąd. Jej wątpliwości rosły wraz z powiększającym się brzuchem Maggie.

Córeczka Maggie przyszła na świat podczas wiosennej burzy, kilka minut po północy, w Sunbridge. Pierwszą osobą, która wzięła ją na ręce, była Billie. Drobna istotka zbudziła w niej miłość i czułość. Sawyer Amelia Coleman spojrzała w orzechowe oczy babki i od tej chwili zawiązała się nić porozumienia, mająca je łączyć do końca życia. Billie pogładziła małą po policzku. Warto było dla niej znieść miesiące niepewności, cierpienia, udawania.

Wiele godzin później, gdy Maggie smacznie spała, do drzwi pokoju dziecięcego nieśmiało zapukał Moss. Billie nie potrafiła określić, co widzi w jego oczach. Podszedł do kołyski i pochylił się nad wnuczką.

Billie ostrożnie wyjęła małą i podała mu niewielkie zawiniątko. Wyciągnął drżące dłonie.

- Jest piękna - szepnął ochryple.

- Tak. Moss, trzymasz część nas. Maggie ją urodziła, ale ona jest także nasza. Kolejne pokolenie Colemanów w Sunbridge.

- Billie, tyle się wydarzyło. Nie wiem, jak i dlaczego, ale wiem, że to moja wina. Kiedy zobaczyłem cię z małą w ramionach, dotarło do mnie, ile straciłem. Moje miejsce było tutaj, przy tobie, gdy rodziłaś Maggie, Susan i Rileya. Powinienem był, ba, chciałem być z tobą, jednak wmówiłem sobie, że są ważniejsze rzeczy. Byłem cholernym głupcem, Billie.

W końcu padły słowa, na które od dawna czekała. Jego uczucia były szczere, nie wątpiła w to. Nie odczuwała jednak triumfu, tylko żal. Żałowała straconego czasu, zmarnowanych nadziei, naderwanych więzów. Od wielu lat stanowiła tylko dodatek do jego życia. Byli małżeństwem, mieli troje dzieci i tę prześliczną wnuczkę, a on dopiero teraz żałował minionych lat.

W jego gorących, wilgotnych oczach widniała niema prośba. Serce Billie wyrywało się ku niemu, ku mężczyźnie, któremu przysięgała miłość, ku temu wielce skomplikowanemu człowiekowi. Pocałował ją czule nad główką niemowlęcia.

- Kocham cię, Moss - szepnęła, ulegając uczuciom, które tłumiła tak długo. Mówiła prawdę. A może kochała tylko marzenie, ideę domu, rodziny, wspólnoty? Jakkolwiek by było, Moss stanowił wszak istotną część tego marzenia.

Wiele się nauczyła od czasów, gdy jako naiwna nastolatka zakochała się w przystojnym lotniku. Setki razy zmieniała zdanie. Jedno było pewne: zawsze chciała być z nim. Nauczyła się, że miłość ma wiele twarzy, zarazem pięknych i brzydkich, ale jedno nie zmieniało się nigdy. Kochała go.

Delikatnie pocałował wnuczkę w czoło, zanim ułożył ją w kołysce. Wziął Billie za rękę. Spleceni ramionami, wędrowali ciemnym, cichym korytarzem do sypialni.

Serce Billie szamotało się w piersi. Odbierała obecność Mossa wszystkimi zmysłami. Młodzieńcze podniecenie zlewało się z dojrzałością kobiety. Moss zamknął drzwi. Przywarła do niego całym ciałem. Ukryła twarz w rozpięciu koszuli, wdychała jego zapach;

korzenny aromat wody po goleniu i charakterystyczny, męski zapach jego ciała. Zanurzył dłonie w jej włosach. Kreślił ustami zawiłe wzory na jej skroniach. Nie śpieszyli się. Wiedziała, że nie będzie jej ponaglał. Miała w oczach obraz męża całującego wnuczkę: z czułością, z uczuciem. Tak samo całował teraz ją. Jego opiekuńczość i władczość obudziła stare wspomnienia z Filadelfii, gdzie po raz pierwszy kochali się w jej dziewczęcym pokoju. Wtedy był jej nauczycielem, mistrzem i przewodnikiem. Jego troskliwość i wyrozumiałość dla jej niedoświadczenia dobiły ją całkowicie. Teraz dotykał jej tak samo, jakby była delikatnym kwiatem, który zwiędnie, nie traktowany odpowiednio.

Od jego pocałunków przechodził ją dreszcz. Pragnęła go, tak jak on jej. Oczekiwanie doprowadzało jej krew do wrzenia.

Był to stary, znajomy rytuał, a jednak odkrywali się na nowo. Gładziła jego plecy; mięśnie i żebra, tak dobrze znane, budziły jej zainteresowanie, jakby to był pierwszy raz. Jej biodra żyły własnym życiem, wysuwały się ku niemu. Był jej mężem, znała jego ciało lepiej niż własne, ale ta wiedza niosła upojenie. Choć w pokoju panował mrok, oczyma wyobraźni widziała go, znała każdy fragment jego ciała. Ta świadomość uspokajała. Czas nowości i eksperymentów jest już za nią. Tak było z Jordanem. Teraz wybiera bezpieczną, dobrze znaną drogę, trasę wyrysowaną na mapie ich miłości. Wiedziała, co ją czeka na końcu i cieszyła się na to. Oto Moss: jej mąż, człowiek, z którym dzieli życie.

Mieli dużo czasu, pieścili się powoli i leniwie, chociaż napięcie między nimi rosło. Razem z ubraniami, opadły z niej wątpliwości. A więc jednak? Nowy początek? Nowe życie, zainspirowane narodzinami wnuczki? Jaka to trafna myśl, stwierdziła. Jej wrogość topniała, znowu czuła się czysta i świeża. Znowu mogła kochać, mogła się oddać. Uświadomiwszy to sobie, delikatnie pchnęła go na łóżko.

Pragnął jej; dowód tego napierał na jej uda. Pieściła go miękkimi dłońmi. Nigdy nie przestał jej fascynować; stanowił barometr jej kobiecości.

Wszedł w nią jednym ruchem. Jego dłonie odnalazły jej piersi, muskały twarz.

- Chodź do mnie, Billie - szepnął i pociągnął ją na dół. Dopiero wtedy, gdy poczuła wilgoć na jego policzkach, zorientowała się, że

sama płacze. Ich łzy się mieszały; spełnienie ciał było równie gwałtowne jak spełnienie dusz. Pragnęła sięgnąć jego serca. Czyżby marzenie, które żywiła od tak dawna, miało się wreszcie spełnić? Czy w końcu stała się najważniejszą częścią jego życia?

Słyszała, jak szepce jej imię, widziała, jak patrzy jej w oczy. W głębi duszy wyciągała ku niemu ramiona, zapominała o latach ciemności. Wydawało się, że jest tuż-tuż. Zanim jednak go dotknęła, otoczyła ją pustka i mrok. Chciało jej się płakać, ale wtedy ciało przywołało ją do rzeczywistości i dała się ponieść rozkoszy.

Później płakała w jego ramionach, odwrócona do niego tyłem, skulona w kłębek.

Pocałował mokry od łez policzek i westchnął głęboko, zadowolony. Był usatysfakcjonowany, wiedziała o tym, i powinna odczuwać to samo. Jej ciało dostało to, czego pragnęło. A dusza? Czy popełniła błąd? Zdławiła szloch. Dlaczego jej nie wystarcza, że jest jej mężem, że mu na niej zależy, że ją kocha? Dlaczego pragnie czegoś, czego, być może, nigdy nie dostanie? Dlaczego cząstka jej istoty chce, aby Moss zrozumiał?

- Billie, moja Billie - odwrócił ją ku sobie. W mdłym świetle brzasku dostrzegła łzy w jego oczach. -Nie płacz, kochanie - szepnął. - Mnie także było wspaniale. Nikt nie kocha mnie tak jak ty.

A czyja cię kocham, Moss? Zastanawiała się. Czy naprawdę cię kocham? A jeśli tak, co ze mną będzie?

Maggie nie miała zamiaru zajmować się dzieckiem. Kiedy tylko lekarz pozwolił, przepadała z domu na całe dnie. Seth narzekał, że zajeżdża konie na śmierć. Wydawało się, że nigdy nie brak jej energii i pomysłów do złośliwych psot.

Delikatne napomnienia Billie spotkały się z upartą odmową.

- Nie chciałam jej. To ty nalegałaś, żebym urodziła. Sama się nią zajmuj! Chcę zapomnieć, że oddychamy tym samym powietrzem!

Wszyscy Colemanowie patrzyli na Billie z nadzieją, że upora się z córką. Dziecko nie stanowiło problemu; stawili czoło najgorszym plotkom. Problemem była Maggie.

To Thad wymyślił, jak jej pomóc. W Vermont, jak wyjaśnił, jest pewna bardzo dobra, prywatna szkoła, przyjmująca ograniczoną liczbę uczniów. Choć nie ma o tym mowy w folderze, specjalizuje się w pomocy dzieciom z zaburzeniami emocjonalnymi.

Użyty przez niego termin nie chciał przejść Billie przez gardło, choć Thad i tak wyraził się delikatnie. Seth i Agnes nie przebierali w słowach, mówiąc o najstarszej wnuczce. Poza tym, nie mogła zaprzeczyć, że Maggie ma poważne problemy, a użycie takiego czy innego terminu nie powinno mieć znaczenia przy wyborze najlepszego dla Maggie rozwiązania. Mimo wszystko... Vermont?

- Nie mogę wysłać jej tak daleko, Thad! Tak, potrzebuje pomocy psychologa, ale rodzina też jest ważna!

- Skontaktuj się ze szkołą, Billie. Na pewno ją przyjmą. Rodzina? Będzie mieszkała w internacie. W weekendy może odwiedzać moich krewnych na wsi. Wychowali czwórkę własnych dzieci. Zresztą, warto spróbować, prawda? Masz jakiś inny pomysł?

Nie miała. Chciała zrobić to, co najlepsze dla Maggie, musiała także pamiętać o dziecku. A Maggie potrzebowała pomocy.

Przed rozmową z Mossem skontaktowała się ze szkołą i rodziną Thada. Otrzymawszy odpowiedzi pozytywne, głęboko wciągnęła powietrze i poszła do męża. Moss usłyszał tylko, że szkoła jest „bardzo ekskluzywna, bardzo prywatna i bardzo droga". Problemy emocjonalne mają dzieci innych ludzi. Maggie jedzie na północ, by uzyskać najlepsze, najdroższe wykształcenie.

- Nigdy, przenigdy wam tego nie zapomnę! - wrzeszczała, gdy samochód odwoził ją na lotnisko.

Billie ściskało się serce. Co noc, zanim usnęła, miała przed oczami zapłakaną, gniewną twarz córki. Zasypiała w pustym łóżku.

Obietnica Mossa straciła ważność wraz z wyjazdem Maggie, takie przynajmniej odnosiła wrażenie. Ponownie dużo przebywał poza domem. Często wślizgiwał się do sypialni w środku nocy. Billie czuła delikatny zapach wyrafinowanych, kobiecych perfum. Najwyraźniej uznał, że wyjazd Maggie rozwiązał wszystkie problemy.

Usiłowała sobie wmówić, że to bez znaczenia. Oszukiwała się jednak. Całymi dniami dławiło ją coś w gardle. Czego właściwie chciała? Odkąd kochała się z Mossem w noc narodzin Sawyer, zrozumiała, że satysfakcja fizyczna to nie wszystko. Miłość to nie wszystko. W życiu musi być coś więcej, nie umiała tego jednak nazwać. Nawet jej gniew wygasł; zastąpiła go obojętność.

Lista gości zaproszonych na otwarcie atelier, co miało nastąpić właśnie dziś, była krótka; dwoje uczniów Jordana, z którymi się

zaprzyjaźniła, Thad i rodzina.

Od wielu tygodni stolarze, malarze i tragarze doprowadzali do kompletnego chaosu Sunbridge. Stara wozownia w końcu jednak była gotowa. Przez olbrzymie okna i świetliki wpadały strumienie światła. Sztalugi czekały na płótna. Farby, pędzle i palety piętrzyły się na półkach z cedrowego drewna. Pod ścianą stanęła miękka rozkładana sofa, malutka lodówka, piecyk i fotel bujany zajmowały przeciwległą ścianę. We wszystkich kątach zieleniły się rośliny doniczkowe. Obok łazienki stolarze wygospodarowali kącik dla Sawyer; w ten sposób Billie usłyszy każdy pisk małej.

Właśnie trzymała ją na rękach. Sawyer była okrąglutka i miękka, duża jak na swoje sześć miesięcy. Miała bystre oczka i ku uciesze babki gaworzyła bezustannie. Billie obchodziła swoje królestwo dumnym krokiem. Była podniecona; wreszcie zrobiła coś dla siebie.

Seth i Moss przyszli pierwsi. Billie podała Sawyer mężowi. Wziął ją niechętnie. Agnes zjawiła się kilka minut później, w towarzystwie Rileya i służby. Billie uśmiechnęła się słysząc, jak sprzeczają się, kto tu będzie sprzątał. Służący jej matki nie tkną tego pokoju szczotką czy odkurzaczem. Sama będzie się tym zajmować. To świat jej i Sawyer.

Wypito kawę, zjedzono ciasteczka. Riley odjechał do szkoły. Uczniowie Jordana wyszli z Agnes. Seth odszedł stukając laską. Moss sienie śpieszył.

- Cieszę się, Billie. Szkoda, że wcześniej nie wpadłaś na ten pomysł - powiedział. - Nie znam się na sztuce, ale chyba teraz malujesz lepiej niż wtedy, gdy jeździłaś na zajęcia do miasta. Jestem z ciebie dumny.

Uważnie przyjrzała się jego twarzy, szukając w niej oznak kpiny. Uśmiechnęła się, gdy dotarło do niej, że mówił szczerze. Rok, pół roku temu rozpłakałaby się ze szczęścia, słysząc jego pochwały. Teraz była zadowolona, ale większą radość sprawił jej uścisk pulchnych ramionek Sawyer.

- Muszę wracać do biura. Szkoda, że Thad nie przyjechał. Pewnie coś go zatrzymało. W wojsku życie prywatne się nie liczy. Chciałbym się z nim zobaczyć, ostatnio oddaliliśmy się od siebie. To dobrze, że z nim korespondujesz. Takiego przyjaciela jak on ze świecą szukać.

Billie przytuliła twarz do policzka Sawyer.

- Nie znajdziesz ze świecą-powtórzyła.

Moss rozejrzał się. Nagle stracił ochotę do wyjścia stąd. W

pomieszczeniu należącym do jego żony nie było dla niego miejsca, a mimo to nie chciał wychodzić.

Omiótł spojrzeniem cały pokój. Zatrzymał wzrok na sofie. Nie wyjdzie, nie zostawiwszy uprzednio swego piętna. Atelier będzie ich, a nie jej.

- Chcę się z tobą kochać - szepnął. Odgarnął jej włosy z czoła.

Billie uniosła głowę i ukradkiem lekko uszczypnęła Sawyer. Mała zaczęła płakać.

- Przykro mi, kochanie. Muszę nakarmić i przebrać małą. Później, w sypialni. Będę czekała.

Billie kochała swoje atelier. Była to jedyna część Sunbridge, która należała tylko do niej. Nie będzie jej dzieliła z nikim, nawet z Mossem. Nie chciała, by z tym miejscem wiązały się wspomnienia o nim.

- Ile ci to zajmie? Nie możesz po prostu dać jej butelki?

- Och, kochany, niestety, to nie jest takie proste - stwierdziła smutno. - Trzeba zagrzać mleko. A później będę musiała ją przebrać. Nasza Sawyer to mały brudasek. Zajmie mi to co najmniej godzinę. Chyba że poczekasz. - Ostatnie zdanie zabrzmiało jak pytanie, którym wcale nie było.

- Nie mogę. Mam spotkanie rady nadzorczej. Do zobaczenia, Billie. Wrócę późno.

- W porządku - krzyknęła przez ramię. Wybiegł do garażu.

Billie przytuliła dziewczynkę.

- Musiałam to zrobić, skarbie. Nie gniewasz się na babcię? - Sawyer zagulgotała radośnie. Billie ułożyła ją w kołysce, nakręciła pozytywkę. Po kilku minutach mała zasnęła.

Została sama, we własnym atelier, przez nią zaprojektowanym i urządzonym.

Zapaliła papierosa, żeby zająć czymś ręce. Dzisiaj jest dzień radości. Od jutra zabierze się do pracy. Stała przy oknie wychodzącym na północ. Nagle zobaczyła samolot, który podchodził do lądowania. Od razu wiedziała, kto to.

Thad nie zignorowałby jej zaproszenia. Jego wizyta dopełni szczęścia. Zajrzała do Sawyer i szybko zmieniła buty. Jeśli pobiegnie ile tchu w piersiach, dopadnie Thada, zanim wyruszy w kierunku domu.

Biegła przez pole, wiatr rozwiewał jej włosy, i pytała się w myślach: „Boże, co ja właściwie robię?" Nie obchodziła ją odpowiedź.

Początkowo jej nie widział, usłyszał dopiero, jak woła go po imieniu. Odwrócił się i zobaczył, jak ku niemu biegnie. On także puścił się biegiem.

- Billie!

Zatrzymała się dwa metry od niego. Zrobił to samo. Parsknęli śmiechem.

- Thad! Tak się cieszę! Myślałam, że nie przyjedziesz. Czekałam i czekałam. Wszyscy już poszli. Sawyer śpi. Gdzie byłeś? Dlaczego się spóźniłeś? Tak się cieszę! Tęskniłam za tobą- paplała nie mogąc się powstrzymać.

- Billie! Przepraszam za spóźnienie. Tuż przed startem znalazłem usterkę w samolocie. Byłem już na pasie startowym, nie miałem dostępu do telefonu. Przepraszam. Wiesz, że nie darowałbym sobie, gdybym się z tobą nie spotkał w tak ważnym dniu. Jak się masz? Wyglądasz pięknie, jak zawsze. A dziecko? Jak się czujesz w roli babki? - Boże, plótł trzy po trzy, tak samo jak ona. Marzył, by wziąć ją w ramiona. Nie była to jednak odpowiednia chwila, nie mówiąc już o miejscu.

- Tak się cieszę, że cię widzę! - powtarzała co chwila, biorąc go pod rękę. -Pośpiesz się, chcę ci pokazać Sawyer. Na razie śpi. Zostawiłam ją samą, chociaż nie powinnam. Biegiem, Thad! -Pobiegli do atelier, śmiejąc się jak dzieci.

-Billie, to jest fantastyczne! Tyle światła! Wyobrażam sobie, jak tu siedzisz i pracujesz. Jestem rad, że mnie zaprosiłaś.

- Jeszcze pan nie widział najlepszego, admirale. - Pociągnęła go do malutkiego pokoiku dziecinnego. Z dumą pokazała mu śpiącego bobasa. - Co ty na to?

-Co ja na to? To najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem, z wyjątkiem jej babci. Czy jest tak doskonała, jak na to wygląda?

- No pewnie! Czy osoba o nazwisku Coleman może być niedoskonała? - zażartowała. - Tak, to dobre dziecko. Rośnie jak na drożdżach, przesypia całą noc. Kocham ją, Thad.

- Nigdy bym na to nie wpadł - zakpił. - Masz wieści od Maggie?

- Nie. Ale piszę do niej co tydzień i wysyłam zdjęcia Sawyer. Dzwoniłam niedawno. Nadal nam nie wybaczyła, ale nauczyliśmy się z tym żyć. Ze szkoły regularnie przesyłają raporty. Co prawda nie są one rewelacyjne, jednak nauczyciele są dobrej myśli. A teraz opowiadaj o

sobie. Zaparzę kawy. Na wszelki wypadek schowałam trochę ciasteczek.

- Na wszelki wypadek?

- Na wypadek, gdybyś się jednak zjawił. Czy mówiłam ci już, jak bardzo się cieszę?

- Owszem. Ale powiedz to jeszcze raz. Roześmiała się, sypiąc kawę do ekspresu.

- Cieszę się, że tu jesteś. Tęskniłam za tobą Thad. Myślę o tobie częściej niż powinnam. Jak tam Salomon?

- Zapytaj mężczyznę o psa, a zdobędziesz jego serce. Ma się doskonale, lepiej niż jego pan. Myślę o tobie częściej niż powinienem. Chcę być z tobą szczery, Billie. Nie planowałem dzisiejszego przyjazdu. Miałem zadzwonić i pożegnać się przez telefon. A potem uznałem, że to byłoby tchórzostwo i wskoczyłem do samolotu. Mam nowe rozkazy. Wyjeżdżam jutro.

Billie upuściła filiżankę. Rozprysła się na kawałki.

-Wyjeżdżasz? Dokąd? Dlaczego? Przepraszam. Nie mam prawa o to pytać. Na jak długo?

- Nie wiem. Na Pacyfik. Według mnie, co najmniej na trzy lata.

- Trzy lata! Równie dobrze mogłaby to być wieczność. Och, Thad. Przejęła się. Boże drogi, naprawdę się tym przejęła. Miała łzy w oczach.

- To tylko trzydzieści sześć miesięcy albo tysiąc dziewięćdziesiąt pięć dni, jeśli ktoś liczy. Ale po co? - Nie mógł znieść jej smutnej miny. Musi zmienić temat. - Jak się układa między tobą a Mossem?

Głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Układa się... Jest jak jest. Chcę powiedzieć, że... ja się staram za bardzo, a Moss niedostatecznie. Jest jak jest... na razie. Moss będzie zły, że się z tobą nie spotka. Nie dawniej jak dziś rano narzekał, że dawno się nie widzieliście. Ma dużo pracy, naprawdę. Nocuje w domu, ale pracuje do późna.

- A ty, Billie? - Miał nadzieję, że głos nie zdradzał jego zdenerwowania. -Jestem zadowolona. Mam swoje malarstwo i Sawyer. Mówiłam ci już? Szykuję wzory tkanin.

-To wspaniale. Czy mam ci przysłać jedwab? Będę stacjonował w Japonii. -A zrobiłbyś to?

- Z największą przyjemnością. Najważniejsze, żebyś była

szczęśliwa. Nie odpowiedziała od razu.

- Szczęśliwa? Mam wrażenie, że czas stanął w miejscu. Nie wiem, czy to co mówię ma sens, ale wydaje mi się, że zabijam czas, czekając na coś lub... rozumiesz?

Lub na kogoś, dodał w myślach.

Dlaczego żadne z nich nie wypowiedziało na głos tego, o czym oboje myśleli? Dlaczego nie powie jej, co do niej czuje? Bo, odpowiedział sobie, Billie jest żoną innego mężczyzny. A tym mężczyzną jest jego najlepszy przyjaciel.

- Będziemy w kontakcie? - Jej pytanie zabrzmiało jak błaganie.

- Oczywiście. Colemanowie są częścią mego życia. -Mógł to powiedzieć ze spokojnym sumieniem.

- O czym myślisz, teraz, w tej chwili?

- O Diamond Head. Dlaczego pytasz?

- Przyszło mi na myśl, że tysiąc dziewięćdziesiąt pięć dni rozstania to dużo dla dwojga... dwojga przyjaciół. Nigdy nie byłam na Dalekim Wschodzie. Chciałabym zobaczyć Hongkong, Japonię, Filipiny.

Znieruchomiał.

- Kiedy?

Podniosła ku niemu oczy.

- Kiedy? - szepnęła. - Gdy będę cię najbardziej potrzebowała.

Rozdział siódmy

Kiedy Sawyer miała półtora roku, do Mossa ostatecznie dotarło, że życie Billie już nie kręci się wokół niego. Coraz częściej zdarzały się dnie, kiedy w ogóle nie przychodziła do Sunbridge. Jadła i spała w atelier. Pewnego dnia na palcach podkradł się pod okno. Nie pojmując, co się dzieje, stał wśród deszczu i ciemności i obserwował, jak żona bawi się z wnuczką.

Mógł tam wejść. Mógł tam wpaść jak burza. Kiedy słyszał śmiech Billie, która bawiła się z Sawyer na podłodze, ściskało mu się gardło. Tracił ją, świadom, że za taki stan rzeczy może winić wyłącznie siebie. Rozczulił się nad sobą. W atelier nie ma dla niego miejsca. Gdyby tam wszedł, Billie powitałaby go uśmiechem, ale w oczach jej pozostałby smutek. Miejsce rozbawienia i beztroski zajęłoby napięcie. Pytałaby

bez słów: czego chcesz? Po co przyszedłeś? Powiedziałaby: , ‚Moss, jak to miło, że wpadłeś". Odnosiliby się do siebie jak dwójka nieznajomych.

Dzieci nie sprawiały kłopotów. To Billie była mu cierniem w boku. Nowa Billie, która miała własne zdanie na każdy temat i nie wahała się go wygłaszać. Była najmłodszą, najpiękniejszą babcią, jaką zdarzyło mu się widzieć. Obdarowała Sawyer miłością i oddaniem, które należały się jemu.

Powinni mieć wspólne zainteresowania, wspólne cele. Tymczasem każde żyło swoim życiem. Może Thad miał rację. Stan kawalerski ma swoje dobre strony.

W biurze rzucił się w wir pracy. Po dwóch godzinach stwierdził, że nie obejdzie się bez kolejnej podróży do Europy. Im szybciej, tym lepiej, zwłaszcza że sprawy tej wagi musi załatwić osobiście.

Nagle wpadł na doskonały pomysł. Może uda mu się zorganizować to w ten sposób, żeby jego wyjazd wypadł w tym samym czasie co wyprawa Billie na Daleki Wschód. Jeśli przygotuje wszystkie dokumenty, przekona ją, żeby mu towarzyszyła i zapomniała o wcześniejszych planach.

Rozmawiała z nim na temat tej podróży. Wyraził zgodę, choć prawdopodobnie nie miało to dla niej znaczenia. Billie pisała listy i wydzwaniała do najdalszych zakątków kuli ziemskiej. Organizowała spotkania, które, jak mówiła, poszerzą jej wiedzę i ułatwią karierę. Teraz wybije jej z głowy ambicje, oferując coś odpowiedniejszego: wspólną przystań.

Wystarczyło kilka telefonów, by zarezerwował dwa bilety lotnicze do Anglii i powrót włoskim statkiem. Cóż bardziej romantycznego? Będzie zachwycona. To jak drugi miesiąc miodowy. A może w ich wypadku - trzeci? Miesiąc. Miesiąc w Europie, we dwójkę. Powie jej jutro przy kolacji, w obecności Agnes i Setha. Riley też będzie, bo przyjedzie ze szkoły na weekend. To dobrze, będzie miał trójkę sprzymierzeńców.

Nalał sobie brandy. Wiele się zmieniło, odkąd pojął Billie za żonę. Czas przeciekał mu między palcami. Nie pozwoli, by Billie odsunęła się od niego jeszcze bardziej . Zrobi, co w jego mocy, żeby wszystko było jak dawniej. Podróż to najlepsze wyjście.

Dlaczego? Dlaczego właściwie zawraca sobie tym głowę? Przecież

jest mu dobrze, Billie nie odmawiała mu wstępu do łóżka. Nigdy nie narzekała. Czym się właściwie martwi? Atelier? Dzieckiem? Nadal go kocha, widział to w jej spojrzeniu, słyszał w głosie. Wszystko jest tak, jak powinno. Tylko to za mało. Billie się kontroluje, nie oddaje mu siebie w stu procentach. A obowiązkiem żony jest poświęcać siebie całkowicie, tak jak jego matka. Wina? Jego? Każda para małżeńska boryka się z przejściowymi trudnościami. Wszyscy mają problemy z dziećmi.

Wypił kolejną brandy i podszedł do drzwi na taras. Otworzył je i wpatrywał się w ciemność. W atelier paliły się światła. Niedługo Sawyer pójdzie spać. Czy Billie wróci na noc do domu? Ostatnio skrupulatnie to liczył; na siedem nocy, cztery spędziła w atelier.

Mógłby tam pójść, zapukać i powiedzieć, że chce pocałować Sawyer na dobranoc. Albo mógłby zanieść tam dwa drinki. Albo mógłby wyważyć drzwi jednym silnym kopnięciem. Pretekstu, żeby tam pójść, potrzebował pretekstu. Był intruzem, choć miał prawo, bo atelier powstało za jego pieniądze.

W maciupeńkim pokoiku Sawyer zgasło światło. Moss zmrużył oczy.

- A niech to szlag. - Zamknął drzwi tarasowe i spojrzał na telefon. Właściwie, czemu nie? Wykręcił numer z pamięci.

- Alice? Wpadnę, jeśli masz czas. Tak, zbyt długo. Dzieci, praca... Tak, czytałem recenzje. Pewnie jesteś bardzo zadowolona? Będę u ciebie za pół godziny. -Słuchał uważnie, po czym parsknął śmiechem. W ten sposób nie śmiał się od ostatniego spotkania z Alice Forbes. - Umowa stoi. - Z grymasem na twarzy zaciągnął zasłony, żeby nie widzieć jasnych okien atelier.

Billie pocałowała Rileya i przytuliła go mocno. Chłopiec znosił to ze stoickim spokojem. Jaki on wysoki, zachwyciła się. I jaki przystojny. Podobieństwo do Mossa było wręcz niesamowite.

- Co w szkole? - zapytała.

- W porządku. Dostałem dzisiaj piątkę z angielskiego. Dzienniczek leży w holu, jeśli chcesz obejrzeć. Tata musi coś podpisać. Jak się macie, tu w domu?

- Świetnie. Sawyer już śpi, ale jutro będziesz mógł się z nią pobawić. Uważaj, to mała spryciula.

Riley roześmiał się radośnie.

- Dostałem listy od Maggie i Susan. U nich wszystko w porządku. Odpiszę w weekend.

- Dopilnuję tego. - Cieszyła się, że Riley koresponduje z siostrami. Zadziwiające, że obie pisały do niego regularnie, choć na listy od Susan przychodziło dłużej czekać. Jej dzieci się kochają. Ani Riley, ani Susan nie osądzali Maggie. Akceptowali ją. Dlaczego dorośli tacy nie są? Nie, wolą przyklejać etykietki, udzielać kar i pochwał. Nie znosiła sztuczności. Dzieci są często mądrzejsze od dorosłych.

- Co jest na kolację? Umieram z głodu.

- Nie przypominam sobie, byś kiedykolwiek wrócił do domu w innym stanie -zażartowała.

- Mamo, na śniadanie zjadłem tylko owsiankę, a na lunchu nie byłem. Mógłbym zjeść pół wołu!

- Mamy dziś żeberka, twój dziadek się uparł. A na deser placek jeżynowy. Co ty na to?

- Nie mogę się doczekać. Gdzie tato?

- Ktoś mnie wołał? -Moss zamknął syna w objęciach.

Piątkowe kolacje należały do najprzyjemniejszych. Wszyscy wkładali więcej niż zwykle wysiłku w stwarzanie dobrej atmosfery. Robili to ze względu na Rileya. Seth opowiadał o ranchu i firmie. Chłopiec chłonął każde słowo i jadł, aż mu się uszy trzęsły. Moss nie spuszczał go z oka. Agnes rezydowała u szczytu stołu i wzrokiem poganiała służące.

Tego dnia w powietrzu wisiało napięcie. Coś się szykuje. Moss grzebał widelcem w talerzu, zamiast jeść. Jak wszyscy Colemanowie płci męskiej, uwielbiał żeberka. Inni zachowywali się normalnie. Zatem to on coś planuje. Jak dobrze go zna. Może tylko czekać. Moss odkryje karty przy kawie i deserze.

Ledwie nowa ciemnowłosa służąca przechyliła dzbanek z kawą Moss wsunął dłoń do kieszeni marynarki. Podał Billie grubą kopertę.

- Co ty na to, kochanie?

Zmarszczyła brwi. Zajrzała do środka. Otworzyła szeroko oczy, znieruchomiała. Była w pułapce; nie po raz pierwszy doznawała tego uczucia. Wsunęła papiery z powrotem do koperty.

- Co to? Nie trzymaj nas w niepewności, dziewczyno? - dopytywał się Seth gromko.

- Co to takiego, mamo? Tato ma minę, jakby wygrał na loterii.

Powiedz! - zawołał Riley, który z podniecenia chwilowo zapomniał poprosić o dokładkę ciasta.

- To dwa bilety lotnicze do Europy - rzuciła krótko Billie.

- Moss! Cudownie! -zaświergotała Agnes.

- Mamo, zobaczysz się z Susan i ciocią Amelią. Nie cieszysz się? - Riley nie ukrywał zdziwienia.

- Nie wyglądasz na szczęśliwą dziewczyno! - ryknął Seth. - Twój mąż zadał sobie wiele trudu, żeby to zorganizować. Mogłabyś przynajmniej okazać radość.

Puściła ich uwagi mimo uszu.

- Moss, trzeba było mnie zapytać. Pomysł jest wspaniały, ale nie mogę teraz jechać do Europy, i dobrze o tym wiesz. Wyjeżdżam na Wschód. Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie i, jeżeli pamiętam, nie sprzeciwiałeś się moim planom. A teraz organizujesz podróż do Europy, nie zapytawszy mnie nawet o zdanie. Przykro mi.

Seth nie posiadał się z oburzenia.

- A niby dlaczego przykro? Odwołasz swoje rezerwacje i pojedziesz z mężem, jak każda przyzwoita żona, i tyle. Moss, przywołaj ją do porządku.

Moss zacisnął zęby. Jego plan nie zadziałał. Znowu tracił kontrolę nad sytuacją. Billie wymykała mu się z rąk.

- Kochanie, pomyśl, jakie to wspaniałe. Będziemy zwiedzać Europę, spotkamy się z Susan i Amelią. Mogłabyś obejrzeć przędzalnie wełny. To będzie nasz drugi miesiąc miodowy.

Wszyscy wlepiali w nią wzrok. Nie wiedziała, co zrobić. Drugi miesiąc miodowy, dobre sobie. Zamiast żoną, będzie dla Mossa pokojówką. Jego ubrania ciągle przesycał zapach perfum Alice Forbes. Drugi miesiąc miodowy. To zbyt śmieszne, żeby było prawdziwe.

- Przykro mi, Moss. Mam już rezerwacje. Nie interesują mnie przędzalnie wełny. Gdybyś słuchał, co do ciebie mówię, wiedziałbyś, że fascynuje mnie sztuka Dalekiego Wschodu. Przykro mi, ale nic z tego. Może w przyszłości zaplanujemy jakąś podróż razem. A teraz wybaczcie mi, muszę zajrzeć do Sawyer.

- A niech mnie! -Seth rąbnął pięścią w stół. -Załatwiła cię, synu. Ściągnij jej cugle. Co tu się dzieje? Co za brednie o Dalekim Wschodzie? Pierwszy raz o tym słyszę. Odetnij ją od forsy, zaraz się uspokoi. Wystarczy, że zrobisz to raz. Na długo zapamięta, kto jest

szefem.

- Nie mogę - odparł Moss.

- A to czemu? - zdziwił się Seth.

- Bo mówiła prawdę. Rozmawiała ze mną o swojej podróży. Sam powiedziałem, że może jechać. - Nie wyobrażał sobie gorszego upokorzenia. I to w obecności ojca, syna i teściowej. Zerknął na Agnes. Nerwowo szarpała perły. A czym, do cholery, ona się denerwuje?

Agnes wstała od stołu. Zanim odeszła, upomniała Rileya, by wypił mleko do końca. Moss zniknął w gabinecie. Riley rozejrzał się wokół siebie. Czasami Sunbridge przerażało pustką. Może na następny weekend zaprosi jakiegoś kolegę. Davidowi spodoba się na rancho. Przedtem jednak musi go uprzedzić, że jego dziadek ma wybuchowy charakter. A babcia bynajmniej nie przypomina piekących ciasteczka staruszek, o których opowiadały inne dzieci. Przełknął ostami łyk mleka i wstał od stołu.

Billie leżała na wąskim posłaniu. Za ścianą równo oddychała Sawyer. Nie oszukiwała się ani przez chwilę. Wybór należał do niej. Sama podejmie decyzję. Składała Mossowi przysięgę; uszanuje ją. Kochała go, zawsze będzie go kochała. Jednak teraz darzyła go innym rodzajem miłości. Zniknęła namiętność zapierająca dech w piersiach. Zniknęła bliskość pierwszych dni po ślubie. Zostały fizyczne potrzeby, które wystarczy zaspokajać co jakiś czas, i wzajemne oddanie.

Po co? Żeby mieszkać pod jednym dachem. Żeby jednoczyć siły, jeśli dzieci potrzebują pomocy.

To zabawa w udawanie. Udawanie, że nie wie o Alice Forbes. Ze nie widzi śladów szminki, nie czuje perfum na koszuli męża. Że nie przeszkadza jej jego podróż do Europy. Że Mossa obchodzi jej praca.

Wpatrywała się w ciemność. Jak to możliwe, że wcale nie jest śpiąca? Usiłowała dojrzeć wszystkie przedmioty na toaletce. Z niewiadomych przyczyn uważała to za bardzo ważne. Powtarzała sobie w kółko, że Moss jest ojcem jej dzieci. Nie tak miało wyglądać ich wspólne życie. Wyobrażała sobie swoje małżeństwo jak bajkę z happyendem, gdy książę i księżniczka żyją długo i szczęśliwie. Niestety, rzeczywistość różni się od bajek.

Padły już wszystkie słowa. Wypłakała już wszystkie łzy. Czas, by spojrzała prawdzie w oczy i nauczyła się poznawać koniec.

Grobowa cisza następnego ranka działała jej na nerwy. Gdyby nie

radosne gaworzenie Sawyer, zaczęłaby krzyczeć.

Dziewczyna, która pomagała j ej opiekować się Sawyer, cierpliwie czekała przy drzwiach. Cieszyła się na poranną przejażdżkę powozem zaprzężonym w kucyka, tak samo, jak dziecko.

- Przypnij ją mocno. Wróćcie najpóźniej za godzinę - instruowała Billie. -Zanosi się na deszcz. Po powrocie daj jej ciasteczko i mleko i przynieś ją do atelier. Sawyer, bądź grzeczna i nie sprawiaj Nancy kłopotów. Jak wrócisz, zbudujemy wielki zamek z klocków od babci Agnes.

Sawyer wyciągała do niej pulchne ramionka, domagając się całusa.

- Solly dobra dziewczynka.

Billie roześmiała się.

- Tak, skarbie, najlepsza na świecie. A teraz powiedz: Sawyer. Sojer.

- Solly. - Mała zachichotała.

Billie parsknęła śmiechem, co Sawyer chciała usłyszeć.

- Idź, Solly, i baw się dobrze. -Pa, pa, babciu. -Pomachała jej.

Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, Billie pobiegła na dół, do gabinetu Mossa. Szukała dla siebie usprawiedliwienia, kiedy myszkowała w jego dokumentach. Nad ranem zawarła ze sobą układ. Jeśli Moss nie kłamał, mówiąc o drugim miesiącu miodowym, odwoła podróż na Wschód. Co innego, jeśli do Europy jechał w interesach, a ją zabierał z sobie tylko znanych powodów.

Jak złodziej oglądała się za siebie, pełna obaw, że lada chwila w drzwiach staną Seth lub Agnes. Do licha, trzeba było zamknąć drzwi. A co, jeśli pokojówki przyjdą sprzątać? Nie, tego nie musi się obawiać. Pod tym względem jego gabinet i jej atelier były podobne; służba nie miała do nich wstępu. Od razu znalazła gruby plik dokumentów, z biletami na samym wierzchu. Przejrzała je pobieżnie. To wystarczyło.

Drugi miesiąc miodowy to farsa. Moss zaplanował tyle spotkań w interesach, że w najlepszym razie spotka się z nią w porcie, przed powrotem do Stanów.

A może przez „drugi miesiąc miodowy" rozumiał rejs? Ale nie, znowu go usprawiedliwia. Moss wyraźnie powiedział, że będą „zwiedzali Europę". Spojrzała w jego terminarz. Będzie zajęty dzień po dniu, godzina po godzinie. Imiona Susan i Amelii nie pojawiły się ani razu.

Opadła na krzesło. Skoro już tu jest, zobaczymy, co jeszcze znajdzie. Zdolnej szuflady wyjęła pakiet listów. Były ukryte za pudełkiem cygar i butelką burbona z Kentucky. Wszystkie nosiły stempel z Nowego Jorku. Były zaadresowane na skrytkę pocztową.

Obracała je w palcach. Stanowiły część życia Mossa. Nie miała prawa ich czytać, bez względu na to, jak się między nimi układa. Bała się. Miała zamęt w głowie. Byli, a jednocześnie nie byli małżeństwem. Nie, skoro Moss postępował tak, a nie inaczej.

A ty? - zapytał wewnętrzny głos.

Co z Jordanem? I z uczuciami, które żywisz do Thada? Zawstydziła się. Spojrzała na datę. Ostatni list wysłano zaledwie przed tygodniem.

Odłożyła wszystko na miejsce. Zawstydzona, ukryła płonące policzki w dłoniach.

Wracała do sypialni wolnym krokiem. Jak mogła tak postąpić, poniżyć się do tego stopnia? Bo, odparł wewnętrzny głos, byłaś gotowa zrezygnować ze swoich planów, poświęcić się, jak zwykle. Mąż był dla ciebie ważniejszy. Teraz wiesz, co dla niego odgrywa najważniejszą rolę.

Jest ojcem moich dzieci. Wyszłam za niego na dobre i złe, upominała się. A co z tobą? dopytywał się głos. Co z twoimi uczuciami, pragnieniami? Co z twoim życiem? Męczenników czeka ponury koniec.

Nerwowo przechadzała się po pokoju. Nagle rozluźniła palce zaciśnięte w pięści. Zatrzymała się przed lustrem.

-Nigdy więcej - oznajmiła swojemu odbiciu. - Nigdy więcej.

Obróciła się lekko.

- Nigdy więcej! -krzyknęła do pustego pokoju. Przetrwa. Nauczyła się tego od Colemanów.

Tydzień później Moss wyruszył do Europy przez Dallas i Nowy Jork. Seth objął go kościstymi ramionami, poklepał po plecach i kazał na siebie uważać. Agnes uśmiechnęła się i nadstawiła policzek. Billie uśmiechnęła się złośliwie. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają; zawsze będzie ostatnia. Tym razem uznała to za zabawne.

- Billie, żałuję, że ze mną nie jedziesz. Susan i Amelia będą zawiedzione.

Chciał wzbudzić w niej poczucie winy. Uśmiechnęła się z wysiłkiem i nadstawiła policzek do pocałunku, zupełnie jak Agnes.

- Uściskaj je ode mnie. Powiedz, że wysłałam wczoraj długi list.

Baw się dobrze.

- Jak mogę się dobrze bawić bez ciebie? - Czekał. Może jeszcze zmieni zdanie. Nie zwrócił jej biletu. Boże, zaczyna się zachowywać jak jej matka. Plecie słowa bez znaczenia. I uśmiecha się sztucznie, jak maski na Halloween.

Billie już miała na końcu języka komentarz, że dotychczas doskonale się bez niej bawił, ale milczała. Idź już, idź, błagała go w myślach. Mam dość twoich kłamstw. No, idź!

- Do zobaczenia, Billie. Tato, opiekuj się nią. - Moss po raz drugi uściskał ojca. Seth mruknął coś niewyraźnie. Moss wsiadł do samochodu.

Odjechał. Billie odetchnęła z ulgą.

Dwa tygodnie później wyruszyła na Daleki Wschód. Gdyby nie konieczność rozstania z Rileyem i Sawyer, byłaby bezgranicznie szczęśliwa.

Na lotnisku w Hongkongu pokazała paszport i cierpliwie czekała, aż celnicy skończą przeszukiwać jej bagaż. Da sobie radę sama. Przed wyjazdem sprawdziła kurs tutejszej waluty. Teraz jej portfel wypychały czerwone, zielone i niebieskie banknoty.

Na lotnisku kłębiły się tłumy ludzi. Nikt się nie uśmiechał z wyjątkiem Billie. Skinęła na bagażowego. Skłonił się sztywno. Był starym człowiekiem, pobladł, dźwigając jej ciężkie walizki. Wsiadłszy do taksówki, podała mu monetę, pięć tutejszych dolarów. Przyglądała mu się uważnie. Wyraz jego twarzy się nie zmienił, wcisnęła mu więc drugą monetę.

Skinął głową ale się nie uśmiechnął. Był zmęczony i słaby. Zrozumiała, że aby wywołać uśmiech na jego twarzy, potrzeba wiele monet. Pod wpływem impulsu chwyciła go za rękę i wsypała w dłoń garść bilonu. Skłonił się ponownie i cofnął o krok. Zachowała się głupio, pewnie go uraziła, jednak wyobraziła sobie zadowolenie jego żony tego wieczoru.

- Hotel Peninsula, Kowloon - podała taksówkarzowi adres. Kierowca potrząsnął głową.

- Do Kowloon pani jechać srebrno-czerwona taksówka. Ja tylko Hongkong. Pani wysiada.

- Co?

- Pani wysiada i jechać srebrno-czerwona taksówka. Do Kowloon.

- Pomoże mi pan przenieść walizki?

- Ja tylko jadę taksówką Hongkong.

- Zapłacę. - Powoli wpadała w panikę. To dopiero początek podróży, a już zaczynają się kłopoty. Rozglądała się w poszukiwaniu swego bagażowego. Niestety, znikł w tłumie.

- Za pięć dolarów amerykańskich pomogę.

Kwadrans później siedziała już w innej taksówce, rzeczywiście srebrno-czerwonej. Kierowca odwrócił się do niej:

- Jak pani płaci, w naszych czy waszych pieniądzach?

- A jak pan woli? - zapytała głosem, jak sądziła, bardzo oficjalnym.

- Dwadzieścia dolarów amerykańskich do Kowloon.

- Dobrze. Proszę mi powiedzieć, ile wziąłby pan od tubylca za tę samą trasę?

- Cztery dolary. Hongkong - odparł kierowca.

Ruszyli z miejsca. Mało brakowało, a wpadliby pod autobus. Billie zamknęła oczy. Nie będzie się przejmowała, że ją naciągnął. Od jutra będzie się targować. Teraz jest na to zbyt zmęczona. Marzyła o gorącej kąpieli i wygodnym łóżku.

Na kolistym podjeździe hotelowym stały niemal wyłącznie rollsroyce. Wejścia do holu strzegło dwóch odźwiernych w białych liberiach. Jutro będzie czas, żeby to wszystko podziwiać, zadecydowała.

Obudziła się błyskawicznie. Nie zapomniała, gdzie jest. Kowloon. Pierwszy dzień w Hongkongu. Może robić, co jej się żywnie podoba. Wykąpie się i pójdzie na śniadanie. Albo jeszcze lepiej, zamówi coś do pokoju. Tak, tak właśnie postąpi. Długa, rozkoszna kąpiel, a potem smakowity posiłek.

Klasnęła w dłonie i jak dziecko podskoczyła na łóżku. Naprawdę jest w Hongkongu!

Billie niepewnie zatrzymała się w hotelowym holu. Zamówić taksówkę w recepcji czy samej wyjść na zewnątrz?

Portier zlustrował ją wzrokiem i zapytał:

- Czym mogę pani służyć?

- Chciałabym dostać się do centrum.

- Taksówka, czy może woli pani prom? Zerknęła na zegarek:

- Chyba prom.

- W takim razie, pozwolę sobie zaproponować taksówkę do

przystani.

Wyszli przed budynek. Billie patrzyła z niedowierzaniem, jak do schodów podjeżdża taksówka. Nie widziała, by portier dawał jakieś znaki czy cokolwiek mówił. Boy w białej liberii podał jej ramię i otworzył drzwiczki. Uśmiechnęła się. Odpowiedział poważnym spojrzeniem ciemnych oczu.

- Do przystani, proszę. - Billie opadła na oparcie.

Na miejscu zapłaciła za przejazd i ustawiła się w długiej kolejce na drewnianej rampie. Usiadła na końcu długiej, sfatygowanej ławki, żeby mieć dobry widok na port. Prom nie odbił jeszcze od nadbrzeża, a ją już pochłonęło robienie zdjęć. Wypstrykała cały film na barwne sampany i dżonki, zanim prom się zatrzymał. Przez chwilę ogarnęła ją panika. Była sama jak palec, na drugim końcu świata, tysiące kilometrów od Teksasu. Zaraz jednak zwyciężyło podniecenie. Jak inni pasażerowie, dziarskim krokiem zeszła na brzeg. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Pokurczony staruszek wyciągnął rękę i obnażył bezzębne dziąsła w uśmiechu.

- Panienka chce riksza? Jeden dolar amerykański!

Billie błyskawicznie złapała za aparat fotograficzny. Roześmiała się, gdy staruszek zakrył twarz dłońmi.

- Zdjęcie, dwa dolary amerykańskie.

- Dobrze- skinęła głową. -Ale tylko dlatego, że jesteś pierwszą osobą w tym kraju, która się do mnie uśmiechnęła. - Skierowała obiektyw na staruszka i zrobiła mu trzy zdjęcia. Najpierw się uśmiechnął, potem uchylił kapelusza, na koniec zaś dumnie oparł nogę na rikszy i wyrzucił ramiona w górę.

- Panienka, riksza najlepsza!

- A co to znaczy?

- To znaczy, że zawiozę panią, gdzie pani zechce.

- Ulica Tkaczy. Zabierzesz mnie tam?

- Za jeden amerykański dolar. Zapłać teraz. I za zdjęcia.

Billie wręczyła mu pieniądze. Wsunął je do kieszeni luźnych czarnych spodni, stroju wszystkich Chińczyków. Na nogach miał cienkie pantofle; na jego chudych stopach wyglądały jak baletki. Jakim cudem to chuchro, ważące najwyżej czterdzieści kilogramów, da radę uciągnąć ciężką rikszę i ją? głowiła się. Ruszyli. Staruszek biegł z pochyloną głową.

Przejażdżka była przyjemna, ale Billie miała wyrzuty sumienia, że staruszek ją ciągnie. Na miejscu będzie się poruszała na własnych nogach, wmiesza się w tłum i będzie chłonąć atmosferę miasta. Wbrew sobie parsknęła śmiechem. Wiedziała, po prostu wiedziała, że staruszek więcej zarabia na fotografowaniu się niż na obwożeniu ludzi.

- Dzielnica Tkaczy! -krzyknął przez ramię. - Pani wysiada.

Billie wyjęła z torebki dwa banknoty. Ku jej zdumieniu, staruszek prychnął z pogardą i odwrócił się na pięcie. Szybko przeliczyła w myśli; dwa dolary to nader szczodry napiwek!

- Pieniądze za nic niedobre. Nie rób tak. Stracisz twarz, jeśli tak zrobisz.

- Nie przyjmujecie napiwków? -Nie wierzyła własnym uszom.

- Pieniądze za nic niedobre. Mądra pani tak nie robić.

Billie rozważała, czy ma z powrotem schować banknoty do torebki. Wtedy staruszek wepchnął je do kieszeni obszernych spodni.

Roześmiała się:

- Nie zrobię tak.

Pomachał jej na pożegnanie i mrucząc coś pod nosem, odbiegł truchtem w poszukiwaniu następnego klienta.

Znajdowała się na ulicy Tkaczy. Wzdłuż wąskiej uliczki ciągnęły się dziesiątki sklepików z różnego rodzaju tkaninami. Nad głowami przechodniów, osłaniając od słońca, kołysały się szyldy i flagi, pokryte chińskimi znakami. Billie obeszła niemal wszystkie zakamarki zanim znalazła to, na czym jej zależało.

Po powrocie do hotelu padła na łóżko i zasnęła kamiennym snem. Obudziła się dopiero rano. Następne dni upływały szybko na zakupach, spotkaniach i zwiedzaniu. Swoje skarby składała do wielkiego kufra, w którym towary popłyną do Stanów. Wysłała kartki pocztowe do dzieci.

Piątego dnia poczuła się na tyle pewnie, że odważyła się targować, czym wprawiła w niekłamany zachwyt wszystkich sprzedawców. Ustalała maksymalną cenę, jaką była gotowa zapłacić, i nie dawała się naciągnąć nawet na centa więcej. Dwukrotnie wyszła ze sklepu z pustymi rękami i dwukrotnie sprzedawcy pobiegli za nią, godząc się na jej cenę. Dla Thada kupiła aparat fotograficzny, według sprzedawcy nadający się nawet dla idiotów. Z niepojętych przyczyn, na każdym zdjęciu robionym przez Thada widniał jego palec lub cała dłoń. Mossowi i Sethowi kupiła identyczne w kroju, za to różniące się

kolorami, jedwabne szlafroki ze smokiem na plecach. Dla Agnes miała sznur korali z jadeitu. Usłyszawszy ich cenę, długo się wahała, czy je kupić. Zabawki dla dzieci wypełniały kufer po brzegi. Kupiła dragi, żeby mieć w co spakować swoje jedwabie i brokaty. Hongkong zapierał dech w piersiach. Żałowała tylko jednego; że nie ma z nią kogoś, z kim mogłaby dzielić się wrażeniami. Co chwila miała ochotę krzyczeć „o, popatrz" albo „i co ty na to?" Zamiast tego gawędziła ze sprzedawcami, wypytywała o drobiazgi i się uśmiechała.

Zanim upłynął ósmy dzień, zdążyła poznać najlepsze restauracje Azji, przejechać się koleją Kanton-Kowloon i wjechać kolejką na wysokość 397 metrów nad poziom morza. Jedenastego dnia znała każdy sklepik przy Nathan Road; ze smakiem piła zieloną herbatę.

Zostało jej jeszcze tylko pięć dni do wyjazdu, a nadal nie otrzymała zezwolenia na podróż na wschodnie wybrzeże Chin kontynentalnych. Tam, w Jedwabnym Mieście, w prowincji Czekiang, powstają jedwabie czyste jak woda, piękne jak poemat, jak chmury na niebie, jak kwiaty na łące. Przebyła taki szmat drogi; warto byłoby zobaczyć morwowe drzewa prowincj i Czekiang.

Długa kąpiel i kolacja do pokoju to rzecz konieczna, uznała Billie. Zmęczenie dawało o sobie znać. Wchodząc do wanny, zastanawiała się, co Moss porabia w Europie i czy odwiedził Amelię i Susan. Wątpiła w to.

Rozdział ósmy

Billie zasiadała właśnie do kolacji, ubrana w piękny, nowy czerwony szlafrok z jedwabiu, gdy zadzwonił telefon.

- Thad! Gdzie jesteś? Roześmiał się.

- Tu, w hotelu, gdzie indziej mógłbym być? Mierzysz wysoko, moja droga. W hotelu Peninsula zatrzymują się królowie, królowe, divy operowe, książęta, głowy państw, potentaci biznesu i agenci CIA.

- Wspaniale. Kiedy przyjechałeś? Jak długo zostaniesz? Co cię tu przywiodło?

- Dostałem twój ostami list. Hongkong od Japonii to rzut beretem dla kogoś, kto ma do dyspozycji rządowy samolot. Mam dwa dni. Chciałem się z tobą zobaczyć. Jak się masz, Billie?

- Och, Thad, to fascynujące. Ciągle nie mogę uwierzyć, że tu

jestem. Do szczęścia brakowało mi tylko kogoś, z kim mogłabym się dzielić wrażeniami. Tak się cieszę, że przyjechałeś.

- Jadłaś kolację?

Spojrzała na stół zastawiony półmiskami, porcelaną kryształami.

- Nie-skłamała.

- Świetnie. Zjemy tu, w hotelu, w Gaddi's. Na pewno już tam byłaś, ale uważam tę restaurację za jedną z najlepszych w całej Azji.

- Doskonale. Ile mam czasu?

- Dziesięć minut - zachichotał.

- Zobaczymy się w holu. - Odłożyła słuchawkę. Nowa suknia bez ramion, z zielonego jedwabiu, będzie doskonała. Do tego jadeitowe kolczyki, które tego ranka kupiła na Nathan Road. Makijaż nałoży w mgnieniu oka. Dziesięć minut? Zdąży. Za dziesięć minut zobaczy Thada. Nigdy w życiu nie ruszała się tak szybko. Pończochy, stanik... Włożyła sukienkę. Cały czas myślała o nim. Tyle ma mu do powiedzenia. Jego obecność stanowiła wystarczającą rekompensatę za niemożność wyjazdu do prowincji Czekiang.

Poprawiła fryzurę, wzięła małą torebkę wyszywaną perłami i spojrzała w lustro. Była zadowolona ze swego wyglądu. Równie dobry humor miała ostatnio tego dnia, gdy Thad odwiedził ją w atelier. Rok to kawał czasu.

Zaparło mu dech w piersiach na jej widok. Billie piękniała z roku na rok. Zaschło mu w gardle. Oby tylko był w stanie mówić. Co się dzieje? Przecież nie jest nastolatkiem.

Popatrzyli sobie w oczy. Billie obdarzyła go olśniewającym, wiele znaczącym uśmiechem. Oto spotykają się sami, w jednym z najbardziej fascynujących miast świata.

Hongkong i Billie Coleman. Głowy innych gości hotelowych także zwróciły się w jej stronę. Było mu gorąco. Czy zdaje sobie sprawę z jego uczuć? Czy możliwe, by nie wyczytała ich z jego oczu? Nie jest głupia. Jest kobietą, a on mężczyzną. I co z tego? Nie jest wolna. Jest żoną Mossa. Nie wolno mu o tym zapomnieć. Zjedzą razem kolację jak dwójka starych przyjaciół. Nie posuną się ani krok dalej.

W galowym mundurze, wysoki i szczupły. Billie zauważyła go natychmiast. Boże, zwichnie sobie nogę na wysokich obcasach i zrobi z siebie pośmiewisko. Co on sobie o niej pomyśli? Jest bardzo przystojny, oszałamiająco przystojny. Obserwuj ą go wszystkie kobiety,

gdy tak idzie wyciągając ramiona. Jak przyjemnie przytulić się do niego na oczach wszystkich. Pocałunek w policzek to nic złego, szczególnie w tym hotelu, gdzie wszyscy czekają na cud. Pachniał jak dawniej. Dobry Boże, to naprawdę Thad.

- Pięknie wyglądasz. - Uśmiechnął się do niej.

- Właśnie miałam powiedzieć, że jest pan, admirale, najprzystojniejszym mężczyzną w hotelu. Jak się masz?

- Nie chcesz tego tak naprawdę wiedzieć, co? - zapytał niskim głosem.

- Owszem, chcę - odparła szeptem.

- Powiedzmy, że w tej chwili mam się doskonale. A ty, Billie?

- Nie chcesz tego tak naprawdę wiedzieć, co? - przedrzeźniała go.

- Są rzeczy, które mężczyzna musi wiedzieć, i takie, które mogą pozostać tajemnicą. Nie wiem, czy chcę usłyszeć twoją odpowiedź. Chodźmy na kolację. Zarezerwowałem stolik.

Billie nie miała czasu ani głowy, by napawać się wykwintnym przepychem restauracji. Całą jej uwagę pochłaniał Thad. Rozmawiali o błahostkach, sącząc najlepsze hotelowe wino. Thad zamówił dla niej *emincee de volaillew* sosie *beurre maitre d 'hotel,* pod którą to nazwą, jak przetłumaczył, krył się krojony kurczak w kwaskowatym sosie maślanym. Nie pamiętała, czy to jadła, a co dopiero mówić o smaku dania. Nie widziała pięciu kelnerów obsługujących ich stolik. Na ziemię sprowadziło ją dopiero pytanie o męża.

- Jest w Europie. - Była zła, bo myśl o Mossie zepsuła jej humor. - Poleciał tam samolotem, a wróci statkiem. Nie dawał znaku życia od wyjazdu, więc zakładam, że nadal planuje rejs. Mam nadzieję, że znalazł chwilę czasu na odwiedziny u Susan i Amelii. To podróż w interesach. Ary, Thad? Kiedy się pochwalisz następnym awansem?

Nie odpowiedział na jej pytanie, za to sam zadał kolejne:

- Ile tu zostaniesz?

- Tylko kilka dni. Tęsknię za Sawyer.

Nie za Mossem, nie za mężem. Gdyby tak było, powiedziałaby to. Nie, tęskniła za dzieckiem. Uśmiechnął się:

- Jak myślisz, ile bym dostał za te cztery złote gwiazdki? - wskazał swoje epolety.

Zachichotała:

- Niedużo. Gdyby były z jadeitu, kilka dolarów, a i to po ostrym

targowaniu się. Znam się na tym. Powiedz, co chcesz. Wytarguję uczciwą cenę i nikt nie straci twarzy.

Z restauracji wyszli o północy.

- Co powiesz na mały spacerek?

Zgodziła się, bo nie chciała, by wieczór dobiegł końca. Będzie musiała wędrować kilka mil na wysokich obcasach? No i co z tego? Jest z Thadem. To warte odcisków i zniszczonych butów.

- Tęskniłem za tobą, Billie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak niecierpliwie czekałem na twoje listy. Czy mówiłem już, że Salomon jest razem ze mną w Japonii?

- Tak. Jak mu się tam podoba? - Dlaczego właściwie rozmawiają o jego psie, a nie o sobie? O nich dwojgu? Czy mają przed sobą wspólną przyszłość?

Thad odprowadził ją do drzwi, pocałował w policzek na dobranoc i przypomniał, by zamknęła się na klucz. Umówili się na ósmą rano w holu.

Kiedy usłyszał szczęk zamka, ciężko oparł się o ścianę. Z trudem zwalczył chęć zapukania do drzwi. Dwukrotnie zawracał od windy i za każdym razem zatrzymywał się w pół kroku. W swoim pokoju podchodził do telefonu cztery razy w ciągu tyluż minut.

Mył zęby, kiedy zadzwonił telefon. Połknął pastę, rzucił szczoteczkę do wanny i podbiegł do aparatu. Odebrał przed drugim dzwonkiem.

- Hulo - resztki pasty nie pozwalały mówić wyraźniej.

- Thad, obudziłam cię? Przepraszam. Chciałam tylko powiedzieć „dobranoc" i podziękować za cudowny wieczór.

- Nie spałem. - I chyba już nigdy nie zaśnie. - Cała przyjemność po mojej stronie, Billie. Bawiłem się równie dobrze jak ty. Mam nadzieję, że jutrzejszy wieczór okaże się jeszcze bardziej interesujący.

- Też mam taką nadzieję. A więc, do zobaczenia na śniadaniu. Dobranoc. Billie odłożyła słuchawkę trzęsącą się dłonią. Powinien był coś powiedzieć.

Dała mu szansę. Cóż mogłaby zrobić więcej, chyba rzucić się mu na szyję. Teraz nie zmruży oka. Do świtu leżała wpatrzona w wysoki sufit. W radio puszczano w kółko te same piosenki. Ze swego okna podziwiała wschód słońca.

Następnego ranka Thad miał na sobie cywilne ubranie. Przez całą

noc układał sobie w myślach, jak spędzi dzień z Billie. Dobrze znał Hongkong, ponieważ po wojnie spędził tu cały miesiąc. Teraz podzieli się z nią wspomnieniami. Cały dzień i wieczór z Billie.

Po lekkim śniadaniu, na które zamówili rogaliki i kawę, poprosił, by pomogła mu kupić prezenty dla krewnych w Vermont.

Postanowili zabrać lunch ze sobą i wyruszyli na zwiedzanie. Thad pokazał jej najpiękniejsze świątynie miasta. Później włóczyli się po bazarach i targach. Następnym przystankiem miała być skała Amah. Thad opowiedział Billie związaną z nią legendę:

- Żona pewnego rybaka zawsze wypatrywała stąd powrotu męża. Na plecach nosiła dziecko w specjalnym nosidełku. Pewnego dnia dowiedziała się, że mąż zginął, ale nie chciała w to uwierzyć. Czekała na niego lata całe, aż bogowie ulitowali się nad nią i zabrali ją i dziecko do męża. Tutaj postawili kamień, by upamiętniał jej wierność.

- Piękna historia. Skała rzeczywiście wygląda jak madonna z dzieciątkiem. -Za żadne skarby świata nie przyznałaby się, że tydzień temu wyczytała legendę w przewodniku i odwiedziła to miejsce. W obecności Thada widziała wszystko na nowo. Teraz miała kogoś, z kim mogła się dzielić wrażeniami. To kolosalna różnica.

- Ciekawe, czy mężczyźni są zdolni do takiej wierności - stwierdziła cicho. Thad wziął ją za rękę.

- Niektórzy tak. Następny postój to klasztor Dziesięciu Tysięcy Budd. Nie widziałem go jeszcze. Zbudowano go w 1950 roku. - Zajrzał do przewodnika.

Był to piękny, słoneczny dzień. Billie nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się równie dobrze w towarzystwie innego człowieka. Gdyby... gdyby... Czasami Thad patrzył na nią z dziwnym błyskiem w oku. Uśmiechała się, a on odwzajemniał jej uśmiech. Otoczył ją ramieniem, pokazując coś palcem. Przytuliła się do niego.

- Cały czas myślę o naszym wspólnym dniu na Hawajach - odezwała się. -Pamiętasz?

- Tak. Byłem ciekaw, czy czasami to wspominasz. Popatrzyła mu w oczy.

- To było dawno. Od tego czasu wiele się wydarzyło. Tamten dzień należy do moich najpiękniejszych wspomnień. Thad... powinniśmy porozmawiać.

- Nie teraz. Nie tutaj. - Boże, czekał na to od lat. Ale nie w obcym

kraju, gdzie nic nie jest rzeczywiste. Krew pulsowała mu w skroniach.

To był błąd, upominała się. Co on sobie o niej pomyśli?

- Przepraszam. Zapomnij, co powiedziałam. Nie ma sensu o tym rozmawiać. Wybacz, proszę. Nie chciałam cię urazić.

- Billie, ja...

- Proszę, Thad. Chodźmy już. Mam dość świątyń. Może napijemy się herbaty? Filiżanka herbaty dobrze nam zrobi, nie uważasz?

Chciał wziąć ją za rękę, ale była szybsza. Niemal biegiem zdążała do autobusu. Gdy ją dogonił, uśmiechnęła się przyjaźnie i zaczęła rozmowę na temat uroków Hongkongu. Stchórzył. Odpowiednia chwila minęła.

Gawędzili przez całą drogę do hotelu. Rozstali się w holu, umówiwszy się na kolację o ósmej.

Thad nerwowo spacerował po pokoju. Nigdy dotąd nie czuł się równie beznadziejnie. Dlaczego nie powiedział, co do niej czuje? Dlaczego nie sięgnie po to, czego pragnie? Przecież tego samego pragnęła Billie!

Czy to dobre, czy złe, kogo to obchodzi? - zadawał sobie pytanie, zaciskając pięści. To proste - wyciągasz rękę i, jeśli los się do ciebie uśmiechnie, napotykasz inną dłoń. Billie wyjdzie mu w pół drogi. Nic nie miało znaczenia oprócz Billie i jego miłości do niej.

Cokolwiek by się o tym powiedziało, kariera to kiepski substytut ukochanej kobiety. Zmarnował już tyle lat. Miał szanse zostać dowódcą sił marynarki Pacyfiku. Dążył do tego, żeby o niej zapomnieć. Honor, reputacja, poświęcenie to puste słowa. Słuszne, złe, Billie, Moss. To takie skomplikowane, takie bolesne. To smutne, gdy mężczyzna ma tylko pracę i psa. To nie wystarcza, nigdy nie wystarczyło. Nic nie ma sensu bez Billie.

Zakręciło mu się w głowie na tę myśl. Usiadł na łóżku. Do licha z tym wszystkim. Czas ucieka.

Billie niezdecydowanie przeglądała stroje, niektóre nadal owinięte w sztywny ryżowy papier. Miała ochotę na coś pogodnego, jasnego. W końcu wybrała wąską sukienkę z mandarynkowego jedwabiu, z obcisłymi rękawami i stójką pod szyją. Złote kolczyki i bransoleta dopełniały wizerunku. W ostatniej chwili wsunęła na palec pierścionek z dużym topazem. Zasłaniał obrączkę ślubną.

Nerwowo przechadzała się po pokoju. Od dawna wiedziała, jak

ważny stał się dla niej Thad w ciągu minionych lat. Teraz jednak uświadomiła sobie, że pragnęła go także fizycznie. Długo nie chciała się do tego przed sobą przyznać.

Kiedy wysiadła z windy, Thad już na nią czekał. Podszedł do niej zdecydowanym krokiem. Spojrzał jej w oczy. Zarumieniła się.

Jedli kolację w Chesa, szwajcarskiej restauracji do złudzenia przypominającej alpejską gospodę. Billie nie mogła się nadziwić ręcznie malowanym zasłonom i obrusom.

-Kuchnia jest autentyczna - zapewniał Thad. - Ilekroć jeździłem do Szwajcarii na narty, przywoziłem z powrotem kilka kilogramów więcej.

-Nie wiedziałam, że masz kłopoty z nadwagą-uśmiechnęła się.

-Wielu rzeczy o mnie nie wiesz-stwierdził poważnie, lekceważąc jej żart.

Thad jest dzisiaj inny niż zwykle, stwierdziła. Coś go nurtuje.

Zaprowadzono ich do dyskretnego stolika, na którym stał bukiet i świeczka. Billie wolałaby miejsce bliżej środka sali, gdzie byłaby na widoku i Thad nie mógłby jej posyłać tych długich, badawczych spojrzeń. To nieważne, wmawiała sobie. Nic nie jest ważne oprócz napięcia między nimi, napięcia, którego ona jest przyczyną. Dzielnie podtrzymywała rozmowę, nie pozwalała, by wymknęło się jej coś nieodpowiedniego. Thad kończył trzeciego drinka, co, jak na niego, było rzadkością. Już już chciał zamówić następnego, ale Billie złapała go za rękę.

- Nie, Thad. To do ciebie niepodobne. Lepiej porozmawiajmy.

Potrząsnął głową.

- Nie tutaj, Billie. Później. Przepraszam, że zachowuję się jak gbur. Wybacz.

- Nie ma nic do wybaczania. Porozmawiamy później.

Podczas kolacji Thad zachowywał się w miarę normalnie, ale żadne z nich nie było w stanie skupić się na jedzeniu. Oboje myśleli o „później".

Obserwował ją przez cały czas i ciągle się wahał. Musi spróbować, musi uczynić pierwszy krok. Jest taka piękna, z młodej dziewczyny wyrosła wspaniała kobieta. Odwracała ku niemu twarz, tak jak kwiat zwraca się ku słońcu. Okrągłość brody i policzków ustąpiła wyrazistości dojrzałych rysów. Minęło tyle lat gorzkiej świadomości, że Billie należy do innego mężczyzny. Najgorsze było jednak to, że

wiedział, iż pragnęła miłości i czułości, ale tego nie dostała. On tymczasem ma jej tak wiele do podarowania: wieczną, stałą miłość.

Czuła na sobie jego spojrzenia. Czasami w ciemnych, czujnych oczach pojawiał się ostry błysk, kiedy indziej jaśniały złotym blaskiem, jak wówczas, gdy po raz pierwszy zobaczył Sawyer. Boże! Sawyer! Ona, babcia, rozmyśla o... no, o czym? O romansie z Thadem? O miłości, którą, jak wiedziała, miał do zaoferowania? Czy tego właśnie chciała?

Po kolacji poszli na spacer do pięknie utrzymanego ogrodu w pobliżu ich hotelu. Nie proponowała drinka w pokoju; byłoby to jak gaszenie ognia benzyną. Szli obok siebie, ledwo stykając się ramionami. Nagle Billie się zatrzymała:

- Jeśli mnie przytulisz, rozpadnę się na tysiąc kawałków. Jeśli tego nie zrobisz, pęknie mi serce. Co wolisz?

- Zawsze byłem dobry w układankach - wyszeptał ochryple.

Oparła głowę na jego piersi. Nie po raz pierwszy trzymał ją w ramionach, ale po raz pierwszy ich serca biły równym rytmem.

- Billie, Billie - z zachwytem mamrotał jej imię, które dotychczas ośmielał się "wymawiać jedynie w myślach.

Uniosła głowę, by z jego oczu wyczytać odpowiedź na nie zadane pytanie. W świetle księżyca odnalazł w jej twarzy te same pragnienia, które gorzały w jego sercu. Oto ona, kobieta jego marzeń. Nawet jeśli nie ma dla nich przyszłości, na zawsze zapamięta tę chwilę, wydartą wieczności.

Z trudem zdołał się odezwać, ochryple i cicho, rwącym się głosem:

- Kochanie, dokąd nas to zaprowadzi? Wiem, że ci na mnie zależy, zdradzają cię oczy i ton, jakim wypowiadasz moje imię. Co nas rozdziela, skoro chcemy być razem? - Przestraszył się. Czy nie powiedział za dużo? A jeśli go odtrąci? Czy wszystko zepsuł?

Billie zamknęła mu usta dłonią. Oparła głowę na jego ramieniu i cichutko, tak cicho, że nie był pewien, czy słyszy to naprawdę, szepnęła:

- Kochaj mnie, Thad. Chcę tego.

Wracali do hotelu trzymając się za ręce jak dzieci, które boją się zgubić.

W pokoju Billie, w stłumionym świetle nocnej lampki, Thad nabrał śmiałości. Pomógł jej zdjąć sukienkę, muskał dłońmi gładkie plecy i

ramiona. Pieścił ją ciepłym oddechem, delikatnymi ustami, wrażliwymi rękami. Całował jej powieki, policzki, usta, tak jak ośmielał się to robić w najskrytszych marzeniach.

Niecierpliwie szarpała jego ubranie; chciała go jak najszybciej dotykać. Wiedziała, że postępuje słusznie, wyczuwała to całą swoją istotą. Thad także o tym wiedział; zdradzała to jego czułość, tembr jego głosu, gdy szeptał jej imię.

Słyszała każde uderzenie jego serca. Oddała mu się z miłością, całą sobą. Miała wrażenie, że całe życie czekała na tę chwilę, na jego miłosne wyznania.

- Kocham cię, Billie. Kocham cię- powtarzał raz po raz, odsłaniając najtajniejsze uczucia.

Pragnęła tych słów, pragnęła jego ciała i duszy, i miłości, którą jej dawał. I zawsze, zawsze, odwzajemniała się tym samym. Miłość kryła siew pieszczocie jej dłoni, w delikatności jej pocałunków, w drżeniu jej ciała. Był częścią jej życia; więcej, był częścią jej samej. Dzielił jej smutki i radości, sekrety i marzenia. To jednak był nowy, inny Thad-jej kochanek. Rozpalał w niej ogień, wzmagał doznania, dawał wszystko, o czym kiedykolwiek marzyła. Do końca życia będzie ją zdumiewał ten mężczyzna, który kocha tak czule, tak nieegoistycznie.

- Kocham cię. - Wyszeptali te słowa razem i razem się poruszali, chcąc dawać, dzielić, stać się jednością.

Oparł się na łokciach, żeby na nią spojrzeć; jej twarz promieniała miłością. Pocałował ją w usta. Ponownie ulegli namiętności, nieświadomi niczego poza ogarniającym ich żarem.

Kiedy leżeli, wtuleni w siebie, nie wiedział, czy po policzku spływają mu łzy jego czy Billie.

Telefon zadzwonił późno, koło północy. Billie podniosła słuchawkę:

-Tak?

Thad zobaczył, jak nagle pobladła i zacisnęła dłonie, aż pobielały kłykcie. Czekał, wiedząc, że stało się coś okropnego. Jej ciało, jeszcze przed chwilą miękkie i zrelaksowane, napięło się nagle.

- Co się stało, Billie? Coś złego? - zapytał, gdy odłożyła słuchawkę. Zareagowała dopiero po dłuższej chwili.

- To mama. W Hiszpanii doszło do katastrofy samolotowej. Jest duże prawdopodobieństwo, że Moss był na pokładzie. Nie figuruje na

liście ocalonych. Seth miał wylew, kiedy się dowiedział. Muszę wracać.

Poderwał się na równe nogi. Nie czas na przeklinanie okrutnego losu, który rozdziela ich akurat teraz.

- Pakuj się. Polecisz ze mną do Japonii, stamtąd samolotem rejsowym do Stanów. Jutro o tej porze będziesz w domu. Zadzwonię na lotnisko, żeby przygotowali mój samolot do startu. Dasz sobie radę do mojego powrotu?

- Tak. Rób, co trzeba. Zadzwonię do recepcji i powiem, co mają zrobić z moimi bagażami. Idź, kochany. Pośpiesz się. Dzieci będą mnie potrzebowały, zwłaszcza Riley. Boże drogi, Riley!

Powrotowi Billie do Sunbridge nie towarzyszyły fanfary. Na odrętwiałych nogach wkroczyła do złowróżbnie cichego domu.

Przez całą długą drogę dręczyła się pytaniami. Czy Moss żyje? Czy dzieci wiedzą? A może powinna lecieć od razu do Hiszpanii? Co z Sethem? Czy, nie daj Boże, ktoś był na tyle gruboskórny, że rozmawiał z Rileyem podczas jej nieobecności?

Taksówkarz, który ją przywiózł z lotniska, postawił jej torbę przy schodach. Wetknęła mu w dłoń zwitek banknotów. Miała szczęście, że zgodził się na kurs taki kawał za miasto. Ukłonił się i odszedł. Billie wbiegła do domu, wołając matkę.

Agnes zjawiła się po dłuższej chwili.

- Billie! Jak to dobrze, że jesteś. Dlaczego nie zadzwoniłaś po limuzynę?

- Przyleciałam wcześniejszym samolotem, zresztą to bez znaczenia. Są jakieś wiadomości?

-Nie. Nazwisko Mossa jest na liście pasażerów. To wszystko, co wiemy. Jeśli Hiszpanie są równie niezorganizowani jak Meksykanie, których zatrudniamy, panuje tam straszny bałagan. Może później się czegoś dowiemy...

Umilkła. Billie spojrzała na nią ostro:

- Jak Seth?

- Bez zmian. Zdaniem lekarzy niewiele możemy dla niego zrobić. Powinnaś do niego iść. Natychmiast.

- Później, mamo. Dzieci? - Wstrzymała oddech.

- O niczym nie wiedzą. Lepiej poczekać, aż będziemy wiedzieć coś pewnego. Odetchnęła z ulgą. Przynajmniej tyle.

- Mamo, czy Moss kontaktował się z Sethem? Skąd w ogóle

wiadomo, że leciał tym samolotem?

- Nie wiadomo! Dzwonił do Setha kilka razy. Z Hiszpanii miał wracać do Stanów. Chciał się zatrzymać na kilka dni w Nowym Jorku. - Agnes podniosła głowę. - Billie, powinnaś iść do Setha. Jest bardzo słaby. Stracił chęć życia. Co z tobą? Co się stało w Hongkongu? Jesteś jakaś inna - rzuciła oskarżycielsko. - Nie obchodzi cię los Mossa?

- Nie opowiadaj bzdur. Oczywiście, że mnie obchodzi. Ale teraz nie czas na roztkliwianie się nad sobą. Idź do Setha. Powiedz, że wróciłam i że się wszystkim zajmę. Powiedz, że przyjdę, kiedy... kiedy zrobię to, co muszę zrobić.

Agnes posłuchała. Przynajmniej ma coś do roboty. Choć nie znosiła atmosfery choroby i tego, że Seth jest od niej uzależniony, wolała to od przebywania w towarzystwie tej nowej, dziwnej Billie.

Billie od razu pobiegła do gabinetu Mossa. Przełknęła ślinę i otworzyła szufladę biurka, w której przechowywał prywatne papiery. Wyjęła cygara i burbona. Bez wahania sięgnęła po notes z adresami i numerami telefonów. Następnie odnalazła paczkę listów. Ostatni nosił datę zaledwie o kilka dni wcześniejszą od wyjazdu Mossa. Usiadła, otworzyła kopertę i przeczytała. Z twarzą bez wyrazu złożyła wyperfumowany arkusik i wsunęła go do koperty. Zamknęła szufladę nogą i podniosła słuchawkę, wykręciła numer i czekała.

Głos po drugiej stronie był zaspany a może pijany. Nie wiedziała i nie obchodziło jej to. Jej słowa ociekały jadem.

- Ty sukinsynu! Nie mogłeś chociaż zadzwonić do ojca i powiedzieć, że jesteś w Stanach? Albo że zmieniłeś lot? Samolot, którym miałeś lecieć, rozbił się. Nie ma cię na liście ocalonych. Nie oglądasz wiadomości? Jesteś na to zbyt zajęty? Seth miał wylew. Jest ciężko chory.

Słuchała przez chwilę, po czym rzuciła:

- Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Może jednak zainteresuje to twojego ojca. Dobranoc.

Odłożyła słuchawkę z głośnym westchnieniem. W głębi duszy wiedziała, że Moss żyje. Gdyby było inaczej, poczułaby. Przycisnęła dłonie do czoła. Kocha Thada. Darzy go miłością dojrzałą, miłością kobiety. Ale czy dziewczynka, która w niej jeszcze pozostała, kiedykolwiek przestanie kochać Mossa? Nawet teraz jakaś jej cząstka płakała nad jego zdradą i utraconymi marzeniami.

Powoli sięgnęła po telefon. Migrena nie dawała jej spokojnie myśleć.

- Thad? Jestem w domu. Tak, wszystko w porządku. Tak, po prostu boli mnie głowa. Nie, nie byłam u Setha. Mama mówi, że jego stan jest poważny. Moss żyje. Przed chwilą z nim rozmawiałam. Wrócił wcześniej i zatrzymał się w Nowym Jorku. Na szczęście mama nie powiedziała nic dzieciom. Przez całą drogę do domu martwiłam się o Rileya. Wiesz, jak kocha Mossa...Nie martw się o mnie. Wszystko będzie dobrze. Napiszę niedługo. Dziękuję, że zabrałeś mnie do Tokio. I, Thad? Dzięki za Hongkong. Nigdy tego nie zapomnę. Nigdy.

Milczał.

Zacisnęła powieki, żeby zdławić ból. Czekał, aż coś powie, jednak nie mogła sobie pozwolić na ten luksus. Kochała go całym sercem, ale w samolocie opłakiwała Mossa, jej męża i ojca jej dzieci. Bez względu na wszystko, nawet na miłość do Thada, Moss był i zawsze będzie częścią jej życia.

Zdławiony głos Thada łamał jej serce.

- Do widzenia, Billie. Do zobaczenia w Stanach.

- Tak. Do zobaczenia. - Kiedy odłożył słuchawkę, dodała przez łzy. - Do widzenia, najdroższy.

Z trudem wspięła się na piętro, do pokoju Setha. W końcu stawiała obie stopy na jeden stopień, zanim była w stanie iść dalej. Adrenalina, dzięki której działała tak energicznie, opadła. Billie czuła się jak przekłuty balon.

Co za złośliwość losu, przemknęło jej przez głowę, że Seth jest przykuty do tego samego łóżka, na którym konała Jessica. Jest jednak sprawiedliwość na tym świecie. Weszła do pokoju. Czekała, aż Seth ją rozpozna. Nagle bardzo się postarzał, stał się żałosnym kaleką. Agnes spojrzała na nią porozumiewawczo, jakby się zgadzała z tą opinią. Zaraz wyszła, rada, że ucieka z pokoju chorego. Zatrzymała się w progu. Czekała, aż Billie zacznie mówić. Zdziwiło ją chłodne, władcze brzmienie jej głosu.

- Seth? To ja, Billie. Wróciłam do domu.

- Po co? - wybełkotał. Choć trudno było zrozumieć jego słowa, nie dało się tego powiedzieć o gniewnym, twardym wyrazie oczu. - Powinnaś była być tam razem z nim!

Billie zrozumiała.

Tak naprawdę chciał powiedzieć, że to ona powinna zginąć.

- Nie przyszłam tu, żeby się kłócić, tylko żeby ci powiedzieć, że Moss żyje. Jest w Nowym Jorku.

Seth kręcił głową z niedowierzaniem. Drżały mu wargi, w kącikach oczu lśniły łzy.

- Kłamiesz, dziewczyno.

- Pewnego dnia odezwiesz się do mnie po imieniu, z szacunkiem, na który zasługuję. - Podniosła słuchawkę. - Ojciec chciałby usłyszeć twój głos - oznajmiła chłodno, gdy Moss odebrał.

Seth chwycił słuchawkę z niespodziewaną siłą. Billie pomogła mu przystawić ją do ucha. Miłość na jego twarzy i wzruszenie w głosie nie pasowały do człowieka, który uczucia uważał za słabość.

- Synu? - wykrztusił przez łzy.

Powłócząc nogami, wyszła na korytarz. Straciła resztkę sił. Niemal wpadła na Agnes, która zapytała ciekawie:

- To prawda?

- Tak.

- Był z tą kobietą? Znowu? - Agnes nie dawała za wygraną.

-Tak, mamo, był z „tą kobietą". Daj mi spokój. Nie chcę słyszeć ani słowa na temat, że gdybym była lepszą żoną, nie byłby takim draniem, jakim jest. Nie odpowiadam za jego czyny i, choć trudno ci w to uwierzyć, nie ponoszę winy za jego zdrady. A teraz chcę iść do Sawyer. Gdzie jest? W pokoju dziecinnym?

- Biedny Seth. - Agnes załamała ręce.

- Tak, mamo, biedny Seth. Zawsze bałaś się tylko o jedno: że wypadnę z łask i pozbawię cię prestiżu, władzy i pieniędzy Colemanów. Cóż, mamo, zacznij się litować nad sobą. Seth już nie wyzdrowieje. Zgadnij, kto się będzie nim opiekował od świtu do nocy? Sama sobie zaklepałaś ten zaszczyt, mamo. Pracowałaś na to pilnie, zdradzając mnie i dzieci, samolubnie trzymając stronę Setha. Niedługo sama będziesz błagała o litość.

Odwróciła się na pięcie i poszła do pokoju dziecinnego.

Deszcz zalewał szyby cadillaka, bębnił po dachu.

Huk grzmotów kojarzył się Mossowi ze strzałami. Dobrze, że to nie on prowadzi; nie mógłby się skoncentrować. Wzdrygnął się, gdy błyskawica rozdarła niebo. Stara, dobra teksaska burza, smagająca

wyżyny. Tata nie cierpiał burz. Mruczał, że straszą bydło, ale Moss wiedział, że to jeden z jego słabych punktów. Drugim był on.

Tata się starzeje. Kiedyś był dzielny, potrafił znieść każdy cios. Billie opowiadała, jak rozpaczał, gdy w czasie wojny nie wiedzieli, czy Moss żyje. Tym razem jednak... wylew. Dobry Boże, wylew! I to wszystko jego wina! Jeden telefon i wszystko byłoby w porządku. Wszystko. Ale nie, musiał zmienić plany, bo Alice miała trochę czasu i nie chciała siedzieć sama. Jak burza przeleciał przez londyńskie mieszkanie siostry i córki.

Susan uśmiechnęła się smutno i odeszła zgarbiona, jakby wiedziała, że ojciec nie zostanie, mimo obietnicy, na jej koncercie w londyńskim konserwatorium. Cholera, jak mógł jej to zrobić? Alice Forbes poczekałaby, jak zawsze. Tak jak Billie. W pewnym sensie to wszystko wina Billie. Jej i jej egoizmu. Gdyby pojechała z nim, tak jak planował, nie śpieszyliby się z powrotem do Stanów.

Nagle uświadomił sobie, jak mało brakowało, a leciałby tym samolotem. Oboje, Billie i on, mogli zginąć. Zaraz jednak przegnał ponure myśli. Nie, nie byłoby ich na pokładzie, bo Billie zostałaby na koncercie Susan. Tak, to wszystko wina Billie. Jej egoizm i nagła potrzeba niezależności pchnęły go w objęcia Alice Forbes.

Wydawało się, że dużo czasu upłynęło, odkąd Billie zadzwoniła do niego do Nowego Jorku. Skąd wiedziała, że jest u Alice? A może dzwoniła, żeby przekazać jej smutną wiadomość? Ciekawe, czy opłakiwałyby go wspólnie? Pocieszały się wzajemnie? Rozbawiła go ta myśl.

Wyszeptał modlitwę, zanim wysiadł z samochodu. Nie wiedział, czego się spodziewać, w jakim stanie jest Seth. W tej chwili oddałby życie za zdrowie ojca. Tata się musi o tym dowiedzieć. Udowodni mu. Są ojcem i synem, a to się liczy.

- Tato! - To Riley. Moss przytulił go do siebie i, jak zwykle, zdumiał się widząc, jak wysoki i silny jest jego syn. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Jak dziadek?

- Marudzi - Riley puścił do niego oko. - Nie podoba mu się, że musi leżeć, ale nie włada lewą ręką i nogą. Babcia mówi jednak, że już mu lepiej. Ucieszy się, kiedy cię zobaczy, tato. Nie może się ciebie doczekać, odkąd mama powiedziała, że nie było cię w tamtym

samolocie.

Moss przyglądał się synowi, szukał krytyki w błękitnych oczach. Ile wiedział? Czy Billie była aż tak okrutna?

Riley zdawał się czytać w jego myślach.

- Cieszę się, że nie leciałeś tamtym samolotem, tato. Naprawdę się cieszę. Babcia mówi, że dziadek właśnie dlatego miał wylew; bardzo się martwił. On cię bardzo kocha, tato. Ja też - dodał nieśmiało. Nie przywykł odsłaniać uczuć wobec ojca.

- Co jeszcze powiedziała ci babcia? -wypytywał Moss. - I jak tam mama? -Jeśli któraś z nich powiedziała chłopcu więcej niż to konieczne, zapłacą za to.

- Tylko tyle, i że zaszła wielka pomyłka, i że mam o tym zapomnieć i pomóc mamie. Nie jestem mamie potrzebny, tato. Sama się wszystkim zajmuje. Zmieniła się, mówię ci. Chyba się bardzo przestraszyła, bo myślała, że jesteś w tamtym samolocie. Jest nie ta sama.

Moss czuł, jak wali mu serce.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Riley?

- Ona... ciągle jest czymś zajęta, odbiera telefony i opiekuje się dziadkiem. Zostawia Sawyer pod opieką niani; ani razu nie była w atelier. To do niej niepodobne, tato. Uśmiecha się, ale się nie śmieje. Rozumiesz?

- Tak. Gdzie teraz jest?

- Chyba czyta dziadkowi gazetę. Też u niego byłem, dopóki nie zgłodniałem. Chcesz coś do jedzenia?

- Tak, mam ochotę na kanapkę i zimne piwo. Dasz sobie radę?

- Tato, nie jestem już dzieckiem. Mam ci to zanieść na górę, czy zjesz ze mną w kuchni? Babcia się złości, kiedy jadamy w pokojach.

- Zejdę na dół. Idź już. Nie otwieraj piwa, bo opadnie.

Powoli wchodził na schody. Zazwyczaj przeskakiwał co dwa stopnie, jednak tego dnia z trudem pokonywał jeden po drugim. Bał się spotkania z ojcem. I z Billie.

Riley powiedział, że czyta Sethowi gazetę; czyli nie jest z nim bardzo źle, prawda? Wziął głęboki oddech i wszedł do pokoju ojca.

Billie uniosła wzrok znad gazety i urwała w pół słowa. Wyczuwając obecność trzeciej osoby, Seth otworzył oczy. Uśmiechnął się połową twarzy, wyciągnął prawą rękę do marnotrawnego syna. W ułamku sekundy Moss dobiegł do łóżka.

Billie odwróciła głowę, by nie widzieć, jak jej mąż szlocha w ramionach ojca. Wydęła usta z niesmakiem, który wzbudziła w niej ślepa miłość Setha. Jakim prawem oskarża Mossa, skoro przyczyniła się do rozkładu ich małżeństwa w takim samym stopniu co on? Zerknęła na niego. Klęczał przy łóżku. Mimo łez i szczerego żalu Moss się nie zmieni. Nadal będzie żył tak, jak mu najwygodniej. A jeśli ona postąpi tak samo, co będzie z dziećmi, z rodziną?

Cicho odłożyła gazetę na kołdrę. Wyszła powoli; zaczynała się jej długa, samotna podróż. Była skazana na Sunbridge.

Rozdział dziewiąty

W Sunbridge wiele się zmieniło. Po wylewie Setha urządzono mu sypialnię na dole. W gabinecie, zamiast fotela, stało łóżko z regulowanym oparciem. Stare masywne meble obite skórą gromadziły kurz na strychu. W kącie błyszczał chromem wózek inwalidzki. Seth nie chciał go używać.

Agnes nie posiadała się z zachwytu. Moss i Seth tylko pozornie, kontrolowali jej poczynania. Pytając ich o zdanie, wyświadczała grzeczność. Zdawali sobie z tego sprawę. Agnes Ames przejęła władzę nad Sunbridge. Nic nie mogłoby jej bardziej uszczęśliwić. Z rozkoszą słuchała wyrazów szacunku i podziwu, gdy znajomi twierdzili, że bez niej Seth nie dałby sobie rady. Z jeszcze większą przyjemnością uczestniczyła w spotkaniach zarządów, na których przekazywała instrukcje Setha, czasami zmieniając je tak, by odpowiadały jej zamierzeniom.

Agnes kochała władzę. Teraz po raz pierwszy jej zasmakowała i nie chciała dzielić się nią z nikim. Nie podobało jej się tylko, że Seth oczekuje od niej, by poświęcała mu swój czas i uwagę. Jeśli chciał kawy, musiała mu ją podać ona, a nie służąca. Lubił, kiedy czytała mu gazetę. Była na jego wezwanie dwadzieścia cztery godziny na dobę, gotowa przybiec, gdy uderzy laską w ścianę. Nienawidziła tego. Była to jednak cena władzy, ze sztucznym uśmiechem więc spełniała wszystkie jego zachcianki.

Za to nocami, wśród ciemności, życzyła Sethowi śmierci, a sobie dość odwagi, by zmienić nazwisko na Coleman. Wtedy byłaby najszczęśliwszą kobietą na świecie. Pieniądze i władza. Tylko to się

liczy.

Sześć tygodni po wylewie Setha siedziała w gabinecie, pochylona nad stertą papierów. Była spięta, jej zazwyczaj kształtne pismo wyglądało jak bazgrały. Wszystko dlatego, że czuła na plecach wzrok Setha i wiedziała, że głowi się, jakie zajęcie dla niej wymyślić; w każdym razie będzie to coś, co ją oderwie od ulubionych czynności, takich jak liczenie dochodów z Sunbridge.

Okrągłe liczby zawsze poprawiały jej humor. Czasami liczyła zera na swoim rachunku, nie mogąc uwierzyć w posiadanie takiego majątku. Kiedyś nawet zrobiło się jej przy tym słabo - z radości. Pewnego dnia spakuje walizki i wyruszy w podróż dookoła świata.

Usłyszawszy swoje imię, docisnęła ołówek mocniej niż zwykle. Grafit pękł z trzaskiem. Wrzody. Niemal czuła, jak się tworzą w jej żołądku. Ten kapryśny stary dziad ze srebrną laską będzie przyczyną jej wrzodów. Odwróciła się z uśmiechem.

- Słucham, Seth?

- Mów do mnie. Mam dość wpatrywania się w twoje plecy. Mam dość radia i dość tego łóżka. Co się dzieje? Czy Riley dzisiaj wraca? Kiedy ostatnio widziałaś mojego syna? Co robił? Gdzie twoja córka? Znowu w tej swojej ruderze, tym atelier? Dlaczego nie przyprowadziła do mnie Sawyer? Do cholery, Aggie, myślałem, że trzymasz rękę na pulsie. Ale to najwyraźniej przekracza twoje możliwości. -Popatrzył na nią złośliwie; prowokował ją.

Przekracza jej możliwości? Nie znosiła, kiedy tak gadał. Nadal miał władzę, mógł ją pozbawić pozycji i wpływów. Z dnia na dzień coraz trudniej było go zadowolić.

- Może przestawię biurko, żebym siedziała do ciebie przodem? Co ty na to? -zapytała przymilnie.

- Nie, do licha! Może zrobisz mi drinka?

- Nie. Nie wolno ci pić alkoholu. I nie myśl sobie, że jeśli zatrudnisz pielęgniarkę, spełni twoją zachciankę. To dla twego dobra. Złość się na lekarzy, nie na mnie. A wracając do twoich pytań: Riley wraca dziś wieczorem. Nie widziałam Mossa od trzech dni. Zdaje się, poleciał do Arizony, tak przynajmniej mówiła kucharka. Twój syn mi się nie zwierza. Moja córka jest, jak przypuszczałeś, w atelier, razem z Sawyer. Jak chcesz, ściągnę tu małą, ale dzisiaj kaprysi bardziej niż ty. Boli ją ucho. O czym jeszcze możemy porozmawiać? Chcesz kawy lub

herbaty?

Seth się żachnął. Najwyższy czas się nauczyć, że Agnes ma odpowiedź na wszystko.

- Jak interesy? Co z ostatnim transportem wołowiny? Rozpromieniła się:

- Doskonale! - Wierzył jej. Niewiele rzeczy wywoływało uśmiech Aggie; pieniądze otwierały tę listę.

Trzeba było ponad roku intensywnej fizykoterapii, żeby Seth zaczął mówić prawie tak, jak przed wylewem. Ilekroć był zły lub zmęczony, opadały mu kąciki ust, miał kłopoty z przełykaniem śliny. Agnes uważała, że to obrzydliwe i starała się unikać jego widoku w takich chwilach. Pod koniec drugiego roku samodzielnie wdrapywał się na wózek inwalidzki.

- Ruszaj, Aggie! -wołał.- Chcę obejrzeć moje rancho.

Nienawidziła tego. Pchała wózek, przeklinała Setha, przeklinała swoje życie. Cholerna maszyna była zmotoryzowana, ale starzec wolał wykorzystywać jej siły.

Minęło dziewięć długich lat. Początkowo nie zdawała sobie sprawy, że Moss stopniowo przejmuje zarządzanie firmą. Ba, ucieszyła się, że ktoś ją odciążył. Z czasem zrozumiała; dla niej została opieka nad Sethem, a to wcale nie przypadło jej do gustu. Poświęciła się Colemanom. Kiedy dostanie nagrodę?

Był drugi września 1966 roku, dwudzieste pierwsze urodziny Rileya. Trudno uwierzyć, że ona i Billie przeżyły w Sunbridge niemal ćwierć wieku. Postanowiła udać się do klubu, by dopilnować przygotowań do przyjęcia.

Seth chciał, by wszystko było pierwszej klasy -jakby nie wiedział, że Agnes nie zaakceptuje niczego gorszego. Riley Seth Coleman był jej polisą ubezpieczeniową, tarczą przed zimnym, ponurym, nieprzyjaznym światem. Nigdy o tym nie zapomniała.

Moss i Riley zabiorą Setha i wózek inwalidzki limuzyną. Billie i Sawyer pojadą drugim samochodem. Maggie przybędzie od razu do klubu, o ile uda się jej wyrwać z Nowego Jorku. Agnes zacisnęła usta. Jeśli Maggie się zjawi, na pewno zepsuje całą imprezę. Chociaż dorosła i pracowała w dziale historycznym małego nowojorskiego muzeum,

nadal przybierała dziecinną, ponurą minę, nadal patrzyła na wszystkich z wrogością. Agnes jej nie lubiła; ani teraz, ani dawniej. Maggie stanowiła zagrożenie, budziła stare uczucia, rozdrapywała zasklepione rany.

Zadaniem Agnes było przetransportować prezenty Rileya do klubu. Młodzieniec przeżyje niezły szok, kiedy otworzy pudełeczko od dziadka i wyjmie kluczyki od nowiutkiego porsche'a. Moss podaruje mu tytuł własności jednosilnikowego piper cuba. Ciekawe, co wymyśliła Billie? Czym przebije samochód i samolot? Agnes nawet nie próbowała: wnuk dostanie od niej prenumeratę magazynu zajmującego się lotnictwem. W ostatniej chwili dokupiła skórzany portfel, w który wsunęła szeleszczący banknot studolarowy.

Za tydzień ostatnie z piskląt Billie opuści rodzinne gniazdo. Riley wyjedzie do college'u. Zostanie tylko Sawyer. Agnes sprawdzała, czy na każdym stole stoją kwiaty, a w głębi duszy obiecywała sobie, że teraz spróbuje naprawić stosunki z córką. Rodzina się kurczy; nie ma sensu, żeby każdy żył osobno.

Małe przyjęcie, jak określał je Seth, będzie ich kosztowało około 25 tysięcy dolarów. Zdaniem Agnes to niedużo, ponieważ dwie orkiestry oraz przekąski zapewniał klub. Krewetki przywieziono z Zatoki Meksykańskiej, homary z Maine. Najlepsza wołowina Colemanów zaspokoi apetyty pięciu setek gości.

Na myśl o jedzeniu głośno przełknęła ślinę. Czy będzie mogła skosztować smakołyków? Wrzody żołądka zatruwały jej życie. Ostatnimi czasy żywiła się wyłącznie grysikiem. Wszystko przez okropnego, kapryśnego, wymagającego starca o nazwisku Seth Coleman. Zaraz po wyjeździe Rileya poważnie się zastanowi. Ma przed sobą jeszcze wiele lat życia. Seth, jak wszystko na to wskazuje, także. Jeszcze dziesięć lat takiego życia wpędzi ją do grobu. Ona się starzeje, a Seth jest ciągle tym samym paskudnym starcem.

Susan Coleman powiesiła sukienkę w szafie, między dwiema innymi sztukami garderoby. Dzielił je cal wolnej przestrzeni z każdej strony. Cieszył ją porządek. Pod wieloma względami jej życie było równie porządne i zorganizowane. To wiele ułatwia.

Ciocia Amelia i Rand nie dawali jej spokoju.

- Wyluzuj się, Susy - namawiał Rand. - Jesteś taka... sterylna. - Uraził ją tymi słowami, ale nie okazała tego. Po co? To jej życie i może z nim robić, co jej się żywnie podoba. A później ciocia Amelia powiedziała, że brak pasji w życiu odbija się na jej grze. To zabolało, jak każda krytyczna uwaga pod adresem jej muzyki. Uśmiechnęła się wtedy i ułagodziła ukochaną ciotkę obietnicami.

Zerknęła na zegarek przy łóżku. Zaraz zadzwoni do Rileya i złoży mu życzenia urodzinowe. Choć było jej przykro, że nie będzie na przyjęciu, nie chciała tracić kilku tygodni, żyjąc z dala od muzyki i od Petera... i od Jerome'a tez, oczywiście. Poza tym nie lubiła podróży.

Starannie zawiązała cienki szlafrok. Bladoniebieski jedwab podkreślał jej urodę jasnej blondynki. Stanęła przed lustrem. Wyrównała pasek tak, żeby supeł był idealnie na środku, a luźne końce - równej długości.

Podniosła słuchawkę wąską dłonią o krótko obciętych paznokciach. Zamówiła rozmowę. Mą czekać do pół godziny. To za mało, żeby się wykąpać albo zejść na dół i zaparzyć świeżą kawę.

Zmarszczyła brwi, niezadowolona, że marnuje cenny czas. Susan nie lubiła żadnych zmian. Na szczęście zamówiła rozmowę imienną. Jeśli Rileya nie ma w domu, nie będzie musiała z nikim innym rozmawiać. Tylko mama miałaby na to ochotę, Susan jednak pogawędziłaby z każdym, bo tak wypada.

Patrzyła na telefon, myślami krążąc wokół Petera Gillette. Rozstali się przed dwiema godzinami. Peter, dyrygent Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej, wrócił do domu, do żony i dwójki dzieci. Ogarnęła ją znajoma fala goryczy. Tylko w jego ramionach zapominała, że jest żonaty.

Nie wiedziała, że namiętność może być tak dzika, tak nie kontrolowana. Peter jej to pokazał, a Susan była zdolną uczennicą. Kochała go do szaleństwa, ale jego żona nie zgodziłaby się na rozwód, zresztą wywołałoby to skandal, bo był osobą szeroko znaną. Nie chciała nawet o tym myśleć.

Wszystko w Peterze było nowe, ekscytujące. Był szalenie nie zorganizowany. Jak sam mówił, żył dla miłości i dla muzyki. Wierzyła mu, ale życie chyba niesie coś więcej? Gdyby nie ona, występowałby w koszuli bez guzików, zapomniałby o wizytach u fryzjera. Choć opiekowanie się nim sprawiało jej pewną przyjemność, nie tak

wyobrażała sobie przyszłość.

Mieli tyle wspólnego. Tylko że Peter był taki... taki... Brakowało jej słowa. Zużyty. Tak, właśnie, zużyty. Miłość, a w każdym razie miłość jej życia, ma być świeża, czysta, nietknięta. W dzieciństwie dość się napatrzyła na brudy: zdrady ojca, ciąża Maggie... Wystarczy do końca życia. Jak może w ogóle brać pod uwagę związek z Peterem, który musiałby się rozwieść, ba, ryzykowałby karierą, chcąc ją poślubić. O ileż lepiej, przyzwoiciej byłoby zakochać się w Jerome de Moray.

Jerome, genialny skrzypek. Poznali się podczas tournee po Austrii i Włoszech. Niedawno przyjechał do Londynu, by tu kontynuować naukę. Był młody, niedoświadczony, ślepo w niej zakochany. Miał wszystkie te cechy, których brakowało Peterowi. Peter uważał co prawda, że jest przeciętnie uzdolniony, ale wiedziała, że przemawia przez niego zazdrość.

Jerome to wirtuoz, połączone talenty zawiodą ich oboje na szczyty muzycznego świata. Byliby jak małżeństwo z bajki, sławni i romantyczni. Żadnej zszarganej reputacji, żadnych skandali. Wszystko odbyłoby się miło i wytwornie. Gdyby tylko go kochała...

Nieśmiały, piękny Jerome, dorastający w kokonie bogactwa i muzyki. Nie sądziła, by kiedykolwiek był z kobietą w łóżku; jego kochanką są skrzypce.

Jeśli miłość wymaga odwagi, to nie dla niej, stwierdziła. Żeby kochać mężczyznę pokroju Petera, trzeba odwagi. Żeby kochać mężczyznę takiego jak Jerome, trzeba współczucia. Pierwszy postawi jej życie na głowie, dragi wtopi się w nie, jakby zawsze tam był. Westchnęła. Niedługo będzie musiała podjąć decyzję. Wybierze bezpieczeństwo.

Telefon zadzwonił. Szybko podniosła słuchawkę.

- Riley! Wszystkiego najlepszego!

Billie odłożyła pióro i przeleciała wzrokiem list do Thada. Miała bardzo mało czasu, a jeszcze się nie umalowała. Skończy list po przyjęciu Rileya. Thad na pewno będzie ciekaw, czy się udało. I co nowego się dzieje u Maggie.

Spojrzała w lustro. Nie zmieniła się wiele. Nadal była szczupła, ale teraz używała więcej kosmetyków. Boże, gdzie się podziały te

wszystkie lata?

Rozglądała się w poszukiwaniu prezentu dla Rileya. Miała nadzieję, że mu się spodoba; ślęczała nad nim wiele godzin. Był to malowany na jedwabiu pejzaż Sunbridge; nad ranchem unosiły się portrety członków rodziny. Malowała to miłością i z miłością wręczy synowi niewielką paczuszkę. Riley zabierze ze sobą część domu. Kiedy szła po Sawyer, popadła w zwątpienie. A jeśli mu się nie spodoba? A jeśli Seth i Moss wykpią jej wysiłki? Podniosła głowę. Przeżyje to; ostatnio znosiła wszystko.

W głębi ducha Billie była rada, że Riley wyjeżdża. Miała niewiele do powiedzenia, ilekroć podejmowano decyzje dotyczące jego przyszłości. Do tej pory miał życie usłane różami. Wszystko przychodziło mu z łatwością: przyjaźnie, szacunek, popularność. Billie obawiała się, że miłość Mossa może okazać się destrukcyjna. Widziała, jak jej syn robi wszystko, co w jego mocy, by sprostać oczekiwaniom ojca i odpowiadać ideałowi Colemana.

W pewnym sensie chłopiec był zupełnie inny niż ojciec i dziadek. Riley zawsze odwzajemniał uczucia i nie wahał się tego okazywać. Był wspaniałym bratem dla Maggie i Susan, pisał do nich co tydzień, choć czasami na odpowiedź przyszło mu czekać znacznie dłużej.

Kiedyś przyszedł do niej do atelier, żeby porozmawiać. Było późne popołudnie. Nie posiadał się ze zdumienia, gdy zobaczył, co robi. Otwarcie przyznał, iż nie miał pojęcia, że ma taką zdolną matkę. Ucieszyły ją te słowa. Później zwierzał się jej ze swoich obaw, że zawiedzie ojca, opowiadał o koszmarnych snach. Zaproponowała, że porozmawia z Mossem na ten temat, jednak Riley się nie zgodził. Zresztą i tak wszystko się zmieni po jego wyjeździe do college'u. Z uśmiechem objął matkę.

- Dzięki, że mnie nie zdradzisz - szepnął. Tamtego dnia Billie i Riley byli sobie bardzo bliscy.

Sawyer już czekała, ściskała w garści prezent dla Rileya. Uściskała babcię i z dumą zaprezentowała swoją pierwszą długą sukienkę.

Billie pogładziła kasztanowe loki.

-Wyglądasz tak ładnie, że będę musiała ciągłe cię pilnować, żeby jakiś wielbiciel cię nie porwał! - Roześmiała się. - Gotowa?

- Babciu, czy Maggie przyjedzie? Mówiłaś, że obiecała. - Billie wyczytała z oczu wnuczki nieme pytanie.

- A chcesz tego?

Sawyer wzruszyła ramionami, udając obojętność:

- Po prostu chciałabym ją lepiej poznać. Maggie jest tajemnicza, jak... jak powieść przygodowa. Nigdy nie wiesz, co się stanie na następnej stronie.

- A ty byś chciała tę powieść przeczytać, tak? Sawyer, kochanie, tłumaczyłam ci już motywy, dla których Maggie postępuje tak, a nie inaczej, i nie mam nic do dodania. Ona i Riley doskonale się rozumieją. Nie sądzę, żeby sobie darowała jego przyjęcie. Skarbie, ona cię kocha i chce cię zobaczyć, ale nie oczekuj zbyt wiele.

- Czy jestem do niej podobna? - zapytała Sawyer nieśmiało.

Nie, kochanie, chciała powiedzieć Billie, wcale nie. Ty jesteś słońcem, Maggie jest cieniem. Wyczuła jednak, że nie takiej odpowiedzi oczekuje mała. Sawyer chciała mieć coś wspólnego z matką.

- Tak - skłamała. - Nawet bardzo. Masz tak jak ona kręcone włosy i tak jak ona doskonale pływasz i jeździsz konno. A kiedy dorośniesz, będziesz równie wysoka. No, chodźmy już, skarbie, bo się spóźnimy.

Jechały w milczeniu. Billie starała się uporządkować własne uczucia w stosunku do Maggie. Pamiętała swoje obawy, kiedy córka ukończyła szkołę w Vermont i wróciła do Sunbridge. Sawyer miała wtedy niecałe cztery latka. Billie nie wyobrażała sobie spotkania matki i córki. Tymczasem okazało się, że martwiła się na wyrost.

Dla Maggie Sawyer stanowiła nieistotną część Sunbridge, zapomniany krzyk z kołyski. Wtedy Sawyer darzyła Billie ślepą miłością i nie obchodziło jej, jakim sposobem przyszła na świat. Wszyscy ją lubili; podbijała ich serca uśmiechem, dobrocią i żywym usposobieniem. Teraz Sawyer była starsza, bardziej wrażliwa. Jeśli Maggie wzbudzi w niej nadzieje, których nie spełni, zada dziewczynce okrutny cios. Billie z własnego doświadczenia wiedziała, jak boli odrzucenie; Moss się już o to postarał.

Moss. Jej mąż.

Powinna była zakończyć to wiele lat temu. Dlaczego uparcie walczyła o uratowanie czegoś, czego nie dało się ocalić? Z czasem znienawidziła słowo „zobowiązania". Jej zobowiązania, jej poświęcenie. Ich wspólne życie było farsą. Ona mieszkała w atelier, Moss w głównym budynku, u Alice Forbes i innych kobiet. Czasami

znikał na całe miesiące. Jedyną pociechę czerpała z faktu, że nie był Alice wierniejszy niż własnej żonie.

Jedno tylko ich łączyło: oboje robili karierę. Zakłady lotnicze Mossa rozrosły się ponad wszelkie oczekiwania. Ze względu na konflikt w Azji Południowo-Wschodniej rosło zapotrzebowanie na myśliwce i transportery. Zakłady Colemanów produkowały je na zlecenie rządu. I znowu Moss tylko sumował zyski. Colemanowie mieli midasowy dotyk i nieomylne wyczucie czasu.

Ku zdziwieniu Billie, także jej dochody rosły z dnia na dzień. Przed czterema laty atelier stanowiło tylko jej schronienie, zapewniało samotność i spokój. Aż pewnego dnia, przez przypadek, producent tkanin zainteresował się jej obrazem, wystawionym w galerii w Austin. Jego pochwały dodały Billie energii. Postanowiła zająć się wzornictwem. Otrzepała z kurzu teczkę, którą Amelia skompletowała dla niej tak dawno temu. Odbyła niezliczoną ilość rozmów telefonicznych i wyruszyła do Nowego Jorku, w pierwszą w życiu podróż w interesach.

Nauczyła się wtedy bardzo dużo, przede wszystkim, jak się sprzedawać. Każdy szczegół własnej garderoby, oczywiście, tylko oryginalne „Billie", stanowił starannie przemyślany element wizerunku, który chciała przedstawić potencjalnym zleceniodawcom.

Do dzisiaj pamiętała swój brak pewności siebie i niepokój. Koszmarne chwile, gdy jej dziękowano za fatygę, długie godziny czekania w recepcji tylko po to, żeby się dowiedzieć, że z takich czy innych przyczyn do spotkania nie dojdzie.

Udało się w piątym biurze. Producent tkanin był zachwycony jej żywymi, radosnymi projektami. Wracała do Teksasu z zamówieniem na wzory „Billie". Nie było to duże zlecenie, wystarczyło jednak, by uwierzyła we własne siły. Teraz, po czterech latach, projektowanie nie było już jej hobby, lecz poważną pracą. Obrusy i bielizna pościelowa wabiły wzrok deseniami jej autorstwa. Ostatnio zajęła się jedwabnymi szalami. Wszystkie jej projekty zdobił odważny, zamaszysty podpis *Billie,* zarejestrowany znak firmowy. Odczuwała olbrzymią satysfakcję, widząc produkty ze swoimi wzorami w ekskluzywnych sklepach i drogich domach towarowych. Galerie ubiegały się o prawo wystawiania jej olejnych obrazów. Czasami głowiła się, czemu zawdzięcza ten sukces. Ile zależy od szczęścia, a ile od talentu? Była już znana, gdy

okazało się, że należy do tych Colemanów z Teksasu. W jakim stopniu wpływało to na zainteresowanie jej dziełami?

Wspominała trudne początki swojej kariery. Zasłużyła na sukces. Teraz jest Billie, i już. W jej światku nazwiska nie są potrzebne. Na zewnątrz postrzegano ją jako artystkę. Rodzina widziała w niej tylko dziwaczkę, która zamyka się w atelier, przedkładając samotność nad ich towarzystwo. Był to, w ich oczach, grzech śmiertelny.

Thad najbardziej lubił ostatnie minuty przed lądowaniem w Sunbridge. Widziane z góry imperium Colemanów nie było tak wielkie, tak przytłaczające.

Trudno uwierzyć, że od podróży do Hongkongu minęło już dziewięć lat. Od dziewięciu lat nie miał Billie w ramionach. Miał wrażenie, że przez cały ten czas czekał na odpowiednią chwilę, by wrócić do momentu, w którym przerwali.

Teraz był wolny, nieskrępowany małżeństwem, które trwało siedem lat, a na które Billie go namówiła.

- Thad, pomyśl o sobie. Nie czekaj na mnie. Kochaj i bądź kochany - mówiła.

Nie wiadomo dlaczego dał się przekonać.

Niełatwo było znaleźć kogoś, kto umiałby złagodzić ból, do czasu, gdy w jego życie wkroczyła Kate Harrington. Przyjaźnili się, grali w tenisa, golfa, chodzili na długie spacery z Salomonem. Z uśmiechem wspominał swoje rzeczowe, bynajmniej nie romantyczne oświadczyny, i to, jak Kate go przyjęła, lekko, jakby żartobliwie.

A jednak nie udało im się. Nie doceniał siły miłości, jaką go darzyła. Myślał, że czuje to samo co on, raczej przyjaźń niż namiętność, troskliwość, a nie pożądanie. Zadziwiał go jej seksualny apetyt. Starał się ją zadowolić, jednak nie był w stanie zaofiarować miłości, którą nadal darzył Billie. Dwa lata temu Kate zażądała rozwodu.

Cierpiał z tego powodu; z czasem ból stracił na ostrości, lecz nadal dawał o sobie znać.

Łoskot wysuwanego podwozia brzmiał w jego uszach jak grzmot. Za kilka minut będzie na miejscu. Sunbridge. Nagle poprawił mu się humor. Billie. Dwudzieste pierwsze urodziny Rileya. Billie.

Sawyer z błyszczącymi oczami przyglądała się gościom i dekoracjom. Tego dnia w klubie odbywało się tylko przyjęcie Rileya,

przybyli jednak chyba wszyscy członkowie. Billie przepychała się przez tłum ze sztucznym uśmiechem. Zastanawiała się, czy ma położyć swój prezent dla Rileya wśród innych? A może osobiście wręczyć mu go później? Zdecydowała za nią Sawyer. Wypatrzyła Rileya, podbiegła do niego i przyprowadziła do Billie.

- Obiecujesz, że na samym końcu otworzysz prezenty ode mnie i od babci? Są najfajniejsze, mówię ci. Obiecujesz, Riley?

- Obiecuję, szkrabie. Dobrze, mamy jest w fioletowym papierze, a twój z fioletową kokardą.

- Zapamiętam. Co to, mamo? - zapytał ciekawie, potrząsając paczuszką.

-Tajemnica! -paplała Sawyer. -Takie urodziny są lepsze niż Gwiazdka, prawda, Riley? Czy kiedykolwiek dostałeś tyle prezentów na Gwiazdkę?

- Nie, szkrabie, ani razu. -Uśmiechnął się szeroko. Wyglądał teraz jak Moss. Moss, którego Billie poznała i pokochała w Filadelfii. - Będę potrzebował pomocnika, żeby przenieść to wszystko do samochodu, zanim wrócę do domu. Sawyer, mogę na ciebie liczyć?

- Jasne! - Spojrzała na niego z uwielbieniem. Billie widziała w niej to samo ciepło, które przyciągało ludzi do Rileya. Charyzma... sama nigdy nie posiadała tej cechy. Była dumna ze swoich potomków.

- Widziałeś tu gdzieś babcię? - zapytała Rileya.

- Tak, jest z tatą, o tam - wskazał grupę ludzi niedaleko podium dla zespołu muzycznego. - Mamo, zarezerwuj dla mnie pierwszy taniec, dobrze?

- Dobrze. Sawyer, spójrz, tam są Arlene, Susy, Party i Cynthia. Chyba na ciebie czekają. Tylko nie poplam sukienki.

- Babciu! - oburzyła się, upokorzona taką uwagą w obecności Rileya. Chłopak z uśmiechem objął matkę ramieniem i zaprowadził do stolika rodziny.

- Jest tu chyba połowa Teksasu - stwierdził. - Tata umie organizować takie imprezy.

- O, tak. Żałuj, że nie widziałeś barbecue, które wydał na Hawajach. Skrzywił się zabawnie.

- Mamo, znam tę opowieść na pamięć. Billie odwzajemniła jego grymas: Czas, żebyś zajął się swoimi gośćmi. Nie zapominaj, że to twoje przyjęcie.

- Porozmawiam z mamą. Baw się dobrze, Riley.

Pocałował ją w policzek i zniknął w tłumie. Billie usiadła obok Agnes.

- Doprawdy, mamo, przeszłaś samą siebie - zauważyła cierpko.

- Tak sądzisz? Wszyscy prawią mi komplementy, Seth puchnie z dumy. Moss twierdzi, że w klubie od dawna nie działo się nic równie ciekawego. Riley jest zachwycony.

- Możesz być z siebie dumna. Riley zabierze ze sobą dobre wspomnienia.

I wtedy go zobaczyła. Stał w drugim końcu sali. Jak mogła wątpić, że się zjawi? Jakim cudem nie wyczuła jego obecności? Nikt jej nie powiedział. Dlaczego się nie domyśliła? Przecież nie opuściłby takiej uroczystości. Zawsze bardzo lubił Rileya.

Agnes zmrużyła oczy, próbując zobaczyć, komu Billie się tak intensywnie przygląda. Coś się dzieje; czuła napięcie narastające w córce.

- Billie? Wszystko w porządku? Co się stało? Coś nie tak?

- Wręcz przeciwnie, mamo. -Billie nawet na nią nie spojrzała. - Wręcz przeciwnie. Wybacz. Zobaczyłam starego znajomego.

Thad Kingsley szukał Billie w tłumie, kiedy zobaczył, jak ku niemu idzie. Jej oczy jaśniały jak gwiazdy. Billie. Jego Billie.

- Thad! Jak to miło, że przyjechałeś! Nikt mi o tym nie mówił. Cieszę się. Drżała, gdy całował ją w policzek. Położył jej dłonie na ramionach. Ku jego zdumieniu, ten gest ją uspokoił.

- Billie, jesteś tu najpiękniejszą kobietą. Czy zdajesz sobie sprawę, że nie widzieliśmy się przez prawie dziesięć lat? Powinienem był ci napisać, że chyba przyjadę, ale nie byłem pewien, czy uda mi się wyrwać. Nie chciałem cię rozczarować. Zresztą, uwielbiam niespodzianki, a ty?

-Wiesz, że tak. Rozmawiałeś z Mossem albo Rileyem?

- Ze wszystkimi w tej cholernej sali. Nie przywitałem się tylko z Agnes. Sawyer mnie wyściskała i nazwała wujkiem Thadem. Bardzo mi się to podobało. Jest Maggie?

Dlaczego rozmawiają o rodzinie? Chyba ma jej wiele innych rzeczy do powiedzenia?

- Załatwimy to szybko, żebym później miała cię tylko dla siebie - oświadczyła rezolutnie i zaprowadziła go do stolika, przy którym

królowała Agnes wśród znajomych z klubu.

- Mamo, pamiętasz Triada, prawda?

- Pani Ames - Wyciągnął rękę. - Minęło wiele czasu.

Agnes zamarła. Miała ochotę powiedzieć Billie, żeby przestała się tak głupio uśmiechać. Kiedy ostatnio ukazywała zęby w równie radosnym uśmiechu? Kiedy jej oczy tak lśniły? Ktoś musi się tym zająć. Nie można zwalać wszystkiego na jej głowę.

- Panie admirale, bardzo mi miło. Moss będzie zachwycony. Nie mówił, że pan się wybiera.

- Bo sam nie był tego pewien, pani Ames. Obawiałem się, że mi się nie uda tu dotrzeć, ale oto jestem.

- Widzę - odparła kwaśno Agnes. - Moss jest tam. - Wskazała grupkę mężczyzn.

- Rozmawiałem już z nim, z Rileyem, Sethem i Sawyer. Teraz porywam Billie na spacer. Takie tłumy cywilów działają mi na nerwy.

- Do zobaczenia, mamo - zawołała Billie i wzięła Thada pod rękę.

Agnes odprowadzała ich wzrokiem. Podbiegła do Mossa i coś mu szepnęła do ucha. Posłał jej posępne spojrzenie, ale posłusznie odszedł na bok.

- O co chodzi?

- Nie widzisz, jak to wygląda? Moss, nie wtrącam się w nie swoje sprawy, jednak jest tajemnicą poliszynela, że ty i Billie nie... nie sprawiacie wrażenia szaleńczo w sobie zakochanych. Nie zdziwiłabym się, gdyby odpłacała ci taką samą monetą. Rozumiemy się, prawda? - znacząco spojrzała na Alice Forbes. - Mówiłam ci, że błędem było zapraszanie tej kobiety.

- Agnes, nie mogłem jej nie zaprosić; należy do klubu, a są tu wszyscy inni członkowie. -Moss westchnął ciężko.

- Dokąd poszli?

- Na dwór.

Wyszedł na werandę. Ani śladu Billie i Thada.

- Ach, więc tu jesteś? Zbyt dużo ludzi, kochany? - Alice Forbes stanęła za nim. - Ojej, a cóż to za chmurna mina? Szukasz swojej żoneczki? Widziałam, jak spaceruje po korcie tenisowym z wysokim, przystojnym oficerem... Skarbie, denerwujesz się? Nie do wiary! Naprawdę liczyłeś, że będzie czekała, aż zechcesz zabawić się w mężulka? - Posłała mu uwodzicielski uśmiech, wzięła go za rękę. -

Wracamy do środka, Moss. To przyjęcie na cześć twojego syna.

Moss spojrzał na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu, i wyrwał dłoń.

- Idź sama. Zaraz przyjdę.

Alice zagryzła wargi. Czyżby kochał tę fajtłapę? Nie, Moss kocha tylko ojca, syna i siebie. Od razu poczuła się lepiej. Była taka sama jak on.

Moss usiadł na krześle, zapalił cygaro. Thad Kingsley i Billie! Wspominał minione lata. Jak to możliwe, że niczego nie zauważył? Listy, wizyty, telefony. Rozbolał go żołądek, dym szczypał w oczy.

Instynkt podpowiadał mu, że do niczego złego nie doszło. Thad jest zbyt honorowy, Billie zbyt uczciwa. Nie zdradziłaby męża, a już na pewno nie z jego najlepszym przyjacielem. Przyjaźnią się i tyle.

Zdusił cygaro w popielniczce i wszedł do środka. To przyjęcie na cześć Rileya. Nic nie popsuje mu humoru.

Rozdział dziesiąty

Billie i Thad spacerowali przy pełni księżyca. Upajał się jej obecnością, chłonął ją wszystkimi zmysłami. Była tuż obok, na wyciągnięcie ręki.

- Dobrze, że przyjechałeś -przerwała milczenie. - Przykro mi z powodu twojego rozwodu.

Wzruszył ramionami.

- Oboje zaczynamy nowe życie. Wiele razy chciałem tu przyjechać, zobaczyć cię, dotknąć, ale nie mogłem sobie na to pozwolić. Billie, czy zdajesz sobie sprawę, jak wiele czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania? -urwał, szukając odpowiednich słów. - Próbowałem zacząć nowe życie u boku Kate, ale nic z tego nie wyszło. To nie jej wina. Uświadomiła mi, że jestem mężczyzną jednej kobiety i miała rację. Wiesz, ile czasu minęło? - zapytał znacząco.

- Co do godziny - odparła szeptem. Nie ufała głosowi. Roześmiał się gorzko.

- Jezu, ależ jesteśmy dobrzy. Nie widzieliśmy się prawie od dziesięciu lat, a wydaje się, że to było wczoraj. Nic się nie zmieniło.

Posłuchałem twojej rady. Nie sprawdziła się. Tak więc, czy możemy kontynuować to, co zaczęliśmy przed laty?

- Zobaczymy, Thad. Byliśmy zbyt szlachetni i cnotliwi, za długo. Zanim wyszłam na przyjęcie, pisałam ci o mojej ostatecznej decyzji: wnoszę o rozwód. Sama zajmę się Sawyer. Moje interesy idą znakomicie. Do niczego nie potrzebuję Colemanów.

Poczuł gwałtowne bicie serca. Rozwód. Po tylu latach.

- Jesteś pewna? Czy tego właśnie chcesz?

- Tak. W tej chwili w moim życiu nic się nie dzieje. Chcę żyć, Thad. Chcę tego ze względu na siebie.

Na jego twarzy malowały się miłość i ulga. Choć nadal ją kochał i pragnął jej, nie chciał, by brała rozwód tylko dla niego. Jeśli Billie z pełną świadomością podejmie taką decyzję, on będzie na nią czekał.

- Właściwie nie powinnam ci tego mówić, Moss jeszcze o niczym nie wie. Nie chciałam mu psuć humoru teraz, kiedy Riley wyjeżdża. Zrobię to jednak niedługo.

- Dobrze, Billie. Gdybyś potrzebowała pomocy...

-.. .do ciebie zadzwonię najpierw - dokończyła ze śmiechem. - Życz mi szczęścia. - Wzięli się za ręce. Tak właśnie powinno być, pomyślała. Jest u jej boku, kochają, słowa są zbędne. W odpowiedniej chwili wypowie je z głębi serca.

Oczy Thada zasnuły się mgłą. Dziękował opatrzności za ciemną noc.

- Życzę ci wszystkiego, co najlepsze, Billie. Masz być szczęśliwa. Zanim cokolwiek zrobisz, upewnij się, że tego pragniesz.

Podniosła ku niemu wzrok. W jego oczach zobaczyła ocean czułości.

- Zawsze byłeś dla mnie bardzo dobry. Najwyższy czas, żebym to zrobiła. Będę wolna, gotowa przyjąć wszystko, co los ma do zaoferowania. - Opuściła wzrok, nie chcąc powiedzieć zbyt dużo ani składać pochopnych obietnic. Mimo wszystko była szczęśliwa. Thad również.

- Teraz, kiedy już wiesz, powinniśmy wracać do gości, zanim ktoś zauważy naszą nieobecność. Thad... dobrze, że tu jesteś. Odzyskałam kawałek siebie.

- Dawno nie było mi tak dobrze - mruknął w odpowiedzi. Tej nocy nie śmieli mówić o miłości.

Cztery pary oczu obserwowały ich wejście do klubu. Seth łypał gniewnie i podejrzliwie. Moss powitał ich z wielkodusznym uśmiechem: oto jego żona i najlepszy przyjaciel, oboje wierni jemu i wszystkim Colemanom tego świata. Agnes była przerażona. Czy wszyscy widzą to, co ona?

Riley patrzył, jak matka wchodzi wsparta na ramieniu mężczyzny, którego nazywał wujkiem Thadem. Uśmiechał się przy tym ciepło. Mama zasługuje na szczęście, a jeśli Thad jest w stanie ją uszczęśliwić, proszę bardzo. „Dalej, mamo!" mruknął. Pomachał do nich, dając znak, by do niego dołączyli. Nie uważał, że postępuje nie fair wobec ojca. Moss ma wszystko, czego zapragnie. Czemu z mamą miałoby być inaczej?

Podeszli. Wtedy zobaczył z jaką intensywnością Sawyer wpatruje się w główne wejście. Przyjechała Maggie.

Wyglądała świetnie; kostium z czarnego jedwabiu podkreślał jej zgrabną figurę. Miała fryzurę a la Jacąueline Kennedy, ozdobioną maciupeńkim wieczorowym kapelusikiem. Zobaczyła Rileya od razu i ruszyła ku niemu. U jego boku Sawyer wierciła się niespokojnie. Błagam, Maggie, zaklinał ją Riley w myślach, chociaż się do niej uśmiechnij, to wystarczy.

- Wszystkiego najlepszego, Riley. - Pocałowała go. - Więc w końcu wylatujesz z gniazda Colemanów. Doskonale! Nie darowałabym sobie, gdyby mnie tu dzisiaj nie było. - Wreszcie spojrzała na Sawyer. - Urosłaś - stwierdziła.

Dziewczynka nie posiadała się z radości, że Maggie to zauważyła.

- Podoba ci się moja sukienka? Kupiłyśmy ją specjalnie na urodziny Rileya.

Maggie otaksowała pierwszą długą suknię córki.

- Nie musisz mi mówić, kto ją wybierał - zerknęła na Billie. — Krzyczy o tym każda kokardka, zakładeczka i fałdka. Przyślę ci coś naprawdę ładnego z Nowego Jorku. - Płynnie, jakby na tym samym oddechu, zwróciła się do Thada:

- Czyżbym widziała nowy pasek na rękawie? Moje gratulacje - szczebiotała.

Radość Billie na widok Maggie zgasła jak świeca, kiedy Sawyer skrzywiła się, urażona. Opiekuńczym gestem przyciągnęła wnuczkę do siebie.

-Witaj, Maggie - powiedziała spokojnie.

- Dzień dobry, mamo -Maggie cmoknęła powietrze w okolicach jej policzka jakby po chwili namysłu. Wystarczyło jednak, by Moss odwrócił się w ich stronę, by w oczach Maggie błysnęło życie. Jak zwykle, pomyślała Billie. Maggie była jak ptak zrywający się do lotu.

Pełna nadziei, spięta, zarumieniona, czekała, aż Moss poświęci jej trochę uwagi. On tymczasem obojętnie skinął głową i wrócił do przerwanej rozmowy. A teraz - tak, w oczach zgasł blask, usta wydęły się pochmurnie. Lada moment, jak Billie wiedziała z doświadczenia, Maggie zaatakuje pierwszą osobę, która się do niej odezwie. Na swoje nieszczęście, pod linię ognia wkroczyła Agnes.

- Maggie! Już myślałam, że nie przyjedziesz! Robi się późno!

- Mówiłam, że przyjadę - warknęła. - Chyba na starość nie atakuje cię skleroza, co, babciu?

Agnes zaniemówiła.

Jednak w żyłach Maggie płynęła także jej krew. Szybko odparowała cios:

- Jak widzę, nadal podziwiasz Jackie Kennedy. Ponoć naśladownictwo to najszczersza forma pochlebstwa. Ale doprawdy, Maggie, po osobie tak wyrafinowanej jak ty spodziewałabym się, że będziesz miała własny styl. Co za szczęście, że to nie Bess Traman poznałaś w Białym Domu.

- Punkt dla ciebie, babciu - uśmiechnęła się lekko. - Zastanówmy się teraz, kto był Pierwszą Damą, kiedy byłaś w moim wieku? Stawiam na... Dolly Madison?

- Dość tego, Maggie - wtrąciła się Billie. - Moim zdaniem wyglądasz bardzo ładnie, jak zawsze. Czy pójdziemy razem na zakupy, kiedy następnym razem przyjadę do Nowego Jorku?

- Jasne. Następnym razem. Riley, czy mógłbyś podać mi coś do picia. Szkocką - dodała, świadoma, że wszyscy inni piją wino. - Podwójną, dobrze? - Widząc dezaprobatę Billie, zaatakowała:

- Nie zgadniesz, na kogo wpadłam w drzwiach: Alice Forbes. Byłam przekonana, że jest w Nowym Jorku, a ty, mamo? Thad nie dopuścił Billie do głosu:

- Ten zespół jest świetny. Co prawda nie tańczyłem od lat, ale może mimo wszystko zaryzykujesz, Billie?

Zerknęła na Sawyer, niepewna, czy może ją zostawić. Dziewczynka

zdawała się czytać w jej myślach:

- Babciu, idź, zatańcz z wujkiem Thadem. Arlene do mnie macha. Mogę iść?

- Mam lepszy pomysł - zaszczebiotała Maggie. - Zostań z babcią, a z wujkiem Thadem zatańczę ja!

- Cała przyjemność po mojej stronie, Maggie - mruknął pod nosem Thad.

Maggie posłała matce tryumfalne spojrzenie. Widzisz, mówiły jej oczy, pierwsza lepsza sprząta ci mężczyzn sprzed nosa. Alice Forbes, rodzona córka, każda!

Riley rozejrzał się po rozbawionym tłumie. Wolałby obchodzić urodziny przy rodzinnym obiedzie, wśród najbliższych. Oczywiście, tata nigdy nie dopuściłby do tego, by dwudzieste pierwsze urodziny jego syna przeszły bez echa. Wszystko -orkiestra, jedzenie, alkohol - to dowód na to, że od dzisiaj społeczeństwo widzi w nim mężczyznę. Nie wiedział jeszcze, czy odpowiada mu ta rola; Rileyowi podobało się bardziej pozostać synem, wnukiem i bratem.

Gdzie Maggie?

Była tu przed chwilą. Odnalazł ją przy barze. Ruszył ku niej, co chwila przystając, by ściskać dłonie, klepać plecy, odpowiadać na pytania. Zaledwie kilka kroków dzieliło go od siostry, kiedy nie wiadomo skąd pojawił się przy nim Moss. Chciał go zaciągnąć do swoich przyjaciół.

- Za chwilę, tato. Nie chcę stracić Maggie z oczu.

- No, chodź, synu. Maggie nie ucieknie, chyba że stchórzy. A jeśli nawet, nie ma czego żałować.

Riley spojrzał mu w oczy. Upokorzy ojca wobec jego przyjaciół, jeśli go nie posłucha. Stali nieopodal, czekali, co zrobi, jabłko od jabłoni. Zanim honorowy gość przyjęcia podjął decyzję, Maggie rzuciła się mu na szyję.

- Gratuluję, braciszku! Dwadzieścia jeden łat... Piękny wiek. Riley z ulgą odwzajemnił jej uścisk.

- Dzięki, siostrzyczko. Zrobiło się tu gorąco -szepnął jej do ucha.

- Zauważyłam - mruknęła.

Biedny Riley. Widziała, jak Moss celowo postawił go w takiej sytuacji. To niesprawiedliwe. Obejrzała się przez ramię. Ojciec nie spuszczał z niej oczu. Cóż, skoro z nikim nie rozmawia... I tak prędzej

czy później będzie musiał przyjąć do wiadomości jej obecność.

- Tato, cieszę się, że cię widzę. - Dotknęła jego ramienia. Nerwowo poprawił nienagannie zawiązany krawat.

- Miło, że wpadłaś - rzucił obojętnie.

Ty skurczybyku, pomyślała gniewnie. Wróciła do brata.

- Riley, pójdę do mamy i wujka Thada. Nie uważasz, że jest bardzo przystojny? Zamknął ją w niedźwiedzim uścisku.

- Zobaczymy się później. Nie waż się wyjechać przed końcem przyjęcia! Daj mi słowo, Maggie.

- Masz je - odparła ze sztuczną wesołością. - Baw się dobrze. To twoje przyjęcie. -Pomachała mu raz jeszcze i zniknęła w tłumie.

Moss głęboko zranił Maggie. Rileyowi nie podobało się to; ojciec wyczytał z jego oczu potępienie. Przez chwilę było mu wstyd; alkohol pomógł mu jednak przezwyciężyć to uczucie. Z szerokim uśmiechem podprowadził syna ku grupce przyjaciół.

Pierwszego października, po dwudziestu czterech latach małżeństwa, Billie Ames Coleman wystąpiła z pozwem o rozwód. Postanowiła zjeść kolację z Sethem i Agnes, żeby ich o tym poinformować. Moss wyjechał w interesach. Seth porwał laskę i walnął w kryształowy wazon na stole. Kwiaty, liście i odłamki szkła rozprysły się po pokoju.

- Po moim trupie! - ryknął.

- Cóż, skoro chcesz umrzeć z powodu mojego rozwodu, to twoja sprawa -odparła chłodno. - Chociaż uważam, że to głupie. Czym się w ogóle przejmujesz? Nigdy mnie nie lubiłeś. Nie będziesz dłużej mną rządził. Mam czterdzieści dwa lata. Ja także chcę czegoś od życia. Pogódź się z tym, Seth, bo nie masz innego wyjścia. Sawyer wyprowadzi się ze mną. Wreszcie będziesz miał syna tylko dla siebie. I tak zawsze należał do ciebie, nigdy do mnie. To twoja zasługa. Przez ciebie zawsze czułam się tu intruzem. Teraz możesz go mieć dla siebie.

- W tej rodzinie nie będzie żadnego rozwodu! - zagrzmiał Seth.

- Owszem, będzie, zapewniam cię. Wniosłam pozew dzisiaj rano.

- Więc go, do cholery, wycofasz!

- Nie!

- Tak!

- Nie boję się ciebie, Seth. Już nie.

- Billie - Agnes zmusiła się do słabego jęknięcia. - Co ty pleciesz?

- Mamo, klamka zapadła. Chciałam powiedzieć najpierw Mossowi, w cztery oczy. Niestety, nigdy nie ma go w domu, a nie mogę odwlekać moich planów w nieskończoność. Nie strzęp sobie niepotrzebnie języka, i tak nie zmienię zdania. Dla mnie ten temat jest już zamknięty.

- Dziewczyno! - Seth wymachiwał łaską. - Po raz ostatni ci oznajmiam, że w tej rodzinie nie będzie rozwodu!

- Kolacja była wyśmienita. Dziękuję za towarzystwo. Będę w atelier, gdybyście czegoś potrzebowali.

Na zewnątrz wciągnęła do płuc chłodne, rześkie powietrze. Seth zareagował dokładnie tak, jak się tego spodziewała.

Szalał, wyżywał się na Bogu ducha winnej Agnes.

-Wypędzę ją stąd gdzie pieprz rośnie, jeśli nie wybijesz jej tych bzdur z głowy, Aggie!

- Mówiąc między nami, Seth, ją to nie obchodzi. Nie słuchałeś, co mówiła? Billie jest gotowa opuścić Sunbridge. Nie jest już młodą dziewczyną. Musimy to zaakceptować. Jeżeli chcesz, żebym ja także się wyprowadziła... - znacząco zawiesiła głos.

- Teraz ty się nie wygłupiaj, Aggie. Nikt się stąd nie wyprowadza, Moss to załatwi. No dobrze. Ostatnio trochę ją zaniedbywał i dziewczyna się złości. Tak bywa. Mężczyźni tacy są. Dopilnuję, żeby zrobił, co trzeba, a ty zajmij się córką, Aggie. Nie pożałujesz.

- Co przez to rozumiesz? - zapytała od niechcenia. Zawsze warto wiedzieć wcześniej.

Udawał, że nie słyszy.

- Nie zgodzę się na rozwód. Być może jestem stary, ale i tak ja tu rządzę. Moss zrobi, co zechcę. Co powiesz na dziesięć tysięcy?

- W porządku, nie wydaje mi się jednak, bym mogła cokolwiek zrobić. Jestem gotowa się wyprowadzić, jeśli tego chcesz. Wątpię, czy będziesz mnie tu tolerował po wyjeździe mojej córki.

- Przestań gadać bzdury, Aggie. Oboje wiemy, że cię potrzebuję. Twoje miejsce jest w Sunbridge, tak samo jak twojej córki. Riley będzie wściekły.

- Wątpię. Moim zdaniem, spodziewał się tego. Moss właściwie także. Tylko ciebie to zaskoczyło. Między nimi nie układało się od dawna.

- A od kiedy cokolwiek się układa między małżonkami? Przecież

sama miałaś męża. I co, układało się między wami?

- Czasami - Agnes nie dawała za wygraną. - Ale nie można budować życia tylko na dobrych chwilach, Seth.

- Ee, tam! Moss to załatwi. No więc, umowa stoi?

-A jeśli nie namówię Billie?

- Chcesz forsę od razu, tak?

- Mówiąc krótko, tak.

- Wypisz sobie czek. Jeśli dziewczyna cię nie posłucha, zwrócisz mi połowę. Zgoda? A co to za mina? Nie wyglądasz na zachwyconą, Aggie.

- Nie, ale forsa to forsa. Umowa stoi.

- Co cię bardziej do tego przekona? Premia! Uwielbiasz premie! Dostaniesz jeszcze pięć patyków, jeżeli wybijesz jej te bzdury z głowy.

Tym razem Agnes się uśmiechnęła. Kolejne trzy zera. Bez względu na wynik, to ona wygrała.

Billie czekała na Mossa w atelier. Zostawiła mu na biurku liścik. Powinien wrócić do domu koło siódmej, chyba że...

Nie, nie będzie się martwiła. Nie pozwoli, by cokolwiek zepsuło jej doskonały humor. Czuła się jak małe dziecko przed Gwiazdką. Jej prezentem był Thad. Bez niego życie było puste. To przeznaczenie przywiodło go na urodzinowe przyjęcie Rileya. Jak to możliwe, że się w ogóle nie zmienił? Próbował zorganizować sobie życie, ożenił się, ale - co ją bardzo, bardzo cieszyło - nigdy nie przestał jej kochać. Co z tego, że to egoistyczne podejście. Więź między nimi była silniejsza niż kiedykolwiek.

Wkrótce lata czekania i tęsknoty dobiegną końca. Cokolwiek przyniesie im los, stawią temu czoło razem.

Moss rzucił teczkę na biurko i ciężko opadł na krzesło. Boże, ależ jest zmęczony. Nienawidził Waszyngtonu i cholernych urzędników, którym wydawało się, że wiedzą o czym mówią. Doskonale się znał na konstrukcji samolotów - dlaczego te dupki nie pozwolą mu robić tego, na czym się zna najlepiej? Dlaczego zawsze wtykają nos w nie swoje sprawy? Będzie musiał porozmawiać o tym z tatą.

Zdjął teczkę z biurka. Dopiero teraz zauważył kopertę zaadresowaną pismem Billie. Otworzył ją ciekawie.

Dwie minuty później wchodził do przytulnego atelier. Billie od

razu przeszła do rzeczy.

- Moss, chcę rozwodu. Miałam powiedzieć ci wcześniej, ale nigdy nie było cię w domu. Powiedziałam już matce i Sethowi. Dzisiaj rano wniosłam pozew.

Spodziewał się czegoś niedobrego, ale tego jednak nigdy by nie przypuszczał.

- To Thad Kingsley, tak?

- Nie. Moss, ciebie i mnie już nic nie łączy. Nie obwiniajmy się wzajemnie. To koniec.

Koniec.

Powiedziała, że to koniec. Powiedziała także, że nie robi tego przez Thada. Billie nigdy nie kłamie. Boże, rozwód. Tata chyba wpadł w szał, gdy się dowiedział.

- Po co ci rozwód, skoro nie masz nikogo innego? - Jak obojętnie to zabrzmiało; jakby nie obchodziła go odpowiedź. A to nieprawda; nie mógł znieść myśli, że mógłby ją stracić.

- Chcę być wolna i robić to, na co mam ochotę. Chcę żyć na własny rachunek. Chcę się dowiedzieć, kim jest Billie Coleman. Rozumiesz to, Moss?

- Nie. Wiem, kim jesteś równie dobrze jak ty. To głupie, Billie.

- Miałam nadzieję, że nie podejdziesz do tego w ten sposób. Moss, nie chcę rozdrapywać starych ran. Chcę się rozwieść i zrobię to.

- Nie chcę rozwodu - rzucił oschle.

- Ale ja chcę. Tym razem nie ulegnę.

- Chcesz mi odpłacić za wszystkie...

- Nie! Boże, Moss, ty mnie w ogóle nie znasz. Chcę rozwodu dla siebie.

- Co powiedział ojciec?

- A jak myślisz? Krzyczał, że w tej rodzinie nie będzie rozwodu. Sprzeciwiłam mu sie... i sprzeciwię się również tobie.

- Zastanówmy się nad tym spokojnie. Przyznaję, nie spodziewałem się czegoś takiego. Potrzebuję czasu, żeby przywyknąć do tej myśli.

- Masz tyle czasu, ile chcesz. Jak powiedziałam, już wniosłam pozew. Wolałam po prostu, żebyś się o tym dowiedział ode mnie, nie od twojego ojca.

- Billie, Billie... gdzie popełniliśmy błąd? Mieliśmy tak wiele. Jak do tego doszło? - Westchnął głośno. Potrzebuje czasu. Jeszcze tego mu

brakowało w tym całym zamieszaniu. Jezu, ojciec będzie mu ciosał kołki na głowie.

- Nie wiem. Wiem, że próbowałam. Ale mam dość walenia głową w ścianę.

- Obwiniasz mnie, słyszę to w twoim głosie. Ty próbowałaś? A czemu nie powiesz: my?

- Nie starałeś się dostatecznie. Gdybyś starał się tak jak ja, nie bylibyśmy rozbitą rodziną. Nie mamy nic, nie widzisz tego? Tak, Moss, obwiniam cię. Chciałam, żebyśmy byli rodziną. Chciałam, żebyś czuł to samo co ja. Składałeś obietnice i łamałeś je. Chciałam tylko jednego, a ty mi nigdy tego nie dałeś: rodziny. Teraz już tego nie potrzebuję. Ani ciebie, Moss.

Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- Czy zdajesz sobie spraw z tego, co powiedziałaś? Czy słyszysz to, co mówisz?- wycedził.

Podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież:

- Tak, co więcej, doświadczyłam tego na własnej skórze. Późno już. Idź do domu. Jestem zmęczona.

Słuchał, jak zasunęła zasuwę. Stał pod atelier jeszcze długo po tym jak zgasły światła. Jak to możliwe, że to już koniec? To on o tym decyduje. Jeszcze nie czas na to. Umie walczyć. I będzie walczył o to, co do niego należy.

Riley się cieszył, że minęło Święto Dziękczynienia; tęsknił za domem, brakowało mu rodzinnego świątecznego obiadu. Jednak tutaj trzymały go ważne zadania. Wyjrzał przez okno. Wczorajsza zamieć pokryła miasto bielą. Niełatwo będzie protestować w taką pogodę. Oby tylko media nie zawiodły. Annę Marie Wolosky zapewniała, że ich marsz nie przejdzie nie zauważony, a ona wiedziała, co mówi.

- Jest chyba z dziesięć stopni poniżej zera - mruknął do kolegi z pokoju, Mikę 0'Neila. - Tyłki nam zamarzną.

- Wiem. Włożyłem kalesony i dwie pary skarpet. Wyluzuj się, Coleman. To tylko kilka godzin. Nic nam nie będzie. Pismakom znudziły się śnieżyce; ucieszą się, że podsuwamy im dobry temat. To warte odmrożeń.

Wietnam, niepojęty spór na przeciwległym skraju Ziemi. Niewielu mówiło o wojnie, lecz to się wkrótce zmieni. Na razie była mowa o

„akcji policyjnej". Riley kończył malować plakat, który będzie niósł podczas demonstracji:

ZOSTAJEMY W DOMU

- Niezły! - pochwalił Mikę. - A co sądzisz o moim?

Riley wykręcił głowę, żeby przeczytać hasło na jego transparencie:

JA NIE JADĘ!

- To twoje ostatnie słowo, 0'Neil?

- A żebyś wiedział.

- Chodźmy. Czekają już na nas.

Wszystko wskazywało na to, że demonstracja na kampusie Kent State University będzie jedną z największych, jakie się do tej pory odbyły. Media nie mogą jej zignorować.

Początkowo marsz przebiegał spokojnie i taki byłby do końca, gdyby pewien nadgorliwy młody policjant nie zamachnął się pałką na „zepsute bogate gnojki, które nie mają nic do roboty".

Mikę 0'Neil dostał w lewe ramię. Na trzask łamanej kości Riley wpadł w szał. Odwrócił się i z całej siły uderzył policjanta swoim transparentem. Ten upuścił pałkę. Podniosła ją Sara Fitz i zagroziła innemu mundurowemu. Riley odepchnął dziewczynę i rzucił się na policjanta. Kamerzyści uchwycili zbliżenie twarzy Rileya, jak atakował policjanta. Rozpętało się piekło.

Mike'a 0'Neila skuto kajdankami i wepchnięto do samochodu policyjnego. Riley, który już tam siedział, przeraził się widząc wykrzywioną bólem twarz przyjaciela.

- Ma złamaną rękę. Zdejmijcie mu kajdanki - poprosił Riley. - Nie uciekniemy przecież. Dajcie mu odsapnąć. Nie widzicie, że go bardzo boli?

- Zamknij się i ani słowa więcej. Cuchniesz, gnoju, jak wszystkie szumowiny, które wymigują się od wojska.

- Dobrze, dobrze, tylko zdejmijcie mu kajdanki. Proszę spojrzeć na jego twarz. W odpowiedzi oficer roześmiał się urągliwie.

- Daruj sobie, Riley - wystękał Mikę. - Nie cuć mnie, jeśli zemdleję.

Riley przyjrzał mu się uważnie. Mikę miał twarz koloru popiołu i sine wargi, choć w samochodzie było ciepło.

- Nie będę prosił więcej. Zdejmijcie mu kajdanki, błagam.

- Milcz!

Zawirowało mu w głowie. Trudno. Czasami nie ma innego wyjścia.

- Mojemu dziadkowi to się nie spodoba - mruknął pod nosem tak cicho, że oficer musiał wytężyć słuch, żeby go usłyszeć. - Ani mojemu ojcu. Kiedy oni wpadają w gniew, odczuwa to wiele osób. Na przykład szefowie policji.

- Trzęsę się ze strachu - zakpił policjant. Te gnoje zawsze próbują takich samych zagrywek.

- I słusznie. Nazywam się Coleman - Riley znacząco zawiesił głos. - Tak samo jak burmistrz.

- Bellamy, sprawdź jego dokumenty - rzucił przez ramię kierowca. Oficer wyciągnął portfel z kieszeni chłopca.

- Cholera, to prawda. Riley Coleman, tak tu jest napisane. - Samochód zatrzymał się gwałtownie. - Zdjąć mu kajdanki?

- Natychmiast, Bellamy.

- Słuszna decyzja - warknął Riley. - Co z tobą, Mikę?

- Lepiej...- Umilkł na chwilę i zaraz stracił przytomność.

- Zemdlał. O to wam chodziło? - wrzasnął Riley do policjantów. - Zawieźcie go do szpitala. I to już!

- Bellamy, zdejmij i jemu kajdanki. Jezu Chryste, czemu nie jestem na Florydzie!

- Nie tak szybko. Chcę być skuty. Przedstawiliście mi moje prawa i aresztowaliście mnie. Nie pozbędziecie się mnie tak łatwo. Mój kumpel to co innego. Zawieźcie go do szpitala, a potem zabierzcie mnie na posterunek. Tak zazwyczaj postępujecie, prawda?

- A twój dziadziuś i tatuś zaraz cię stamtąd wyciągną. Wysiadaj. Zawieziemy twojego kumpla do szpitala.

- Spróbujcie wysadzić mnie z samochodu, a będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobicie. Tracicie czas.

- On ma rację. A ten jest ciągle nieprzytomny. Kiepsko wygląda - stwierdził zimno Bellamy. -Później zajmiemy się tym gnojem.

Po godzinie powolnej jazdy śladem pługa śnieżnego dotarli do szpitala. Dwóch sanitariuszy z noszami zajęło się Mike'em. Riley wysiadł z samochodu.

- Riley! To była Sara. Nad okiem miała guz wielkości cytryny.

- Co się stało?

- Mikę ma złamaną rękę. Ktoś jeszcze jest ranny?

- Devon ma uszkodzoną tchawicę, jakiś gliniarz przyłożył mu w

gardło. Operują go. Betsy właśnie nastawiają rękę, złamaną w dwóch miejscach. Calvina zszywają, oberwał w twarz i chyba trochę odkształcili mu nos. Gliniarze dali niezły popis. Pamiętaj! To nie my zaczęliśmy.

- Dziewczyno, byłem tam! Boże, oby z Mike'em wszystko było w porządku. Kiepsko wyglądał. Te dranie go skuły, wyobrażasz sobie?

Sara poprawiła sobie okład z lodu i przysunęła się bliżej:

- W holu czekają setki dziennikarzy. Chcą, żeby ktoś z nas z nimi porozmawiał. Nie chce mi się wierzyć, że tu sterczą w taką pogodę. Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. To miała być pokojowa demonstracja, bez względu na wszystko.

- Trudno zachować spokój, kiedy ktoś łamie ci kości - odparł cierpko Riley. -Pokojowa, dobre sobie! Kto będzie gadał?

- Może ty? To świetna reklama dla naszej sprawy. Riley Seth Coleman z tych Colemanów. Wchodzisz w to?

Wyobraził sobie Setha i Mossa oglądających wieczorne wiadomości. Zaraz jednak przypomniał sobie popielatą twarz przyjaciela i jego sine usta. Sara czekała. Wreszcie szalę przeważyła myśl o matce.

- Tak. Powiedz mi szybko, co się działo po tym, jak mnie zabrali.

Słuchał uważnie, gdy streszczała przebieg wydarzeń. Chłonął wszystkie informacje. Po chwili był gotów.

- Gliniarzom się nie spodoba, że chcesz rozmawiać z prasą. Musimy coś wymyślić. Wszyscy dziennikarze czekają przy głównym wejściu. Jesteśmy teraz na izbie przyjęć, a to drugi koniec szpitala. Policjanci zaraz zabiorą cię na posterunek.

- Do cholery, chcieli mnie wyrzucić z samochodu, kiedy im powiedziałem, że jestem wnukiem burmistrza. Prasa oszaleje, kiedy się dowiedzą że pochodzę z Colemanów z Teksasu. Musiałem powiedzieć gliniarzom - dodał, jakby się tłumaczył. - Skuli Mike'a. Zemdlał z bólu. Nie mogą zatrzymać mnie na długo. Zawiadom mnie, kiedy tylko będzie wiadomo, co z innymi, dobrze?

- O.K.- Saul będzie do tego najlepszy. Ulegnie mu każda kobieta. Ma skręcony nadgarstek. Patrz: już podrywa tę blondyneczkę. Niech ona da znać dziennikarzom. Czekaj tutaj, nie daj się glinom stąd zabrać.

- Dobra. Pośpiesz się. Idą po mnie. Nie zapominaj, że nie mogę się zbyt długo opierać. Bądź co bądź, jestem aresztowany.

Sara pobiegła do Saula.

- Dobra, Coleman, idziemy. Zaraz zadzwonisz do tatusia, żeby cię od nas wyciągnął przy pomocy drogiego adwokata.

- Nie ruszę się stąd, dopóki nie będę wiedział, co z moim kumplem. - Kątem oka dostrzegł, że młodziutka pielęgniarka biegnie korytarzem. Potrzebował jeszcze kilku minut.

Riley odpowiadał na pytania dziennikarzy na schodach szpitala, ze skutymi rękami. Pojawił się w telewizji o szóstej. O jedenastej zaimprowizowaną jednoosobową konferencję prasową zobaczył cały kraj.

O piątej Agnes pozwoliła służbie iść do domu. Odkąd dzieci nie mieszkały w domu, zatrudniała tylko służących na przychodne. Nie znaczyło to jednak, żeby sama miała się zabrać za gotowanie. Kazała kucharce przygotować olbrzymie ilości zapasów na wypadek, gdyby zaczął padać śnieg i drogi stały się nieprzejezdne.

- Zjemy w salonie, przy kominku - oznajmiła radośnie. - Mamy zupę fasolową i kanapki z szynką. Tak będzie najlepiej, Seth. Służący chcieli wrócić do domów, a za godzinę nikt się tu nie przedostanie. Moss się zgodził. Zadzwoniłam do Billie, do atelier, i zaprosiłam do nas. W taki dzień jak dziś nie ma nic lepszego od talerza gorącej zupy.

- Dziewczyna zabłądzi - burknął Seth.

- Na Boga, atelier jest po drugiej stronie podwórza. Chyba chciałeś powiedzieć, że nie chcesz jej widzieć, odkąd wniosła pozew o rozwód. Powiedz, jeśli o to ci chodzi. Zadzwonię i powiem, żeby nie przychodziła.

- Kto nie ma przychodzić? - zainteresował się Moss, który właśnie wszedł do pokoju. Pierwsze kroki skierował do barku.

- Zaprosiłam Billie na zupę i kanapki - odpowiedziała niepewnie.

- Denerwuje cię ten rozwód, co, tato? - zapytał Moss złośliwie.

Agnes obserwowała, jak duszkiem wychylił podwójnego burbona i od razu nalał sobie następnego. Jeśli nie przestanie pić, dojdzie dzisiaj do straszliwej awantury. Lepiej zadzwonić do Billie, by została w atelier.

- A tak, denerwuję się. Colemanowie się nie rozwodzą. Schrzaniłeś sprawę, synu. Zawiodłeś mnie. Kto to widział? Bierze rozwód, a przychodzi na towarzyskie spotkania! Dlaczego się jeszcze nie

wyprowadziła? Korzysta z naszej gościnności, mimo że cię zostawia? Wytłumacz mi to.

- Daj spokój, tato. To sprawy między mną a Billie. Atelier należy do niej. Sawyer jest tam lepiej niż w mieszkaniu w mieście.

- Mała jest w szkole przez cały tydzień, a w weekendy włóczy z przyjaciółmi. Też mi logika - żachnął się Seth.

Nie chcąc dopuścić do awantury, która wisiała w powietrzu, Agnes zaproponowała obejrzenie wiadomości telewizyjnych o szóstej. Usadowiła się właśnie na miękkiej kanapie, gdy do salonu wkroczyła Billie. Szła z podniesioną głową.

- Billie?

- Masz ochotę na drinka?

- Tak, Moss, dziękuję. Poproszę szklaneczkę sherry.

- Seth się obawiał, że nie trafisz do domu - zaczęła Agnes nerwowo.

- Chciałaś chyba powiedzieć, że Seth na to liczył? Dom świeci się jak choinka, wystarczyło iść ku światłom. Przemoczyłam sobie buty. Usiądę przy kominku, dobrze? - spojrzała na Setha. Nie raczył jej odpowiedzieć, skinął tylko głową.

- Kochanie, przyniosę ci kapcie. Zapalenie płuc to groźna choroba. - Agnes zerwała się z miejsca.

Na kominku trzaskały drwa. Billie spojrzała na tacę, którą obok niej postawiła Agnes. Zupa, kanapki, kawa. Unosiła pierwszą łyżkę zupy do ust, gdy na ekranie mignęła twarz jej syna.

- Co Riley robi w telewizji, u licha? - zdziwił się Seth.

- To rzeczywiście Riley. - Moss zastygł w bezruchu. Nie zdążył ugryźć swojej kanapki.

- Rany boskie, to on - mruknęła Agnes. Billie obserwowała scenę w milczeniu.

Po pięciu minutach wiedzieli już, co Riley robił w telewizji. W ataku wściekłości Seth cisnął zupę, kanapki i tacę w ogień. Moss miał minę posępną jak świat za oknem. Agnes kuliła się na fotelu. Billie spokojnie skończyła jeść, pożegnała się i wróciła do atelier, w głębi duszy bijąc synowi brawo. Wierzył w to, co robi, i chwała mu za to.

Jeszcze nie zamknęły się za nią drzwi, a już rozdzwoniły się telefony. Colemanowie będą mieli pełne ręce roboty. Biedny Moss. Co za cios dla jego dumy.

Po wiadomościach o jedenastej Agnes do niej zadzwoniła.

- Seth nie posiadał się ze złości. Moss nazwał Rileya parszywym gnojem, który uchyla się od obywatelskich obowiązków. Seth i Moss dostali szału, Billie. Szkoda, że ich nie słyszałaś. Musiałam stamtąd wyjść. Nie rozumiem, co w nich wszystkich wstąpiło! Mój wnuk w kajdankach! Już go uwolnili. Moss zadzwonił do prawnika. Riley nie chciał odejść, dopóki nie uwolniono także jego przyjaciół. Czy to nie miłe z jego strony? Teraz jest w szpitalu, chciał się zobaczyć z przyjacielem.

Billie westchnęła. To do niego podobne.

- A co ty o tym myślisz, mamo?

- Sama nie wiem. Chyba go podziwiam. Walczy o swoje ideały. Ale telewizja! Musieliśmy wyłączyć telefon. Moss jest zalany w trupa. Dlaczego stąd poszłaś, Billie? Riley to twój syn.

- Przypominasz sobie o tym tylko wtedy, gdy ci wygodnie. Zresztą, jestem po jego stronie. Nie myślisz chyba, że Moss i Seth chcieliby to usłyszeć? Mamo, nie chcę, żeby Rileya wysłano do Wietnamu. Nie mam siły przechodzić przez to jeszcze raz. Mało brakowało, a w poprzedniej wojnie straciłabym męża. Nie chcę teraz stracić syna. Nie obchodzi mnie, za co się go uważa, dopóki żyje. Dlaczego Seth był zły? Przecież on też nie chce, żeby szedł do wojska.

- Bo Riley wystawił na pośmiewisko całą rodzinę. Kajdanki! Przynajmniej tak to zrozumiałam. Kiedy Seth wpada w szał, nie wiadomo właściwie, o co mu chodzi. Kiedy szłam na górę, wrzeszczał na Mossa. Dlaczego nas to spotyka? - lamentowała Agnes.

Billie nie mogła się powstrzymać.

- Dlatego, mamo, że jesteśmy Colemanami. To my tworzymy wiadomości. -Jeśli nie stać cię na lepszą odpowiedź, Billie, kończę. Dobranoc, skarbie.

- Dobranoc, mamo.

Riley Coleman nie zjawił się w domu ani w czasie tego, ani następnego weekendu. Został na kampusie do dnia, w którym Mikę poleciał na Wschód, na specjalistyczną operację. Korzystając z pomocy przyjaciół, skutecznie unikał rozmów telefonicznych z ojcem i dziadkiem. Nie miał siły kłócić się i wysłuchiwać obelg. Matka - to co

innego; ona rozumie. Zadzwonił do niej do atelier. Poradziła, żeby się niczym nie przejmował i nie zwracał uwagi na ojca i dziadka. Westchnął głośno. Jak dobrze, że nie kazała mu przyjeżdżać do domu i się tłumaczyć. Wystarczy, że wróci tam na Boże Narodzenie. Do tego czasu wszyscy ochłoną. Na to w każdym razie liczył.

Rozdział jedenasty

Wszystko wskazywało na to, że tegoroczne Boże Narodzenie będzie w Sunbridge bardzo smutne... Dom pięknie ustrojono, świąteczna atmosfera jednak panowała tylko w atelier Billie. Babcia i wnuczka ozdobiły choinkę zabawkami własnej roboty. Na kominku wisiały skarpety. Kolorowo opakowane prezenty leżały naokoło. Billie i Sawyer piły gorącą czekoladę przy kominku i wsłuchiwały się w trzaskanie drewna. Była wozownia była dla Billie prawdziwszym domem niż Sunbridge.

Ostatnimi czasy mieszkańcy dużego domu się podzielili. Agnes korzystała z byle pretekstu, aby wpaść do atelier. Seth stał się jeszcze bardziej nieznośny niż zwykle. Moss odgrywał rolę urażonego ojca - jakim prawem jego syn zadaje się z radykałami... zachowuje się poniżej godności Colemana?

Billie niemal im współczuła; Seth, Moss i Agnes byli nieszczęśliwi. Podobnie jak Riley. Tylko ona zachowywała równowagę, traktowała całe zajście jak na to zasługiwało.

Na trzy dni przed świętami ktoś zadzwonił do drzwi. Była dziesiąta wieczorem. Sawyer już spała. Billie pospieszyła do drzwi, zanim wnuczka się obudzi.

- Riley! - Objęła go serdecznie. Szybko zamknęła drzwi. - Zdejmij marynarkę. Siadaj przy kominku. Masz ochotę na gorącą czekoladę? Z bitą śmietaną?

- A masz?

- Sawyer i ja pijamy ją namiętnie. Za chwilę wracam. Podrzuć drewna. Drżącymi rękami układała ciasteczka na talerzu. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by Riley przyszedł najpierw do atelier. Najwyraźniej obawiał się konfrontacji z ojcem.

Kiedy skończył jeść, zapytała o Mike'a.

- Wyzdrowieje. Chyba zrobią mu przeszczep kości. Jest teraz na

Wschodnim Wybrzeżu. Zadzwonię do niego w czasie świąt. Mamo, zrobiłem to, co musiałem. I postąpiłbym tak jeszcze raz.

- Wiem, Riley.

- Tata tego nie zrozumie. Unikałem go. Miałem nie wracać na Gwiazdkę, ale nie mogłem tego zrobić tobie i Sawyer. Chciałem pojechać do Nowego Jorku i zobaczyć się z Mike'em.

- Czas, żebyś porozmawiał z ojcem i dziadkiem. Miejmy nadzieję, że cię wysłuchają.

- Mamo, zadzwoń do taty. Poproś, żeby tu przyszedł. Twoje atelier to neutralny teren.

- Na pewno tego chcesz, Riley?

-Tak.

Moss odebrał po drugim dzwonku.

- Moss, to ja, Billie. Riley jest tutaj. Prosi, żebyś przyszedł... Nie, nie mogę tego zrobić. Riley chce, żebyś ty tutaj przyszedł... Nie wierzę własnym uszom, Moss. Nie wiedziałam, że to on, dopóki nie otworzyłam drzwi. - Billie słuchała jeszcze chwilę, a potem odłożyła słuchawkę.

- Jest zły. Na nas oboje. Nie podoba mu się, że złożyłam pozew o rozwód. Chyba uważa, że go zdradziłeś, przychodząc do mnie. Poczekamy. Może przyjdzie. Chcesz jeszcze czekolady?

- Tak, mamo, proszę. Powiedz mi... jak ty się czujesz mając za syna „gnoja, który odmawia służby wojskowej"?

Zastanawiała się przez chwilę.

- W życiu zdarzają się gorsze rzeczy. Wojna w Wietnamie nie ma sensu. Jako twoja matka martwię się o ciebie.

- Tu nie chodzi o mnie, mamo. Nie wierzę w tę wojnę. Nasi chłopcy idą na rzeź. W imię czego?

Oboje podskoczyli, gdy zadzwonił dzwonek. Billie poszła otworzyć.

Nie doszło do radosnej ugody między ojcem a synem. Obydwaj zerkali na Billie, jakby szykowali się do walki. Billie obserwowała Rileya. Nagle zrozumiała; chłopak zrobi wszystko, czego Moss od niego zażąda.

- Zawiodłeś mnie, Riley- Moss nie owijał w bawełnę. - Przejdźmy od razu do rzeczy. Postąpiłeś źle. To... karygodne. Ja nigdy nie wymigiwałem się od obowiązków wobec ojczyzny. Nigdy nie

zostawiłem kraju w potrzebie. Ameryka bardzo dobrze potraktowała Colemanów, nigdy o tym nie zapominaj!

- Tato, czy mógłbyś chociaż spróbować mnie zrozumieć? Wysłuchasz mnie?

- Nie, jeśli chcesz mi wciskać te same bzdury co dziennikarzom. To bolało, synu. Mało brakowało, a twój dziadek miałby kolejny wylew przez twoje wygłupy.

- To nie wygłupy, tato. Nadal jestem tego zdania. Nie mamy czego szukać w Wietnamie. A skoro powiesz, że jest inaczej, uznam, iż chcesz po prostu sprzedawać rządowi więcej samolotów.

- Dość tego, Riley!

- O, nie. Nie boję się, jeśli o to ci chodzi. Nie jestem tchórzem.

- Cóż, tak to wygląda z mojego punktu widzenia. Tego zdania są wszyscy porządni ludzie. Jezu, i do tego w kajdankach! Musiałem się gęsto tłumaczyć. Skończysz z tymi bzdurami, jasne?

Riley wpatrywał się w ojca. Czego się spodziewał? Miłości, zrozumienia? Ojciec żądał, by ot, tak, zmienił zdanie i myślał jak prawdziwy Coleman. Kątem oka widział matkę nerwowo załamującą ręce.

Nie odpowiedział ojcu od razu. Włożył marynarkę.

- Wiesz, tato, czego żałuję? Że się urodziłem w rodzinie Colemanów. - Z tymi słowami wyszedł.

Moss osunął się na krzesło, ukrył twarz w dłoniach. Billie z trudem opanowała odruch, by do niego podbiec.

- Byłeś surowy. Zbyt surowy, Moss. Dlaczego nie starasz się go zrozumieć?

- Więc tak to odbierasz: że go nie rozumiem? Rozumiem doskonale. Boi się. Nie wmawiaj mi, że tak nie jest.

- Riley nie kłamie. Jeśli mówi, że się nie boi, tak jest. On po prostu nie wierzy w sens tej wojny.

- Billie, spalił kartę poborową! Czy wiesz, co to znaczy? Przestań myśleć jak matka, na Boga!

- Moss, ja jestem jego matką! Staram się jedynie zrozumieć naszego syna.

- Zgadzasz się na to wszystko, prawda? Przymykasz oczy! - wybuchnął Moss.

- Staram się zrozumieć! Jeśli to dla ciebie „przymykanie oczu"!

- Cóż, ja tego nigdy nie zrozumiem. Mój syn! - stwierdził z goryczą.

- Nasz syn-poprawiła Billie. -Idź do domu, porozmawiaj z nim. Porozmawiaj z nim jak ojciec z synem, a nie jak głowa imperium Colemanów. Nie zniszcz tego, co was łączy.

- Tak, jak zepsułem wszystko inne, to chciałaś powiedzieć? Westchnęła.

- Daj spokój, Moss. Nie czas na awantury.

On jednak nie dawał za wygraną.

- Wiesz co? Jesteś taka sama jak Riley. I ty, i nasze córki. Zawsze narzekacie i plujecie na Colemanów i ich pieniądze. Ale wszyscy wyciągacie po nie ręce.

- To nie fair, Moss. Nigdy nie chciałam pieniędzy. Chciałam ciebie.

- Miałaś mnie.

- Nie. Nigdy do mnie nie należałeś, zawsze do kogoś innego. Moss, jestem zmęczona. Późno już. Idź.

- Jeszcze wrócimy do tej rozmowy, Billie.

- To nic nie da.

- Ale i tak wrócimy. Przyjdę tu niedługo. Chcę, żebyśmy spędzili w tym roku miłe święta.

- A czemu miałyby być inne niż minione Gwiazdki? Do tej pory to cię nie obchodziło. Jest za późno, nie rozumiesz? Nie zrezygnuję z rozwodu. Idź do Rileya. Musicie porozmawiać spokojnie.

Zamknęła za nim drzwi. Miała łzy w oczach. Usiadła przy kominku, wpatrzona w płomienie. Tyle lat minęło. Tyle się wydarzyło. Nie była już młoda, jej dzieci dorosły. Jej małżeństwo się rozpadło - i był to jej wybór.

Może popełniła błąd, składając pozew. Potrząsnęła głową. Czego ona właściwie chce? Co ją uszczęśliwi? Miłość Mossa? Z gorzkim uśmiechem dorzuciła polano do ognia. Skuliła się w kłębek na miękkiej kanapie.

Miłość... piękne, kruche uczucie. Gdzie się podziało? Gdzieś w głębi serca nadal kochała Mossa, będzie go kochała aż do śmierci, ale nie miała siły walczyć. Nie. Jej małżeństwo jest skończone. A że jej cząstka nadal będzie snuć o nim sen? Trudno. Taka jest cena. Ale teraz przyszła jej kolej.

Billie wierciła się przez sen. W pierwszej chwili nie wiedziała,

gdzie jest. Potem przypomniała sobie, że zasnęła na kanapie. Szczelniej otuliła się barwnym kocem.

Do świtu jeszcze co najmniej godzina, oceniła. Nadchodziła wigilia Bożego Narodzenia. Thad zadzwoni dzisiaj albo jutro. Będzie mu miała dużo do powiedzenia.

Boże Narodzenie. Święto radości. Niestety, nie miała się z czego cieszyć. Oczywiście, ma Sawyer. Billie westchnęła. Niedługo, wraz z Nowym Rokiem, rozpocznie nowe życie. Wyprowadzi się do miasta i zostawi przeszłość za sobą.

Przemarzła do szpiku kości, więc niechętnie wstała i dorzuciła brzozowych polan do żarzącego się paleniska.

Tak, za tydzień stanie na własnych nogach, po raz pierwszy w życiu. Powiedzmy, za dwa tygodnie, najdalej za miesiąc - nie wiadomo, kiedy uda się jej znaleźć odpowiednie mieszkanie. Jeszcze miesiąc.

Moss przeczesał włosy palcami i popatrzył na syna:

- Nie mogę uwierzyć w te bzdury, które mi wciskasz od dwóch godzin. Posłałem cię do college'u, żebyś uzyskał wykształcenie, a ty co? Zadajesz się z cholernymi radykałami... Oczekiwałem czegoś więcej, Riley, dużo więcej. -Jezu, czy to do niego dociera? Czy chłopak bierze sobie jego słowa do serca, czy tylko uprzejmie słucha? -No, Riley, co masz do powiedzenia? A może mam cię zabrać z college'u?

Riley błądził wzrokiem po pokoju. Słyszał to tysiące razy, może nie te słowa, ale tego właśnie się obawiał, gdy setki razy wyobrażał sobie tę rozmowę. Miał dość kłótni, wymówek, usprawiedliwiania się, przede wszystkim zaś miał dość bycia Colemanem, cokolwiek to miało znaczyć.

- Riley, mówię do ciebie. Czy raczysz mi odpowiedzieć? Masz przestać się wygłupiać. Postępuj jak prawdziwy mężczyzna. Zaczniemy wszystko od początku. Nigdy więcej nie przyniesiesz nam takiego wstydu. Rozumiemy się, Riley?

- Tak, tato. Czy mogę iść spać? Późno już.

- Dobrze, idź spać. Jutro jeszcze raz omówimy to z dziadkiem. Zgadzasz się?

Zbierało mu się na mdłości, ale potwierdził ruchem głowy i nie sprzeciwił się, gdy ojciec go objął. Czegoś mu zabrakło. Czyżby

miłości Mossa? Przekona się o tym rano.

O drugiej w nocy Riley cichutko przemknął się na dół i ułożył prezenty pod choinką. Podarki dla sióstr odłożył na bok; mama się nimi zajmie. Na gzymsie kominka zostawił krótkie liściki dla wszystkich domowników i wyszedł z Sunbridge.

Na głównej szosie złapał okazję do Dallas. Nie ma sensu jechać do Austin. Staruszek zaalarmuje linie lotnicze i siłą ściągnie go na łono rodziny. Wesoły kierowca ciężarówki podrzucił go na lotnisko w Dallas. Stamtąd poleciał do Nowego Jorku pod przybranym nazwiskiem.

Tego dnia zrobił dwie rzeczy. Odwiedził swojego przyjaciela Mike'a i podtrzymał go na duchu. Później zadzwonił do Thada Kingsleya. Rozmawiali przez dwie godziny.

Riley stał na rogu Trzydziestej Czwartej Ulicy i Siódmej Alei. Rozglądał się w poszukiwaniu taksówki. Zapiął na suwak skórzaną kurtkę, wbił ręce w kieszenie. Żałował, że nie wziął rękawiczek. Pierwszy raz spędzał świąteczny poranek poza Sunbridge. Wydało mu się, że było to bardzo dawno temu, w innym życiu.

Taksówka zatrzymała się nagle.

- Wesołych świąt! - przywitał go kierowca. -Ma pan szczęście. To mój ostatni kurs. O ile jedziesz pan do północnej części miasta.

- Właśnie tam. - Riley podał mu adres Maggie i wsiadł do samochodu. W taksówce było przynajmniej ciepło. - Wesołych świąt - dorzucił po jakimś czasie.

Kierowca gnał jak oszalały po pustych ulicach. Gdzieniegdzie przemykali się wierni śpieszący do kościoła. Uczucie samotności było przygnębiające. Riley głębiej wcisnął się w sfatygowane siedzenie.

Dziesięć minut później portier wpuścił go do budynku, w którym mieszkała Maggie. Wjechał windą na górę. Czekała na niego z wyciągniętymi ramionami. Drżała... a może to on dygotał?

- Wchodź. Na pewno zmarzłeś. Kawa już gotowa. Chodźmy do saloniku. Rozpaliłam ogień na kominku. Nawet kiedy zadzwoniłeś, nie mieściło mi się w głowie, że jesteś tutaj, w Nowym Jorku. Daj mi kurtkę. Co się stało? Czemu nie jesteś w Sunbridge? Chcesz kawę czy coś mocniejszego? Wyglądasz okropnie, a ja zadaję za dużo pytań. Siadaj, zaraz wracam.

Posłusznie opadł na szeroką kanapę. Rozglądał się ciekawie. W

rogu stała wielka choinka. Pod drzewkiem piętrzył się stos prezentów. Z daleka wiedział, które paczki są od Sawyer. Na ten widok coś ścisnęło go w gardle. Maggie, samotnie rozpakowująca prezenty. Ile razy siedziała tu sama, podczas gdy on świętował z rodziną?

- Proszę bardzo: kawa, sok, bułeczki i brandy do świątecznego ponczu. Wznieśmy toast, Riley. Bez względu na powody, cieszę się, że tu jesteś. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się obawiałam dzisiejszego dnia.

- Włącz lampki na choince. Boże, to arcydzieło! - zawołał z podziwem.

- Zupełnie jak w domu, prawda? - Maggie nie ukrywała dumy. - Powiem ci jedno; niełatwo ją było tu ściągnąć. Wolę nie myśleć o rozbieraniu.

- Dlaczego zostałaś w mieście? Zawsze wyjeżdżałaś na święta do Saint Moritz. Przypomniałem sobie o tym dopiero gdy do ciebie zadzwoniłem.

- Chyba nigdy nie powiedziałam wprost, że tam jeżdżę, sugerowałam to jedynie. Więc teraz znasz mój sekret. Na święta zamykałam się w domu i wypłakiwałam sobie oczy. Potem jadłam indyka, rozpakowywałam prezenty i płakałam dalej. Na końcu się upijałam i szłam spać. Co ty na to?

- No, cóż... Powinnaś była przyjeżdżać do nas, do domu. Mama zawsze cię wspominała. Tęskniła również za Susan, ale ona przynajmniej dzwoniła. Ty nigdy.

Nie oskarżał jej; w jego głosie był tylko smutek.

- Doprawdy, Riley? Naprawdę uważasz, że powinnam była wrócić do domu? Tam nigdy nie było i nie ma dla mnie miejsca. Byłabym gościem. Dobrze mi z tym, co mam. To mój sposób na życie. Słuchaj, zostaniesz u mnie na obiedzie? Rozpakujemy moje prezenty i opowiem ci, co wysłałam do Sunbridge. Urządzimy sobie własne święta.

Riley skinął głową. Za żadne skarby świata nie sprawiłby teraz Maggie rozczarowania. Później porozmawia z nią o swoim dylemacie. Na razie musi zebrać resztkę sił, żeby przetrwać ten dziwny dzień Bożego Narodzenia.

- Świetny pomysł, Maggie. Pod jednym warunkiem: ani słowa na temat Colemanów, Sunbridge, Teksasu...

-... mamy, taty, Sawyer, Susy, Setha czy Agnes... - Maggie wpadła

mu w słowo. - Niewiele zostaje, braciszku. Oni stanowią nasze życie.

- Nie dziś - odparł poważnie. - To nasz dzień. Powiedz, naprawdę umiesz gotować?

- Co za pytanie! Chodź, pokażę ci coś! - Weszli do dużej kuchni. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był olbrzymi indyk w brytfance.

- Już nadziany, braciszku. Dzikim ryżem i kasztanami. Tutaj mam świeże żurawiny - wskazała niedużą miseczkę. - A tu słodkie ziemniaki, które po doprawieniu brązowym cukrem i masłem będą się rozpływały w ustach. To świeże szparagi. Ciasta? Do wyboru: keks, szarlotka i placek z dyni. Piekłam je w nocy. Czy o czymś zapomniałam?

Na ego twarzy malował się podziw... i coś jeszcze.

- A niech cię, Riley! - krzyknęła. - Nie waż się mi współczuć. Zawsze tak spędzam święta.

Objął ją serdecznie.

- Hej, Maggie, to ja. Nigdy cię nie osądzałem, nie robię tego również teraz. Szczerze mówiąc, uważam się za wielkiego szczęściarza, że tu z tobą jestem. Pomyśl tylko, tkwiłbym w Sunbridge i wysłuchiwał, jak Seth marudzi, że niepotrzebna mu kolejna flanelowa koszula, a Agnes zachwyca się nową sztuką biżuterii... Przepraszam. Złamałem własny warunek. Chodź, usiądziemy przy kominku. Opowiesz mi wszystko o twojej pracy. To mieszkanko musi sporo kosztować.

- Ale jest tego warte. - Maggie, gdzie są twoi przyjaciele?

- Tu, tam... kto wie? Kogo to obchodzi? Zazwyczaj w okolicach Święta Dziękczynienia opowiadam, że wyjeżdżam na Gwiazdkę. Wszyscy myślą, że jestem w Saint Moritz. Sama tego chcę. To mój wybór.

- My, Colemanowie, dokonujemy doprawdy dziwnych wyborów. A przy okazji, czy widziałaś mój telewizyjny debiut? Nie mów tylko, że nie; zdaniem dziadka oglądał to cały świat.

- Boże drogi, Riley, nie wierzyłam własnym oczom! Ty w kajdankach! Tata chyba usiadł z wrażenia.

- Taaak. Myślał, że zwariowałem.

- Ja tak nie myślę. Podziwiam cię. To wymagało odwagi. Nie wiem, czy sama zdobyłabym się na coś takiego.

- Chcesz powiedzieć, że to nie wymaga odwagi? - wskazał ręką puste mieszkanie. - Jesteś dzielniejsza niż my wszyscy razem wzięci,

Maggie.

Wypili kawę. Maggie zajęła się indykiem. Siedzieli i gadali, ostrożnie dobierając słowa, żeby nie sprawić drugiemu przykrości.

- Nakryj do stołu, a ja się przebiorę, dobrze?

- Powiedz, gdzie co jest.

- W kredensie. Obrus to oryginalna, „Billie", tak przy okazji informuję. Gdy weszła, Riley powitał ją cichym gwizdem zachwytu.

- Co masz na sobie? - zapytał ciekawie.

- Podoba ci się? Mama przysłała mi na urodziny. To mój najładniejszy ciuch.

- Jest zdolna, prawda?

- Tak, chyba sama nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo. Gdybym chciała to kupić, wybuliłabym co najmniej pięć setek, jeżeli w ogóle znalazłabym to w sklepie, w co wątpię.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. Staruszka ma talent. Ten kolor nazywa się „Czekoladowa Wiśnia". Poprawia mi humor. Chodź, będziemy zgadywać, co jest w paczkach. Policzyłam je: dwadzieścia sześć. Ale nie ma nic od ciebie - stwierdziła z wyrzutem.

- Owszem, jest. W Sunbridge. Mama ci to prześle. Kiedy wyjeżdżałem, nie... -zaczerwienił się.

- Nie wiedziałeś, że przyjedziesz do mnie. Nic nie szkodzi, Riley. Cieszę się, że jesteś. Ty pierwszy. Zgadnij, co ci wysłałam.

Zdjął buty i przykucnął obok niej.

- Koszulę. Krawat. Portfel.

- Pudło. Moja kolej. To od Sawyer. Założę się, że to szczotka do włosów. Pisała, że ma dwadzieścia siedem dolarów, a musi kupić siedem prezentów.

- Co jej wysłałaś?

- Mój znajomy ma galerię. Zdobył dla mnie litografie samolotów, od jednopłatowców po nowoczesne odrzutowce. Oprawiłam je i wysłałam. Mam nadzieję, że się jej spodobają. Ma bzika na punkcie samolotów, jak ty i tata. I jeszcze książki o lotnictwie, sweter, kapcie, i inne drobiazgi. Dorasta, lalki już jej nie bawią.

- Szkrab zwariuje z radości. No, ale cieszyłaby się, gdybyś jej dała nawet kawał węgla, Maggie.

Unikała jego wzroku.

- Też od Sawyer. To chyba jej zdjęcie przy samolocie taty. Pisała mi o tym w ostatnim liście. Nie posiadała się z radości, kiedy ją zabrał do fabryki. To od rodziców. Stawiam na futro. Twoja kolej. Strzelaj.

- Piżama, skarpety, sweter.

- Znowu pudło. Teraz ja. Ta paczka jest od Susan. Zawsze przysyła mi wełniane swetry.

W kuchni zadzwonił dzwonek. Maggie pobiegła zajrzeć do indyka. Mijały godziny, a oni nadal zgadywali, co zawierają kolorowe paczki. Maggie co jakiś czas wychodziła do kuchni. W końcu wróciła z tryumfalnym uśmiechem.

- Gotowe. Nalej wina, zaraz wnoszę indyka. Pokroisz go, dobrze? Może uwiecznimy to na zdjęciu?

- O, tak. Jeszcze nigdy nie kroiłem świątecznego indyka.

- Cóż, jesteś jedynym mężczyzną w tym domu, więc nikt nie zrobi ci konkurencji. -Zniknąwszy w kuchni, ciężko opuściła ramiona. Po co ta sztuczna wesołość? Miejsce Rileya jest w Sunbridge, z rodziną. Coś go gryzie - to nie jest przypadkowa wizyta. Miał rozpacz w oczach. Dla niego będzie udawała. To jedno umiała dobrze.

Godzinę później Riley rozpiął pasek u spodni.

- Umieram. Nigdy w życiu tyle nie zjadłem. Mów do mnie, Maggie, bo zasnę.

- Co to, to nie. Musimy posprzątać.

- To babska robota.

- Nic z tego. Jesz, więc pracujesz.

Maggie uprzątnęła stół, Riley chował resztki do wielkiej lodówki. Później ręcznie zmywała i wycierała porcelanową zastawę, nie chcąc jej powierzać zmywarce do naczyń. Riley dobrze się bawił. Gratulował sobie pomysłu, żeby do niej przyjechać, tyleż ze względu na siebie, co i na siostrę.

- Masz ochotę na spacer po Piątej Alei? - Maggie zdjęła fartuszek.

- Nie. Chcę. Chcę, żebyś rozpakowała prezenty. To najmilsza chwila w Boże Narodzenie. Ty i ja to najstarsze dzieciaki na świecie.

Maggie parsknęła śmiechem i usiadła przy choince. Jaka ona ładna. Jaka smutna. Ciekawe, czy ktoś oprócz niego dostrzega jej wrażliwość.

-Ja będę otwierała, a ty składaj papier, dobrze?

- O.K.

- O, proszę, nie mówiłam? Szczotka do włosów!

Riley obserwował, jak Maggie starannie odkłada prezenty od Sawyer na bok. Futra z rysia od rodziców i niebieskiego swetra od Susan nawet nie wyjęła z pudełek. Nie zdziwił się, gdy obojętnie rzuciła okiem na satynową koszulkę od Agnes i bransoletkę ze szmaragdami od Setha. Do prezentów Sawyer dołączył pierścionek, w którym błyszczało więcej brylantów, niż Riley zdążył naliczyć. Nie pytał, kto go podarował.

- Poddajesz się?

- Tak.

- Zamówiłam ci dostawę cukierków tootsie roli na całe życie. Parsknął śmiechem. Maggie jeszcze nie skończyła.

- A także prenumeratę „Reader's Digest" do końca życia.

- Maggie, jesteś niemożliwa!

- Jak również wspomniane wcześniej: krawat, koszulę, skarpety, sweter i piżamę. Dobra, teraz powiedz, co dostanę od ciebie?

Riley płakał ze śmiechu:

- Pięćdziesięciofuntowe pudło czekoladek M&M i prenumeratę „National Geographic", również do końca życia.

Zwijali się ze śmiechu, nie mogąc się nacieszyć absurdalnością tych prezentów. Później nadeszły łzy smutku. Zmarnowali tyle czasu. Dzieliło ich tyle lat. Dzięki Bogu i za to, że się nie zgubili, że byli razem, zwłaszcza teraz, gdy wszystko się zmienia.

- Przyniosę wino. Przyda się nam coś na wzmocnienie. - Maggie wytarła oczy.

- Tak. Najwyższy czas porozmawiać o tym, co mnie tu naprawdę sprowadza - mruknął ochryple Riley. Odchrząknął, jakby chciał się pozbyć guli w gardle, która nie pozwalała mu mówić.

Maggie zwinęła się w kłębek i słuchała uważnie każdego słowa.

- I tyle. Przyjechałem tutaj. Nie wiedzą, gdzie jestem. Co o tym sądzisz, Maggie?

- Jako starsza siostra mówię: nie rób tego. Boję się, Riley. Ale jakaś cząstka mnie szepce: zrób to. - Ta cząstka, która chce zemsty na tacie, pomyślała pełna niechęci do siebie. Zemsty za lata bez miłości. Zdenerwować ojca za każdą cenę. -Zrób to, Riley - nie wierzyła, że wypowiada te słowa. - Zrób to.

W błękitnych oczach Rileya błyszczała wiara w dobro ludzkiej natury. Ponieważ sam był dobroduszny, szczery i ufny, nie dostrzegał

złych cech u innych. Maggie to jego siostra, kocha go i on kochają. Powiedziała to, co chciał usłyszeć.

- Zrobię to. Szybko, bo jeszcze zmienię zdanie.

W tej chwili umarła cząstka Maggie Coleman. Riley się uśmiechnął; na ten widok ścisnęło się jej serce. Była przerażona: miała przeczucie, że to pożegnanie.

- Riley, kochany, naprawdę tego chcesz?

- Mówisz jak mama. - Zmarszczył brwi. - Maggie, zdecyduj się, tak czy nie? Więc postępuję słusznie czy nie?

Upiła łyk wina.

- Nie mieszaj w to mamy, dobrze? Lepiej nie poruszajmy tego tematu.

- A właśnie, że poruszymy, Maggie. Nie rozumiem, dlaczego jesteś dla niej taka niedobra. Przecież ona cię kocha.

- Cóż, nie moja sprawa - warknęła. - Nigdy nie byłyśmy ze sobą blisko, Riley. Nigdy nie była dla mnie matką. Wychowywali mnie inni. - Jej słowa były przesycone goryczą. - Mama postanowiła się pobawić w macierzyństwo, kiedy zaszłam w ciążę z Sawyer, ale wtedy było już za późno. Nigdy nikogo nie miałam. Mama miała swoje malowanie i, jak się jej wydawało, tatę. Tata miał pracę, ojca i syna. Ty, Riley... ty miałeś wszystko. Dla mnie i dla Susan nie zostało nic.

- Ale nie darzysz mnie nienawiścią? - gubił się w tym wszystkim.

- Kocham cię, Riley. Wypełnia mnie złość. Walczyłam, jak umiałam. Zaszłam w ciążę, urodziłam dziecko, zostałam odesłana. Teraz moja córka mieszka w Sunbridge i dostaje to, czego mi poskąpiono. Jej miejsce jest tam, gdzie mojego nigdy nie było. Jezu, po co my o tym właściwie rozmawiamy?

- Dla twojego dobra, Maggie. Nie ruszę się stąd, jeśli nie będę pewny, że z tobą wszystko w porządku.

- Ależ tak! Dam sobie radę. Susy miała szczęście. Jej się udało. Wszystko się układa po jej myśli.

- To nieprawda. Dla niej także niewiele zostało.

- Cóż, przynajmniej nie wie, co to znaczy odrzucenie. Ma to, czego chciała: muzykę i ciotkę Amelię, która trzęsie się nad nią tak, jak ojciec nad tobą.

- Maggie, jestem młodszy od was obu, a mimo to widziałem, że Susan jest nie mniej przerażona od ciebie, tylko że ukierunkowała

swoje obawy w inny sposób. Susan brak odwagi, żeby być jedną z Colemanów... patrzeć z góry na świat, który obrzuca cię jajkami. Susan nie lubi brudu, a my Colemanowie nie jesteśmy zbyt wybredni, co?

- Święte słowa, drogi braciszku, święte słowa.

- Słuchaj, upijmy się. Zapomnijmy o Sunbridge, tacie i całym pieprzonym stanie Teksas.

- Na zdrowie! -Maggie uniosła swój kieliszek.

O ósmej rano pierwszego dnia po świętach Bożego Narodzenia Riley Coleman zaciągnął się do marynarki wojennej.

Billie dowiedziała się o tym dzień później, od Thada.

- Dlaczego go nie powstrzymałeś? - szlochała. Nie czekała na odpowiedź. -Dlaczego? Dlaczego to zrobił? Nawet nie został z nami na święta!

Jej płacz łamał mu serce:

- Zrobił to, ponieważ tego oczekiwał od niego ojciec. On nie jest tchórzem, Billie. Nie waż się nawet tak myśleć. Znam go dobrze. Szkoda, że zaciągnął się w ten sposób, ale cieszę się, że wybrał marynarkę wojenną. Nic innego nie zadowoliłoby Mossa. Zrobię, co w mojej mocy. Riley to mężczyzna, Billie, i tak musimy go traktować.

- Rozmawiałeś z Mossem?

- Nie. Miałem najpierw zadzwonić do ciebie. Wiedziałem, że będziesz w atelier. Riley o to prosił: najpierw ty, potem Moss. Obiecałem, że przekażę ci tę wiadomość delikatnie. Kazał ci powiedzieć, że cię kocha i żebyś się nie gniewała.

- Nie gniewam się. W każdym razie nie na niego. Na Mossa. Thad, co teraz będzie?

- Moim zdaniem Riley będzie chciał się wykazać, jak kiedyś jego ojciec. Stało się, Billie. Przepraszam, że nie dzwoniłem, kiedy tylko się dowiedziałem, ale prosił, żebym zrobił to akurat dzisiaj.

- Nie obwiniam cię, Thad. Przykro mi tylko, że Riley postawił cię w takiej głupiej sytuacji.

- Mnie nie jest przykro. Lepiej, że przyszedł do mnie, a nie do kogoś obcego. Zadzwonię pod koniec tygodnia. Uważaj na siebie, Billie.

Rzuciła się na kanapę przed kominkiem i płakała. Panie Boże,

czuwaj nad nim. Niech nie spotka go krzywda. Thad będzie go chronił, o ile w ogóle to możliwe.

Wytarła łzy. Płacz nic nie pomoże. Trzeba działać.

Zmęczył ją spacer w głębokim śniegu. Nie zdejmując ośnieżonych butów, weszła do biblioteki, gdzie Moss, Seth i Agnes debatowali nad czymś z ożywieniem.

- To wasza winą was obu! - krzyknęła. Drżącym palcem dźgnęła Mossa w pierś. - To przez ciebie, i ty o tym wiesz. Nigdy ci tego nie wybaczę. Dlaczego nie dałeś mu spokoju? Niech cię diabli!

- Spokojnie, dziewczyno! - ryknął Seth. - Nikt z nas nie jest zachwycony tym, co chłopak zrobił, ale musimy się z tym pogodzić. Zaraz będę dzwonił do Waszyngtonu.

Billie spojrzała w błyszczące oczy Mossa. On chyba nie akceptuje pomysłu ojca? A może jednak?

- Moss, nie pozwól mu na to. Riley zrobił to, czego, jak myślał, od niego wymagałeś. Pozwól mu na to.

- Zatrzymamy go w Stanach. Tata załatwi tylko tyle - odparł zrezygnowany.

- To się nie uda! Riley postąpi tak jak ty. Uważa, że musi się sprawdzić w twoich oczach. Daruj sobie ten telefon, Seth. Zostawcie Rileya w spokoju.

- Nie wtrącaj się, dziewczyno. Nie należysz już do rodziny. Straciłaś wszelkie prawa, gdy wystąpiłaś o rozwód- rzucił oschle Seth.

- Jak śmiesz! Riley to także mój syn!

- Wracaj do atelier, Billie - poprosił Moss. - Załatwimy tę sprawę. Zrobimy to, co dla niego najlepsze.

- Ach, tak? Zobaczymy. Zadzwonię do Thada. Nie pozwolę, byście się wtrącali do życia Rileya. Wyrządziliście mu dosyć krzywd.

- Tata ma rację, Billie. Nie masz tu żadnych praw. Idź, baw się swoimi pędzelkami i farbami.

- Zawsze wiedziałam, że jesteś draniem, ale nie miałam pojęcia, że jesteś również okrutny. Niech ci Bóg wybaczy, Moss, bo ja nie mogę!

Rozdział dwunasty

Załatwione, Moss. Minął tydzień od kłótni z Billie. Seth kazał Agnes sprowadzić syna do gabinetu. Zostali sami. Nie musieli udawać.

- Jak? Dokąd?

- Prosto z obozu w Wirginii pojedzie na tę wysepkę na Pacyfiku. Moss szeroko otworzył oczy ze zdumienia:

- Guam?

- A jest coś lepszego? Chłopak się nie dowie, że mieliśmy z tym cokolwiek wspólnego.

- A Thad? - jak gorzko zabrzmiało imię przyjaciela.

- Zrobi, co będzie musiał. To wojskowy. Przywykł słuchać rozkazów.

Na czole Mossa pojawiła się głęboka zmarszczka.

- Riley nie będzie z tego zadowolony.

- Zaufaj mi, Moss. Będzie latał... na samolotach badających pogodę, czasami weźmie udział w akcji ratowniczej. To mu się spodoba. A najważniejsze, będzie bezpieczny. Mówię ci, Baza Lotnictwa Marynarki Wojennej w Agana to dla niego wymarzone miejsce.

- Nie wiem dlaczego, tato, ale nie jestem przekonany - mruknął. - Boję się, że coś pójdzie nie tak.

- Gdzie Kingsley?

Pytanie ojca wyrwało go z zadumy. Nie znał na nie odpowiedzi.

-To ważne. Aggie będzie wiedziała. - Seth walił laską w podłogę i wrzeszczał jej imię, aż wbiegła zdyszana do gabinetu.

- Seth, musisz tak hałasować? Dałam ci dzwoneczek. Wystarczy, jeśli na mnie zadzwonisz.

- Mówiłem ci, że nie jestem żadną cholerną krową. Masz w mig zgadywać moje życzenia. - Naburmuszył się.

- I robię to, tylko jesteś zbyt rozkapryszony, żeby to zauważyć. Czego chcesz?

- Masz adres tego jankesa?

- Tak, co roku wysyłamy mu kartki na święta. Potrzebny ci jego adres?

- A jak myślisz, po co o niego pytam? Tak, i to natychmiast.

Agnes wróciła po pięciu minutach. Przyniosła notes w skórzanej

oprawie.

- Zanotować ten adres dla ciebie?

- No chyba, Aggie.

Spełniła jego prośbę. Moss przeczesał włosy palcami.

- Jezu, Atsugi w Japonii. To rzut kamieniem od Guamu, na wypadek gdybyś o tym nie wiedział, tato.

- Moss, marudzisz bardziej niż ciężarna wdowa. Odpręż się. Kingsley nie będzie się wtrącał. Dobra, teraz tylko czekamy, aż chłopaka tam przeniosą.

- A Billie?

- Dla mnie nie jest już jedną z Colemanów. Nie muszę się z niczego tłumaczyć. Jeśli masz olej w głowie, zrobisz to samo co ja. Nie patyczkuj się z nią, bo inaczej sam wezmę sprawy w swoje ręce.

Moss zapalił cygaro, żeby uniknąć jego wzroku. Choć Sethowi od dymu łzawiły oczy, i tak się uśmiechał. Jak zwykle postawił na swoim.

Wróciwszy do siebie, Moss sięgnął po następne cygaro. Co wie o Guam? Niewiele. Był tam przez półtora dnia. Pamiętał zieleń i wilgoć, które przypominały Florydę w środku lata. Ludzie byli mili, ciągle się uśmiechali.

Riley mógł trafić gorzej. Koniec końców Mossowi nie zostało nic innego, jak pogodzić się z biegiem wydarzeń. Przynajmniej chłopak będzie bezpieczny i nie pojedzie do Wietnamu.

Na myśl o Billie jęknął głośno. Jak to się skończy? Tęsknił za dawnymi czasami, za młodością, kiedy nie przejmował się nikim i niczym. Ostatnio jego świat walił się w gruzy. Był bezsilny i wcale mu się to nie podobało.

Miał mieszane uczucia wobec Billie. Czy ma ją przepraszać, namawiać... ryzykować, że zrobi z siebie głupca? Zbyt długo żyli obok siebie. Nie znał tej nowej, pewnej siebie Billie. Czy ma siłę walczyć o to, by było jak dawniej? Nie wiedział. Nie teraz, gdy jego myśli zaprzątał Riley.

Minęły trzy tygodnie i Billie Coleman wyprowadziła się z Sunbridge do dużego mieszkania w Austin. Miało dwa świetliki w suficie i wielki balkon, było takie, jak sobie wymarzyła. Podpisała umowę najmu na trzy lata. W ciągu tygodnia sprowadziła osobiste

rzeczy i narzędzia pracy. Reszta będzie całkiem nowa. Moss okazał się bardzo hojny dając jej, jak to określił, „czek pożegnalny".

Wszystko, czego zechce -poinstruował prawnika, Billie ma dostać wszystko, czego zechce. Proszę tylko opóźniać rozwód. Może jeszcze odzyska rozum.

W pracy odnosiła dalsze sukcesy. Pracowała nad dużym zamówieniem; jeśli zdąży na czas, dostanie następne. Od dnia ślubu nie była tak pewna własnej wartości. Napawała się tym uczuciem. Billie Coleman, projektantka wzornictwa, samotnie wychowuje wnuczkę. Przyszłość należy do niej. I postara się, aby nic złego jej nie spotkało.

Zaczęło się nowe życie.

Tego samego dnia, gdy Billie wyprowadziła się z Sunbridge, porucznik Riley Seth Coleman opuścił bazę szkoleniową w Wirginii. Dla niego również był to początek.

Guam!

Stary zwariuje, kiedy się dowie. Chyba że maczał w tym palce, w co Riley wątpił. On i Adam Noble będą pilotować samoloty meteorologiczne, uczestniczyć w akcjach ratunkowych. W samolotach P-3 zainstalowano instrumenty Colemanów. Ojciec i dziadek pękną z dumy.

Podczas długiego lotu na Guam wyznał Adamowi, że nie tak wyobrażał sobie udział w wojnie. Za to rodzice będą spokojni. Przecież w samolocie meteorologicznym nic mu się nie stanie.

- Ciekawe, co będziemy robić w wolnym czasie - Adam zastanawiał się głośno. - Podobno już o piątej po południu zwijają się. Nie wydaje mi się, żeby Guam słynął z rozrywek.

Riley poklepał go po ramieniu.

-Nie będzie tak źle. Do Tokio jest niedaleko, na Hawaje tylko pięć godzin. Musimy spojrzeć na to z najjaśniejszej strony. Zabrałem dużo książek do czytania w upalne noce.

- Bombowy pomysł, Coleman. Ty zagłębisz się w lekturach, a ja będę podrywał miejscowe dziewczęta. Podobno są piękne,

- I dobrze strzeżone - dorzucił Riley. - Pewnie ich nigdzie nie puszczają bez przyzwoitki, zapamiętaj moje słowa. Zresztą, nie zapominaj, że mamy się dobrze prowadzić.

Adam puścił do niego oko.

- Nigdy do niczego nie zmuszałem żadnej dziewczyny. Chyba sobie poradzę ze skośnookimi pięknościami.

- I ich matkami - przypomniał Riley. - Adam, jesteśmy kawał drogi od Kalifornii. Tu obowiązują inne reguły gry.

Riley stwierdził, że nie cierpi Guamu już dziesiątego dnia po przyjeździe. Bujna tropikalna roślinność budziła w nim tęsknotę za pastwiskami Teksasu, deszcze przyprawiały go o depresję; miał wrażenie, że niebiosa otwierają się w określonym czasie i na ziemię spada ciepły wodospad. Szosy parowały, więc pocił się niemiłosiernie.

- Coleman, dzisiaj idziesz ze inną- oznajmił Adam pewnego dnia. - Załatwiłem ci randkę, więc się nie opieraj, bo w najgorszym razie zaciągnę cię siłą.

- Spadaj, Adam. Nigdzie nie idę. Muszę napisać kilka listów. Ty też powinieneś to zrobić. Twoja mama pisała do dowódcy z pytaniem, czy jeszcze żyjesz.

- Napiszę do niej wieczorem, pod warunkiem, że ze mną pójdziesz.

- Adam, nie mam ochoty. Powiedz dziewczynie, że zachorowałem.

- Nie obchodzi cię, że się zakochałem? To co innego, Riley. Mówię poważnie. Kocham ją i chcę się z nią ożenić.

- Nie wierzę - Riley nie posiadał się ze zdumienia.

- Serio. Niestety, jej rodzice niezbyt mnie lubią. Chyba w ogóle nie przepadają za Amerykanami. Staram się ich do siebie przekonać. Nita, moja dziewczyna, umówiła cię ze swoją przyjaciółką, Otami. A ja bardzo chcę, żebyś poznał Nitę. Więc?

Riley westchnął ciężko.

- No, dobra. Daj mi tylko chwilę czasu, żebym się przebrał i uczesał.

Godzinę później Adam zaparkował pożyczony samochód na wyboistym, zarośniętym podjeździe.

Na lewo od nich widniał nieduży domek. Wszędzie, na całym podwórku, stały donice z kwiatami; niektóre kwitły, inne dopiero nieśmiało rozchylały pączki. Pierwszym odruchem Rileya było je zrywać: bogactwo kolorów i woni upajało. W myślach oceniał nieznajomą Nitę; pochodzi z ubogiej rodziny. Schludnej, porządnej, ale ubogiej. Z głośnym szczekaniem podbiegł do niego pies. Pochylił się, żeby go podrapać za uszami.

- Powiedz „dobry piesek, Bo", a zyskasz przyjaciela na całe życie - doradził Adam z miną znawcy. - Oto i dziewczęta. Moja jest ta z lewej. Piękna, prawda? A po prawej masz Otami.

Riley zdjął czapkę. Ku niemu szła najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widział. Nawet jej imię było piękne. Dokonano prezentacji. Riley nerwowo przestępował z nogi na nogę. Adam i Nita w mgnieniu oka zapomnieli o bożym świecie, całkowicie pochłonięci sobą.

- *Hafa-adai,* poruczniku - zaczęła nieśmiało Otami. Powitała go na Guam, gdzie rodzi się dzień. - Czy ma pan ochotę na spacer?

Spacer? Chciała iść z nim na spacer.

- Tak, chętnie się przejdę. - Przy niej nie wiedział, co powiedzieć, jak się zachować. Musi się pilnować, żeby nie pleść bzdur.

- Chodźmy zatem, poruczniku. Nita nie może opuszczać domu dopóki nie wrócą jej rodzice, ale my możemy iść na krótki spacer. Oprowadzę pana po miasteczku.

Słuchał jej głosu i błagał w myślach, by nie przestawała mówić. Fascynował go jej melodyjny, liryczny sposób mówienia. Miała dziwny, miękki akcent, czasami łączyła słowa w dziwne zbitki, ale od razu zachwyciła go jej egzotyczna wymowa.

Była drobna i szczupła, sięgała mu zaledwie do ramienia, lecz jej kobiecym kształtom nie można było niczego zarzucić. Miała na sobie prostą, bawełnianą sukienkę przed kolana i czarne pantofle. Długie, czarne włosy upięła z tyłu głowy, ale niesforne kosmyki opadały na twarz i szyję. Światło słońca budziło w jej włosach niebieskie błyski.

- Mieszka pani z rodziną Nity? - zapytał.

- Nie. Razem studiujemy. Mieszkam z wujkiem. Był chory i moi rodzice życzyli sobie, by zaopiekował się nim ktoś z rodziny. Z drugiej strony, nie chcieli, żebym przerwała studia, więc studiowałam zaocznie. Pod koniec semestru wracam do Tokio.

Riley już za nią tęsknił.

- To bardzo niedługo.

- Dla mnie długo. - Uśmiechnęła się. - Tęsknię za rodzicami i za przyjaciółmi. A pan skąd pochodzi, poruczniku?

- Z Teksasu. Mieszkam pod Austin.

- Tęskni pan za Teksasem? Skinął głową.

- I to bardzo. Rozumiem pani tęsknotę za domem, ale musimy jak najlepiej spożytkować czas tutaj. Zawsze zdążymy wrócić do domu.

Dom nie ucieknie. Proszę mówić do mnie: Riley.

- Pod warunkiem, że będziesz się do mnie zwracał: Otami. Jeszcze ani razu nie wypowiedziałeś mojego imienia.

- Otami. - Powiedział to cichutko, jakby sam do siebie. - Co studiujesz?

- Angielski. Trochę tłumaczę dla pewnego japońskiego wydawcy, ale przede wszystkim interesuje mnie dziennikarstwo. Mój ojciec jest właścicielem gazety w Tokio. Mam nadzieję, że pewnego dnia będę dla niego pracować. - Posłała mu łagodny uśmiech. - Japońscy ojcowie chcą chronić swoje dzieci. Chyba chciałby ukryć mnie przed całym światem. Naturalnie jest święcie przekonany, że pewnego dnia wyjdę za mąż i obdarzę go wnukami.

- A zrobisz to? - Wpadł w panikę na myśl, że może mieć narzeczonego.

- Co? Wyjdę za mąż czy urodzę dzieci? Tak, chyba tak. - Uniosła ku niemu głowę, błądząc spojrzeniem po jego twarzy.

- Czy jest w twoim życiu ktoś... specjalny?

Jej uśmiech był promienny i bardzo, bardzo tajemniczy.

- To niewykluczone, Riley. Niewykluczone. Opowiedz mi o twojej rodzinie. Czy twój ojciec to typowy tolerancyjny amerykański rodzic rozpieszczający dziecko?

Odrzucił głowę do tyłu, parsknął śmiechem.

- Zmieniłabyś zdanie, gdybyś go znała. Mój dziadek wybiłby ci tę opinię z głowy. Zdaniem niektórych rozpieszczano mnie, ale słono za to zapłaciłem. -Wspomniał swoje wysiłki, by zadowolić Mossa i okazać się godnym jego miłości.

- Za to moja mama jest inna. Kocha mnie, nie żądając niczego w zamian.

- Jak wszystkie matki - Otami skinęła głową. - Jak moja. To wspaniale, że masz takich dobrych rodziców.

- Owszem. Masz piękne włosy i oczy koloru palonej kawy. - Obawiał się, że się odwróci, albo, co gorsza, zacznie chichotać. Otami tymczasem uniosła ku niemu głowę. Zadowolenie roziskrzyło jej oczy, zarumieniło policzki.

- A ty masz oczy jak niebo latem - odparła. - To moja ulubiona pora roku.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy w twoim życiu jest ktoś

specjalny? - dopytywał się uparcie. Musi to wiedzieć.

- Nie. A w twoim?

- Nie. -Do tej pory nie było, pomyślał, ale ta dziewczyna jest wyjątkowa, od czubka głowy po palce u nóg. Pociągał go jej wewnętrzny spokój. W jego duszy zawsze szalała burza.

- Jak ci się podoba Guam? - uśmiechnęła się.

- Nie tak bardzo jak ty. - Czy nie posunął się za daleko? A jeśli ona ucieknie? Jeśli zachował się nieodpowiednio? Poruszyła się; on znieruchomiał. Nagle wsunęła małą, miękką chłodną dłoń w jego rękę.

- Zobaczymy się jeszcze?

- Jeśli sobie tego życzysz.

- Kiedy?

- Kiedy chcesz. Stan zdrowia mojego wujka się poprawił, nie wymaga już stałej opieki. Musisz przyjść do nas do domu. Nie możemy się tutaj więcej spotykać, to nie wypada. Mój wujek byłby niezadowolony. To dobry, sprawiedliwy człowiek. Jest tylko jedna rzecz: nie lubi Amerykanów za to, co zrobili Hiroszimie.

- Mój ojciec nie lubi Japończyków za Pearl Harbor. Był jeńcem wojennym.

- To smutne, prawda? Nawet nasz wielki świat czasami staje się za mały. Mój ojciec uważa, że nie wolno rozdrapywać starych ran. Życie toczy się dalej i musimy się z tym pogodzić.

- Masz bardzo mądrego ojca - powiedział szczerze. - A on ma piękną córkę.

Tej nocy Riley długo nie mógł zasnąć. Czy istnieje coś takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia? I czy to naprawdę miłość? A może zafascynowała go jej inność? Była nieśmiała, lecz jednocześnie odważna, kiedy okoliczności tego wymagały. Była słodka i naturalna. Słuchała, uśmiechała się, mówiła cichym, melodyjnym głosem. I chciała się z nim spotkać! Zakochał się. Jeśli jednak ojciec się dowie, zepsuje wszystko. Ściągnie go do domu, z dala od niej.

Nie dopuszczę do tego, postanowił. Nie tym razem.

Tę sferę swego życia zachowa w tajemnicy. Splótłszy ramiona pod głową, wpatrywał się w sufit.

Tajemnice to jego specjalność.

W miarę upływu miesięcy Billie wyczuwała zmiany zachodzące w Rileyu. Z jego listów emanowała dojrzałość. Może tego właśnie potrzebował: oddalenia od Sunbridge, Mossa, Setha, nawet od niej. Często miała wrażenie, że jej syn postrzega się oczami innej osoby. Czyimi? Czyżby kobiety? Być może. Riley nigdy nic na ten temat nie wspominał, a ona nie pytała.

Popyt na jej projekty wzrastał, teraz jej interesy reprezentowała znana agencja. Billie cieszyła się pracą, cieszyła się nowym życiem. Jedyną chmurkę na horyzoncie stanowił rozwód. Prawnicy Colemanów chwytali się wszelkich sposobów, stosowali różne kruczki prawne, byle opóźnić rozprawę w sądzie. Billie nie wierzyła, by Mossowi dalej zależało na ratowaniu ich małżeństwa. Nie przekonywały jej jego telefony ani nawet to, że raz czy dwa zaprosił ją na kolację. Żalił się, że Coleman Aviation ma trudności z realizowaniem zamówień rządowych.

Do tej pory pamiętała, jak ogarnął ją strach, kiedy powiedział, że zażądano od niego wzmożenia tempa produkcji. W innym wypadku groziła mu utrata kontraktu.

- I pójdziesz na to? - spytała wtedy z niedowierzaniem. - Moss, nasz syn pilotuje samoloty wyprodukowane w twoich zakładach, a ty mi mówisz, że one nie są bezpieczne?

- Uspokój się, Billie. Wcale tego nie powiedziałem. Samoloty są bezpieczne. Martwią mnie instrumenty. Trzeba przetestować i ewentualnie usunąć kilka drobnych usterek konstrukcyjnych, a rząd nie daje mi na to czasu. Jeśli będę się sprzeciwiał, dadzą zlecenie komuś innemu, mniej drobiazgowemu.

Billie uszanowała jego opinię. Ilekroć jednak pomyślała o Rileyu i innych pilotach, oblewał ją zimny pot.

Początkowo chciała napisać o tym Thadowi, ale potem uznała, że byłby to brak lojalności z jej strony. Zresztą ostatnio oddalili się od siebie. Choć nadal korespondowali, odstępy między listami były coraz dłuższe. Pisała mu o spotkaniu z młodszą córką.

Susan i Amelia przyleciały na bardzo udane tournee po Stanach. Susan wyrosła na piękną blondynkę o poważnych oczach. Billie żywiła w głębi ducha nadzieję, że zabawią w Teksasie nieco dłużej. Chciała lepiej poznać córkę. Niestety, Susan śpieszyło się z powrotem do Europy, do pewnego skrzypka, o którym wzmianki napełniały jej oczy

blaskiem. Poza tym, nie chciała mieszkać w Sunbridge. Błyskawicznie wyczuła niechęć Setha do Amelii. Nikt, absolutnie nikt nie ma prawa krytykować jej ukochanej ciotki.

Billie opisała Thadowi pożegnanie na lotnisku. Oprócz niej tylko on wiedział o tragedii Amelii. W ostatniej chwili rzuciła się Billie na szyję, dziękując raz po raz, że pozwoliła Susan zamieszkać w Anglii...

- Nie masz pojęcia, ile ona dla mnie znaczy - szlochała. - Ani jak bardzo cię kocham za to, że się podzieliłaś córką. Teraz obie ją utracimy. Nasza mała Susan to dorosła kobieta. Romans z tym skrzypkiem wygląda na coś poważnego.

- Dałaś jej więcej niż ja-wyznała Billie. -Tutaj, w Teksasie, miałaby podrzędnych nauczycieli muzyki i kłopoty związane z reputacją Maggie. Ktoś kiedyś powiedział, że nasze dzieci są nam tylko pożyczone, że nie możemy zatrzymać ich na zawsze. Oddałam Susan zbyt wcześnie, ale wiedziałam, że powitasz ją z otwartymi ramionami.

- Przecież wiesz, że ją kocham. - Amelia otarła łzy. - W grancie rzeczy los był dla mnie łaskawy. Mam Susan i wspaniałego pasierba. Powiedziałam Mossowi, że ma zaprosić Randa do Coleman Aviation. Polubią się na pewno, mają wiele wspólnego. Rand ma fioła na punkcie wszystkiego co lata i zna się doskonale na komputerach, fizyce i całej tej magii. Często o ciebie pyta, Billie. Do dziś pamięta, jaka byłaś dla niego miła, kiedy przyjechaliśmy do Sunbridge po śmierci mamy. - Spojrzenie Amelii mówiło Billie, że ona również to pamięta. - O Boże, wspominam i płaczę jak staruszka! Nie uśmiecha mi się myśl, że zostanę sama, kiedy Susan wyleci z gniazda. Powinnam była cię posłuchać i dawno temu wyjść za mąż. Uważałam, że to bez sensu, skoro nie mogę mieć dzieci. Zazdroszczę ci Sawyer. Jakim cudem zawsze podejmujesz właściwe decyzje?

- Skąd ci to przyszło do głowy, Amelio? Dopiero niedawno odzyskałam kontrolę nad własnym życiem. Nie myślisz chyba, że Susan ucieknie z tym skrzypkiem? Moss i ja chcielibyśmy go poznać.

- Och, nie, nasza córka nie zrezygnowałaby z pięknego tradycyjnego ślubu. To rozsądna dziewczyna, Billie. Zawsze podejmuje właściwą decyzję. Następnym razem zobaczymy się na weselu.

- A więc, do wesela. -Billie objęła ją serdecznie. - Sawyer się ucieszy. Nigdy nie była za granicą.

Przez głośniki zapowiedziano ich lot. Amelia wzięła podręczny

bagaż i podeszła do bramki.

- San Francisco, szykuj się! - zawołała radośnie. - Pozdrów Rileya, a mojego brata ucałuj i kopnij w pośladek, dobrze?

- W porządku! - Billie pomachała do Susan. Córka przesłała jej całusa.

- Z San Francisco lecimy do Nowego Jorku! - krzyknęła Amelia. - Może do nas dołączysz?

- Z chęcią!

Już nie było ich widać.

Riley Seth Coleman się zakochał. Spoglądał w piękne oczy Otami i widział się takim, jakim zawsze chciał być: męskim, czułym, opiekuńczym. Miłość, którągo darzyła, była inna niż wszystko, czego dotychczas doświadczył; nieegoistyczna, bez żadnych wymagań. Stanowili jedność, wspólnie patrzyli w przyszłość, wierzyli w wieczne szczęście razem.

Cudowne dnie i noce przechodziły w tygodnie i miesiące. Riley poprosił Otami o rękę w cztery miesiące potym jak się poznali.

Ciemne oczy zalśniły łzami.

- Już myślałam, że nigdy tego nie zrobisz.

- A więc? Wyjdziesz za mnie? - Ze zdenerwowania wstrzymał oddech.

- Będziemy musieli stawić czoło wielu problemom, ty, mój ukochany i ja -szepnęła. - Twoim przełożonym nie spodoba się ten pomysł. Mogą ci nie udzielić zezwolenia.

Riley przyciągnął ją do siebie i ukrył twarz w miękkich włosach. Siedzieli wtuleni w siebie, zapatrzeni w światło księżyca na wodzie.

Miała rację, on jednak postanowił już, że nikt i nic nie stanie im na drodze, jeśli Otami go przyjmie.

- O to się nie martw - uspokoił ją. - Załatwię to. Mój wujek, a właściwie przyjaciel, zrobi dla mnie wszystko. Denerwuję się raczej twoim wujkiem.

-Nie wyrazi zgody. Będę musiała postąpić wbrew woli jego i mojej rodziny.

Znieruchomiał. Nie będzie jej zmuszał do małżeństwa; albo pragnie go bardziej niż czegokolwiek innego, albo nie. Czekał, modląc się, by

odpowiedziała tak, jak sobie to wymarzył.

- Kocham cię, Riley. Całym sercem, do końca moich dni. Czy mogłabym się nie zgodzić? Tak, wyjdę za ciebie.

Riley delikatnie uniósł jej podbródek. Pocałował ją mocno, władczo, nie wierząc własnemu szczęściu. Otami przypominała wschodnie dzieło sztuki, piękne, delikatne, kruche. Wiele razy wydawało mu się, że straci nad sobą panowanie i ją weźmie, uczyni swoją. Zawsze jednak przypominał sobie jej słowa: „Kochankowie o czystych sercach przynoszą chwałę sobie i swojej miłości. Riley, moje ciało pragnie twojego ciała, moja dusza rwie się ku twojej. Lecz oboje stracilibyśmy honor sięgając po coś, do czego nie mamy prawa. Proszę, postaraj się to zrozumieć".

Wkrótce zostanie jego żoną. Dostąpią rozkoszy jako kochankowie o czystych sercach.

- Otami - szepnął ochryple - oddałem ci serce, kiedy tylko cię zobaczyłem. Jesteś moim życiem. Pamiętaj o tym. Czekają cię trudne chwile. Co zrobi twój wujek?

- Przestanie ze mną rozmawiać. Potem wyrzuci mnie z domu. Nie będę już jego siostrzenicą. Moi rodzice się dowiedzą i stracą twarz. Wychodząc za ciebie, okryję ich hańbą. To nieważne, Riley. Muszę żyć własnym życiem, kierować się głosem serca. Przetrwam wszystko, jeżeli tylko będziesz przy mnie. Być może z czasem moja rodzina zrozumie. Takie rzeczy już się zdarzały. -Uśmiechnęła się.

- Nie mam zamiaru informować moich krewnych, w każdym razie nie od razu. W przeciwieństwie do twojej rodziny, moi zaczęliby się do wszystkiego wtrącać. Nie wyobrażam sobie, by mogli mnie wydziedziczyć, ale strasznie zawracaliby nam głowę. Obejdę się bez ich wścibstwa, na to przyjdzie czas później. Na razie mamy siebie. Kocham cię, Otami. Brak mi słów...

-Nie trzeba słów. Nie rozumiesz, Riley? Wiem, co czujesz, bo czuję to samo. Będę, kim zechcesz. Zrobię, co zechcesz. Będziemy mieć dzieci. Wychowamy je w wierze i kulturze ich ojca.

Nawet w ciemnościach zauważyła, że zmarszczył brwi.

- Czy powiedziałam coś złego? - Dotknęła jego ust długimi, chłodnymi palcami.

- Złego? Skądże. Nikt nigdy nie kochał mnie tak jak ty, Otami. Odkąd pamiętam, ludzie, krewni dawali mi rzeczy. Konie, samochody...

Na Boga, nawet samoloty! Jedyną osobą, która ofiarowała siebie, była moja matka, bo nie pozwalali jej dawać mi nic innego. Kiedy wspominam dom, uświadamiam sobie, że mimo gadania o bliskości i więzach krwi, nigdy nie byliśmy rodziną w pełnym znaczeniu tego słowa. Każdy żył swoim życiem, realizował swoje plany. Nie wiem, dlaczego tak było. Kiedyś się nad tym zastanawiałem, ale teraz mnie to nie obchodzi. Otami, ty jesteś moim życiem. Nic tego nie zmieni.

Oparł brodę na jej lśniących włosach i zapatrzył się w dal, na morze. To wystarczy, powtarzał sobie. Jest z kobietą, którą kocha, i jest kochany. To musi wystarczyć.

Rozdział trzynasty

Maggie Coleman odetchnęła z ulgą, podpisawszy ostatni dokument ze sterty papierów, które piętrzyły się na jej biurku w prestiżowej galerii Sandora Locke'a. Teraz zrobi sobie małą przerwę, następnie przejrzy zgłoszenia artystów, zarówno znanych, jak i dopiero zaczynających karierę. Wszyscy mieli nadzieję, że galeria urządzi im wystawę. Zakres obowiązków Maggie zwiększał się z każdym dniem. Nie miała nic przeciwko temu; W ten sposób zostawało mniej czasu na myślenie.

Ostatnio coraz częściej zastanawiała się, czy przypadkiem nie popełniła błędu rzucając pracę w muzeum, żeby zostać osobistą asystentką Sandora Locke'a. Galeria na Piątej Alei to smakowity kąsek, zazdrościli jej wszyscy pracownicy. Nie mówiąc już o Sandorze, kąsku najsmakowitszym ze wszystkich, który mogła schrupać w każdej chwili. Pytanie tylko: czy tego właśnie chce? Wolała o tym na razie nie myśleć. To pytanie prześladowało ją przez całe życie. Walczysz, jak możesz; kopiesz, drapiesz, oszukujesz, a kiedy zdobędziesz obiekt marzeń, okazuje się, że tak naprawdę tego nie chciałaś, pociąga cię jedynie wyzwanie, walka. Maggie przypuszczała, że taka właśnie jest natura Colemanów. Nie odpowiadało jej to, ale nie umiała żyć inaczej. „Idź tam, gdzie są pieniądze", jak zwykł mawiać Seth. Inna jego złota myśl brzmiała „nieważne, na czym się znasz, ważne, kogo znasz". I to prawda. Wystarczyło kilka umiejętnych, dyskretnych sztuczek, słówko tu, słówko tam, i Sandor Locke zaproponował jej pracę za pensję

dwukrotnie wyższą od tej, którą dotychczas otrzymywała w muzeum. Szkoda tylko, że nikt jej nie uprzedził, iż dziesięciogodzinny dzień pracy to w galerii normalka.

Przeciągnęła się na krześle i rozejrzała po biurze. Miało całkowicie nowy wystrój. Był to jej pierwszy warunek, jaki postawiła Sandorowi. Gabinet stanowił idealne tło dla mrocznej urody jego użytkowniczki. Kontrastując z łagodnymi, zgaszonymi kolorami ziemi, ostre barwy jej ubrań zwracały uwagę. Fotel utrzymany w zgaszonej bieli podkreślał czerń jej włosów i miodowy odcień skóry. Zawdzięczała Billie jedno: wyczucie stylu i koloru. Po Mossie miała oczy błękitne jak niebo w środku lata. Cholera, dlaczego ilekroć zechce się odprężyć, nachodzą ją myśli o Sunbridge i jego mieszkańcach? To już minęło. Jest dorosłą kobietą, świadomą swojej wartości. Sunbridge to przeszłość. Nie mieszka tam od lat. Nader rzadko wraca do Teksasu, zawsze jako gość.

Dobrze się stało, że uciekła, powtarzała w kółko. A może nie uciekła, lecz ją wypędzono? Poczuła znajomą wilgoć na policzkach.

Gość.

Musiała dzwonić do drzwi. Nie miała kluczy. Gdyby je miała, może uwierzyłaby, że tam jest jej miejsce. Tam jest miejsce Rileya. Czy dlatego zachęcała go, by wstąpił do wojska? Czy była zazdrosna o jego pozycję w Sunbridge? Choć z jego listów biło zadowolenie, ciągle się gryzła, że namawiała go z pobudek egoistycznych, a nie dla jego dobra.

Nieważne, jakie odnosiła sukcesy, nieważne, jak daleko zaszła, to za mało. Czegoś jej brakowało. Uczucia przynależności, wspólnoty, jaką może dać rodzina. Kiedy i czy w ogóle zrozumie, że nie dane jest jej tego doświadczyć, że musi zapomnieć?

-Po śmierci - mruknęła. Otarła łzy.

Praca to najlepsze lekarstwo na ponure wspomnienia. Z zapałem sięgnęła po stos zgłoszeń. Oglądała, oceniała, patrzyła, jak coraz więcej teczek ląduje po stronie prac odrzuconych. Wtedy otworzyła folder pełen fotografii. Były to elektryzujące, pobudzające wyobraźnię wzory geometryczne. Idealny kontrast dla dzieł sztuki prymitywnej, które Sandor zamierzał wystawić wiosną, Będzie to szczyt sezonu i zarazem olbrzymi krok do przodu w karierze autora prac. Obejrzała wszystkie zdjęcia, pełna podziwu dla artysty, który tak bezbłędnie wyczuwa kolor i kształt. Gdy dotarła do wzorów tkanin, spojrzała na nazwisko twórcy. Billie Coleman.

Agent mamy przysłał te prace, nie mając pojęcia, że jej córka pracuje w galerii Sandora Locke'a i że od niej zależy podjęcie decyzji. Poczucie władzy sprawiło, że przeszył ją dreszcz. Była doskonale świadoma swoich możliwości: dzięki niej matka wejdzie do czołówki malarzy projektujących tkaniny. Zemsta jest słodka. Komplet fotografii upadł na stertę prac odrzuconych. Patrzyła na niego długo, nie mogąc zapomnieć perfekcyjnie dobranych kolorów, nie mogąc uciszyć wyrzutów sumienia. Szybko, zanim zmieniła zdanie, wepchnęła teczkę na samo dno.

Nie, prace mamy nie zawisną w galerii Sandora. Obrazy Billie wzbudziłyby w niej zbyt wiele wspomnień. Nie zniosłaby tego.

Kilka minut wystarczyło, by się znowu rozkleiła. Przymknęła oczy. Nie dawniej niż tydzień temu do restauracji, w której Maggie i Sandor jedli lunch, wkroczył Moss w towarzystwie Alice Forbes. Po pierwszym szoku Maggie wpadła we wściekłość: wpatrywała się w Alice wzrokiem tak pełnym nienawiści, że dziwiła się, iż tamta nie czuła go na sobie.

Wtedy właśnie zrozumiała, że szczupły, zwinny Sandor to zmodyfikowana wersja jej ojca. Szarmancki, dystyngowany, wyrafinowany. Seth powiedziałby, że jest „oślizgły". Nawet Agnes wyczułaby okrucieństwo pod cienką warstewką ogłady i kosmopolityzmu. Sandor Locke, mecenas sztuki, człowiek bogaty, wykształcony i żonaty. Ona była jego Alice Forbes, a to jej się wcale nie podobało.

- Zobaczyłaś ducha, Maggie? zapytał ciekawie.

- Mojego ojca, Mossa Colemana - wyjaśniła, wskazując stolik ojca i Alice.

- A kobieta? - Sandor nie dawał za wygraną, ubawiony zakłopotaniem Maggie.

- Alice Forbes, dramatopisarka. Przyjaciółka ojca z dzieciństwa.

- I wstydliwy sekrecik, jak sądzę. - Uparcie trzymał się tego tematu. Domyślał się, że kryje się za tym więcej, niż widać gołym okiem.

- Nie dla mnie. Jest jedną z wielu. To moja matka powinna się wstydzić.

- Czyżbym słyszał w twoim głosie nuty goryczy, droga Maggie? - zapytał niewinnym tonem.

- A żebyś wiedział. Gdyby matka nie chowała głowy w piasek,

ukróciłaby jego zdrady wiele lat temu. Być może wtedy byłby prawdziwym ojcem.

- Maggie, czy zdajesz sobie sprawę, że w tych kilku słowach powiedziałaś mi więcej o sobie niż podczas naszego związku? To bardzo pouczające.

W jej oczach błysnęły gniewne ogniki:

- Doprawdy, Sandor? Niewiele jest pewnie rzeczy, których byś nie wiedział o niewiernych mężach, wszak sam do takich należysz. - Umilkła. Napawała się efektem swoich słów. Wygadany, błyskotliwy Sandor Locke nie wiedział, co powiedzieć. Najwyraźniej nie przywykł do odważnych kobiet.

- Dziękuję za lunch, Sandor. Chodźmy już. W galerii czeka na mnie masa roboty.

- Ależ oczywiście. - Rzucił na stół zwitek banknotów, podczas gdy jego mózg błyskawicznie przetwarzał najnowsze dane. Maggie wspomniała coś o Teksasie. Coleman. Moss Coleman. Wołowina, ropa naftowa, zakłady lotnicze, władza i pieniądze. Maggie pochodzi z tych Colemanów. To ciekawe. Kiedyś przyjrzy się temu dokładniej.

Obserwował, jak Maggie kręci się po gabinecie, nonszalancko oparty o framugę. Praca pochłonęła ją do tego stopnia, że nie zauważyłaby go, nawet gdyby usiadł na środku biurka. Zdziwił go smutek w błękitnych oczach. Nigdy dotąd nie miała tak nieszczęśliwej miny. Biedna czarna owieczka. Ze zdumieniem patrzył, jak co chwila przekłada jedną teczkę z miejsca na miejsce.

Smutek i tęsknota ustąpiły miejsca chłodnej zawziętości, gdy teczka w końcu wylądowała na samym dnie. Uniósł brwi w zdumieniu. Nie będzie się wtrącał i zadawał żadnych pytań. Maggie zna się na swojej pracy. Wie, co robi.

Maggie Coleman stanowiła nie lada nabytek dla Galerii Locke'a. Dzień, w którym dowiedział się, że chciałaby u niego pracować, był jego szczęśliwym dniem. Polubił ją. Była podniecającą, atrakcyjną kobietą o kruczoczarnych włosach i miodowej skórze. Co więcej, była dowcipna, błyskotliwa i czarująca, dzięki czemu miała wstęp do najbardziej ekskluzywnych domów. Kiedyś mimochodem wspomniała, że szuka mieszkania. Natychmiast zaproponował jej korzystanie z luksusowego apartamentu w jego wieżowcu. Właściciel mieszkania, jak jej powiedział, przebywa w Europie. W rzeczywistości apartament

należał do niego, uciekał tu, by odpocząć od żony i dzieci. Maggie Coleman nie można powiedzieć wszystkiego. Bez trudu postrzegał w niej swoje cechy: spryt, wyrachowanie, skłonność do manipulowania innymi. Nie zdziwiłby się, gdyby od początku wiedziała, że to on jest właścicielem mieszkania. Ich romans trwał dwa miesiące, gdy poprosiła o dwuletnią umowę najmu. Roześmiał się:

- Nie płacisz czynszu. Po co ci umowa?

- Sandor, jesteś taki sam jak ja. Pewnego dnia obudzisz się i stwierdzisz: dzisiaj pozbywam się Maggie. Nie twierdzę, że to zrobisz, ale wiem, że mógłbyś. I nie wprowadzaj się do mnie. Możesz mnie odwiedzać.

Odwiedzał ją reguralnie. Dostała umowę najmu na czas nieokreślony.

- Maggie, kochanie, zrób sobie przerwę. Chcę z tobą porozmawiać - zaproponował.

Uniosła głowę. Ból i rozpacz zniknęły z jej twarzy. Powitała go promiennym uśmiechem.

- Chciałabym, Sandor, ale spójrz na to - wskazała stertę papierów.

- Może kolacja? - nie dawał za wygraną.

- Planowałam wieczór w domu. - Ponownie zajęła się dokumentami. - Wiesz, umyję głowę, położę sobie maseczkę i tak dalej.

- Maggie, chcę się z tobą spotkać. - To nie była prośba, raczej polecenie.

- Dobrze, Sandor. - Uległa mu. - Zrobimy tak: dostarczysz produkty, a ja przygotuję kolację. Posiedzimy sobie przy dobrym winie i muzyce. Co ty na to?

Zacisnął zęby.

Nie podobała mu się, że tak potrafi ustawić sprawy, że wydaje się, jakby to ona robiła komuś łaskę spełniając jego żądania. Zapędź Maggie Coleman w kozi róg, a wmówi ci, że właśnie tam chciała się znaleźć.

- Nie wiedziałem, że umiesz gotować, Maggie.

Roześmiała się.

- Umiem gotować i grilować. Wybieraj.

- Steki?

- Hej, rozmawiasz z dziewczynąz Teksasu! Nie zapomnij o dodatkach. No, a teraz zmykaj! Muszę to skończyć.

Sandor czuł, jak wzrasta mu ciśnienie. Odprawiła go. Nie myślała już o nim, nie był wart jej czasu; to tak, jakby nie istniał. Żadna kobieta nie traktowała go jak Maggie, a on jej na to pozwalał. Dawał jej wszystko, czego zapragnęła: pieniądze, mieszkanie, podróże, prezenty. Do cholery, zadowalał ją również w łóżku, zaspokajał jej wybujały apetyt. Był idealnym przyjacielem, szefem i kochankiem. Czego ona jeszcze chce? Czegoś, czego on nie jest w stanie jej dać? Biedna zagubiona czarna owieczka.

Dwa tygodnie później Maggie przeglądała korespondencję. List od Sawyer. Dziecinne pismo przypominało jej bazgrały sprzed lat. Takie same wymyślne zawijasy. Szkoda, że nie są siostrami. Sawyer jest bardziej córką Billie niż Maggie. Sawyer mieszka w Sunbridge i dostaje to, czego ona nie zazna już nigdy. To nie zazdrość, lecz coś więcej; mieszanina wstydu, rozczarowania i bólu.

Kochana Maggie!

Babcia kazała mi do Ciebie napisać. W przyszłym miesiącu przyjeżdżamy do Nowego Jorku. Babcia ma tam różne sprawy do załatwienia. Może mogłybyśmy pójść razem na lunch i do kina? Obie z babcią bardzo byśmy tego chciały. Bardzo mi się podoba lalka Barbie, którą mi przysłałaś. Babcia uszyła mi dla niej dużo sukienek. To miło z Twojej strony, że mi przysłałaś tę lalkę. Skąd wiedziałaś, że o takiej marzę?

Moja przyjaciółka Marjorie zazdrości mi, że jadę do Nowego Jorku. Ja nie byłam zazdrosna, kiedy pojechała do Kalifornii. Zazdrość jest niedobra, bo się płacze po nocach. Ja lubię zasypiać myśląc o miłych rzeczach. Mój ołówek jest już bardzo tępy, więc kończę.

Maggie, kocham Cię z całego serca. Czy ty też mnie kochasz, chociaż troszeczkę? Babcia mówi, że tak. Powiesz mi o tym kiedyś?

Sawyer.

Zgniotła list w małą kulkę. Zaraz go wyprostowała, przeczytała jeszcze raz i zaczęła płakać. Cholera! Za każdym razem, gdy zbierze się do kupy, los ma dla niej kolejny cios poniżej pasa. Szlochała głośno, dławiła się łzami. Później, gdy nie miała już sił, położyła się na

kanapie, starannie złożyła list i wsunęła go do koperty.

Uniosła słuchawkę:

- Sandor? Tu Maggie. Dobrze, że cię zastałam. Słuchaj, będę miała trochę wolnego czasu. Czy nadal chcesz, żebym poleciała z tobą do Europy? - Słuchała uważnie. - Miałam nadzieję, że to powiesz. Zajmiesz się biletami i innymi drobiazgami? Jeszcze cały miesiąc... już się nie mogę doczekać Paryża.

Rozdział czternasty

W taksówce na lotnisko Thad nie mógł się opędzić od wspomnień. Chyba się starzeje, skoro śluby mają na niego taki wpływ. A może to dlatego, że uczestnicząc w potajemnym ślubie Rileya niejako zdradził Mossa i Billie! Nikt w Teksasie nie wiedział o zawarciu małżeństwa. Thad robił, co w jego mocy, by wybić Rileyowi ten pomysł z głowy, ale chłopak się uparł. Tak, więc Thad dyskretnie zasięgnął informacji na temat Otami. Nie można jej było nic zarzucić. Rodzina była bogata i ciesząca się powszechnym szacunkiem. Zresztą, Riley tak czy inaczej ożeniłby się z dziewczyną, którą pokochał.

W głębi ducha Thad wiedział, że postąpił właściwie, załatwiając mu zgodę na małżeństwo z Otami. Wystarczyło na nich spojrzeć, by wiedzieć, że są dla siebie stworzeni. Tylko raz w życiu widział tyle miłości w czyichś oczach, co w oczach Rileya. Billie tak samo patrzyła na Mossa w dniu ich ślubu.

Otami spoglądała na Rileya z takim samym uczuciem, gdy ślubowali sobie miłość i wierność w czasie dwóch zupełnie różnych ceremonii. Najpierw msza katolicka: Otami, w białej sukni, wyglądała jak ucieleśnienie niewinności. Następnie odbyła się uroczystość buddyjska, a Otami przebrała się w jasnoczerwone kimono, symbolizujące jej radość. Thad potrząsnął głową. O to chodzi - odnaleźć miłość taką, jaka łączyła dwoje młodych. Przed wielu laty znalazł ją w Billie. Ich miłość przetrwała mimo przeciwności losu.

- Jesteśmy po ślubie, pani Coleman - Riley pomachał kolegom z bazy, którzy samochodem wracali do koszar. - Musimy jeszcze raz podziękować Santosom. To był cudowny dzień, prawda?

-Tak, Riley. Nie tylko cudowny. Idealny. Mam nadzieję, że nie

żałujesz. Wujek Thad to wspaniały człowiek. Bardzo cię lubi - stwierdziła spokojnie Otami.

Riley spojrzał z góry w jej lśniące oczy. Dla niej byłby gotów zabić. Jego żona. Boże, a jeśli żałuje, że za niego wyszła? Może martwi się o starego wuja i rodzinę w Japonii? Może wujek Thad mógłby coś z tym zrobić. Musi to przemyśleć.

- Niczego nie żałuję. Wujek Thad jest wyjątkowy. Jeśli w odpowiednim czasie nie uda mi się ułagodzić wszystkich w domu, on to zrobi. Teraz martwię się o ciebie. Oby nigdy nie nadszedł dzień, w którym pożałujesz, że za mnie wyszłaś. Rodzina jest ważna, bardzo ważna. Pewnego dnia będziemy mieli własną rodzinę.

- Riley, od dziś nie chcę słyszeć ani słowa o żałowaniu czegokolwiek. Pewnego dnia nasze rodziny zrozumieją że to my mieliśmy rację, i będą się cieszyć razem z nami. Nawet gdyby przyszło nam na to długo czekać, mamy siebie. Zgadzasz się?

- Na co tylko zechcesz. Przy okazji, skoro odjechał samochód, jak się dostaniemy do domku, który wynajęłaś?

- Możemy iść na piechotę. To niedaleko. - Zachichotała.

- Na pewno chcesz tu zostać? Nie jest za późno na Hawaje - namawiał Riley.

- Kochany, domek jest uroczy. Poczekaj, aż go zobaczysz. Nita pomagała mi go wyszykować. Kiedy go zobaczysz, zrozumiesz, że Hawaje nie mogą się z tym równać. Polecimy tam na pierwszą rocznicę ślubu. Nie chcę mieszkać w bezosobowym hotelu. Nie chcę marnować czasu na długi lot samolotem. Wolę spędzać każdą chwilę z tobą. Chcę szykować ci śniadanie na moich talerzach. Chcę je myć i wycierać. Chcę, żebyś spał w moim łóżku, pod narzutą którą sama haftowałam. Chcę słyszeć, jak mi mówisz, że jestem wspaniała. Malowałam, myłam, wieszałam zasłony. Powiesiłam na ścianie mój obrazek z Hongkongu. Brat Nity przywiózł paprocie i udekorowaliśmy nimi cały dom. Nie poznasz tego miejsca. Odwaliliśmy kawał dobrej roboty - oznajmiła cichutko, nieśmiało, a jednocześnie z dumą.

Rileyowi brakowało słów. Zrobiła to wszystko dla niego. Pragnęła tylko jego. Blichtr Hawajów jej nie pociągał. Dziesięć dni razem. Raj na ziemi.

Osobą która w końcu zdobyła środek transportu dla nowożeńców, był najmłodszy brat Nity. Riley i Otami spojrzeli na pojazd i

równocześnie wybuchnęli śmiechem.

- Jeździ - Carlos bronił samochodu. - Wynajmuję go za dolara na rok. Resory pękły, hamulce działają tak sobie.

Riley dokładniej przyjrzał się półciężarówce. Kiedyś była biała. Jednak to nie rdza, zadrapania i wgięcia martwiły go najbardziej. Przeraziło go to, co zobaczył z tyłu: dwa metalowe krzesła, przywiązane sznurkiem do boków samochodu.

-Ja zaryzykuję.-Otami zgarnęła długą białą suknię i z pomocą męża i Carlosa usadowiła się na jednym z krzeseł. Riley, bardzo elegancki w białym galowym mundurze, usiadł na drugim.

- Módlmy się, żebyśmy dotarli do domku cali i zdrowi. Przydałyby się jakieś pasy bezpieczeństwa - muknął.

- Carlos, zrób nam zdjęcie, dobrze - poprosiła Otami. Siedziała spokojnie, z rękami skrzyżowanymi na kolanach. - Pokażemy je kiedyś naszym dzieciom. -Puściła oko do Rileya.

Półciężarówka ruszyła z miejsca. Wyjechali na główną drogę. Riley podniósł głos, żeby przekrzyczeć warkot silnika:

- Pamiętaj, że cię kocham!

- Zapamiętam! -pisnęła Otami, gdy ciężarówka zawadiacko skręcała za róg. Koło ósmego domu za kościołem San Juan de Bautiste, Carlos wjechał na długi podjazd. Do pnia wielkiego figowca przybito tabliczkę:

RILEY I OTAMI COLEMAN.

- A gdzie się podziała dżungla? - Riley nie ukrywał zdumienia.

- Podoba ci się. To znaczy, że było warto. Carlos i jego bracia wycięli większość roślin. Teraz dom widać z daleka. Chcemy przecież, żeby nasi przyjaciele mogli do nas trafić. Mamy nawet trawnik. Widzisz, tam rosną paprocie, a za domem - bambusy, jutro ci to pokażę. To taka malutka polanka, idealna do kochania się.

Uśmiechnął się:

- A ja myślałem, że jesteś nieśmiała.

- Bo chciałam, żebyś tak myślał. Tak naprawdę jestem przebojowa i namiętna i wezmę cię za godzinę.

Carlos skłonił się głęboko i wręczył Rileyowi kluczyki do samochodu.

- Przyda się wam środek transportu - oświadczył. - Do mojego domu stąd niedaleko.

Starając się za wszelką cenę zachować powagę, Otami podziękowała mu za pożyczenie samochodu. Jeśli będzie miała cokolwiek do powiedzenia, półciężarówka zostanie tam, gdzie stoi, do końca ich miodowego miesiąca. Riley puścił do niej oko. A więc są jednego zdania. To dobrze. No tak, ale przecież wiedziała to niemal od pierwszego dnia.

- I co pan na to, panie Coleman? - Otami podparła się w biodrach. - Carlos i Frank pomalowali dom. Widzisz jaki czyściutki? Nie byliśmy do końca przekonani co do tych brązowych wykończeń, ale dzięki nim lepiej go widać. To przesądziło sprawę.

Był to nieduży betonowy domek o płaskim dachu. Wedle standardów teksańskich, nadawałby się dla konia i stajennego. Jednak w jego oczach był doskonały. Riley wziął Otami za rękę i razem weszli na mały ocieniony ganek. W barwnych doniczkach pyszniły się kolorowe kwiaty.

- Tu będziemy jadać śniadania i obiady, i kolacje, jeśli chcesz. Kiedy zacznie padać, wniesiesz poduszki do środka.

- Co, już mną komenderujesz?

- Tak. To będzie nowoczesne małżeństwo, z równym podziałem obowiązków: będziesz robił to, co ci każę. - Zachichotała. - Mówiłeś, że najbardziej lubisz żółty i zielony. Pamiętałam o tym, haftując poduszki. Czujesz zapach świeżej farby?

- Nic nie czuję. Pani jest jedyna w swoim rodzaju, pani Coleman. Czas, żebym przeniósł cię przez próg. Od samego początku zrobimy wszystko jak należy.

- Już jest tak, jak należy. Nie widzisz tego? - Wtuliła twarz w jego pierś.

- To trudniejsze, niż myślałem - stwierdził Riley. - Jak mam otworzyć drzwi, skoro trzymam cię na rękach?

Otami poruszyła się i złapała za klamkę.

- Zacięły się.

- Ach, więc nie jesteś doskonała! -prychnął Riley. -Nie przyszło ci do głowy, by posmarować krawędzie mydłem albo, jeszcze lepiej, olejem. Teraz muszę postawić cię na ziemi i walczyć z drzwiami. Czy są zamknięte na klucz?

-Nikt tutaj nie zamyka drzwi na klucz. Wszystko przez wilgoć. Wybacz. Popsułam taki piękny moment.

- Ciii - położył jej palec na ustach. - Tylko żartowałem. Niczego nie zepsułaś. Otworzę je w mgnieniu oka i powtórzymy całą scenę od początku.

Minęło dwadzieścia minut, a drzwi ani drgnęły. Riley stękał i dyszał, co chwila ocierając pot z czoła.

- Musisz wejść do środka przez okienko w łazience. Jesteś taka drobna, że się zmieścisz.

- A co będzie, jeśli nie uda mi się otworzyć drzwi od wewnątrz? - Była wyraźnie zaniepokojona.

- Wtedy wysadzę jedną ścianę. Albo wjadę w drzwi tą dziwaczną ciężarówką. Nie obawiaj się, wejdę dośrodka.

Godzinę później Otami, w podkasanej sukni ślubnej, zbiła okno w kuchni i ostrożnie wyciągała odłamki szkła z ramy. Riley wskoczył do środka. Upadli na ziemię, śmiejąc się nieprzytomnie.

- Nie do wiary! Carlos polakierował drzwi i je zamknął! To okno to nasza jedyna droga na zewnątrz, dopóki nie wywalę drzwi;

- Nigdzie nam się nie śpieszy.

- To prawda. Po co nam drzwi. Jako siwiuteńcy staruszkowie opowiemy wnukom, że zamiast przenieść cię przez próg, przepychałem cię przez okienko w łazience. Dwa funty więcej, pani Coleman, i utkwiłaby w nim pani na wieki. Ale jesteśmy sami. Nareszcie jesteśmy sami.

- To cudowne, prawda?

- Tak, Otami. - Riley rozglądał się po ich nowym domu.

- Nita i jej bracia pomagali mi przy szorowaniu i malowaniu - wyjaśniła. - Ja sama wszystko urządziłam. To nie było trudne, bo mamy tylko cztery pokoiki. Najgorsze było sprzątanie, pleśń wdarła się wszędzie. Dom zbyt długo stał pusty. Wyobrażasz sobie, Riley, że kosztuje tylko sto dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie! Musimy także płacić za prąd. Długo szukałam, aż znalazłam coś, na co nas będzie stać. Umiem być oszczędna.

Uśmiechnął się:

- Akurat tego mi trzeba, oszczędnej żony. Dlaczego ciągle wyglądasz przez okno? Chyba nie spodziewasz się gości?

Otami zmarszczyła brwi.

- Coś się musiało stać. Zawsze przychodzi o tej porze. To moja ostatnia niespodzianka dla ciebie.

- Jeszcze jedna?

- Tak, ostatnia. - Otami wychyliła się przez okno. - O, jest! Patrz! Riley wyjrzał na zewnątrz, na świat pogrążony w półmroku.

- A niech mnie! Nie mów, że ty to załatwiłaś! Uśmiechnęła się bezradnie.

- Ma na imię Pete. Codziennie prowadzi swojego byka na pole za naszym domem. Wieczorami zabiera go gdzie indziej. Nie mogłam się doczekać, kiedy to zobaczysz. Pomyślałam, że przypomni ci Teksas i wasze bydło. To stary byk, ledwo chodzi. Ale jest tej samej maści co krowy, które mi pokazywałeś na zdjęciach. Czasami przychodzi pod sam dom.

-Pani Coleman, jest pani dziełem sztuki. Jakim cudem udało ci się utrzymać to w tajemnicy?

- To proste. Nie pojmujesz, Riley? Tak było nam przeznaczone. Wszystko do siebie pasuje, wszystko się obraca na naszą korzyść. Nie popełniliśmy błędu, biorąc ślub. To miejsce jest dla nas doskonałe. To początek naszych korzeni, naszych wspomnień. Riley, powiedz mi, że postąpiłam właściwie. Powiedz, że tak miało być. Chcę to usłyszeć z twoich ust.

Wzruszenie ściskało go za gardło.

- To było właściwe od pierwszej chwili, odkąd się poznaliśmy. Oboje o tym wiemy. Będę ci to mówił codziennie, co chwila. Nie będziesz mogła tego słuchać.

- Nigdy!-krzyknęła.

- Czy masz w zanadrzu jeszcze jakieś niespodzianki, o których mi nie mówiłaś?

- Nie, byk był ostatni.

Riley uśmiechnął się lekko. Czas dokładnie obejrzeć nowy dom.

Stał w progu dużego pomieszczenia, który kontuar pośrodku dzielił na kuchnię i salonik. Sprzęty były stare, ale lśniły czystością. W oknach wisiały śnieżnobiałe zasłonki. Na białych ratanowych meblach leżały żółto-zielone poduszki, które wabiły oczy kolorami. Podłogę wyłożono złotymi i zielonymi kaflami. Od białej ściany odcinał się pejzaż Hongkongu.

- Sama to dla ciebie powiesiłam - Otami wskazywała mosiężny wieszak w kształcie motyla. - To na twoją czapkę... mój prezent ślubny.

Przyciągnął ją do siebie, głęboko poruszony.

- Dziękuję - szepnął w jej słodko pachnące włosy.

Srebrzyste światło księżyca przenikało przez koronkowe zasłonki, rozjaśniało sypialnię, przeganiało mrok. Otami leżała z głową na ramieniu Rileya. Ich twarze były uszczęśliwione. Kochali się, dzielili miłością, dali sobie wszystko, co mieli do oddania. Otworzyli drzwi do nieba.

Otami poruszyła się leniwie, powoli otworzyła migdałowe oczy, uniosła dłoń, by musnąć jego policzek.

-Riley, mój mężu, czy dałam ci rozkosz?

-Dałaś mi rozkosz-powtórzył jak echo.

Pocałował jej skroń. Dotknął długich ciemnych włosów. Ta kobieta o drobnych piersiach i miękkich udach pasowała do niego idealnie, jakby specjalnie dla niego stworzona. Nie wątpił, że tak będzie między nimi zawsze: spełnienie miłości i ciągłe zdumienie, że to, co ich łączy, to coś więcej niż kontakt fizyczny; to dotknięcie dusz.

Nastąpiły beztroskie, radosne dni. Byli dla siebie wszystkim, więc nie potrzebowali niczego ani nikogo. Kochali się często i spontanicznie.

Trzeciego dnia ich miodowego miesiąca Riley, uzbrojony w śrubokręt i młotek, w końcu otworzył drzwi wejściowe.

- Pani Coleman, co pani powie na propozycję zwiedzenia tej malutkiej wysepki? Może weźmiemy lunch ze sobą i wyruszymy zaraz po śniadaniu?

- Dokąd chciałbyś pojechać? Guam ma tylko trzydzieści mil długości i dwanaście szerokości, a w najwęższym miejscu są to tylko cztery mile. Dowiedziałam się tego już drugiego dnia pobytu tutaj - pochwaliła się.

- I tak jestem lepszy- przekomarzał się z nią. - Mam przewodnik po wyspie. Oprócz tego, podpytywałem znajomych oficerów. Ty zrobisz placuszki na śniadanie, a ja opowiem ci dokładnie, co będziemy robić. Potem ty zapakujesz lunch, a ja wezmę prysznic. Czy to sprawiedliwy podział obowiązków?

- Nie. Ale jestem dobrą posłuszną japońską żoną i zrobię, co mi się każe... do chwili, w której nie spodobają mi się twoje życzenia. Wtedy cię porzucę. Co pan na to, panie Coleman?

- Dopóki smażysz takie pyszne placuszki, możesz robić, co ci się żywnie podoba. Możesz mi nawet chodzić po plecach.

- Nie, dziękuję bardzo. Jestem nowoczesną Japonką. Chcę tylko

gotować, sprzątać i kochać się z tobą.

- Dobrze powiedziane - Riley promieniał. - Zastanówmy się. Możemy pojechać na wzgórze Nimitz. Jest stamtąd piękny widok na zatokę. Zobaczymy Falochron Glassa, nazwany tak na cześć kapitana Henry'ego Glassa, który ogłosił Guam częścią Stanów Zjednoczonych. Chciałbym to zobaczyć, a ty?

- Koniecznie - szepnęła mu do ucha i podsunęła talerz placuszków polanych roztopionym masłem i gorącym syropem.

- Zrób to jeszcze raz - poprosił szeptem.

- Co?

- Pocałuj mnie w ucho. -Usłuchała go ochoczo.

- Co tam kreślisz? - zapytała po chwili. Riley się zmieszał:

- Chyba... chyba nie zechcesz jechać do Nimitz Beach Park. Ja zresztą też nie. Tam zaczęła się amerykańska inwazja w 1944 roku. Zostawmy to;

- W porządku, chociaż moim zdaniem powinieneś zobaczyć to miejsce. Kiedyś mógłbyś opowiedzieć o tym ojcu.

- Mówisz poważnie, prawda?

- Tak. Nie możesz bez końca ukrywać się przed ojcem. Prędzej czy później będziesz musiał z nim porozmawiać. Jeśli tam dzisiaj pojedziemy, będziecie mieli wspólny temat, coś, od czego będziecie mogli zacząć.

- Zawsze wiesz, co i kiedy powiedzieć. W pewnym sensie rzeczywiście się ukrywam. Dlaczego sam tego nie dostrzegłem? Dlaczego musiałaś mi to powiedzieć?

- Bo ty to ty, a ja to ja - odparła figlarnie i ponury nastrój zniknął bez śladu. -Może kawałek mango?

- Dzięki, jestem najedzony. Otami zajęła się zbieraniem naczyń.

- Dokąd jeszcze pojedziemy?

- Do fortu Soledad. Podobno stamtąd widać Umatac, miejsce, które jakoby odwiedził Magellan w 1521 roku. Może kiedyś opowiemy o tym naszym dzieciom. Wiesz, historia...

- Po zwiedzeniu tylu miejsc będzie najwyższy czas na lunch. Gdzie będziemy jedli?

- Jeszcze kawy, Otami. Szybciej, nie zgadujesz moich życzeń. Dwie łyżeczki cukru.

- Dwie łyżeczki cukru? Wiesz, ja też się jeszcze napiję. Poczekam

tu, aż mi podasz.

- Zrozumiałem. - Z uśmiechem wstał i poszedł po dzbanek z kawą. - Co powiesz na to miejsce? - wskazywał palcem punkcik na mapie. - To Yigo. Podobno ma tu powstać park upamiętniający pół miliona ludzi: żołnierzy i cywilów amerykańskich, japońskich i wyspiarzy, którzy zginęli na Pacyfiku w czasie II wojny światowej. Planują także budowę pomnika symbolizującego dobrą wolę Ameryki i Japonii w budowie światowego pokoju. Ma to być postać modląca się o wieczny pokój.

Otami miała bardzo poważną minę, podobnie jak Riley.

- Uważam, że ty i ja jesteśmy odpowiednimi ludźmi, aby zwiedzić to miejsce. Będę się modliła o szybką realizację tego planu.

- Kolejny temat do rozmowy z tatą. To chyba wystarczy jak na jeden dzień. Oczywiście zakładając, że ten wrak dowiezie nas bezpiecznie w obie strony. Włóż wygodne buty, Otami, na wypadek gdybyśmy musieli go pchać. Ciekawe, czy w baku jest benzyna.

- No pewnie! Kto zmywa?

- Ja nie, muszę się jeszcze ogolić i wziąć prysznic. Twoja kolej, skarbie.

- Mam lepszy pomysł. Poczekam na ciebie, ja będę zmywać, a ty wycierać. Równy podział obowiązków, pamiętasz jeszcze?

- Dobrze, dobrze.

- Po powrocie moglibyśmy się kochać na polance za domem, wśród paproci. Moglibyśmy się nawet wykąpać w stawie.

- To kałuża, nie staw! Dalej, zabierajmy się do tych naczyń.

Podróż ciężarówką okazała się istnym koszmarem. Otami modliła się głośno, co Riley komentował wybuchami śmiechu. Dzień minął nie wiadomo kiedy. Błyskawicznie zjedli lunch. Ani się obejrzeli, trzeba już było wracać do małego domku.

- W lodówce czeka na nas butelka szampana - powiadomiła go Otami. - Od mojego wujka. Chociaż nie mógł być na ślubie ani ofiarować nam swego błogosławieństwa, zrobił, co w jego mocy. To dobry, szlachetny człowiek, bardzo mnie kocha. W ten sposób daje znak, że nam dobrze życzy, a jednocześnie nie traci twarzy. Musimy wznieść toast.

Riley czekał, aż Otami wróci z tacą z dwoma kieliszkami.

- Powinniśmy wznieść kwiecisty toast, pełen ukrytych znaczeń,

bardzo oryginalny, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Może wypijemy za nasze nowe, wspólne życie? Za miłość i zrozumienie. Niech dobry humor, muzyka i poezja towarzyszą nam każdego dnia nowego życia. Za nas.

- Za nas-powtórzyła miękko.-Na wieki.

Fanuchanan, pora deszczowa, nadeszła i przeminęła. Rozpoczął się fanum-nangan, pora sucha. Riley spędził na Guam prawie dwa lata. Nauczył się kochać wyspę i niechętnie myślał o dniu, w którym otrzyma rozkaz wyjazdu. Otami czuła się w małym domku jakby mieszkała tam od urodzenia. Nie przerwała studiów i Riley często zastawał ją pochyloną nad książkami w środku nocy. Na jego widok odkładała podręczniki i rzucała mu się na szyję. Nigdy w życiu nie był równie szczęśliwy. To raj. To dom. Oby nigdy nie musiał stąd wyjeżdżać.

Niestety, nieszczęścia zazwyczaj nie omijają czegoś tak ulotnego jak szczęście doskonałe.

Riley dostał nowe rozkazy. Wysłano go do Atsugi w Japonii, a stamtąd do Wietnamu. Po niedługim czasie uczestniczył w misjach bojowych w Delcie Me-kongu. Latał samolotem wyprodukowanym przez Coleman Aviation.

Thad Kingsley pobladł, gdy zobaczył, skąd Riley wysłał ostatni list. Jakim cudem dzieciak wylądował w Wietnamie? Przecież miał siedzieć na Guam, choćby i do końca wojny. Otworzył kopertę.

Kochany Wujku Thadzie!

Wyobrażam sobie, jakim zaskoczeniem będzie dla Ciebie ten list. Tak, jestem tutaj. Boże, jak ja tego nienawidzę. Przekonałem się, że jestem w stanie zabić, żeby się stąd wyrwać. Zabijam, codziennie. Staram się o tym nie myśleć, ale ta świadomość zawsze mnie w końcu dopada i zbiera mi się na mdłości. Nie wiedziałem, że można się aż tak panicznie bać. Teraz już wiem. Nie wstydzę się przyznać, że tylko ostatkiem sił powstrzymuję się od napisania do ojca i błagania go, by mnie stąd wyciągnął.

Otami wróciła do Japonii. Od dawna nie miałem od niej żadnych wiadomości. Liczyła, że rodzice przyjmą ją do siebie. Obawiała się tego, wyczytałem to spomiędzy linijek jej ostatniego listu. Główny

powód, dla którego zdecydowała się wyjechać do Tokio, a nie czekać na mnie na Guam, to fakt, że jest w ciąży. Boże, Wujku Thadzie, ona będzie miała moje dziecko, a mnie przy niej nie będzie. Potrzebne jej wsparcie rodziny. Znasz ich adres. Czy mógłbyś tam zajrzeć i sprawdzić, jak się sprawy mają? Być może będziesz musiał załatwić coś z moim bankiem w Teksasie. Otami ma wszystkie dokumenty. Błagam, zrób, co możesz.

Nienawidzę tego miejsca. Nie wiem, co tu robię. Nikt tego nie wie. Jak do tego doszło? Kto ponosi odpowiedzialność? Pociesza mnie jedno: latam na samolotach Colemanów. W nich czuję się bezpiecznie.

Ucałuj Otami ode mnie i powiedz, że ją bardzo kocham. Opiekuj się nią w moim imieniu, Wujku Thadzie.

Pozdrowienia, Riley.

Thad nie mógł złapać tchu. Nienawidził Wietnamu równie silnie jak Riley. Pienił się ze złości. Na pewno wkrótce da o sobie znać nowy wrzód żołądka.

Może już czas zadzwonić do Mossa. Billie zawiadomi później; teraz Rileyowi potrzebny jest ojciec. Mógłby dyskretnie sprowadzić rozmowę na temat chłopaka i zobaczyć, co z tego wyniknie. Poza tym, musi się skontaktować z Otami, a to oznacza podróż do Tokio. Dla Rileya Colemana, syna Billie, zrobiłby wszystko.

Tej nocy w ogóle nie zmrużył oka. O świcie zadzwonił do Sunbridge tylko po to, by się dowiedzieć, że pan Moss Coleman wyjechał w interesach i wróci dopiero za trzy dni. Po południu był w Tokio i naciskał dzwonek do drzwi. Otworzyła mu służąca w jedwabnym kimonie.

- Słucham?

- Chciałbym się widzieć z Otami. Proszę jej przekazać, że przybył admirał Kingsley.

- Proszę do środka, sir. Panienka Otami jest w ogrodzie. Pójdę po nią. Thad ściskał czapkę w dłoniach. Niewiele wiedział o japońskich domach, ale ten tutaj był godny króla. Bogactwo, do jakiego przywykli Colemanowie, wyzierało z każdego kąta.

Przerażony wzrok Otami to więcej, niż był w stanie znieść. Zapewnił ją że wszystko jest w porządku, i pocałował w policzek:

- To od Rileya.

- Miał pan od niego wiadomości? Proszę mi powiedzieć. Jak się miewa? Czy jest cały i zdrowy?

Thad podał jej list od Rileya i patrzył, jak chciwie pochłania każde słowo. Starannie złożyła kartkę i oddała mu ją.

- Dziękuję, że pan tu przyjechał. Riley martwił się reakcją mojej rodziny. Powitali mnie z otwartymi ramionami. Mam szczęście, że tak bardzo mnie kochają. Proszę mu przekazać, że nie potrzebuję pieniędzy Colemanów. Moja rodzina straciłaby honor, gdyby nie była w stanie mnie utrzymać. Riley to zrozumie. Nie mogę się im sprzeciwiać, ze względu na wstyd, który na nich ściągnęłam na początku.

- Cieszę się, że wszystko się dobrze skończyło. Rileyowi spadnie kamień z serca.

- Napisałam do niego wiele listów i wszystko wytłumaczyłam. Powinien je wkrótce dostać. Może nawet wszystkie naraz?

Albo żadnego, chciał powiedzieć Thad. Wietnamczycy ze szczególnym upodobaniem strącali samoloty pocztowe.

- Jeśli chcesz, napisz do niego, a ja zabiorę list ze sobą do Atsugi i wyślę najbliższym samolotem. Riley otrzyma go jutro wieczorem. A może zjesz ze mną obiad?

Otami nie ukrywała swego oburzenia.

- Admirale Kingsley! Musi pan zostać na obiedzie z moją rodziną. Mój ojciec byłby niepocieszony, gdyby się dowiedział, że pan tu był i nie zaszczycił nas swoim towarzystwem przy posiłku. Moja mama uwielbia amerykańskie filmy i będzie chciała... zaraz, jak to się mówi... wyciągnąć z pana różne informacje. Proszę się zgodzić!

- Bardzo chętnie. Z przyjemnością poznam twoją rodzinę.

- Dobrze. Ja poznałam rodzinę Rileya, czyli pana. Teraz pańska kolej. Będę zaszczycona,

- Otami, kiedy dziecko się urodzi? Uśmiechnęła się.

- Lada dzień. Moja mama bardzo się denerwuje. Mój ojciec też, ale udaje, że jest inaczej. Mężczyźni są silni i dzielni. To kobieca sprawa. To będzie pierwszy wnuk moich rodziców. Wszyscy się bardzo przejmujemy, zwłaszcza ja. Szkoda, że Rileya tu nie ma. Moja mama twierdzi, że to będzie chłopiec. Mój ojciec wolałby dziewczynkę podobną do mnie. - Wzruszyła ramionami, jakby dawała do zrozumienia, że nie pojmuje sposobu myślenia ojca. -Modlę się o syna dla Rileya. Ale córeczka też będzie kochana. - Uśmiechnęła się

rozmarzona.

- Bliźniaki - podsunął Thad. Otami zachichotała.

Obiad podano w stylu zachodnim, na cześć Thada. Doceniał to i nie omieszkał wyrazić tego głośno.

- Chcemy godnie powitać wuja naszej córki. Nie zgodziliśmy się na nic gorszego, admirale. Chociaż muszę przyznać, że jankeska zupa fasolowa nie należy do moich ulubionych dań - stwierdził Shadaharu Hasegawa z wesołym błyskiem woku.

- Do moich też nie - odparł Thad z krzywym uśmiechem. Roześmieli się obaj. Thad zastygł w bezruchu. Wiedział, co teraz nastąpi.

- Chodźmy, zapalimy cygara w ogrodzie. Kobiety napiją się herbaty. Potem znowu porozmawiamy. Córka nie da mi spokoju, jeśli zachowam pana dla siebie. Idźcie, idźcie - gestami odpędzał drobniutką żonę i córkę. Unosząc komicznie oczy do góry, powiedział:

- Żono, obiecuję, że jeśli admirał Kingsley nie będzie miał nic przeciwko temu, porozmawiacie sobie później o gwiazdach filmowych.

Thad skinął głową. Mała kobietka pisnęła z uciechy. Otami otoczyła ją ramieniem i wyprowadziła z pokoju.

-Ach, te kobiety. Lubią filmy.

Nie wiedząc, co miałby odpowiedzieć, Thad tylko się uśmiechnął.

Zapalili cygara. Pan Hasegawa przerwał milczenie:

- Teraz, kiedy kobiety nas nie słyszą, musimy porozmawiać o tym młodym człowieku, Rileyu, i jego rodzinie.

- Panie Hasegawa, nie łączą mnie z Rileyem więzy krwi. Jestem starym przyjacielem rodziny, ale kocham tego chłopaka jakby był moim rodzonym synem. Nie wiem, czy mam prawo opowiadać o jego rodzinie. Nie znaczy to, że nie chcę, ale obiecałem Rileyowi i nie złamię tej obietnicy. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

Shadaharu Hasegawa melancholijnie kiwał głową. Wpatrywał się w rozżarzony koniuszek cygara.

- Wielu rzeczy nie rozumiem w dzisiejszym świecie. Nie jestem postępowy, jak mówi moja żona. Zdaniem córki powinienem się nauczyć zachodniego sposobu myślenia, jeśli chcę przetrwać. Nasza kultura, tradycja już młodym nie wystarczają. Mam dużo córek. W sumie osiem. - Skrzywił się. - Czy pan sobie wyobraża, co dziewięć kobiet może zrobić z człowiekiem przywiązanym do starego sposobu

myślenia?

Thad uśmiechnął się pod nosem. Jakże żałośnie wyglądał pulchny człowieczek. Budził współczucie... chyba, że się spojrzało w jego sprytne oczka.

- Chyba wiem, o czym pan mówi. Ulżyło mi, gdy się dowiedziałem, że przyjął pan Otami pod swój dach. Przyjechałem tu dzisiaj, by się upewnić, że jest pod dobrą opieką. Na prośbę Rileya, ma się rozumieć.

- Proszę mi opowiedzieć o tym młodym człowieku. Moja córka paple godzinami, ale nie można polegać na zdaniu zakochanej kobiety. Muszę coś wiedzieć o jego korzeniach.

- Colemanowie to stara, dobra rodzina. Powszechnie szanowana. To dobrzy ludzie, panie Hasegawa. Pańska córka weszła do starej, dobrej rodziny. Są bogaci, jeśli to istotne. Riley ma fundusz powierniczy, z którego może spokojnie utrzymać siebie i rodzinę. Nie musi się pan o to martwić.

- Ja także jestem zamożny. Mogę utrzymać córkę i dziecko - napuszył się Japończyk.

- Nie wątpię w to. Zapewne pamięta pan, że powiedziałem, jeśli to istotne. Ani Riley, ani Otami nie myśleli o pieniądzach. Wspomniałem o tym na wypadek, gdyby pan się... zastanawiał.

- Bo też się zastanawiałem, nie ukrywam tego. Dlaczego ten młody mężczyzna nie chce, by jego rodzina dowiedziała się, że poślubił moją córkę?

Tego właśnie pytania Thad obawiał się najbardziej. Długo szukał odpowiednich słów.

-Uważam... zastrzegam się, panie Hasegawa, że to tylko moja opinia... Otóż uważam, że Riley obawiał się, że jego ojciec wszystko popsuje. Znając go, wiem, że właśnie tak by było. Bardzo dobrze świadczy o panu fakt, że wolał pan przyjąć córkę z powrotem pod swój dach niż ją stracić.

Ojciec Otami zaciągnął się cygarem.

-Moja żona, ta krucha porcelanowa laleczka, i moje córki postawiły mi ultimatum: albo powitam Otami z otwartymi ramionami, albo one wyjadą do Ameryki, próbować szczęścia w filmie. Cóż mogłem zrobić? Ja także uczę się od młodych. Wiem, że aby przetrwać, muszę być postępowy. Poza tym, nie znoszę, po prostu nie znoszę ciągłego jazgotania, którym mnie karzą, ilekroć sprzeciwiam się ich planom.

- Jest pan wyjątkowym człowiekiem, panie Hasegawa. Ma pan wspaniałą rodzinę. Ten jest mądry, kto...

-.. .kto ulega życzeniom kobiet. Zdaje mi się, że to stare chińskie przysłowie, tak?

Thad tylko roześmiał się.

- A więc nierozsądnie byłoby kontaktować się z rodziną Colemanów?

- Nie, panie Hasegawą. Nie teraz. Ta decyzja należy do Rileya i Otami, nie do pana. Przepraszam, jeśli pana uraziłem, ale to fakt.

- Moja córka mówi, że jej mąż darzy pana wielkim szacunkiem. Teraz rozumiem, dlaczego. Powiedział mi pan tyle, ile chciał, ile uznał, że powinienem wiedzieć. Ani słowa więcej. Doceniam to, admirale Kingsley. Uszanuję życzenia mojej córki i jej męża. Otami zawsze może liczyć na swoją rodzinę. Okryłbym nas wszystkich hańbą, gdybym jej nie pomógł, zwłaszcza teraz. Czy mamy nie zawiadamiać Colemanów o narodzinach dziecka?

- Tylko za zgodą Rileya. Jeśli nie przekaże innych instrukcji, jego życzeniu musi stać się zadość. Ma pan jednak pociechę. Będziecie mieć dziecko tylko dla siebie.

- To niesprawiedliwe, pozbawiać rodzinę dziecka. Jest tam przecież dziadek, Otami mi mówiła.

- Tak, to nie jest w porządku, ale nie nam to przyjdzie osądzać. Jedyne, co możemy zrobić, to służyć młodym pomocą.

- Jest pan bardzo mądry, admirale. Musi nas pan ponownie odwiedzić. Na pewno zechce pan zobaczyć dziecko, kiedy przyjdzie na świat.

- Będę zaszczycony.

- Mój dom stoi dla pana otworem. Proszę przybywać, kiedy tylko pan zapragnie. Teraz, niestety, musimy wrócić do środka. Opowie pan moim dziewczętom plotki o gwiazdach filmowych. Zaklinam pana, proszę nie robić z tego bardzo fascynujących opowieści.

Thad wybuchnął śmiechem.

- To nie problem.

- Admirale, czy mógłby pan im powiedzieć, że Clark Gable w rzeczywistości wcale nie jest taki przystojny jak na ekranie?

- Powiem im, że ma na nosie okropną brodawkę, którą zakrywa makijaż. Czy to wystarczy?

Shadaharu Hasegawą zatarł ręce, zadowolony.

- To wspaniale, jeśli nie przeszkadza panu to niewinne kłamstewko.

- A kto mówi, że to kłamstwo? Wszyscy o tym wiedzą - Thad wszedł do domu w ślad za gospodarzem.

Cztery dni później Thad otrzymał telefon z „Tokyo Sun Times". Było to bezpośrednie połączenie z Shadaharu Hasegawą. Radość w głosie ojca Otami wróżyła dobre nowiny.

- Chłopiec!

- Gratuluję, panie Hasegawą. Proszę uściskać Otami ode mnie. Zawiadomię Rileya.

- Dziękuję, admirale. Proszę mi obiecać, że odwiedzi nas pan w przyszłym tygodniu.

- Dziękuję za zaproszenie. Czy niedziela państwu odpowiada?

-Czekamy na pana niecierpliwie. Do widzenia, admirale Kingsley.

Thad bardzo żałował, że musi zachować tę wspaniałą nowinę dla siebie. Takie wiadomości chciałoby się przekazać dalej. Billie byłaby uszczęśliwiona, Moss -wniebowzięty - dopóki by mu nie powiedziano, że matką dziecka jest Japonka. Tym faktem z pewnością nikomu by się nie pochwalił.

Riley posadził samolot na ziemi. Ruszył od razu do koszar. Spać! Spać i śnić o Otami. W połowie drogi ktoś wcisnął mu w rękę wąski pasek papieru. „Chłopak ! Mama i syn mają się dobrze. Wszystko pod kontrolą". Wiadomość podpisał admirał Thaddeus Kingsley. Riley wiedział, że na wujka Thada zawsze można liczyć.

Syn. Chłopiec, z którym można się bawić. I kochać go, ale nie przytłaczać. Tak właśnie powinno być.

Poczuł wyrzuty sumienia. Powinien napisać do Sunbridge. Kiedyś. Kiedyś, później. Na razie odeśpi całonocną akcję i będzie śnił o żonie i synku.

Po miesiącu otrzymał pierwsze zdjęcie syna. Riley Shadaharu Coleman. Siedem i pół funta. Dwadzieścia cali.

O drugiej nad ranem stawił się na pasie startowym, gotów do nocnego lotu. Czule dotknął skrzydła samolotu i wyszeptał stałą modlitwę:

- Pozwól mi wrócić do żony i syna. Coleman Aviation, nie zawiedź mnie.

Godzinę po starcie samolot zaczął tracić wysokość. Strach dławił Rileya w gardle, sprawiał, że brakowało mu powietrza. Jezu, nie teraz, nie nad tym przeklętym krajem! Nie w imię czegoś, czego nikt nie rozumie! Boże, nie teraz! Samolot się przechylił. Stopy Rileya nerwowo tańczyły na pedałach. Jest zbyt nisko, nie może się katapultować. Czerwone światełka na tablicy rozdzielczej przypominały niesamowite lampki na Halloween. Zanim samolot rozbił się o skały, Riley zdążył pomyśleć, że mały Riley Shadaharu ma nos po dziadku Colemanie.

Thad bez trudu uzyskał zezwolenie na lot do Teksasu, by poinformował krewnych o śmierci Rileya. Wybłagał przez telefon, że nie zawiadomią Otami, dopóki nie porozmawia z Colemanami. Waszyngton zgodził się niechętnie; było to wbrew regulaminom.

Billie wiedziała, gdy tylko otworzyła drzwi mieszkania w Austin i zobaczyła na progu Thada w mundurze. Zaczerpnęła głęboko powietrze. Nie chciała drinka, którego jej przygotował.

- Powiedz mi wszystko, o czym wiesz - poprosiła po chwili. Dużo później zapytała: - Dlaczego nie płaczę?

-Jesteśw szoku, Billie. Chodź ze mną. Nie zostawię cię tutaj. Muszę jechać do Sunbridge. Moss będzie cię potrzebował. Seth także.

-Tak, tak, masz rację. Poczekaj, wezmę sweter. Masz rację. Będę im potrzebna. Podziękowałam ci już, że tu przyjechałeś, prawda?

- Tak, Billie, wiele razy. Wolałem powiedzieć ci o tym osobiście, niż gdybyś miała się dowiedzieć z telegramu.

- Czy wiadomo, co się stało?

- Lecieli na niskim pułapie. Riley zaczął tracić wysokość. Rozbił się o skały.

- Moss się z tym nie pogodzi. Ani Seth. Czy to był samolot Colemanów? -zapytała cicho.

- Tak. Jak wszystkie pozostałe - odparł miękko.

Rozdział piętnasty

WSunbridge odbywały się dantejskie sceny. Ostre słowa, wyrzuty, oskarżenia, padały bez przerwy. Seth ryczał i parskał jak ranny bawół. Moss wychylił duszkiem pół butelki brandy. Agnes opadła na krzesło. Machinalnie bawiąc się perłami, nawet na chwilę nie spuszczała Setha z oczu.

- Nie wtrącaj się, mówiłaś. Tak mówiłaś, dziewczyno. Dokładnie tak: „nie wtrącaj się". A teraz on nie żyje. Riley nie żyje. Mój jedyny wnuk. To twoja wina! -Wycelował w Billie szponiasty palec.

- Ale ty się wtrąciłeś. To przez ciebie wysłali go na Guam. Nie możesz mnie obwiniać za śmierć mojego syna! Co z ciebie za człowiek! Gdybyś zostawił sprawy swojemu biegowi, on żyłby nadal. Ale nie, ty i Moss, wy obaj, jak zwykle musieliście rozegrać to po swojemu! Pociągacie za sznurki, grozicie, przekupujecie, byle tylko postawić na swoim! Spójrz, co się stało! Mój syn nie żyje. Nie mam syna! Dlaczego nie zostawiliście go w spokoju? - krzyczała.

- Tu nie ma dla ciebie miejsca. Co tu właściwie robisz? Kto cię tu zaprosił? Zabierz ją stąd, Moss. Nie mogę na nią patrzeć.

- Ani słowa więcej, tato - warknął Moss. - Thad, jak to się stało. Chcę wiedzieć.

- Riley leciał na niskim pułapie. Samolot tracił wysokość, nie mógł się katapultować. Uderzył w skały. Samolot wybuchł. Tyle wiem.

- Czy to był samolot Colemanów?

Thad musiał nadstawić ucha, żeby usłyszeć to pytanie:

- Tak. Cała eskadra na nich lata. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Spieprzyli coś! - Moss chodził niespokojnie po pokoju. - Riley miał zostać na Guam do końca służby. Kiedy się dowiedzieliśmy, że go przenoszą, już był w Wietnamie. Pojutrze mieli go z powrotem przerzucić na Guam. Dwa dni! Boże, dwa dni!

Billie podniosła się z fotela.

- Moss, wypiłeś już dosyć. Może wszyscy przejdziemy do kuchni i napijemy się kawy?

- Kawy! Zabierzcie stąd tę idiotkę! - huknął Setli. - Wcale nie żartuję, Moss. Mój wnuk nie żyje, a ona proponuje kawę. Agnes, jak ty ją wychowałaś? W życiu nie słyszałem nic równie głupiego.

-Zamknij się, Seth - burknęła.-Jeszcze jedno słowo, a osobiście cię

zaknebluję. Kawa dobrze zrobi nam wszystkim. Albo będziesz trzymał język za zębami, albo cię odwiozę do pokoju. Czy to jasne?

- Aggie, nie mów mi, że mam się zamknąć. To mój dom.

Thad, Moss i Billie poszli za Agnes do kuchni. Seth otarł oczy rękawem flanelowej koszuli i wykręcił fotel w drugą stronę. Oczywiście, nie będzie pił z nimi kawy w kuchni, ale jeśli podjedzie bliżej, usłyszy, o czym mówią. Billie płakała, za to Agnes jak zwykle trzymała uczucia na wodzy. Czas pozbyć się ich obu. Czy są komuś potrzebne? W każdym razie nie jemu. Wszystko skończone. Po co dalej żyć?

Billie starała się nad sobą panować. Tyle jest do zrobienia. Przede wszystkim musi zawiadomić najbliższych, Maggie, Susan, Sawyer. Po wielu próbach udało jej się bezbłędnie wykręcić nowojorski numer najstarszej córki. Maggie, zadyszana, odebrała po czwartym dzwonku.

- Maggie... -Billie nie była w stanie mówić. Jakaś jej cząstka nie przyjmowała do wiadomości, że Riley nie żyje, łudziła się nadzieją, że wystarczy nie wypowiadać tych słów, a nie staną się rzeczywistością. - Och, Maggie...

Maggie kurczowo przyciskała słuchawkę do ucha.

- Mamo! Co się stało? Czy coś z tatą? Mamo, jesteś tam? Odpowiedz mi!

Moss wyjął słuchawkę z drżącej dłoni Billie. Najwyższym wysiłkiem nadał swemu głosowi spokojne brzmienie:

- Maggie, Riley nie żyje. Właśnie się dowiedzieliśmy. Mama nie może teraz rozmawiać. Chcieliśmy cię zawiadomić.

Maggie zagryzła usta. Poczuła smak krwi. Ból i wściekłość gotowały się w niej. Boże, to niemożliwe. Niemożliwe! Cierpiała tak bardzo, że na cios chciała odpowiedzieć ciosem:

- Leciał twoim samolotem, prawda, tato? - Odłożyła słuchawkę. Bezradnie rozglądała się po mieszkaniu. To tutaj namawiała go, by wstąpił do wojska, na złość Mossowi. Tutaj spędzili te straszne, smutne święta. Nigdy więcej nie rozpakują razem gwiazdkowych prezentów.

Podbiegła do biurka. Gorączkowo szukała fotografii, które robili tamtego wieczora. Nie znalazłszy ich od razu, zrzuciła wszystkie papiery na podłogę. Zdjęcia wysypały się z brązowej koperty. Upadła na kolana. Przyciskała je do piersi, płacząc głośno.

- Nie, nie! - krzyknęła. -Nie Riley, tylko nie Riley! To powinnam

być ja! Boże, dlaczego nie zabrałeś mnie zamiast jego?

Zmęczony i wyczerpany psychicznie Thad wskoczył do samolotu. Musiał wracać do Kalifornii. Nie miał ochoty zostawiać Billie, nie było jednak innego wyjścia. Popełnili błąd myśląc, że będzie potrzebna Mossowi i Sethowi. Opuścili chyłkiem dom pod osłoną nocy. Żegnali się bez łez. Na to przyjdzie czas później.

Otami wpatrywała się w Thada, hamując rozpacz.

- Nie zobaczył syna - szepnęła tylko. - Nie zdążył nauczyć go tego, czego ojciec uczy swego potomka. Admirale Kingsley, czy sądzi pan, że czasami o nim myślał, o swoim synu?

- Jestem o tym głęboko przekonany, Otami. Zawiadomiłem Colemanów. Nie wspominałem o tobie ani o dziecku.

- Riley... życzył sobie, by nie wiedzieli. Musimy uszanować jego życzenie. Moich rodziców nie ma w domu. Mama pojechała z ojcem w podróż w interesach. Wrócą dopiero za miesiąc.

- Mogę ich zawiadomić. Nie powinnaś być sama. Na pewno zechcą być przy tobie.

- Admirale Kingsley, nie jestem sama. Nigdy nie będę. Pan zapomniał, że mam syna Rileya. Nic mi nie będzie. Proszę się o mnie nie martwić. Wiedziałam, że to się może zdarzyć. Nie byłam na to przygotowana, ale potrafię sobie dać z tym radę.

Thad przyciągnął ją do siebie.

- Płacz, Otami. Poczujesz się lepiej.

- Nie mogę. Może któregoś dnia... Teraz muszę iść do małego. Trzeba go nakarmić. Dziękuję, że pan przyjechał. Czy zostanie pan na kolacji? - Gdy przecząco pokiwał głową, wyszła z pokoju.

Wychodząc, Thad miał świadomość, że nieprędko tu wróci. Rodzina Hasegawa zajmie się wszystkim jak należy. On musiałby im ciągle przypominać o tej okrutnej stracie, a to ostatnia rzecz, jakiej im teraz trzeba. Życie musi toczyć się dalej.

Billie starała się uporać z rozpaczą w rozmaity sposób. Malowała

do utraty sił. Godzinami przesiadywała z Sawyer. Wnuczka opowiadała jej o Rileyu rzeczy, o których Billie nie miała pojęcia. Największą pociechą były dla niej długie listy do Thada i jego równie długie odpowiedzi. Raz nawet rozmawiali godzinę przez telefon, choć admirał był aż w Tokio. Martwił się o nią, a tymczasem to ona go pocieszała. Nie wiedziała, skąd czerpie siły, ale radziła sobie z cierpieniem, żyła dalej. Przetrwa.

Moss Coleman czekał na uzyskanie połączenia. Ramieniem przyciskał słuchawkę do ucha. W końcu odezwał się chłodnym, szorstkim głosem:

- Nie wiem, co chcecie osiągnąć, zmuszając ojca, by żebrał o zwrot rzeczy należących do martwego syna. Wysłałem sześć listów i trzy telegramy i nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Jakiś cholerny urzędas musi wiedzieć, co się dzieje. Nie odłożę słuchawki, dopóki nie otrzymam konkretnej odpowiedzi.

- Chwileczkę, sir. Połączę pana z majorem Henrym. Niestety, w tej chwili rozmawia na drugiej linii. Czy pan poczeka?

- Przecież czekam. Czekam od dwóch cholernych miesięcy.

Po pięciu minutach usłyszał:

-Major Henry, słucham.

Moss powtórzył wszystko jeszcze raz.

- Panie Cołeman, rzeczy należące do pańskiego syna przesłaliśmy jego żonie. Takie są przepisy. Nie możemy ich zmieniać, dla nikogo.

- Żonie? Jakiej żonie? Mój syn nie miał żony. Durnie, pomyliliście Rileya z kimś innym. Tak samo jak popieprzyliście jego rozkazy. Żyłby do dziś, gdyby nie pomyłka jakiegoś dupka. I co pan na to, majorze Henry?

- Panie Coleman, nie wiem nic na temat rozkazów dotyczących pańskiego syna, ale wiem, że od prawie dwóch lat miał żonę. Ożenił się z Japonką, na Guam. Rzeczy należące do porucznika Colemana przekazaliśmy jego żonie. Aha, jest jeszcze syn. Ta informacja dotarła do nas już po śmierci porucznika. Jest w jego aktach. Panie Coleman... halo, jest pan tam? Halo, panie Coleman!

Moss wpatrywał się w ścianę tępym wzrokiem.

-Tak, tak, majorze jestem. Nie miałem pojęcia o tym małżeństwie.

Moja żona też nie.

- Przykro mi, panie Coleman. Czasami młodzi tracą głowę z dala od domu. Wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

- Nie wątpię w to, majorze. Mój syn nie przystałby na nic innego. Czy mógłby pan podać mi nazwisko i adres tej dziewczyny? Major spełnił jego prośbę.

- Panie Coleman, proszę przyjąć najszczersze wyrazy współczucia..

Moss go nie słuchał. Patrzył na zdjęcie Rileya. Jak mógł mu coś takiego zrobić? Coś tak ohydnego? Ożenił się z Japonką, choć wiedział, jak bardzo ojciec ich nienawidzi? Uderzył pięścią w stół. Fotografia Rileya spadła na ziemię. Ramka się rozbiła, szkło rozprysło po podłodze. Do cholery, czy „jaki ojciec, taki syn" już nic nie znaczy? Gdzie popełnił błąd? Japonka! Pieprzona Japonka!

Major Henry wspomniał coś o synu. Na rany Chrystusa, wnuk Mossa Colemana nie będzie dorastał w tym przeklętym kraju, jedząc ryż i odpadki! Pojedzie tam i przywiezie go do Stanów. Wychowa go w Sunbridge. To dziecko Rileya. Nagle na jego twarzy pojawił się uśmiech. Dla syna Rileya Billie wróci do domu, może się o to założyć.

Następnego ranka poleciał do San Francisco, stamtąd samolotem Pan Am na Guarii, skąd dotarł do Tokio.

Zameldował się w hotelu. Pierwsze kroki skierował do baru, gdzie błyskawicznie wychylił trzy szklanki whisky. Alkohol nie pomógł mu uspokoić nerwów. Nienawidził tego kraju i wszystkich jego mieszkańców.

Portier złapał mu taksówkę. Gdy Moss podał adres, brwi kierowcy uniosły się w zdumieniu.

- Tak jest, proszę pana - odparł poprawną angielszczyzną.

- Rozumiesz po angielsku? - warknął Moss.

- Tak, proszę pana. Ukończyłem studia na uniwersytecie kalifornijskim. Czy chciałby pan dowiedzieć się czegoś o Japonii? - zapytał uprzejmie.

- Wiem tyle, ile mi potrzeba. To daleko?

- Nie. Może kwadrans, w zależności od nasilenia ruchu.

Wbrew sobie, Moss zapytał:

- Dlaczego prowadzisz taksówkę, skoro skończyłeś studia w Kalifornii?

- Japonia to biedny kraj. Jeśli ma się rodzinę na utrzymaniu, trudno

związać koniec z końcem. Muszę wykształcić trzech synów, a to dużo kosztuje. To nie jest haniebna praca. Czy to pańska pierwsza wizyta w Japonii?

- Nie. Kiedyś tu byłem. I nie przyjadę nigdy więcej - odparł szorstko Moss. Co jakiś czas kierowca zerkał w lusterko na ponurego Amerykanina. Nigdy nie widział równie nieszczęśliwego człowieka. Skoncentrował się najeździe, pozwalając Mossowi tonąć w czarnych myślach. - Dlaczego stajemy?

- Miałem pana tutaj przywieźć. Widzi pan numer na bramie? Proszę zadzwonić, a ktoś pana wprowadzi do środka. Przywożę tu wielu klientów.

- Klientów? Czy to burdel? Wygląda jak jakiś cholerny pałac.

- Proszę wybaczyć, sir. Rozumiem, co pan mówi, ale dlaczego sądzi pan, że to burdel? To dom pana Shadaliaru Hasegawa. Pan Hasegawa jest właścicielem trzech tokijskich gazet. To jego miejska siedziba. Czyżby pan się pomylił?

- Nie, to tutaj.

Moss zapłacił w dolarach. Dał kierowcy suty napiwek, bo nie miał ochoty się targować. Przed monumentalnym domostwem opuściła go pewność siebie. Hasegawa to właściwe nazwisko. Nacisnął dzwonek. Brama się otworzyła. Wszedł. Odwrócił się, słysząc, jak się zamyka na dobrze naoliwionych zawiasach: był uwięziony. Czoło zrosił mu pot, gdy tak czekał przed jednym z najpiękniejszych domów, jakie mu było dane widzieć. To nie pokoik o ścianach z papieru ryżowego. To dom bogaczy.

To przypominało paradę. Najpierw pojawił się malutki okrągły mężczyzna, potem filigranowa kobieta, prawdopodobnie jego żona. Za nimi szło osiem dziewcząt.

Kobiety otoczyły pulchnego mężczyznę półkolem.

-Witam pod moim dachem, panie Coleman. Proszę za mną, przedstawię panu moją rodzinę.

Moss nie miał wyjścia, musiał go posłuchać. Nie tak to sobie wyobrażał.

Pan Hasegawa skinął na Otami. Dała krok do przodu.

- Oto moja najstarsza córka, żona pana syna.

- W obliczu jakiego prawa? - zapytał brutalnie.

- Amerykańskiego - odpalił pan Hasegawa bez wahania. - Czy

życzy pan sobie zobaczyć dokumenty?

- Życzę sobie.

Japończyk klasnął w dłonie i natychmiast podbiegła do niego młodziutka służąca. Powiedział coś cicho. Wyszła z pochyloną głową i splecionymi dłońmi. Po kilku chwilach wróciła niosąc dużą brązową kopertę. Moss dokładnie przestudiował każde zaświadczenie.

Z punktu widzenia prawnego wszystkie dokumenty były w porządku.

- Czy chciałby pan zobaczyć wnuka?

Moss skinął głową. Był na siebie wściekły, że nie może przestać się gapić na tę dziewczynę, Otami. Pan Hasegawa ponownie klasnął. Na widok służącej, tym razem tylko skinął głową. Po chwili przyniosła tłustego bobasa. Pan Hasegawa gestem zachęcił Mossa, by podszedł bliżej.

- Uważam, podobnie jak moja córka, że dziecko ma pański nos. To zdumiewające.

Coś ściskało go w gardle. Syn Rileya. Dostrzegał podobieństwo w śpiącym maluchu. To wystarczy.

- Chcę zabrać dziecko do Teksasu - oznajmił spokojnie.

W ułamku sekundy Otami stanęła między nim a dzieckiem. Milczała, lecz wzrokiem błagała ojca o pomoc.

- To niemożliwe, panie Coleman. Miejsce dziecka jest przy matce i rodzinie. Tego sobie życzył pański syn.

- A cóż wy możecie wiedzieć o jego życzeniach? Nie łudźcie się, że wam uwierzę. To dziecko należy do Colemanów. Jego miejsce jest w Teksasie, nie tutaj. Zwłaszcza nie tutaj!

- To niemożliwe. Dziecko potrzebuje matki. Niczego mu nie będzie brakowało. Moje dochody dorównują pańskim, jeśli to pana trapi. Proszę, niech pan nas nie obraża, proponując kupno dziecka. To miał być pana następny krok, prawda?

Moss się zaczerwienił.

- Nie handluje się ludźmi. - W rzeczywistości to właśnie chciał im zaproponować. - Wystąpię do sądu - zagroził.

- Japonia nie podlega jurysdykcji sądów amerykańskich... Proszę, nie chcemy się kłócić z rodziną Rileya. Wszyscy możemy wychowywać to dziecko. Pan i pańska żona możecie nas odwiedzać o każdej porze dnia i nocy. Moja córka będzie również pańską córką. To

sprawiedliwe rozwiązanie.

- Nie chcę pańskiej córki! Chcę mojego wnuka. Nie wyjadę stąd bez niego. Otami podeszła bliżej.

- Panie Coleman, Riley i ja dużo rozmawialiśmy na ten temat. Życzył sobie, by dziecko zostało ze mną. Po ukończeniu służby wojskowej planował osiedlenie się w Japonii. Mówię szczerą prawdę. Takie były życzenia Rileya.

- Ty go do tego namówiłaś. Jak to zrobiłaś? Do jakich sztuczek się uciekłaś, by omotać mojego syna? Riley nigdy by się na coś takiego nie zgodził!

- Jeśli jest tak, jak pan mówi, to dlaczego ja i mój syn jesteśmy tutaj? Dlaczego nie wiedział pan o naszym małżeństwie i dziecku? Domyślam się, że poinformowało pana wojsko. Riley nie chciał, by ktokolwiek w Teksasie o tym wiedział. To prawda, panie Coleman. Nie omotałam pańskiego syna. Zakochaliśmy się w sobie. A nasz syn... Riley i ja omawialiśmy to wielokrotnie... nasz syn nosi imiona po Rileyu i moim ojcu. Nazywa się Riley Shadaharu Coleman.

Ta kropla przepełniła czarę goryczy. Nie nazwali wnuka jego imieniem. Dzieciak nosi koszmarne japońskie imię, którego nawet nie można wymówić. Pan Hasegawa podszedł bliżej.

- Panie Coleman, proszę nie okrywać się hańbą na oczach mojej rodziny. W moich gazetach codziennie piszemy o okropnym zachowaniu Amerykanów. Przez wzgląd na nas wszystkich, niech się pan opanuje. Proszę się pogodzić z sytuacją. Nasz dom stoi przed panem otworem.

- Niech was piekło pochłonie - warknął, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Musi być jakiś sposób. W najgorszym wypadku porwie dzieciaka. Spojrzał na żelazne ogrodzenie i uświadomił sobie, że to tylko czcze pogróżki.

Pokonali go. Przegrał nie tylko bitwę, lecz całą wojnę.

Podczas osiemnastogodzinnego lotu do domu nie miał nic innego do roboty prócz rozmyślań. Podjął decyzję: wiadomość o istnieniu Rileya Shadaharu zachowa dla siebie. Nikt nigdy się nie dowie o jego poniżeniu. W każdym razie, dopóki będzie żył.

Moss wrócił do Stanów przepełniony gniewem i żalem. Rozpacz po stracie syna topił w burbonie. Starał się zapomnieć o upokarzającej wizycie w domu Hasegawa, pracując do upadłego. Zdawał sobie

sprawę, że odzyska wnuka, jeśli zgodzi się na kompromis; nagrodą za uprzejmość i tolerancyjnoše będzie jedyny potomek Rileya. On jednak bał się i nienawidził Japończyków i nie chciał mięć z wnukiem nic wspólnego, chyba że zostaną zerwane całkowicie więzy łączące go z rodzinną tradycją matki.

Billie widziała jego cierpienie i starała się go pocieszyć. Sądziła, że obwinia siebie i swoje samoloty o śmierć Rileya, bo Moss nie raczył powiedzieć jej prawdy. Nie miał wątpliwości: jeśli opowie Billie o dziecku, ta zaraz poleci do Japonii i z otwartymi ramionami przyjmie synową. Nie chciał, żeby miała to, czego sam sobie odmówił - pociechę w kochaniu syna Rileya. Wiedział, że postępuje samolubnie. Był tego świadom od zawsze i nie przeszkadzało mu to żyć.

Świat Setha walił się w gruzy. Tydzień po powrocie syna z Japonii starzec przeszedł dwa lekkie wylewy, które całkowicie uzależniły go od opieki Agnes. Choć mówił niewyraźnie, ton jego głosu nie uległ zmianie - Seth nadal klął, wrzeszczał i pomrukiwał. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia, budząc Agnes w środku nocy, bo zachciało mu się pić. Drażniło go, że jest zdrowa i silna. Nienawidził własnej bezradności, za co płaciła Agnes - dokuczał jej i szykanował na najróżniejsze sposoby.

Za zamkniętymi drzwiami swego pokoju Agnes płakała gorzkimi łzami. Była kowalem własnego losu. Za dnia spełniała wszelkie zachcianki Setlia, nocami knuła plany zgładzenia go.

Na wiosnę postanowiła, że czas zakończyć ten dramat, tak czy inaczej. Wcieliła swój plan w życie w pierwszy słoneczny dzień.

- Seth, wybieramy się na przejażdżkę. Łyk świeżego powietrza dobrze ci zrobi. Nalegam.

- Nalegaj sobie ile chcesz. Nigdzie nie idę. Zakoduj sobie, Aggie, że jestem skazany na ten pokój i oboje tu zostaniemy. Podaj mi kawę i poczytaj gazetę.

- Nie dzisiaj. Lekarz mówił, że masz wychodzić na dwór. To rozkaz. Powiedział, że jeśli nie będziesz go słuchał, przestanie cię leczyć.

- Niechby spróbował! Wstrzymałbym wszelkie dotacje dla jego szpitala, i co? Nigdzie nie idę.

Śledził ją kątem oka. Zbyt łatwo przyjęła porażkę. Na pewno coś knuje. Musi ją obserwować i przekonać się, co jej chodzi po głowie.

Pod troskliwą opieką Agnes powoli odzyskiwał siły. Co dzień proponowała mu krótką przejażdżkę, zawsze z tym samym, negatywnym skutkiem. W dniu, w którym się w końcu zgodził, zaniemówiła na chwilę, zdumiona.

- No, nie stój tak. Sprowadź kogoś, żeby mi pomógł wsiąść do samochodu.

Przestępowała z nogi na nogę, nerwowo szarpała sznur pereł na szyi.

- Jesteś pewien? Chcesz jechać? Dlaczego zmieniłeś zdanie?

- Przez tego durnego lekarza. Kazał mi przyjechać do swego gabinetu na jakieś głupie testy. Tam właśnie pojedziemy. Nie łudź się, że sobie wyskoczysz na zakupy. Prosto od niego wracamy do domu. Zrozumiałaś?

- Tak, Seth. Tak. Mogłeś mnie wcześniej uprzedzić. Szofera dzisiaj nie ma. Moss zapomniał jakichś dokumentów i szofer zawozi mu je do biura. A nie licz, że ja cię zawiozę.

- Nie liczę na to, wiem, że tak będzie, kobieto! - burknął. - No, idź, przygotuj się. Ubierz się przyzwoicie, bo nie mam zamiaru świecić za ciebie oczami. Jak kobieta może się tak zaniedbać? Nie masz za grosz ambicji?

- O, tak, Seth. Mam ambicję. Jeszcze się o tym przekonasz. Zaraz wracam. - Odwróciła się i wyszła, dumnie wyprostowana. Od dawna nie widział jej takiej.

Agnes tymczasem zadzwoniła do garażu.

- Proszę odebrać lekarstwa pana Colemana z apteki - poleciła. - Aha, i proszę wziąć półciężarówkę, nie limuzynę. - Zerknęła na zegarek. - Lekarstwa będą mi potrzebne przed dwunastą więc proszę się pośpieszyć.

Odłożyła słuchawkę i przycupnęła na łóżku, skąd miała widok na drogę. Po kilku minutach mknął nią ciemnoniebieski samochód, wzniecając tumany kurzu. Nie zwracała uwagi na szaleńcze bicie serca. Zdjęła płaszcz z wieszaka i zeszła na dół.

Pomogła Sethowi włożyć cieplejsze okrycie i wyprowadziła wózek inwalidzki na dwór, w dół rampy, którą zbudowano na schodach. Oblała się zimnym potem. Słysząc jej płytki oddech, nie powstrzymał

się od komentarza:

- Starzejesz się, Aggie? Nie jesteś niezastąpiona. Tak, tak, Aggie, ostatnio dużo o tym myślałem. Wiesz, co zrobię? Wygnam cię na pastwisko. Albo tylko wygnam!-zarechotał złośliwie.

Agnes mocniej ścisnęła dłonie na metalowych rączkach. Kiedy dotarli do garażu, skręciła ku bocznemu wejściu.

- Co ty wyrabiasz, stara wariatko? Nie przepchniesz tej machiny! Wejdź sama, otwórz główne wejście i dopiero wtedy mnie wwieź!

Nie odzywała się, tylko uparcie przepychała fotel przez boczne drzwi. Ostrożnie mijała zaparkowane samochody.

- Głupia idiotko, łatwiej przesadzić mnie na tylne siedzenie na zewnątrz! - Dla podkreślenia swoich słów wskazywał palcem na dwór.

-Zamknij się, Seth. Zrobimy to tak, jak ja chcę. Będziesz się piekli do nocy czy mi pomożesz?

Zarzuciła sobie jego ramię na szyję i dźwignęła. Po chwili siedział w cadillacu.

- Złóż to cholerstwo i daj mi do tyłu, obok mnie - warknął. - Durna baba, wszystko robi na opak. -Wydobył z kieszeni cygaro, odgryzł czubek i zapalił. -Dalej, pośpiesz się, nie mamy na to całego dnia! - burknął, pykając cygaro.

Agnes udawała, że nie słyszy. Powoli, starannie zamknęła drzwi i usiadła za kierownicą. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik mruczał cicho.

- Poczekaj tu. Seth. Muszę skoczyć na chwilę do domu. Zaraz wracam.

- Ej, Aggie, wyłącz silnik albo chociaż otwórz duże drzwi, jeśli wychodzisz! -Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia, gdy zobaczył, że chowa do kieszeni automatycznego pilota do drzwi.

- Aggie, kazałem ci wyłączyć ten cholerny silnik!

- Zaraz wracam, Seth. Siedź cicho. Nie obchodzą mnie twoje rozkazy.

- Co ty opowiadasz! - ryknął. - Wyłącz ten przeklęty silnik albo otwórz drzwi! Co ty do cholery chcesz zrobić? - Rzucił się do przodu z niespodziewaną siłą i zręcznością, i złapał ją za włosy.

Wyrywała się, chciała się uwolnić. Chwytała ustami powietrze, przerażona jego energią. Przebierała nogami, szukając oparcia dla stóp. Seth potrząsał nią i szarpał w tył i w przód. Podczas szamotaniny Agnes

zawadziła łokciem o skrzynię biegów. Cadillac wyrwał do przodu, walnął w ścianę, zniszczył półki i stojące na nich pojemniki. Z zapasowego kanistra wyciekła kałuża benzyny.

- Patrz, co narobiłaś, ty głupia dziwko! Chcesz nas pozabijać! - zagrzmiał.

Te słowa otrzeźwiły Agnes błyskawicznie. Benzyna. Cygaro Setha. Wyłączyła silnik.

- Gdzie cygaro? Gdzie twoje cygaro - wrzasnęła. Wyskoczyła z samochodu, upadła na kolana. Szukała.

- Na Boga, Aggie, znajdź je. Wypadło mi, kiedy zaczęłaś histeryzować.

Zapach benzyny wypełnił jej nozdrza. Zajrzała pod samochód. O, jest! Wyciągnęła rękę po cygaro... spóźniła się o ułamek sekundy.

-Tym razem ci się udało, Aggie! -zagrzmiał Seth. Były to ostatnie słowa, jakie słyszała.

Pogrzeb był cichy i skromny. Ani Billie, ani Moss nie mieli sił na wystawne uroczystości. Amelia nie mogła uczestniczyć w ceremonii. Susan też nie. Maggie miała inne plany. Stawili się tylko Billie, Moss i Sawyer. Agnes pochowano na cmentarzu rodzinnym, niedaleko Jessiki. Seth, zgodnie z własnym życzeniem, spoczął w nie oznaczonym grobie na wzgórzu, obok Nessie, swojej starej klaczy. Na małym cmentarzu widniała tablica ku pamięci Rileya Setha Colemana. Nie znaleziono ciała. Na pogrzebie Agnes i Setha Billie po raz pierwszy zobaczyła marmurową płytę. Nie ukrywała łez. Moss wpatrywał się w dal suchymi oczami.

Rozdział szesnasty

Tak wiele rozstań, a ani razu się nie pożegnali. Riley, Seth, Agnes. Przez głupią dumę i uprzedzenia Moss stracił nawet wnuka, choć w niewielkim tylko stopniu mógł on zastąpić Rileya. Maggie i Susan los rzucił daleko od Sunbndge. Amelia... czas i odległość rozdzieliły brata i siostrę. A najbardziej bolesna, oprócz śmierci Rileya, była utrata Billie. Choć przed pogrzebem Setha rozwód nie został orzeczony, ona odeszła.

Mossa i Billie zbliżył jednak wspólny smutek. Błagał ją, by wróciła do Sunbridge, by dała ich związkowi jeszcze jedną szansę. Uległa, bo sama pragnęła stabilizacji i towarzystwa kogoś, kto cierpiał tak jak ona. Wstrzymano procedurę rozwodową. Próba uratowania małżeństwa, które rozpadło się dawno temu była trudna, żeby nie powiedzieć, niemożliwa, ale lojalność i wspomnienia sprowadziły Billie z powrotem.

Na początku wydawało się, że im się uda. Moss robił wszystko, by być takim mężem, o jakim zawsze marzyła. W bardzo ostrożnym, wyważonym liście doniosła Thadowi o swojej decyzji i wymieniła powody, dla których rezygnuje z rozwodu. Jego uwagę zwróciło tylko jedno zdanie: „potrzebujemy siebie nawzajem". Napisał, że życzy im wszystkiego najlepszego. Billie wiedziała, że nie mógł powiedzieć nic innego.

Zanim minęła pierwsza rocznica śmierci Rileya, Billie zdała sobie sprawę, że jej powrót do Sunbridge niczego nie zmienił. Moss snuł się po domu jak duch. Żona mu nie wystarczyła, ciągle opłakiwał syna. Odrzucał wszelkie odruchy przyjaźni, na drugie godziny zamykał się w gabinecie z pracą, butelką i wspomnieniami.

Rozwiązał Coleman Aviation; nie chciał przykładać ręki do budowania samolotów na zlecenie rządu. Twierdził, że Riley zginął wskutek tempa, jakie mu narzucono, w głębi duszy jednak wiedział, że to jego wina. W odpowiednim czasie nie postawił na swoim. To właśnie nie dawało mu spokoju. Wychodził z gabinetu ponury, załamany, z rozpaczą w oczach.

Billie krajało się serce na ten widok, ale nic nie mogła na to poradzić. Wspólne łoże niosło tylko chwilową ulgę. Moss wymierzał karę sobie i całemu otoczeniu.

Mimo to potrzebował jej. Tak więc, choć nie spełniały się jej marzenia, mieszkała w Sunbridge, za dnia malując w atelier, nocami drzemiąc w pustej sypialni na drugim piętrze opustoszałego domu.

Przychodziły takie dnie, że wydawało się jej, że zwariuje, jeśli zostanie tu dłużej. Ale przecież miała pewne zobowiązania wobec Mossa... i wobec przeszłości. I... tak, darzyła go pewnym uczuciem, ale nie była to miłość.

Listy lotnicze, długie rozmowy przez telefon, nie wypowiedziane pragnienia: to była jej miłość; Thad nią był. Wystarczy, by powiedziała

jedno słówko, a wróciłby do niej na skrzydłach. A tego właśnie nie powinna robić.

Zanim upłynęły dwa lata upewniła się, że Moss nie życzy sobie wcale, by dłużej mieszkała w Sunbridge. Miał teraz biuro w Nowym Jorku i czasami znikał z Teksasu na sześć tygodni i dłużej. Sawyer była w szkole z internatem. Dom straszył pustką.

Postanowiła więc wrócić do Austin. Tęskniła za miejskim życiem, za obecnością innych ludzi. Gdy zadzwoniła do Nowego Jorku, żeby zawiadomić Mossa, wyraził zdziwienie, że przez dwa lata utrzymywała mieszkanie. Na zakończenie powiedział: „będzie mi ciebie brakowało, Billie, ale tak chyba jest najlepiej".

Praca była jej zbawieniem. Producenci akceptowali większość jej projektów. Świadomość własnej wartości rosła wraz z popularnością.

Znajdowała coraz to nowych znajomych. Teraz nie wyobrażała sobie, jak mogła spędzać tyle czasu samotnie. Wydział sztuki uniwersytetu zaproponował jej prowadzenie zajęć; chcąc wykładać zasady wzornictwa, Billie sama musiała się dokształcić.

Kiedy potentat na rynku bielizny pościelowej i zastawy stołowej namówił ją, by specjalnie dla niego zaprojektowała kilka serii, konieczne stało się zatrudnienie asystentki. Judy Wood, młoda zdolna artystka, zaczęła pracować razem z nią. Wzory *Billie* odnosiły oszałamiający sukces. Nadszedł czas Billie Coleman.

Ona i Moss byli w separacji, za radą starego prawnika rodziny. Billie nie zależało już na prawnym rozwiązaniu ich małżeństwa. Nie widziała w tym sensu - i tak była wolna, duchem i ciałem. Być może gdzieś w głębi jej serca nadal tliła się nadzieja, że pewnego dnia wszystko się między nimi ułoży. Tak czy inaczej, nie miała sił, by rozcinać łączące ich więzy. Moss był i zawsze będzie częścią jej samej.

Rozdział siedemnasty

Billie ustawiła ostatnią kartę świąteczną na gzymsie nad kominkiem. Napis na jednej z nich przykuł jej uwagę:

WESOŁYCH ŚWIĄT I SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU 1979!

Ugięły się pod nią kolana, gdy uświadomiła sobie, że wkrótce

minie dziesięć lat, odkąd jej syn stracił życie gdzieś w Wietnamie. Jak przetrwała tyle czasu bez jego obecności, jego uśmiechu, jego miłości?

Często, częściej niż chciała się do tego przyznać, myślała, że Riley był tylko wypożyczony jej i Mossowi. Poczęła syna z premedytacją; było to wyrachowane działanie, by uratować małżeństwo, zapewnić sobie miłość Mossa, a nawet, o wstydzie, by umocnić jej i Agnes pozycję w Sunbridge. Może Riłeyowi nie dane było żyć, może to ona jakimś cudem zmusiła los, by dał jej syna.

- Billie? Kochanie, co się stało? - głos Thada wyrwał ją z zadumy. Tego roku po raz pierwszy spędzą święta w Austin, nie bacząc na opinię innych. Do tej pory spotykali się gdzie indziej.

- Zauważyłam ten napis i dotarło do mnie, że niedługo minie dziesiąta rocznica śmierci Rileya. To śmieszne, bo nie pamiętam dnia, w którym Maggie i Susan wyprowadziły się z domu. Muszę też sobie przypominać datę śmierci mamy i Setha. Tylko Riley...

Thad objął ją serdecznie. Ufnie oparła głowę na jego ramieniu.

- To normalne, Billie - pocieszał ją. - Riley był twoim synem. Straciłaś go. Seth i Agnes mieli już swoje lata. Twoje córki żyją. Rozmawiasz z nimi, widujesz je. Tęsknisz za tym, kogo nie możesz mieć. Nie rozumiesz?

- Rozumiem, ale tutaj - uderzyła się w pierś - czuję coś innego... Wiesz co, zróbmy sobie drinka. Rozklejam się, a nie chcę zepsuć ci świąt.

Pocałował ją w policzek i wypuścił z ramion. Nalewając alkohol wspominał, ile razy w ciągu minionych lat prosił Otami o zwolnienie z obietnicy. Billie powinna wiedzieć, że Riley zostawił syna; czerpałaby pociechę kochając go i rozpieszczając. Jednak Otami uparcie trwała przy swoim. Nie pomagały tłumaczenia Thada, że Billie nie ma pojęcia, iż ma wnuka.

Przecież Moss nikomu nie opowiedział o swojej podróży do Japonii. Thad błagał, by zmieniła zdanie. Ale Otami uważała, że jej obowiązkiem jest spełniać życzenia zmarłego męża.

A gdyby złamał obietnicę i powiedział teraz, po tylu latach milczenia? Czy znienawidzi go za to, że tak długo zatrzymywał tę wiadomość dla siebie? Czy zrozumie jego lojalność wobec Riłeya i Otami? Potrząsnął głową. Nie będzie ryzykował. Nie chce utracić Billie po tylu latach czekania.

Przytuliła się do niego. Leżeli przy kominku, bez słów obserwowali taniec płomieni. Thad bawił się jej włosami, muskał palcami wrażliwą skórę na karku. Wkrótce ją pocałuje, czule, namiętnie. Niedługo udowodnią sobie siłę swojej miłości.

Jakby umiał czytać w myślach, przysunął się bliżej, przytknął usta do jej ucha.

- Billie Colerńan, jesteś wspaniałą kochanką- szepnął uwodzicielsko.

- Kochanką? Lubię to słowo, lubię jego znaczenie. Ale czasami nie mogę uwierzyć, że odnosi się do mnie. Zawsze mówiłam tak o innych kobietach.

Przypuszczał, że chodziło jej o Alice Forbes.

- Jesteś moją kochanką, Billie. Mamy wiele wspólnego, choć przez większą część roku mieszkamy osobno.

Westchnęła cicho.

- Wiem, wiem. Coraz częściej zastanawiam się, jakim cudem jesteś taki wyrozumiały i cierpliwy.

- To proste. Kocham cię. Zawsze cię kochałem. Miała łzy w oczach.

- Nawet dla osoby w moim wieku te słowa mają wielkie znaczenie. - Uśmiechnęła się z trudem. - Wiesz, Moss nigdy mi tego nie powiedział. Mówiłam mu, że go kocham, a on po prostu odpowiadał „wiem o tym", jakby moja miłość do niego była czymś oczywistym, co mu się należało. Takie proste słowa, a tak wiele znaczą. - Przytuliła się do niego. - Kocham cię, Thad, i pragnę.

Zamknął jej usta pocałunkiem. Zawsze wzruszały go jej wyznania. Nigdy nie będzie miał jej dosyć, ciągle odnawiał rytuał ich miłości. Oddawała mu się ochoczo. Pasowali do siebie idealnie, brali i dawali jednocześnie. Niemal czuł, jak drży w oczekiwaniu na jego pieszczoty. Przywarła do niego, gdy wsunął dłoń między jej uda.

- Uwielbiam, jak mnie dotykasz - wyszeptała ochrypłym szeptem.

Miała wspaniałe ciało i gorący temperament, ale dla niego najważniejsze było ufne, radosne spojrzenie jej oczu, Billie, jego piękna, ukochana Billie.

Leżeli zmęczeni miłością, rozgrzani ogniem na kominku. Dla niego była równie piękna jak przed laty, na Diamond Head. Może nawet piękniejsza, poprawił się po chwili, bo teraz on budził blask w jej

oczach.

- Jesteś fantastyczną kochanką, Billie - mruknął. - Nie chcę się z tobą rozstawać. Pragnę spędzić u twego boku resztę życia.

Pocałowała go czule. Szkoda, że życie nie jest takie proste, pomyślała. Kocham ciebie, ty kochasz mnie i wszystko w porządku. Tymczasem blizny na sercu przypominały, że wcale tak nie jest. Życie bywa okrutne i gorzkie, daje szczęście i je odbiera. Nie wiadomo, czy to dojrzałość czy doświadczenie, w każdym razie Billie nauczyła się już dawno temu, że nawet za najdrobniejszą radość przyjdzie kiedyś zapłacić.

Z uśmiechem na ustach zmywała ostatnie naczynia po śniadaniu. Thad wymamrotał coś niewyraźnie i wyszedł wczesnym rankiem. Co prawda wspominał, że spróbuje zdobyć gdzieś prawdziwy świąteczny pudding śliwkowy, ale Billie wiedziała, że w rzeczywistości wyruszył na gwiazdkowe zakupy. Wróci obładowany paczkami, które bezskutecznie będzie usiłował dyskretnie upchnąć pod choinką.

Usłyszawszy dzwonek, wytarła ręce i pobiegła do saloniku odebrać telefon. Judy Wood, asystentka, życzyła jej wesołych świąt i zapewniała, że pracownia z powodzeniem obejdzie się bez niej do końca grudnia.

Usiadła przy biurku. Uśmiechnęła się do fotografii wnuczki. Na zdjęciu Sawyer dumnie siedziała na swoim koniu, Menghisie. Wieczorem zje z nimi świąteczną kolację. Billie nie mogła się już doczekać jej opowieści o college'u.

„Pozdrów rodzinę", powiedziała Judy na pożegnanie. Jej rodzinę stanowili Thad i Sawyer. Córki odrzuciły zaproszenia. Zdawała sobie sprawę, że dla Susan i Jerome'a, jej męża, podróż z Europy byłaby niemożliwa, zwłaszcza że w tym czasie koncertowali. Nie mogła natomiast zrozumieć, dlaczego nawet po tylu latach Maggie nie chciała uczestniczyć w życiu rodziców. Billie nie była ślepa, widziała, jak Maggie drażni stosunek Mossa do jej rodziny: męża Cranstona Tannera, i syna, Colemana Tannera. Nic dziwnego; nawet Billie nie posiadała się ze zdumienia, że Moss tak obojętnie przyjął wiadomość o narodzinach wnuka. Ograniczał się do przesyłania chłopcu pokaźnych czeków na urodziny i święta. Nie miała córce za złe, że jest dotknięta. Na dodatek Moss i Cranston, bogaty, znany prawnik, skakali sobie do oczu, ilekroć znaleźli się w tym samym pomieszczeniu. W tym roku Billie spędzi

pierwsze spokojne święta, bez awantur i napiętej atmosfery.

Dzwonek wyrwał ją z zadumy. Myśląc, że to Thad, pobiegła do przedpokoju i wcisnęła guzik domofonu. Dwie minuty później otworzyła drzwi, gotowa rzucić mu się na szyję. Tylko że to nie był Thad.

- Paul McDermott! Jak miło, że wpadłeś,

- Cześć, Billie...

- Wchodź! Zrobię ci kawy. Chyba przemarzłeś do szpiku kości.

- Och, dziękuję... Czy przyszedłem nie w porę?

Machinalnie wypełniała rolę gospodyni, choć w głowie miała zamęt. Nigdy nie była w zażyłych stosunkach z domowym lekarzem Colemanów.

- Nie, skądże... Paul, nie pamiętam nawet, kiedy cię ostatnio widziałam. Chyba tuż przed wypadkiem w garażu? - McDermott zajmował się Sethem.

- Coś koło tego. Nie miałem na dzisiaj umówionych żadnych pacjentów, więc pomyślałem sobie, że do ciebie wpadnę. Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

Wziął od niej kubek gorącej kawy, upił mały łyk i odstawił na stół.

- Billie, powinnaś o czymś wiedzieć. Wiem, że ty i Moss nie... nie mieszkacie razem, ale i tak musiałem do ciebie przyjść. Nie uważam, że naruszam zasadą tajemnicy lekarskiej mówiąc ci o tym, bo Moss nie zabronił mi. - Mówił nieskładnie, jowialną twarz wykrzywiał smutek. - Billie, to są ostatnie święta Mossa. On umiera. Białaczka. Odmawia leczenia. Zajrzałem dzisiaj do niego do Sunbridge. Powinien iść do szpitala, ale nie chce o tym słyszeć. Czy jest szansa, byście doszli do porozumienia? Jesteś mu potrzebna, Billie!

Z wrażenia otworzyła usta. Świat usuwał się jej spod nóg, ledwo utrzymywała kubek drżącymi rękoma. Słyszała jego słowa, przyjęła je do wiadomości, a teraz każda cząsteczka jej istoty starała się im zaprzeczyć. Minęła długa chwila. Wszystko w niej burzyło się przeciw tej zdradzie. To śmieszne, ale tak właśnie się czuła: zdradzona. W życiu nieraz zasmakowała tego uczucia: Agnes, Seth, Moss, Maggie, nawet, w pewnym sensie, Riley; wszyscy ją zdradzili.

- Od... od jak dawna Moss wie? - wykrztusiła w końcu. - Mówiłeś, że nie chce się poddać leczeniu. Chyba zdaje sobie sprawę, jak poważnie jest chory?

Nie mogła się z tym pogodzić. Wiedział, ale nie wspomniał ani słowem. Paul McDermott podziwiał jej opanowanie. Darzył tę cichą i nieśmiałąkobietę głębokim szacunkiem.

- Od pół roku. Skarżył się na różne dolegliwości. Testy potwierdziły moją diagnozę. Dopiero niedawno się dowiedziałem, że zataił to przed tobą. Zbyt długo mieszkał sam. Ostatnio pracuje ponad siły. Wiem, zawsze tak było, ale teraz przekracza wszelkie granice. Chyba nadal nie może się pozbierać po śmierci Rileya. Twierdzi, że musi skończyć to, co zaczął, i że to bardzo ważne. Szpital, kroplówki, zabiegi, lekarstwa mu na to nie pozwolą, tak przynajmniej twierdzi. Nie wiadomo dlaczego, wierzę mu. Widziałem ludzi bojących się szpitala i lekarzy, ale Moss do nich nie należy. To tak, jakby pogodził się z losem, chce tylko doprowadzić do końca rozpoczętą pracę.

- Tak, to do niego podobne. Myślisz, że zdąży? Z tą pracą, mam na myśli. Wzruszyłramionami.

- Nie mam pojęcia, nad czym pracuje, a jeśli pytasz mnie, ile czasu mu zostało... - urwał. - Trzy miesiące, pół roku, rok? Nie wiem, Billie. Nikt tego nie wie.

- Paul, jak mam dać mu do zrozumienia, że wiem? -miała oschły, szorstki głos.

- Nie wiem. Długo z nim rozmawiałem. Chwilami odnosiłem wrażenie, że sam ci powie, ale tylko chwilami. Dlatego zrobiłem to osobiście. W tym momencie nie wiem, czego on chce. Pomyślałem, że ty poradzisz sobie najlepiej w tej sytuacji. Tak, Billie?

Skinęła głową.

- Tak. - Dopiero po chwili powtórzyła z większą pewnością siebie: - Tak. Poradzę sobie. Na pewno było mu bardzo ciężko. Chyba czuł się bardzo samotny.

- On jest bardzo samotny, Billie. Na szczęście wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. - McDermottowi spadł kamień z serca. Znał Mossa od dawna. Lubił go, choć z zasady traktował pacjentów obojętnie.

Billie siedziała bez ruchu. Po kilku minutach ocknęła się z zadumy.

- Idź do domu, Paul. Mamy Gwiazdkę, rodzina na ciebie czeka. Rodzina. Matka i ojciec. Mąż i żona. Dzieci. Wnuki. Rodzina.

Po powrocie z naprędce zaimprowizowanej wyprawy po zakupy, Thad zastał Billie wpatrzoną w wygasły kominek. Siedziała nieruchomo, wyglądała jakby zasnęła, ale przeczyła temu nienaturalna

sztywność ramion. Przeraził się, zobaczywszy, jaka jest blada.

- Billie? - Rzucił paczki na kanapę. - Billie, co się stało? - Powoli wpadał w panikę, narastało w nim koszmarne przeczucie.

Nie patrzyła mu w oczy. Nie chciała widzieć siwizny na skroniach, dowodu na to, ile czasu upłynęło, odkąd wyznał jej miłość. Zmarnowali tyle lat. Nie mogła się przemóc, by powiedzieć mu o Mossie i zawiadomić o swojej decyzji, która złamie mu serce.

Przykucnął koło niej, wziął ją w ramiona.

- Myślisz o Rileyu? - zapytał cicho, głosem pełnym współczucia. Potrząsnęła głową.

- Nie. Myślę o Mossie. - Odwróciła się gwałtownie, przytuliła do niego. -Kochany, muszę ci coś powiedzieć. Pamiętaj, że cię kocham. Nie wolno ci w to zwątpić. Musisz we mnie wierzyć.

Jego niepokój wzrastał. Wziął ją w ramiona, mając przeczucie, że obejmuje ją po raz ostatni. Opowiedziała o wizycie Paula McDermotta. Z każdym jej słowem tracił nadzieję. Był zły, że kocha jątak bardzo, że nie może na nią krzyczeć, kłócić się, uderzyć jej nawet, by jej uświadomić, jaką krzywdę wyrządza jemu i ich miłości.

- Nie wiem, czy mnie zechce - zakończyła. - Ale wiem, że muszę spróbować. Rozumiesz, Thad?

Ukrył twarz w jej włosach, wdychał delikatny zapach.

- Mogę tylko próbować zrozumieć. Tak, do cholery, rozumiem, choć nie chcę! Nie chcę się tobą znów dzielić! Chcę cię mieć tylko dla siebie, Billie. Cholera, i tak czekałem zbyt długo! Nie mam siły czekać dłużej! - Zdenerwowany, wypuścił ją z objęć. Szybkim, nerwowym krokiem spacerował po pokoju. Co chwila nerwowo wichrzył włosy palcami.

- Billie, nie patrz tak na mnie. Owszem jestem zły... do diabła, jestem wściekły! W tej chwili mógłbym cię znienawidzić. Prosisz, bym znów okazał się szlachetny, a ja nie mam na to ochoty. Żałuję, że przyjaźniłem się z Mossem, że kochałem go jak brata. Wolałbym, żeby już nie żył. Kocham cię, do cholery, a ty się ode mnie odsuwasz!

Podbiegła do niego, mimo jego oporu otoczyła ramionami, pocieszała najlepiej, jak umiała. Nie powiedział nic innego, czego sama nie powtarzała sobie czekając na jego powrót. Padły wszystkie gorzkie, okrutne słowa. Rozluźnił się, przytulił ją do siebie. Stali tak przez dłuższą chwilę, zanim Thad nie podszedł do drzwi. Billie stłumiła

płacz. Odchodzi, a ona zostaje ze złamanym sercem. Chciała go błagać, by jej nie opuszczał, ani teraz, ani nigdy.

Zatrzymał się o krok od drzwi. Spojrzał na biurko, jego wzrok przyciągnęło zdjęcie Sawyer. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Czekał długo, zanim ktoś się zgłosił.

- Halo? Moss? Thad z tej strony. Słuchaj, udało mi się wyrwać do Teksasu na prawdziwe domowe święta w starym stylu. Wpadłem na chwilę do Billie i razem wyobrażaliśmy sobie, jak pięknie teraz jest w Sunbridge. Ubrałeś już choinkę?... Nie? W takim razie przyjedziemy i zrobimy to za ciebie!

Billie osunęła się na kanapę. Ukryła twarz w dłoniach. Thad. Najdroższy Thad.

- Tak, Sawyer przyjedzie do Billie, dzisiaj po południu... chwileczkę, zapytam ją. - Zakrył mikrofon dłonią: - Jego szofer jest w mieście. Jeśli chcemy, odbierze Sawyer na lotnisku. Chyba się cieszy, że przyjedziemy. Możemy wyjechać od razu albo poczekać na Sawyer.

Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy, więc powiedziała tylko:

- Niech Ephraim odbierze Sawyer. Jeśli Moss chce, będziemy w Sunbridge za godzinę. Poproś, żeby włączyli ogrzewanie w atelier.

No, proszę. To takie proste. Kto powiedział, że do domu nie można wrócić?

Szofer otworzył drzwiczki limuzyny i Sawyer Coleman od razu pobiegła do atelier Billie. Chichocząc jak mała dziewczynka, lepiła po drodze śnieżne kule i celowała nimi w kierowcę. Paczki z prezentami poniewierały się na trawniku. Zebrała je i niedbale wrzuciła do torby.

- Ephraim, mamy Boże Narodzenie! Uśmiechnij się! - zażartowała. Pewnie on uważa, że w wieku dwudziestu jeden lat powinna być bardziej dojrzała, poważna. Ha! Cóż, babcia nie będzie miała nic przeciwko porządnej walce na kule śnieżne.

- Babciu! Wróciłam! Wesołych świąt!

-Sawyer! Martwiłam się już o ciebie! Czy samolot miał opóźnienie?

- Szalała burza. Babciu, wyglądasz wspaniale. Założę się, że dostałaś nowe zamówienia. Ale dlaczego masz takie smutne oczy? Zawsze powtarzasz, że prawdziwa radość ujawnia się w oczach. Chcę wiedzieć wszystko.

Billie parsknęła śmiechem.

- I dowiesz się. W odpowiednim czasie. Znowu wyładniałaś. To chyba wpływ tych wszystkich fasolek i marchewek, które wmuszałam w ciebie, kiedy byłaś malutka.

Sawyer spojrzała na kierowcę.

- Dziękuję, Ephraim. Przepraszam, że cię obsypałam śniegiem. Po prostu cieszę się z powrotu do domu. Fakt, że jestem w Sunbridge przypomina mi dzieciństwo. Postąpiłam niełądnie wobec ciebie. Proszę, wybacz.

Billie patrzyła, jak na posępnej twarzy szofera pojawia się uśmiech. Oto cała Sawyer, przekorna, wzruszy choćby kamień. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, zapytała wnuczkę, za co go tak przepraszała.

- Miałam ochotę na wojnę na śnieżki - zachichotała Sawyer w odpowiedzi. -Co ty na to, babciu?

- Czemu nie? Poczekaj, muszę się ubrać. - Dzięki wnuczce odzyskiwała dobry humor. Dzięki niej prawie zapomniała. Prawie...

Billie zatrzymała się w korytarzu i obrzuciła ją uważnym spojrzeniem. Sawyer była wysoka i szczupła. Miodowe włosy spływały na ramiona miękkimi falami. Nagle zobaczyła w niej małą dziewczynkę w niebieskiej kurteczce wykończonej białym futerkiem. Czy zawsze będzie wspominać tamte lata?

- Nie wiem, co jest bardziej niebieskie - stwierdziła. - Twoje oczy czy twoja kurtka?

Sawyer puściła komplement mimo uszu:

- Zdałam wszystkie egzaminy przed sesją. Jestem czwarta na liście najlepszych studentów. Niedługo zostanę dyplomowanym inżynierem lotnictwa. Co ty na to?

- To wspaniale... Sawyer, chciałabym, żebyś porozmawiała z dziadkiem. Musi dowiedzieć się o twoich sukcesach. To dla niego bardzo ważne.

Dziewczyna spoważniała. Więc taka jest przyczyna smutku w oczach babki. Powinna była się domyślić.

- Spróbuję. Mamy wiele wspólnych tematów, ale jego to nie obchodzi.

- Teraz będzie inaczej. Niecierpliwie wyglądał twojego przyjazdu. Musisz go skłonić do mówienia. Wszystkie sztuczki są dozwolone.

- Dobrze, dobrze. Czemu się tak denerwujesz? Chodź, walka na

śnieżki, to akurat to, co nam pomoże się odprężyć!

Billie miała wrażenie, że szalały w białym krajobrazie co najmniej kilka godzin. Obrzucały się kulami, nacierały śniegiem, przewracały, piszczały i krzyczały, aż zabrakło im tchu.

Thad przesunął czapkę na tył głowy i obserwował je ze wzgórza.

- Hej, nie przydałoby się wam dodatkowe ciało do celowania? - zawołał.

- Thad! - Jej radość to więcej, niż był w stanie znieść, zwłaszcza po trudnych godzinach spędzonych z Mossem.

- Wujek Thad!

Jaki ona ma piękny głos, zupełnie taki sam jak Billie, gdy była w jej wieku.

- No więc?

- Jeśli się łudzisz, że nas pokonasz, chodź! - zawołała radośnie Sawyer. Wystarczyło pół godziny, by granatowy mundur Thada stał się biały. Czarne buty oblepiał śnieg. Thad narzekał, że odmroził sobie uszy i stopy. -A teraz okrzyk na cześć kobiet! - zadecydowała Sawyer.

- Huraaaa! - wychrypiał. - Możemy iść do domu?

- Już? A ja się dopiero rozgrzałam - zażartowała Billie. - Mogłabym tu zostać przez co najmniej... dwie minuty. Masz dosyć, Sawyer?

- Taaak. Jestem głodna. Może zadzwonimy po dziadka, żeby przyszedł coś z nami przekąsić?

- Zadzwoń. - Billie nadaremnie usiłowała otrzepać kurtkę ze śniegu. - Albo, jeszcze lepiej, skoro tak lubisz zimno, skocz do domu i zaproś go osobiście. -Zerknęła na Thada, szukając aprobaty.

- Zrób to, Sawyer. Byłem u niego niedawno. Miał zamiar znowu zamknąć się w gabinecie. Spróbuj go stamtąd wyciągnąć.

Billie i Thad poszli do atelier. Wzięła go pod rękę.

- To będą wspaniałe święta. Nie wiem, czy Moss tego chce, ja w każdym razie zrobię wszystko, co w mojej mocy. Nie ja: my.

Zmarszczył brwi.

- Spędziłem z nim bite dwie godziny, a nie napomknął o chorobie nawet jednym słowem, ciągle tylko wspominaliśmy stare dobre czasy. Jeśli o nas wie, Billie, nie zdradził się z tym. Coś mi mówi, że cieszy go towarzystwo na święta.

Zatrzymała się, by spojrzeć mu w oczy.

- Czy mówiłam ci już, że jesteś wspaniały?-zapytała miękko,

wpatrzona w niego.

- Ty także jesteś wspaniała. I bardzo cię kocham. - Jej uwagi nie uszło drżenie jego głosu i podejrzanie lśniące oczy. Udała, że niczego nie widzi.

- Dobrze, że jeszcze nie zabrałeś walizki do głównego budynku. Możesz się przebrać w atelier. Ja pójdę do mojego pokoju, a ty do sypialni.

Akurat rozpalali ogień na kominku, kiedy do atelier wpadła Sawyer.

- Czas na grzane wino! - zawołała radośnie, biegnąc do kuchni. - Dziadek już jadł, ale obiecał, że przyjdzie na drinka. Będziemy wszyscy razem, czy to nie wspaniale?

- Tak,

- Prawie jakbyśmy byli rodziną. - Sawyer roześmiała się pogodnie.

Jeśli istnieje słowo, którego Billie serdecznie nienawidzi, jest to właśnie „prawie". Pod wieloma względami stanowiło podsumowanie jej życia. Wszystko było „prawie". Prawie zamężna. Prawie rozwiedziona. Prawie kochana. Moss jest prawie martwy. Boże, jak nie znosi tego słowa.

- Idę się rozpakować i wysuszyć moje prezenty - oznajmiła Sawyer. - Nie masz nic przeciwko temu, prawda, babciu?

- Nie, skądże, idź. Ja i Thad posiedzimy sobie przy ogniu i będziemy się nawzajem przekonywali, jak doskonale nam zrobiło to śnieżne szaleństwo.

- Mów za siebie, kobieto - zażartował Thad. - Twierdzisz, że wytrzymałabyś tam jeszcze dwie minuty! Co to jest! Ja zniósłbym nawet trzy!

- Zdradzę wam sekret. - Sawyer cofnęła się z korytarza. - Zwariowałabym, gdybym została na dworze choćby minutę dłużej!

- Co mam robić? Żartobliwy ton Thada zniknął bez śladu, gdy tylko Sawyer zamknęła za sobą drzwi.

- Daj mu do zrozumienia, że może na ciebie liczyć. Że nadal jesteś jego przyjacielem.

- Moss miał nigdy nie umrzeć - szepnął zduszonym głosem.

- Tak. Wszyscy tak myśleliśmy. Moss nigdy nie zdawał sobie sprawy z własnej śmiertelności. Nawet dziś nie jestem do końca przekonana, że wie, co się dzieje. Dlaczego? - zapytała przez łzy.

- Nadszedł jego czas. To czeka nas wszystkich.

- Nas, tak. Massa? Nie. Nie mogę się z tym pogodzić. Obym tylko właściwie postępowała, mówiła to, co trzeba.

Cierpiał wraz z nią. Zastanawiał się, jakby już było po wszystkim. Musimy pogodzić się z losem, bo nie jesteśmy w stanie niczego zrobić.

- Nigdy nie stanął na nogi po śmierci Rileya. Śmierć Setna tylko pogorszyła jego stan. Wtedy sprzedał Coleman Aviation i poświęcił się samolotowi marzeń, jak ja to nazywam. Pracuje nad tym od lat. I ciągle obwinia się o śmierć Rileya. Pamiętam, jak wrócił z Japonii niedługo po tym, jak nasz syn zginął. Często się zastanawiałam, po co tam pojechał - żeby zobaczyć się z tobą? Nigdy nie pytałam, bo uznawałam to za waszą prywatną sprawę. Czy teraz możesz mi powiedzieć, co mówił, jak się czuł i po co jechał taki kawał świata?

Thad nie wiedział, co robić. Obawiał się, że pewnego dnia dojdzie do podobnej rozmowy. Nie znaczy to, że był na nią przygotowany. Skłamać? A może powiedzieć prawdę? Sam nie wiedział, co gorsze. Billie czekała na odpowiedź.

- Szukał pocieszenia. Otuchy, jaką tylko mężczyzna może dać mężczyźnie. Czy wyczuła kłamstwo?

Billie przyglądała mu się uważnie. Nie mówił prawdy, ale nie będzie go teraz męczyła. Kiedyś, później...

Po mało wyszukanym posiłku, na który składała się zupa z puszki i grzanki z serem, Billie, Sawyer i Thad usadowili się przy kominku. Kolędy z radia wnosiły świąteczny nastrój. Ktoś cicho zapukał do drzwi i po chwili do pokoju wszedł Moss. Niewiele się zmienił, tylko na skroniach przybyło mu siwych włosów. Pierwszy niezręczny moment minął niezauważony dzięki Sawyer, która zerwała się na równe nogi i schowała ręce za plecami.

- Nie patrz, dziadku. Szykuję dla ciebie prezent, a jeszcze nie jest gotowy. Zamknij oczy. Schowam go w moim pokoju.

Thad i Billie jednocześnie parsknęli śmiechem,

- Co was tak bawi? - zdziwił się Moss.

- Widzieliśmy, co dla ciebie robi. Pamiętaj, że liczą się dobre chęci. Sawyer, jakby to powiedzieć, nie najlepiej radzi sobie z robótkami ręcznymi.

- Wszystko słyszałam! - zawołała oburzona. - Za to robię pyszne grzane wino. Może szklaneczkę, dziadku?

- Tak. Po spacerze na mrozie nie odmówię. Słuchaj, Sawyer, miałabyś ochotę zajrzeć do mnie do gabinetu jutro rano? Chciałbym ci coś pokazać.

- Będę o świcie, dziadku. Od lat chciałam spenetrować twoją samotnię!

Jej słowa najwyraźniej sprawiły mu przyjemność. Uśmiechnął się wesoło.

- Babcia mówiła, że masz doskonałe stopnie. Jestem z ciebie dumny, Sawyer. Wyznam szczerze, iż nie sądziłem, że sobie poradzisz. Projektowanie samolotów to nie praca dla kobiet.

- Nie jestem zwykłą kobietą, dziadku. Jestem jedną z Colemanów.

- Tak. I jestem z tego dumny.

Sawyer spontanicznie rzuciła mu się na szyję.

- Długo czekałam na te słowa. Robiłam, co mogłam, żeby je usłyszeć.

- I się doczekałaś. Dobrze, porozmawiamy rano. Teraz niech twoja babcia opowie mi o swojej karierze. - Spojrzał na Billie. Czy to możliwe, by w jego oczach krył się żal? - Wyobraź sobie, moja gospodyni wybrała się po zakupy. Wróciła z naręczem pościeli, oczywiście ozdobionej twoim podpisem. Boże drogi, pagody i kwiaty... Kiedy zacząłem narzekać, zapytała, co wolę: myszkę Miki czy kaczora Donalda.

Po przyjemnym wieczorze pełnym żartów i wspomnień Moss oświadczył, że wraca do siebie, skoro ma wstać rano i spotkać się z Sawyer.

- Nie bój się, dziadku, nie budzę się z kurami. Powiedzmy, o dziesiątej?

- Świetnie. Damy czadu. Czy nie tak mówicie wy, młodzi?

- Właśnie tak, dziadku. - Sawyer roześmiała się głośno.

- No to świetnie. Widzimy się rano. A teraz wybaczcie, ale czeka na mnie jeszcze trochę pracy. Thad, jest coś, co chciałbym ci pokazać. Mógłbyś pójść ze mną?

- W każdej chwili.

Wyszli. Sawyer podbiegła do babki i objęła ją mocno.

- Słyszałaś to? Nie wierzę własnym uszom. Nie kłamał, prawda? Billie z trudem przełknęła ślinę.

-Tak... tak, słyszałam. To wspaniałe.

- Pokaże mi samolot swoich marzeń, jak myślisz?

- Nie próbuj rozgryźć dziadka. Już, już wydaje ci się, że go masz, a on zaraz zrobi coś wręcz przeciwnego.

- Nadal go kochasz, prawda, babciu?

Zapytała tak nieoczekiwanie, tak miękko, że Billie odpowiedziała bez namysłu:

- Zawsze będę go kochała. - To prawda. Pewna jej cząstka zawsze będzie darzyła uczuciem mężczyznę, którego poślubiła. Nie znaczy to jednak, że nie może kochać nikogo więcej, że nie dane jej będzie doświadczyć radości brania i dawania. Takie spokojne, pełne uczucie przychodzi z wiekiem.

- Kocham dziadka, odkąd pamiętam - wyznała Sawyer. - Był dla mnie bardzo ważny. Wiem, że nie obchodziliśmy go my, dziewczęta. Riley był jego życiem. Właśnie Riley próbował mi to kiedyś wytłumaczyć. Zrozumiałam, co miał na myśli dopiero teraz. To nie tak, że dziadek nie kochał mojej mamy, ciotki Susan czy mnie. Po prostu zawsze myślał w kategoriach dziedziczenia, dlatego tak bardzo kochał Rileya. Nie wyobrażał sobie, że któraś z nas mogłaby się przyczynić do rozwoju Sunbridge, jego świata. Bo o to chodzi, babciu, o wkład. Dziadek Seth mawiał, że miejsce kobiety jest w domu, gdzie ma się opiekować mężczyzną. Jest w tym pewne piękno. Nie przeczę, że mężczyźni są silniejsi, przynajmniej fizycznie. Ale tak naprawdę to my jesteśmy wytrzymalsze. Pomyśl, jak ty uporałaś się ze śmiercią Rileya. I babci. Cierpiałaś, ale się nie załamałaś. Żyłaś dalej, znalazłaś swoje miejsce w świecie mimo tego, co się tu działo. Nocami słyszałam, jak płaczesz, kiedy dziadek sprawił ci przykrość. Babciu, wujek Thad cię kocha, wiesz o tym?

To zupełnie w stylu Sawyer; mówić o jednym, by nagle przeskoczyć na zupełnie coś innego.

- Wiem - odparła Billie. - To wspaniały człowiek. Był moim najlepszym przyjacielem. Nie wiem, jak bym sobie bez niego poradziła. Jestem mu za to wdzięczna.

- Wdzięczność to jedno, miłość to drugie. Jeśli tego chcesz, nie wahaj się... zrób pierwszy krok.

- Może kiedyś, w odpowiednim czasie... Czy to nie za poważna rozmowa na taką późną godzinę?

- Dobrze. W takim razie powiedz, co mam robić. Jestem do twojej

dyspozycji do końca stycznia.

- Święta muszą być wyjątkowe. Trzeba sprowadzić i udekorować choinkę. I zakupy... Słuchaj, żadnej z nas nie chce się spać. Bierzmy się do roboty. Sporządzimy listy tego, co jeszcze trzeba zrobić.

Kończyły drugi dzbanek gorącej czekolady, kiedy zadzwonił telefon. Spojrzały po sobie niepewnie.

- Odbierz - poleciła Billie. Kto może dzwonić do atelier za kwadrans szósta rano?

- Pewnie, że nie śpię. Kto by spał? - rzuciła Sawyer radośnie do słuchawki. -Będę za dwie minuty.

- To dziadek. Czeka na mnie - poinformowała uśmiechniętą Billie i wybiegła jak na skrzydłach.

Przed gabinetem dziadka Sawyer oblizała usta, uszczypnęła się w policzki i odrzuciła włosy do tyłu. Trzymała kciuki, pukając do drzwi..

- Wchodź. Mówiłaś, że będziesz za dwie minuty. Minęły...

-... trzy. Zgubiłam but w śniegu - na dowód uniosła nogę w przemoczonej skarpetce.

Moss się uśmiechnął.

- Podoba mi się, że drobne przeszkody nie są w stanie cię powstrzymać. Zdejmuj skarpety i siadaj tutaj przy kaloryferze.

Posłuchała go. Wygłodniałym wzrokiem pochłaniała pokój, do którego tak długo nie miała wstępu. Podobało jej się wszystko, każdy szkic, każdy skrawek papieru, każdy ołówek.

- Mogę się rozejrzeć? - Moss skinął głową. Obserwował, jak chodzi od ściany do ściany, by w końcu zatrzymać się przed deską kreślarską.

- Skończony? - zapytała ze czcią.

- Prawie.

- Kiedy?

- Nie wiem. Pracuję nad nim dniami i nocami. Po prostu nie wiem.

- Masz jakiś termin?

- Osobisty - odparł krótko.

- Jak mogę ci pomóc?

- Jeszcze nie wiem. Usiądźmy i pogadajmy.

Rozdział osiemnasty

Dochodziło południe, kiedy Thad wszedł do gabinetu Mossa. Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu na widok Mossa, który rozsiadł się w fotelu, i Sawyer przycupniętej na krześle. Miała but tylko na jednej nodze. Oboje byli całkowicie pochłonięci rozmową. Thad po cichutku przymknął drzwi. Włożył ciepłe ubranie i pobiegł szybko do Billie, aby jej o tym opowiedzieć.

- Moje modlitwy zostały wysłuchane - skomentowała radośnie. - Ale to znaczy, że wszystko jest na mojej głowie. - Pokazała mu listę rzeczy, które należy załatwić.-Dziś rano Sawyer miała zająć się choinką.

Thad pobieżnie przejrzał listę.

- A może zrobimy to razem?-zaproponował. -Zetniemy drzewko, ubierzemy je.

- Och, Thad, to świetny pomysł! Moglibyśmy wziąć sanie! Stoją w dużej szopie, Seth trzymał je na wypadek wielkich zamieci. Pewnie zardzewiały, ale jeśli je nasmarujemy... Co ty na to?

- Doskonale. W dużej szopie, mówiłaś? Skinęłagłową.

- Idę po piłę i sznur. Ubierz się ciepło. Wygląda na to, że znowu spadnie śnieg. Kiedy wyszukiwali choinkę, ogarnął ich jakiś specjalny, odświętny nastrój.

Billie rozkoszowała się każdą minutą sanny. Tuliła się do Thada pod grubym pledem. Kochany Thad. Co by bez niego zrobiła? Potrzebowała go, zwłaszcza teraz, gdy tak łatwo można ją było zranić.

- Co powiesz na tamtą jodłę? - zaproponował.

- Ładna. Ty jesteś drwalem, ostateczna decyzja należy do ciebie. - Wyskoczyła z sań.

- Kiedy powiem, masz ciągnąć linę, którą owinę pień. Uważaj, to może być niebezpieczne. Poradzisz sobie?

- Też pytanie! - Obruszyła się. - Pomagam przy ścinaniu choinek od lat. Nie jestem nowicjuszką. To wy, Jankesi, na niczym się nie znacie.

- Zapamiętam to sobie. Dobra, biorę się za piłowanie.

To przyszło nagle. W chwili, gdy drzewo runęło na ziemię, Billie wybuchnęła płaczem. Thad stał bezradnie obok. Przytulił ją do siebie.

- Nie powstrzymuj łez, Billie. To ci dobrze zrobi. Wyrzuć to z siebie.

- Och, Thad, co mam robić? Nie wiem, czy dam sobie radę. Gdybym wcześniej się z nim rozwiodła, nie musiałabym... nie...

- Owszem, musiałabyś. Zrobiłabyś to samo, co teraz i sama o tym wiesz. -Nic już nie wiem. Wszystko się dobrze układało, rozważałam nawet podjęcie kroków rozwodowych. Moss mnie nie potrzebował. Czasami nie rozmawialiśmy ani nie widywaliśmy się miesiącami. Robi mi się niedobrze, kiedy o tym pomyślę. Tyle lat, Thad! Mój Boże, tyle lat.

Głaskał ją po głowie i słuchał. Nie wiedział, co ma robić.

- Przez te wszystkie lata mogłam na tobie polegać. Nigdy mnie nie ponaglałeś. Niczego nie żądałeś. Jakim cudem nadal mnie kochasz?

- Nie wiem. Wiem tylko, że moje uczucia zawsze były i będą takie same. W pewnym sensie to okrutne, rozmawiamy o miłości, kiedy Moss... czuję się jakbym go oszukiwał.

- Chciałam, żebyś rozumiał moje zobowiązania wobec Mossa.

- Ciiii - przytknął palec do jej ust. - Rozumiem. Nie musisz mi niczego tłumaczyć. .. Czy masz pojęcie, jak brzydko wyglądasz, kiedy płaczesz?

- Jeżeli dobrze pamiętam, nie omieszkałeś mnie o tym informować przy takiej czy innej okazji. Wybacz, że się tak rozkleiłam. Dobrze, że to się stało tutaj, z dala od domu. To śmieszne... Nie przeszkadza mi, że mnie widzisz w takim stanie, ale nie chcę, by ktokolwiek inny wiedział, jak łatwo mnie zranić.

-Nie wiem, czy to ma coś z nami wspólnego, w każdym razie kiedyś czytałem, że Freud przez całe życie głowił się nad definicjąmiłości. Kiedy leżał na łożu śmierci, ktoś go zapytał, czym jest dla niego miłość. Odpowiedział, że „miłość to okazywanie swoich słabości drugiej osobie".

Billie uśmiechnęła się przez łzy.

- Jak zwykle znajdziesz właściwą odpowiedź.

-No, dobra. Skończyłaś się mazać? Więc zawieźmy choinkę do domu-powiedział zachrypłym głosem.

Musi się jakoś wszystko ułożyć.

To były wyjątkowe święta Bożego Narodzenia. Moss wyszedł z gabinetu i siedział z nimi w salonie, przy błyszczącej od zabawek i światełek choince. Robił wszystko, by podtrzymać świąteczny nastrój. Thad obserwował, jak przyjaciel wodzi wzrokiem od Billie do Sawyer.

Te dwie kobiety, które lekceważył całe życie, przyczynią się teraz do realizacji jego marzenia. Co za ironia losu. Kiedy żegnając się podawał mu rękę w dzień po świętach, wiedział, że nie zobaczą się nigdy więcej. W ostatniej chwili Moss objął go serdecznie.

- Słuchaj, ty cholerny Jankesie, chyba nigdy ci nie podziękowałem za lata przyjaźni. Lepszego przyjaciela nie mogę sobie wyobrazić. Przeszliśmy razem długą drogę. Słuchaj... jeśli... to jest...

- Zajmę się nią- obiecał Thad zduszonym głosem.

W oczach Mossa widniały nieme pytania. Thad tylko skinął głową. Moss westchnął.

- Czy Billie wie?

Thad nadal nie był w stanie wykrztusić słowa, więc znów potwierdził ruchem głowy.

- Uważaj na siebie, Thad.

Coś ściskało go w gardle. Nie zwracał uwagi na łzy płynące po policzkach. Nie chcieli się rozstawać.

- Ty też. Jeśli jest coś, co mogę dla ciebie zrobić... Jeśli czegoś potrzebujesz... Ręki, nogi, nerki, daj znać.

- A co powiesz na serce? Jesteś człowiekiem wielkiego serca, Thad.

- Jest twoje.

- Wynocha, zanim będę szlochał jak dziecko.

Ostatni niedźwiedzi uścisk i za Thadem zamknęły się drzwi. Zatrzymał się na mrozie. Wyciągnął chusteczkę, wytarł oczy i nos. Odwrócił się na pięcie i dziarsko zasalutował zamkniętym drzwiom.

Zza koronkowej firanki Moss odpowiedział mu równie energicznym gestem.

Sawyer zamknęła się w gabinecie Mossa, zostawiając dziadków we własnym towarzystwie. Nie mogła się skoncentrować. Jak to się skończy? Nie wiedziała. Na razie musi udawać, że pracuje, do chwili gdy wyjedzie na lotnisko po ciotkę Amelię i Randa. Przyjeżdżali ze spóźnioną świąteczną wizytą. Sawyer była bardzo podekscytowana. Nie widziała ich od dawna. Rand na pewno jest przystojny jak sam diabeł. Robiło jej się gorąco na samo wspomnienie jego zdjęcia w mundurze lotnika RAF-u. Może powinna rozejrzeć się za jakimś mężczyzną...

Po kilku minutach cichutko wymknęła się z gabinetu.

Billie i Moss siedzieli obok siebie na kanapie. Żadne z nich nie

wiedziało, co powiedzieć. Moss przejął inicjatywę.

- Powiedziałbym ci sam. Żałuję, że Paul to zrobił. Chyba czekałem na odpowiedni moment, szukałem właściwych słów. Jesteś mi potrzebna, Billie. Ty i Sawyer. Nie dam rady sam. Gdybym miał więcej czasu, więcej siły, poradziłbym sobie, ale jestem realistą Zrealizujesz moje marzenie. Jesteś jedyną osobą, której mogę to powierzyć.

Wzięła go za rękę.

- Powiedz, co mam robić.

- Wytłumaczyłem wszystko Sawyer. Ta dziewczyna ma głowę na karku. Nie wiedziałem o tym. Tylu rzeczy nie wiedziałem. Tylu rzeczy żałuję, Billie. Gdybym postąpił tak, a nie inaczej, gdybym wtedy powiedział to, a nie tamto. Mam mało czasu.

- Kuracja?

- Nie. Za późno. Muszę zachować jasność umysłu. Sawyer ma czas do końca stycznia. Zgodziła się nawet zostać dłużej, jeśli będę jej potrzebował. Billie, czas jest moim wrogiem. Muszę to zrobić. To się musi udać. Jestem realistą na tyle, iż wiem, że nie mogę wyznaczyć żadnego terminu. Dlatego ty i Sawyer musicie mi obiecać, że skończycie to za mnie.

- Obiecuję. Moss, jesteś zmęczony. Odpocznij trochę. Amelia będzie tu lada chwila. Połóż się. Obudzę cię, kiedy przyjadą. Przyniosę ci koc.

Ułożył się na kanapie. Przez jego twarz przemknął grymas bólu. Billie otuliła go kolorowym pledem, dziełem Jessiki.

- Przykro mi, Billie.

Nie ma sensu udawać, że nie wie, o czym mówi. Czas udawania minął bezpowrotnie.

- Wiem o tym, Moss. Śpij.

- Billie...

- Tak?

- Naprawdę mi przykro. Gdzieś po drodze zabłądziłem i nie odnalazłem właściwego szlaku. Wybacz mi.

- Nie ma nic do wybaczania. To przeszłość, historia, jak mawiałeś. Będę szczera: wybaczam ci, ale nie mogę zapomnieć. - Pocałowała go w policzek.

- Nie zawiedziesz mnie, Billie?

- Możesz na mnie liczyć. - Odgarnęła mu włosy z czoła.

- O czym myślisz? Chyba się nade mną nie litujesz? - zapytał po dłuższej chwili.

- Nie, nie lituję się. Pomyślałam, że właściwie po raz pierwszy rozmawiasz ze mną w ten sposób. Po raz pierwszy prosisz mnie o pomoc. Po tylu latach.

- Zawsze, wiedziałem, że jesteś przy mnie. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć od dnia naszego ślubu.

Spojrzała mu w oczy. Ściskała jego dłoń, chcąc podzielić się swoją siłą.

- W pewnym sensie, dziś jest dzień naszego ślubu. Od dzisiaj coś nas łączy. Zawsze cię kochałam, Moss, kocham cię teraz, i gdybym mogła, przeżyłabym wszystko jeszcze raz, dobre i złe chwile. - Coś ściskało ją w gardle. Płakała.

- A Thad? Kochasz go?

- Tak. Ale jest coś, czego on mi nigdy nie da. Moje marzenia. Dom, rodzina, dzieci... Tylko tego w życiu pragnęłam i nadal pragnę.

Moss wziął jąw ramiona, kiedy wstrząsnął nią szloch. Dzielił jej rozpacz, cierpiał nad przeszłością.

- Nie zasługuję na to, co dla mnie robisz, Billie. Nigdy na ciebie nie zasługiwałem. Wiedziałem to od początku. Wiesz co? Ilekroć myślałem o śmierci, chciałem, by to się stało w twoich objęciach. - Musnął ustami jej policzek. Nie wiedział, czyje łzy poczuł na wargach.

Sawyer Coleman wbiła dłonie w kieszenie kurtki z norek, prezentu od Mossa. Na lotnisku w Austin dawno zapomniano o świątecznej atmosferze. Nieliczni podróżni nasłuchiwali komunikatów o pogodzie i nerwowo spoglądali na wielki zegar.

Samolot Pan Am wylądował. Pasażerowie zaludnili pustą halę. Amelia mówiła wcześniej, że ona i Rand przejdą przez odprawę paszportową w Nowym Jorku.

Sawyer szukała jej w tłumie zmierzającym do ruchomych schodów. Zauważyła ich niemal natychmiast i pomachała. Zarumieniła się, kiedy Rand zamknął ją w uścisku.

- Malutka Sawyer urosła! - zażartował z błyskiem w ciemnobrązowych oczach.

- Sawyer, ależ z ciebie piękność! - zachwyciła się Amelia. - A nie

mówiłam? -zwróciła się do Randa. - Puść ją, żeby mogła ucałować starą ciotkę.

- No coś takiego! - Rand cofnął się o krok-Kiedy cię ostatnio widziałem, byłaś chyba o połowę mniejsza. Chwileczkę... masz osiemnaście łat, tak?

Sawyer oburzyła się zabawnie.

- Skończyłam dwadzieścia jeden! -Cmoknęła Amelię w policzeki nadstawiła swój Randowi. On tymczasem odwrócił ją i mocno pocałował w usta. Sawyer nie wiedziała, czy jest bardziej zła czy zadowolona.

- Ładne dziewczyny to moja słabość.

- On nie kłamie, Sawyer. Bądź ostrożna, kobiety rzucają mu się do stóp. Jest bardzo przystojny; czy nie przypomina Roberta Redforda?

TerazRand popadł w zakłopotanie, a Sawyernie omieszkała wykorzystać przewagi.

- Och, nie wiem, ciociu Amelio. Może, w pewnym oświetleniu...

- Dlaczego usłyszawszy jedno zdanie odnoszę wrażenie, że wyglądam jak potwór z brodawką na nosie? zapytał ciekawie Rand.

Bezczelna, troszkę zbyt śmiała, ale jaka kobieca! Śliczna, i tak ładnie się rumieni. Ciotka Billie mówiła o niej, że jest cholernie niezależna. Nie mógł się nie zgodzić, gdy spojrzał w jej oczy.

- Ty to powiedziałeś, nie ja - rzuciła lekko. - O, bagaże jadą. Idę po bagażowego. Mój samochód jest przy samym wejściu.

- Czy to nie urocze dziecko, Rand? -zagadywała Amelia, gdy czekali na swoje walizki. - Nie mieści mi się w głowie, że wkrótce skończy dwadzieścia dwa lata. Mogłaby już wyjść za mąż. I ma olej w głowie. Billie odwaliła kawał dobrej roboty wychowując ją. Pewnie tak dobrej, jak ja z tobą - dodała z dumą.

- Ona nie jest dzieckiem, mamo. To nie są oczy dziecka - poprawił Rand z miną znawcy.

- Dla mnie zawsze będzie małą dziewczynką, a ty małym chłopczykiem. Sawyer jest ostatnią z Colemanow. Ze słów Billie wynika, że pod wieloma względami zajęła w sercu mego brata miejsce Rileya.

Amelia wgramoliła się na tylne siedzenie mercedesa. Rand usiadł obok Sawyer. Ruszyła z piskiem opon, aż tuman śniegu wzbił się w powietrze. Rand zamknął oczy w udawanym przerażeniu, Amelia

parsknęła śmiechem. Jej stryjeczna wnuczka to właśnie osoba, której potrzebuje Rand. Niech no tylko Billie się dowie.

- Gdzie się uczyłaś prowadzić? - zainteresował się Rand, gdy Sawyer w ostatniej chwili wyminęła pług śnieżny i ciężarówkę.

- Właściwie sama. Lepiej latam niż jeżdżę. Nie mów tylko, że cię strach obleciał.

- „Strach" to za mało powiedziane. „Panika" to lepsze słowo - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Ciężki samochód zatrzymał się gwałtownie, przy czym mało brakowało, a wylądowałby w śnieżnej zaspie. Sawyer ściskała kierownicę dłońmi w rękawiczkach. Spojrzała na Randa.

- Masz dwie możliwości: albo zasuwasz do Sunbridge na piechotę, albo siedzisz cicho. Wybieraj.

- Daleko jeszcze?

Sawyer parsknęła śmiechem.

- Na skróty? Czterdzieści mil. Odmrozisz sobie tę delikatną brytyjską skórkę. Więc jak?

Rozłożył ręce na znak, że się poddaje. Śmiała się, mówiła lekkim tonem, ale coś w jej oczach kazało mu wierzyć, że była gotowa spełnić swoją groźbę i wysadzić go na środku drogi. Do licha, gdzie ona się dotychczas ukrywała? Dorastała. Gotowy produkt przypadł mu do gustu.

- Jedziemy.

Spojrzenie w tylne lusterko upewniło Sawyer, że Amelia pochwala jej zachowanie. Dlaczego nagle ma sucho w ustach? I czemu jej serce bije jak oszalałe? Nie podoba jej się wrażenie, jakie wywiera na nią ten facet. Jest cholernie przystojny, cholernie inteligentny, cholernie spostrzegawczy. Nie tak go sobie wyobrażała. Teraz nie ma czasu na flirty i romanse. Całą swoją uwagę poświęca Mossowi i Billie. Jakiekolwiek uczucie do tego mężczyzny tylko skomplikuje sytuację. Zresztą na pewno uważa, że jest dla niego za młoda.

Większa część podróży minęła w milczeniu. Amelia drzemała w ciepłym samochodzie. Rand splótł ramiona na piersiach. Przybrał surową minę. W końcu się odezwał:

- Masz licencję pilota?

Sawyer skinęła głową.

- Tak, i wkrótce będę dyplomowanym inżynierem budowy

silników.

W jego oczach błysnął podziw. Coraz bardziej podobało mu się to, co widział i słyszał.

- Zawrzemy pokój? Zerknęła na niego kątem oka.

- Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Nie wtrącaj się do moich spraw. I nie myśl sobie, że się nie odgryzę, bo jestem kobietą. - Zawahała się. - Pokój.

Amelia uśmiechnęła się z zadowoleniem. Od początku wiedziała, że ta dwójka przypadnie sobie do gustu. Docinki i złośliwości to tylko początek. Jednego tylko człowieka znała równie dobrze jak siebie samą: Randa. A z jego oczu wyczytała, że coś się zapowiada.

Zgrzyt opon był dla Billie znakiem, że Sawyer wróciła z lotniska. Nagle poczuła się bardzo stara i bezsilna. Zanim wyszła do holu, by przywitać gości, zajrzała do Mossa. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Moss, potrzebuje spokoju.

- Amelio, doskonale wyglądasz! Szwagierka uścisnęła ją serdecznie.

- Tak, tak, oszukujmy się wzajemnie i przekonujmy się, że w ogóle się nie zmieniłyśmy od naszego pierwszego spotkania.

- Nie oszukujecie. Naprawdę wyglądasz tak samo... tylko trochę starzej.

- Też mi pochlebstwo! - roześmiała się Amelia. - Pamiętasz Randa?

Billie podała rękę wysokiemu mężczyźnie, który stał obok Sawyer.

- Minęło dużo czasu. Kiedy cię ostatnio widziałam, ściskałeś Najdroższą Sally. Sawyer parsknęła śmiechem.

- Najdroższą Sally? A któż to jest, u diabła?

Rand jej zawtórował. Billie spodobał się jego niski śmiech.

- Moja przytulanka, szmaciany kotek. Zgubiłem ją, gdy miałem dwanaście lat.

- Jakie to smutne - zachichotała Sawyer.

- Dokuczają sobie od lotniska - stwierdziła Amelia z satysfakcją w głosie. Billie powstrzymała uśmiech. Amelia już się bawi w swatkę. Sawyer ma podejrzany błysk w oku, a Rand dziwną minę.

- Jak się miewa Moss? - głos Amelii wyrwał ją z zadumy. Potrząsnęła głową.

- Nie najlepiej. W tej chwili śpi. Chodźmy do biblioteki, rozpalimy ogień na kominku.

- Pokażę Randowi projekty samolotu. Będziemy w gabinecie, gdyby dziadek mnie szukał.

W bibliotece Billie podała Amelii szklaneczkę sherry.

-Wychowałaś wspaniałego człowieka, moja droga. Masz dobrą rękę do dzieci. Najpierw Rand, potem Susan...

- Zacznijmy od tego, że to dobre dzieci - uśmiechnęła się lekko. - Wyobrażam sobie, jak musiało ci być ciężko, gdy wysłałaś Susan do mnie.

- Nie mieliśmy wtedy innego wyjścia, zważywszy na piwo, które nawarzyła Maggie. Uznaliśmy jednocześnie, że tak będzie lepiej dla Susan. Przyznaję, że nie przyszło mi do głowy, iż tak bardzo pokocha ciebie i Anglię. Jestem z niej dumna, Amelio. Jest znana, w jej małżeństwie wszystko się dobrze układa. Chociaż nie jesteśmy sobie tak bliskie, jak zazwyczaj matki i córki, podziwiam ją i pragnę, abyśmy kiedyś mogły być razem. No i miałam Sawyer. To jak dodatkowy los na loterii.

- Jest cudowna. I zabrała całą urodę tej rodziny. Nie, cofam te słowa. Ty też jesteś niczego sobie. Patrząc na Sawyer, widzę ciebie przed trzydziestu laty. Jesteście do siebie podobne jak dwie krople wody, tak jak Rand i jego ojciec.

- Teraz rozumiem, dlaczego się w nim zakochałaś. Rand jest bardzo przystojny. Ile on ma lat, trzydzieści pięć, sześć?

- Trzydzieści osiem. Błagam, nie przypominaj mi o tym! Mój chirurg zapowiedział, że w tym wcieleniu czeka mnie jeszcze tylko jeden lifting twarzy! Boże, oddałabym wszystko za twoją cerę.

Billie dolała jej alkoholu. Nastrój się nagle zmienił na bardziej poważny.

- Amelio, muszę ci coś powiedzieć. Musisz być silna. Chodzi o Mossa. Ma białaczkę. Zostało mu niewiele czasu.

Dopiero po kilkunastu minutach niedowierzania i pytań Amelia pogodziła się z prawdą.

- Nie mogę w to uwierzyć! Nie Moss! Tylko on mi został, Billie. - Rozpłakała się.

- Nieprawda! Masz Randa, Susan i mnie. Amelio, musisz być silna. Mossowi i bez tego jest trudno. Obiecaj mi, że weźmiesz się w garść. -

Objęła ją serdecznie. Biedna, samotna Amelia. Przez całe życie czerpała siłę i pociechę ze świadomości, że Moss ją kocha.

- Wiesz, Billie - wytarła nos. - W najgorszym okresie, kiedy podrastałam tu, w Sunbridge i ciągle darłam koty z tatą, zawsze mogłam polegać na Mossie. Chronił mnie, sprzeciwiał się ojcu. Nawet kiedy komplikowałam sobie życie, wiedziałam, że mnie kocha.

- Wiem o tym.

- Kiedy mnie zobaczy, domyśli się, że mi powiedziałaś. Nie jestem w stanie tego ukryć.

- Wcale od ciebie tego nie wymagam, Amelio. Okaż mu, jak bardzo go kochasz, jak bardzo będzie ci go brakowało. Powiedz, ile dla ciebie znaczy. Jesteś jego siostrą, macie wspólne wspomnienia z dzieciństwa. Proszę tylko o to, byś nie kwestionowała jego decyzji co do leczenia. Pozwól mu zachować godność. Nie wywieraj na niego nacisku, Amelio. Nie myśl o tym, jak ty cierpisz. Myśl o nim.

Amelia wzięła Billie za rękę.

- Masz rację. Jak dobrze mnie już znasz. Kiedy mówiłaś, że nie zgadza się na kurację, od razu postanowiłam go na to namówić. Teraz po prostu dam mu do zrozumienia, że jestem tu, gdyby mnie potrzebował.

- Będzie cię potrzebował, Amelio. Uwierz mi.

Następne dni upłynęły w zamieszaniu. Moss nie spuszczał Billie z oka. Przez wszystkie lata ich małżeństwa nie poświęcał jej tyle uwagi. Wyczuwała, że ocenia, mierzy, analizuje i podoba mu się to, co widzi... Sprawiało jej to przyjemność, ale nie miało to dla niej takiego znaczenia, jak sobie kiedyś wyobrażała. Już nie potrzebowała jego aprobaty. Co za ironia losu.

Nadszedł wieczór poprzedzający wyjazd gości z Anglii. Sawyer i Rand wpadli do pokoju trzymając się za ręce.

- Jeśli nikomu to nie przeszkadza - Sawyer beztrosko przerwała rozmowę Amelii, Billie i Mossa - Rand zabierze mnie dziś na kolację do miasta. Ciociu Amelio, nie masz nic przeciwko temu, prawda?

- Skądże. Ale - pogroziła mu palcem - nasz samolot odlatuje o siódmej rano. Postaraj się wrócić do tego czasu. Na lotnisko jedzie się długo.

- Wrócimy, spokojna głowa. - Ten dzieciak się uparł, że po kolacji pójdziemy na tańce. W teksaskim stylu. Do spelunki o nazwie Dirty

Nelliee's. - Spojrzał na Billie. - Myślisz, że to przeżyję?

Uśmiechnęła się.

- Dobre pytanie. Zapytaj Sawyer.

Kiedy wyszli, Moss spojrzał na żonę i siostrę z dziwną miną:

- Czy on nie jest trochę dla niej za stary?

Amelia otworzyła usta ze zdumienia. Billie zamrugała powiekami.

- Za stary? - powtórzyła. - Moss, oni tylko idą razem na kolację. Rand wyjeżdża jutro rano. Na twoim miejscu nie zawracałabym sobie tym głowy.

- W domu czekają na Randa zastępy wielbicielek- dodała Amelia. - Nie przejmuj się niewinną kolacyjką.

Moss się żachnął.

- Podobno kobiety wyczuwają takie rzeczy na odległość. Czy nie widzicie, jak on na nią patrzy? Ja nie jestem ślepy- oznajmił z irytacją. - Amelio, zabieraj go do domu i nie przywoź tutaj, dopóki projekt nie będzie ukończony. Sawyer ma dużo roboty. Nie chcę, by coś ją rozpraszało.

Billie zerknęła na szwagierkę.

-Damy sobie radę -zapewniła go Amelia. – Są dorośli i rozsądni, a Sawyer wie, ile od niej zależy... zdrzemnij się teraz. Billie pomoże mi przy pakowaniu. Dzięki temu jutro rano prosto z łóżka wskoczę w samochód na lotnisko.

Moss przestał się sprzeciwiać. Zamknął oczy. Boże, jak bardzo nienawidził własnej słabości. Ma tak mało czasu, a przesypia pół dnia. Widział jeszcze, jak Billie i Amelia wychodzą z pokoju. Uwielbiał obserwować rozkołysany chód żony. Jutro się nasyci jej widokiem.

Sawyer wierciła się niespokojnie. Może popełniła błąd, zgadzając się spędzić ostatni wieczór z Randem? Może trzeba było powiedzieć, że jest bardzo zajęta. Ale bardzo chciała z nim być, siedzieć naprzeciw niego i czuć na sobie spojrzenie jego ciemnych oczu. Jutro wyjeżdża? Trudno. Dzisiaj jednak należy do niej.

Nakrył jej drobną dłoń swoją. Światło świec nadawało jego włosom złocisty błysk.

- Kocham Anglię i zawsze się cieszyłem na powrót do domu, bez względu na wszystko. Tym razem jest inaczej. Sawyer Coleman, jesteś

wyjątkową dziewczyną, i myślę... nie, wiem, że gdybym... Cholera, uwierzysz, że nie mogę tego wykrztusić?

Sawyer usiłowała uśmiechnąć się wyrozumiale, z marnym skutkiem.

- Przykro mi, że już wyjeżdżasz. Dopiero Co się poznaliśmy. Miło nam się razem pracowało, prawda?

- Zakochałem się w tobie, Sawyer. Oboje się przed tym broniliśmy, a teraz, cholera, ja wyjeżdżam.

- Wiem. Nie mogę się angażować. Mam zobowiązania wobec dziadków. Nie mogę tego zlekceważyć.

- Wcale tego od ciebie nie wymagam.

- Posłuchaj mnie, Rand. - Pochyliła się nad stołem. - Należę do tych osób, które są w stanie robić tylko jedną rzecz na raz. Ten projekt ma pierwszeństwo. Jeśli się pomylę, wszystko pójdzie na marne. Zresztą, to nie byłoby fair wobec ciebie. Wiesz już, że niczego nie robię połowicznie. Daję z siebie wszystko albo nic.

Skinął głową.

- Początkowo sądziłem, że chodzi ci o mój wiek. A teraz mówisz mi „głowa do góry" i tym podobne bzdury. Myślałem, że wy, mieszkańcy Dzikiego Zachodu, nie wypieracie się swoich uczuć.

- Nie wypieram się. Po prostu nie mogę im teraz ulec. Chcę, żebyś tu wrócił. Obiecałeś mojej babci, że przyjedziesz, jeśli będzie cię potrzebowała. Obiecaj mi to samo. - Za odpowiedź wystarczyło jej jego spojrzenie. Przełknęła ślinę i ścisnęła jego dłoń.

- Babcia wzięła na swoje barki wielki ciężar, kiedy przyrzekła dziadkowi, że jego samolot wzbije się w powietrze. Modlę się, żebyśmy dały sobie radę. Wiesz, to straszne, ale dziadek chyba nie dożyje tego dnia. Jest coraz słabszy, chyba sam to widzisz. Muszę tu zostać i zrobić co w mojej mocy.

- Moss nie jest pierwszym, który snuje takie marzenia. Odkąd pamiętam, słyszałem rozważania o samolocie z ukośnymi skrzydłami. Sawyer, chcę ci powiedzieć coś ważnego: zobacz, ten fragment może ci zepsuć całość. - Wyjął ołówek z kieszeni i naszkicował samolot na karcie dań.

- Widzisz, cały projekt ma szanse powodzenia. Inni próbowali skonstruować taki samolot, ale nikt nie wpadł na ten pomysł z ruchomą dźwignią, tak jak ty. Tego się obawiam.

Narysował z pamięci projekt, nad którym wraz z Sawyer dyskutowali w czasie minionych dwóch tygodni. Samolot był długi i wąski, miał tylko jedno skrzydło, umieszczone nad kadłubem. Przy niskiej prędkości, lądowaniu i starcie, skrzydło zajmowało normalną, tradycyjną pozycję. Natomiast przy większej szybkości skrzydło ustawiało się pod kątem sześćdziesięciu stopni do kadłuba, co zmniejszało opór i tarcie, czyli zwiększało prędkość przy takim samym zużyciu paliwa.

-Wszystko będzie dobrze! - zaperzyła się Sawyer. – Pracują nad tym najlepsi inżynierowie. Dlaczego jesteś taki uparty? Nie wymieniłeś nawet jednego rzeczowego dowodu, dla którego dźwignia miałaby nie zadziałać. Kierujesz się instynktem. To za mało. Obchodzą mnie cyfry, dane. Wydawało mi się, że to kobiety zwykle słuchają przeczuć.

Rand uciszył jąruchem dłoni.

- W porządku, wygrałaś. Dźwignia zostaje. Moim zdaniem Moss uczynił wielki krok naprzód opracowując stop materiału. Lekki i wytrzymały. To rewolucyjny pomysł. Twój dziadek ma głowę na karku. Szkoda, że go wcześniej nie poznałem.

Sawyer nie miała już siły, aby się spierać. Kłótnia z Randem na tak ważny temat pozbawiła ją resztek energii. To ona ma rację, musi mieć rację. Tak twierdził każdy pracujący z nimi fachowiec. A jednak polegała na Randzie i wiedziała, że nie szuka dziury w całym.

- Ten samolot nie spadnie. Ręczę głową- odparła z wysiłkiem.

- Nie ty, Sawyer. Głową zaryzykuje oblatywacz.

- Biorę na siebie odpowiedzialność.

- Wziąć odpowiedzialność to jedno, żyć z nią to co innego.

- Do cholery, Rand, daj mi spokój. Dziadek mi ufa, inni inżynierowie też.

- Nie kochają cię tak jak ja-szepnął.

Umilkli na długą chwilę.

- Tego nie było w planie - powiedziała w końcu Sawyer.

- Uczucia to jedyna rzecz na świecie, której nie można przewidzieć.

- Może nie da się tego przewidzieć, ale przynajmniej kontrolować - upierała się rozpaczliwie.

- Obyś była w tym lepsza niż ja.

- Rand, nic mnie nie powstrzyma. Zrozum to.

- Rozumiem. Jak myślisz, dlaczego wyjeżdżam? Ale wrócę. Tego

możesz się spodziewać.

Skinęła głową. Kiedy zobaczył, że ma łzy w oczach, ścisnęło mu się serce.

- Zamawiamy? - zapytała ze sztucznym entuzjazmem. - Umieram z głodu!

- Wyobrażam sobie, łakomczuchu. - Włączył się w jej grę. - Jesteś wiecznie głodna.

- Nie czepiaj się. - W jej oczach błysnęły złośliwe iskierki. - Skoro nie mogę nasycić serca, żołądek ma pierwszeństwo.

- Czasami, Sawyer, mam wrażenie, że przydałoby ci się porządne lanie. I nie patrz tak na mnie, bo jeszcze zmienię zdanie i wcale nie wyjadę.

Rozdział dziewiętnasty

Nadeszły ponure zimowe dnie. Ciasny gabinet Mossa leżał w najciemniejszej części domu, więc Billie uprzątnęła swoje atelier i oddała mu je do użytku. W pomieszczeniu, do którego docierało słońce, znalazło się dość miejsca dla wszystkich zatrudnionych inżynierów i projektantów. Marzenie Mossa powoli stawało się rzeczywistością. W dawnych zakładach Coleman Aviation powstawały wszystkie potrzebne części.

Billie przestała myśleć o własnej karierze, wywiązywała się tylko z wcześniej zawartych umów. Pracowała na równi z Mossem, odbierała telefony, umawiała spotkania, planowała narady. Jej atelier nadawało się na pracownię także z innego powodu: tuż obok znajdowała się sypialnia... W głównym budynku nigdy nie mogła namówić Mossa, by uciął sobie drzemkę. Tu, gdy praca wrzała tuż za drzwiami, częściej odpoczywał. Zapachy rozchodzące się z malutkiej kuchni wzmagały jego apetyt. Był zajęty, pracował, ale nic nie mogło powstrzymać choroby wyniszczającej jego ciało. Jedynie siłą woli codziennie wstawał, rozmawiał z pracownikami, zarażał ich swoim optymizmem. Poganiał ich, chwalił, dziękował za zapał i poświęcenie. Tylko w towarzystwie Billie pozwalał sobie na chwile zwątpienia.

- Dokończysz za mnie? - błagał.

Zawsze mu to obiecywała.

Któregoś dnia na początku maja udał się do sypialni bez niczyjej namowy. Billie zawołała kierownika zespołu. Niepokój sprawił, że jej oczy wydawały się ciemniejsze niż zwykłe.

- Skończcie dziś wcześniej, Joe. Z Mossem jest źle.

- Pójdziemy, kiedy tylko poukładamy dokumenty. Wyglądał kiepsko od kilku dni. - Niski mężczyzna potrząsnął zasmucony głową. - Nie uważasz, że powinien być w szpitalu?

- Nie, Joe. Nie chce tego. Doktor McDermott zagląda do niego co drugi dzień. Wczoraj mi powiedział, że to końcowe stadium. Już niedługo.

- Idź do niego, Billie. Zaraz się stąd wyniesiemy. Wyłączę telefon, żeby mu nie przeszkadzano.

- Dzięki. - Nie patrzyła na niego, lecz na zamknięte drzwi sypialni. - Podziękuj wszystkim w moim imieniu. Zróbcie sobie kilka dni wolnego. Będziemy w kontakcie.

Nie opuszczała Mossa ani na krok przez następne trzy dni. Nie był w stanie wstać z łóżka. Żartował, że jest słaby jak kociak. Paul McDermott powiedział Billie, czego się może teraz spodziewać, i zaproponował, że przyśle pielęgniarkę do pomocy. Nie zgodziła się.

- Dam ci znać, jeśli zmienię zdanie. Na razie sądzę, że poradzę sobie sama.

- Może jednak przewieziemy go do szpitala. Nie będzie się sprzeciwiał, jest na to za słaby. To wszystkim ułatwiłoby sytuację.

- Wszystkim oprócz niego, a teraz właśnie on jest najważniejszy.

Moss leżał na łóżku Billie, w sypialni pełnej popołudniowego słońca. Miał ciemne sińce pod oczami, ale w jego spojrzeniu płonął zapał i wiara. Choć podczas choroby bardzo schudł, nadal był przystojny. Billie cichutko siedziała na krześle, uczyła się jego twarzy na pamięć. Śmierć czaiła się za progiem; nie można jej było odgonić ani modlitwą ani sprzeciwem.

- Billie... -Dźwięk jej imienia zakłócił ciszę. W głosie Mossa było więcej siły, żywotności. - Billie, chodź tutaj i połóż się koło mnie. - To nie był rozkaz, lecz błaganie.

Zrobiła, o co prosił, oparła mu głowę na ramieniu, objęła w talii.

- Niezłe pożegnanie, co, Billie? Nie chcę się z tobą rozstawać. Minione miesiące uświadomiły mi, ile straciłem. Dlaczego nie pozwoliłem ci wkroczyć do mego życia?

- Ciii. Nie musisz nic mówić. Wiem o tym. Wiem o tobie wszystko, ukochany.

- Jestem nim? Nadal jestem twoim ukochanym?

- Moss, jesteś moją pierwszą miłością. A wiesz, że „pierwsza miłość nie rdzewieje" - sparafrazowała znane przysłowie.

Skinął głową jakby nie ufał głosowi. Po chwili szepnął:

- Ale istnieją inne miłości. Wiem, że ty i Thad... że wiele was łączy i chcę, żebyście byli szczęśliwi. Byłem zgorzkniałym głupcem. Teraz tego żałuję. Wybacz ni

- Nie musisz prosić o wybaczenie. Cieszę się, że dane nam było spędzić ten czas razem, że mogliśmy poznać się na nowo i przypomnieć sobie, jak doszło do tego, że się pokochaliśmy.

Długie, długie chwile. Ułamki wieczności.

- Billie?-cichy szept. - Boję się. Nie wiem, co mnie czeka... tam. Zagryzła wargi, powstrzymała łzy, opanowała łkanie. Głaskała go po policzku, udawała, że nie czuje wilgoci pod palcami.

- Nie bój się, Moss. Ufaj. Są tam ci, których znaliśmy, kochaliśmy. Czekają na ciebie, żeby ci pomóc, powitać.

- Wierzysz w to? -Z trudem łapał powietrze, każdy oddech sprawiał mu ból. -Powiedz.

- Wierzę, kochany. Wierzę, że pewnego dnia znowu zobaczę Rileya. I mamę, i Setha. Wszystkich, którzy odeszli przed nami i czekają.

Poruszył głową, uwierzył jej. Cicho powtarzał imiona, co chwila wracając do Rileya.

- Módl się za mnie, Billie. Tata zawsze mówił, że modlitwa dobrej kobiety może wiele zdziałać.

I znów zapanowała cisza. Oddychał rytmicznie i głęboko, by po chwili łapać powietrze płytko i nieregularnie, i znowu równo. Czuła, jak ucieka z niego życie. Zatrzepotał powiekami. Miała wrażenie, że ostatkiem woli broni się przed nieuniknionym.

- Kocham cię, Billie. -Wiemo tym, Moss. Wiem.

Były to ostatnie słowa, które do niej powiedział. Miała je zapamiętać na resztę swoich dni. Słowa, które powinny paść przed wielu laty. W końcu je wypowiedział.

Dudley Adamson, prawnik Colemanów, chyba dorównuje wiekiem Mojżeszowi, oceniła Billie. Obserwowała, jak powoli, z namaszczeniem otwiera teczkę i wydobywa z niej dokumenty. Kościste palce przekładały arkusze z miejsca na miejsce, aż w końcu ułożył je tak, jak chciał. Małe oczka przyglądały się zebranym spod krzaczastych brwi. Bardzo lubił moment otwarcia testamentów. Lubił obserwować twarze: wykrzywione chciwością, rozjaśnione radością, brzydkie w rozczarowaniu. Dzisiaj szykuje się niezła zabawa. Testament Mossa Colemana jest krótki i zwięzły, wszystko będzie jasne. Ciekawe, jak zareagują. Chrząknął i poprawił siwe włosy.

- Czy zjawili się wszyscy, których prosiłem o przybycie? - Sprawdził na swojej liście: Billie, Maggie, Susan, i jeszcze Sawyer. Napięcie Maggie nie uszło jego uwagi. Jest tajemnicą poliszynela, że Sawyer Coleman to jej nieślubna córka. Zmarszczył nos. Nie spodoba im się to, o nie. Od razu poczuł się lepiej. Czytał dalej, cichym, obojętnym głosem, ale z pewną nutką złośliwości, jakby prowokował, by mu przerwano.

Szybko wyrecytował fragment o pełni władz umysłowych. Doszedł do sedna sprawy, jeszcze tylko drobne upominki, małe sumy... zawiesił głos, żeby wzmóc efekt, poprawił okulary na wystającym nosie, i przeczytał:

-... mojej córce Maggie dziesięć tysięcy dolarów. Taką samą sumę otrzyma moja córka Susan. Reszta mojego majątku przechodzi w posiadanie mojej żony, Billie.

- To wszystko, panie i panowie. Czy są jakieś pytania? - Bardzo lubił tę część, bo pytania zawsze były. Poprawił się na krześle i czekał.

Maggie zakręciło się w głowie. Miała nadzieję, że dzisiaj wszystko się ułoży. Okazała się naiwną idiotką. Jak on śmiał? Spławił ją marnymi dziesięcioma tysiącami. Tego już za wiele. Czy tylko tyle była warta w oczach ojca? Tyle łat, tyle łez, tyle nienawiści... w imię czego? Za dziesięć tysięcy i prawo modlitwy na jego grobie? Do cholery, mamo, jak mogłaś mu na to pozwolić? Zawsze umiałaś tylko gadać.

Gdyby ci na mnie zależało, nie dopuściłabyś do tego. Cóż, w takim razie wojna. Jedna z nas dostanie po nosie, i to nie będę ja.

Billie patrzyła, jak mąż Maggie szturcha ją w plecy i ponagla, żeby się odezwała. Strąciła jego rękę.

- Tak, ja mam pytanie. Co to właściwie znaczy? Ten fragment, że

majątek przechodzi na własność mamy? Czy to znaczy, że musimy czekać, aż i ona umrze, zanim odziedziczymy to, co się nam należy? Jeśli tak, uważam to za niesprawiedliwe. A ty, Susan?

Młodsza kobieta się zarumieniła.

- Tak, to chyba nie jest sprawiedliwe. Maggie i ja zasługujemy na więcej niż dziesięć tysięcy dolarów. W dzisiejszych czasach to niewiele. Nie chcę być zależna od matki. A może ona mogłaby nam przekazać naszą część majątku? - Jej mężowi to się nie spodoba. Liczył na duży spadek, który umożliwiłby mu otwarcie własnej szkoły muzycznej. - To niesprawiedliwe - powtórzyła głośniej.

- Sprawiedliwe czy nie, tak zadecydował ojciec pań. - Zastanawiał się, która pierwsza wystąpi z pomysłem unieważnienia testamentu. Stawiał na starszą, Maggie. Od dziecka było z niej niezłe ziółko, a i jej mąż wygląda na nielichego krętacza. Stary prawnik pochylił się nad biurkiem, ale kątem oka widział, że Maggie odwraca się do matki. Sawyer od razu stanęła za krzesłem babki. A więc wszyscy opowiedzieli się już po jednej ze stron. Susan przysunęła się do Maggie, która zabrała głos:

- Więc jak, mamo? Zaakceptujesz ten kretyński testament czy od razu podzielisz majątek? Co z moim synem, Colemanem? To nie fair. Wiesz o tym. - A potem dodała z takim okrucieństwem, że Billie zachwiała się, jak uderzona: - A co będzie w twoim testamencie? Wszystko dla Sawyer? Czemu milczysz, mamo? Chcę to wiedzieć. Teraz, natychmiast. Chcę dostać moją część. Nie mam zamiaru czekać na twoją część, a potem walczyć z moją córką o to, co mi się należy. Oszukiwano mnie przez całe życie. Czyż nie tak, mamo? - wpadła w histerię.

Susan obserwowała całą scenę spod zmrużonych powiek. Jak powie o tym mężowi? Dziesięć tysięcy dolarów to tyle co nic. Jerome musi mieć przynajmniej dziesięć razy tyle. Dlaczego tata tak ją oszukał? To wina mamy. Tata był chory, nie wiedział, co robi. Mamy obowiązkiem było dopilnować, żeby sprawiedliwie zadysponował majątkiem. Teraz ją czeka przykry proces, widziała to w oczach Maggie. Dlaczego nie dadzą jej pieniędzy i nie pozwolą odejść. Ale nie, to byłoby zbyt proste.

Trzeba walczyć, wybierać, sprzeciwić się własnej matce. To obrzydliwe. Cóż, trudno, tym razem nie będzie siedziała z założonymi rękami. Będzie walczyć u boku Maggie. Na Boga, ma prawo do tego

spadku. Ktoś musi zapłacić za tę niesprawiedliwość. Mama? Niech i tak będzie.

- Zgadzam się z każdym słowem Maggie - rzuciła gniewnie. - Domagam się sprawiedliwego podziału!

Billie miała wrażenie, że świat wali się na jej głowę. Dopiero silny uścisk Sawyer pomógł jej odzyskać spokój. Wyprostowała się.

- Nie. Wasz ojciec zadecydował tak, a nie inaczej. Testament jest ważny. Jeśli będziecie potrzebowały...

- Potrzebowały? - wrzasnęła Maggie. - Potrzebowały? Żebyś kręciła nosem, wypytywała, zanim podejmiesz decyzję...? Będziesz nam wydzielała po troszeczku, tak? Nie zgadzam się.

- Ja też nie - zawtórowała Susan.

- Niech wasi mężowie na was zarabiają. Może już czas, żebyście zaczęły na siebie zarabiać. Zróbcie coś z własnym życiem.

- Daruj sobie, mamo. Mam prawo do tej forsy. Susan też. Czy to twoje ostatnie słowo?

Billie głęboko wciągnęła powietrze.

- Tak, to moje ostatnie słowo. Tego chciał wasz ojciec. Jak myślicie, co zrobiłby, gdyby was teraz zobaczył? Jak wam nie wstyd!

- Łatwo mówić o wstydzie, siedząc na milionach dolarów, prawda, mamo? Zastanów się dobrze, albo wezmę sobie najlepszego adwokata. Susan? - Ta tylko skinęła głową.

- Chwileczkę! - zaprotestowała Billie. - Chyba czegoś nie rozumiecie. Po pierwsze, nie siedzę, jak to ujęłaś, na milionach dolarów. Wasz ojciec tkwił po uszy w długach. - Czekała, aż ta wiadomość do nich dotrze.

- To niemożliwe! Kłamiesz!

- Nie, Maggie, nie kłamię. Jak zapewne obie wiecie, ojciec był o krok od urzeczywistnienia swego marzenia. Samolot będzie wkrótce gotów. A marzenia pochłaniają dużo pieniędzy.

- Wcześniej tata się bogacił na budowie samolotów - wtrąciła Susan.

- To prawda, ale wtedy dostawał subwencje od rządu. Tym razem chciał zrobić to sam. Ze względu na zły stan zdrowia pozamykał większość innych firm Colemanów. Sunbridge nie dostarcza już wojsku wołowiny. Nie wiem, czy na ranchu znajdzie się jeszcze pięćdziesiąt sztuk bydła. Wszystko zainwestował w samolot, a i tak nie wiem, czy to

wystarczy na doprowadzenie prac do końca.

- Więc nie doprowadzaj prac do końca. Zresztą, co ty wiesz o samolotach? -zauważyła szorstko Maggie. - Posłuchaj mojej rady i daj sobie z tym spokój. Tata nie żyje. Sprzedaj wszystkie projekty rządowi, niech oni się tym bawią. Przynajmniej nie zubożejemy z tego powodu.

- Złożyłam waszemu ojcu obietnicę i dotrzymam jej.

Billie miała wrażenie, że pęknie jej serce. Myślała, że będzie w stanie wytłumaczyć sytuację Maggie i Susan, ale one nie zrozumieją ani teraz, ani później. Nie jest też dobrym pomysłem mówić Maggie o ostatniej prośbie Mossa.

Maggie dostanie Sunbridge, dom i rancho, pod warunkiem, że Billie uda się sfinansować projekt nie wystawiając posiadłości na aukcję. „Zrób, co w twojej mocy, Billie, żeby Maggie to dostała. Ale w ostateczności nie wahaj się i sprzedawaj". Czy Maggie to zrozumie i zaakceptuje? W tej chwili Billie wolała nie wiedzieć. Tyle nienawiści w oczach jej córek. Nienawiści do niej, nie do Mossa. Dobry Boże, co mam robić? pytała się bezgłośnie. Pokonana, opuściła ramiona. To dotyk Sawyer sprawił, że ponownie spojrzała córkom w oczy.

- Słyszałyście? Dotrzymam obietnicy.

- Pozwolę sobie przerwać... - Dudley Abramson odchrząknął znacząco. - Jeśli któraś z pań zamyśla podważyć testament, czuję się w obowiązku poinformować, że pan Coleman wiedział o swojej chorobie od dwóch lat. Był to główny powód, dla którego nie zgadzał się na rozwód. Chciał mieć pewność, że matka pań dziedziczy po nim w świetle prawa naszego stanu, a nie jest tylko spadkobierczynią wymienioną w testamencie. I, pozwolę sobie skomentować - tu przygwoździł spojrzeniem Maggie i Susan - miał rację. Ponieważ rodzice pań pozostawali w związku małżeńskim, nie mają panie prawa do spadku. A żeby panie pocieszyć, dodam, że wartość majątku Colemanów wynosi obecnie mniej niż jedną trzecią tego, co niegdyś.

- Ładne mi pocieszenie! Mamo! - Maggie skierowała swą wściekłość na Billie. - Nie możesz tego dalej ciągnąć! Niech diabli biorą ten samolot. Nie pozwolę ci zmarnować resztek pieniędzy na taką bzdurę.

- Maggie, słyszałaś, co powiedział pan Abramson. Ty i Susan dostaniecie waszą część. Reszta jest moja, mogę z nią zrobić, co mi się podoba. I będę kontynuowała pracę ojca.

- O nie, mamo. Nie będziesz - Maggie poderwała się z miejsca. Susan była przerażona jej wybuchem. - Tak się składa, że wiem co nieco na temat prawa. Susan i ja mamy uprawnienia do ochrony tej części, którą odziedziczymy po tobie! Nie pozwolimy, byś roztrwoniła resztę!

Sawyer wpatrywała się w Maggie z niedowierzaniem. To jest jej matka? Miała ochotę ją udusić. Nigdy nie widziała takiej nienawiści. W tej chwili resztki dziecinnej miłości wyparowały bez śladu. Ona i babcia przeciwko Maggie i Susan. Będzie walczyła do ostatniego tchu. Jest jedną z Colemanów i, na Boga, okaże się godna nazwiska.

Maggie i Susan dotrzymały słowa. Nie upłynął nawet miesiąc, a aktywa Colemanów zostały zamrożone nakazem sądu. Billie bardzo źle przyjęła tę nowinę. Sawyer usiłowała poprawić jej humor pokazując listę instytucji, które zamierzała prosić o pomoc w finansowaniu projektu.

Billie z trudem przełknęła ślinę. Sawyer zaprezentowała jej się w skromnym kostiumie i kaszmirowym płaszczu. W obu dłoniach ściskała teczki. Wyrusza w świat, żeby zrealizować marzenie Mossa. Jest taka młoda, taka wrażliwa.

- Powinnam jechać z tobą- Billie nie ukrywała niepokoju. - Sama nie dasz sobie rady. Sawyer, potrzebujemy pomocy.

Wnuczka oparła jej dłonie na ramionach.

- Spójrz na mnie. Poradzimy sobie. Znajdziemy prywatnych inwestorów. Wiem, o czym mówię. Jeśli straciłaś we mnie wiarę, powiedz to od razu.

- Nie o to chodzi, Sawyer. Po prostu nie mogę od ciebie tyle wymagać. Obiecaj mi, że będziesz ostrożna i rozważna.

- Masz moje słowo. Uważaj na siebie. Zadzwonię w weekend. Nie życz mi powodzenia, tylko się pomódl.

Billie tylko skinęła głową.

Jej wnuczka leciała do Kalifornii, a ona dzwoniła do Thada. Ogarnęła ją ulga, gdy usłyszała w słuchawce jego głos.

- Thad, Sawyer właśnie wyjechała,.. Potrzebuję cię. Czy możesz przyjechać?

- Daj mi dzień na uporządkowanie spraw tutaj. Zanim się obejrzysz,

zapukam do drzwi. Czy coś się stało?

Naprawdę się o nią troszczył; ta świadomość sprawiła, że zachciało jej się płakać.

- Jesteś mi potrzebny. Muszę usłyszeć, że doprowadzę to do końca. Nigdy nie ponosiłam takiej odpowiedzialności. To mnie przerasta. Tracę wiarę.

- A nie powinnaś. Zacznij myśleć pozytywnie. I przygotuj coś dobrego do jedzenia. - Wymienił długą listę potraw, na jakie miał ochotę. - Stara dobra amerykańska kuchnia. Daruj sobie wszelkie dania z ryżem.

Roześmiała się. Od razu poczuła się lepiej. Boże, dzięki za Thada.

- Nie mogę się już ciebie doczekać.

- Ja też nie. Leć do kuchni, żeby wszystko było gotowe na mój przyjazd.

Billie wydawało się, że wszyscy na lotnisku widzą jaka jest szczęśliwa. Wkrótce zobaczy starego przyjaciela. Ukochanego. Thad to jej magiczny eliksir, pas bezpieczeństwa, koło ratunkowe.

Wyciągnął do niej ramiona. Podbiegła, wtuliła twarz w szorstką wełnę.

- Cieszę się, że tu jesteś - szepnęła.

- Jestem do twojej dyspozycji. Zawsze i wszędzie - odparł.

Uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Zapomniała o tłumach na lotnisku. Tutaj ludzie żegnają się i witają codziennie. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Byli tu bardziej odcięci od świata niż gdziekolwiek indziej.

- Chodźmy na drinka, Thad. Tu obok jest mały bar. Chcę się na ciebie napatrzeć.

- Dobrze, chodźmy, ale ukradłaś moją kwestię: chcę się na ciebie napatrzeć!

- Dobrze. Więc się na siebie napatrzymy. Świetnie wyglądasz, Thad. W ogóle się nie starzejesz.

- Kłamczucha z ciebie. - Posłał jej pogodny uśmiech. - Co pijemy - zapytał widząc, że kelnerka podchodzi do ich stolika.

- Whisky z wodą sodową.

- Podwójny burbon z lodem.

- Trudno ci było się wyrwać, Thad? Powinnam była dać ci więcej czasu, ale wpadam w panikę. Cieszę się, że jesteś. Przydałby mi się

twój zdrowy rozsądek. Uważasz, że postępuję słusznie?

- Zakładam, że mówimy o samolocie? - Potwierdziła ruchem głowy. - Oczywiście, że postępujesz słusznie. Spełniasz marzenie męża.

- Więc skoro to właściwe postępowanie, dlaczego uważamy tak tylko my, ja, ty i Sawyer? Maggie i Susan to córki Mossa. Patrzą na to zupełnie inaczej. Nie chcą nawet ze mną rozmawiać. Zależy im tylko na pieniądzach.

Jego słowa bardzo ją zaskoczyły:

- Billie, jako matka powinnaś zrozumieć, że tylko to im zostało po ojcu. Obie cierpią. Robią to, co w ich mocy, by wyrównać rachunki. Nie z tobą, lecz z Mossem. Chcą się zemścić za krzywdy i upokorzenia, za brak miłości, której potrzebowały. Zwłaszcza Maggie. Susan ją popiera, bo sądzi, że tak powinna. Chciwość to potężny motyw, ale one chcą zniszczyć marzenie Mossa. W każdym razie, takie jest moje zdanie.

- Nie chciałam, żeby doszło do takiej sytuacji. Usiłowałam z nimi rozmawiać. Na darmo. Maggie była okrutna, a Susan... patrzyła na mnie bez słowa. Bez Maggie jest zupełnie zagubiona. Nie przypuszczałam, że ta sprawa stanie między nami. Maggie okropnie potraktowała Sawyer, kiedy ta stanęła w mojej obronie.

- Jak się sprawy mają?

- Sawyer wyruszyła w drogę. Może uda się jej zdobyć pomoc finansową. Pomagali jej ludzie, których Moss osobiście wybrał do pracy nad tym projektem. W tej chwili sytuacja wygląda kiepsko. Nie wypłacamy ludziom pensji. Wydałam wszystko, co zdążyłam podjąć z banku, zanim zamrożono aktywa. Zużyłam nawet spadek po mamie. Amelia dorzuciła co nieco, ale to kropla w morzu potrzeb. Potrzebne nam miliony, a nie setki dolarów. Wygląda na to, że długo potrwa, zanim dojdzie do rozprawy przed sądem. Maggie załatwiła sobie doskonałego prawnika. Facet wie, że dzięki tej sprawie może zdobyć sławę. Im dłużej uda mu się to przeciągnąć, tym więcej o nim napiszą.

- Nie masz żadnego terminu?

- Nie, nie mamy w kalendarzu dnia w czerwonym kółeczku. Ale co z tego? Nikt nie będzie długo pracował za darmo. Koszty rosną z dnia na dzień. Mamy kłopoty z zaciągnięciem kredytu: Mossowi ufano, bo to on był mózgiem Coleman Aviation, ale ja? Nie wiem już, do kogo się zwrócić.

- Mam trochę pieniędzy. To tylko kolejna kropla w morzu, jednak ziarnko do ziarnka...

- Thad, nie pozwolę ci na to. Pieniądze rozchodzą się szybciej, niż wpływają nowe. A jeśli sąd rozstrzygnie na korzyść Susan i Maggie, wszystko okaże się na darmo... Nie uda mi się zrealizować marzenia Mossa. Po prostu nie uda.

- Czy masz konkretne wyliczenia, ile wam potrzeba pieniędzy, żeby samolot wzbił się w powietrze?

Zaśmiała się gorzko.

- Czarno na białym, w każdym języku świata. Wyliczenie jest w domu. Czy to coś zmienia?

- Być może. Wypij do dna i chodźmy stąd. -Musi być jakiś sposób. Myślał intensywnie, machinalnie zapłacił i wyszedł.

Odebrali jego bagaż i pojechali do Sunbridge, gdzie już po godzinie Thad studiował dokumenty w gabinecie Mossa. Przejrzawszy wszystko, sięgnął po czapkę:

- Chodźmy do hangaru, chciałbym rzucić na niego okiem. Billie przystała z chęcią. Thad na pewno znajdzie jakieś wyjście.

O szóstej po południu, gdy wrócili, usmażyła im jajecznicę, zrobiła tosty, zaparzyła kawę.

- No więc? Co o tym myślisz? - zapytała niespokojnie. Zmarszczył brwi.

- Być może jest pewien sposób. Sam nie wiem. - Wichrzył włosy palcami, zagubiony w myślach.

Billie wyczuwała, że toczy wewnętrzną walkę. Nie miała pojęcia co robić, więc sprzątnęła ze stołu i umyła naczynia. Uporała się z tym, a Thad dalej siedział pochylony, z tą samą miną na twarzy.

- Thad? Czy coś się stało? Źle wyglądasz. Proszę, powiedz, o co chodzi. Spojrzał jej w oczy udręczonym wzrokiem. Nie mógł się zdecydować. Jutro może być w Japonii, u ojca Otami. Shadaharu Hasegawa ma dosyć pieniędzy, by pomóc Billie. Jeśli Thad odpowiednio przedstawi całą sprawę, są wielkie szanse na to, że życzenie Mossa się spełni. Tylko że, aby to zrobić, musi złamać obietnicę i powiedzieć Billie o małżeństwie Rileya... i o jego synu. Po tylu latach milczenia... Jak Billie na to zareaguje? Jęknął głośno.

- Thad, o co chodzi? Jesteś chory? - wypytywała.

- Billie, zaparz więcej kawy. I usiądź. Mam ci coś ważnego do

powiedzenia. Słuchała w milczeniu. Nie tknęła kawy. Kiedy Thad skończył mówić, dwukrotnie zwilżała usta językiem, zanim zdołała coś powiedzieć:

- Wnuk? Riley miał syna, a Moss mi o tym nie powiedział? O Boże, Thad, dlaczego to przede mną zataił? Co ona sobie o mnie myśli? Żona Rileya? O mnie i o Mossie? Riley... mój biedny Riley.

- Bardzo kochał Otami. A ona jego. Chciał tego. Kazał mi przysiąc, że wam o niczym nie powiem. Musiałem to zrobić, Billie, ze względu na niego. Proszę, zrozum.

Wpatrywała się w niego nieprzytomnym wzrokiem.

- To niewiarygodne. Moss mi nie powiedział. Wnuk... syn Rileya. Straciliśmy tyle lat. Myślisz, że żona Rileya zechce się ze mną spotkać? I chłopiec?

- Oczywiście. Billie, Otami prędzej czy później sama by się z tobą skontaktowała albo nakłoniła do tego Rileya. Niestety, zginął, nie zwolniwszy jej z obietnicy zachowania ślubu w tajemnicy. Japończycy to ludzie honoru. Obowiązkiem Otami było spełnić życzenie zmarłego męża.To wspaniała dziewczyna, Billie. Pokochasz ją.

- Nie wątpię w to. Nie mogę się pogodzić z tym, że Moss mi nie powiedział. Jak on mógł, Thad? Nawet na łożu śmierci zataił to przede mną. Wyjaśniliśmy sobie tyle rzeczy. Powinien być ze mną szczery do końca. Nie rozumiem.

- Billie, Moss nigdy mi nie powiedział, że pojechał do Japonii. Zawiadomił mnie o tym ojciec Otami, na wszelki wypadek.

- Opowiedz mi o tym, Thad.

Poruszył się na krześle, niespokojny, jak Billie to przyjmie.

- Jechał do Japonii przekonany, że Otami to biedna chłopka, która złapała Rileya w sidła. Pewnie wyobrażał sobie, że mieszka w szałasie i nosi dziecko w nosidle na plecach. Po przyjeździe musiał przeżyć szok. Siedziba rodziny dorównuje przepychem Sunbridge. W każdym razie, Moss popełnił błąd, zażądał bowiem wydania chłopca. Posunął się nawet do niewybrednych gróźb.

- O Boże!

- Z listów od ojca Otami wywnioskowałem, że obawiał się o bezpieczeństwo rodziny. Zatrudnił ochroniarzy dla córki i małego. Nie wiedział, do czego Moss jest zdolny.

- Thad, muszę tam pojechać. Czy powinniśmy najpierw zadzwonić?

Czy nas przyjmą?

- Z otwartymi ramionami, Billie.

- Zorganizuj to, błagam. Idę się spakować. I Thad, nie możemy prosić ich o pomoc przy finansowaniu samolotu. Gotowi pomyśleć, że to jedyny cel naszej podróży, a wcale tak nie jest. Zdobędziemy pieniądze z innego źródła.

Nalał sobie drinka i podniósł słuchawkę. W przeciągu pół godziny zarezerwował lot do Tokio przez San Francisco, Hawaje i Guam. Zastanawiał się, czy zadzwonić do Otami. Zaskoczyć ich czy postąpić jak należy i uprzedzić ich telefonicznie? Oczywiście, postąpić jak należy.

Głos Otami był słodki jak zawsze.

- Wujku Thadzie, jak to miło, że dzwonisz. Czy nas odwiedzisz? Moja rodzina będzie zaszczycona. Mój ojciec bez przerwy o tobie opowiada.

- Tak, Otami. Przyjeżdżam. Będzie ze mną matka Rileya. Musiałem jej o was powiedzieć. Nie miałem wyjścia, wszystko wytłumaczę. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Nie mam ci nic do wybaczania. Jestem przekonana, że zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne.

- Będziemy za niecałe dwadzieścia cztery godziny. Otami, matka Rileya cię potrzebuje.

- Wujku Thadzie, ja także jej potrzebuję, bardziej niż ci się wydaje. Zawiadomię syna i zwolnię go ze szkoły. Czy to nie dziwne, że mały Riley kocha samoloty?

- Nie, Otami. To przeznaczenie.

Rozdział dwudziesty

Dillie i Thad szli przez nowe lotnisko na Guam. Triad nie wierzył własnym oczom.

- Żałuj, że nie widziałaś tego miejsca dawniej. Teraz dorównuje obiektom amerykańskim.

- Ile marmuru! - Billie rozglądała się z podziwem.

- Chodźmy, Billie. Poprosiłem, żeby wypożyczono nam samochód z bazy. Zabiorę cię na przejażdżkę po Guam i pokażę miejsca, w

których twój syn był bardzo szczęśliwy. Jestem ci to winien. Co prawda mamy tylko kilka godzin, ale wyspa jest mała. Gotowa?

- Gotowa.

Zachwycała się przez całą drogę.

Thad postrzegał Guam w inny sposób:

- Dziesięć lat to kawał czasu. O ile zrozumiałem, to najmodniejszy kurort i miejsce zawierania ślubów dla Japończyków. W Agana jest centrum handlowe. Za czasów Rileya były tu tylko malutkie sklepiki. Wszystko się zmieniło.

- Przypomina mi Hawaje. Dokąd jedziemy najpierw?

- Pokażę ci kościół, gdzie Riley i Otami wzięli ślub, i mały domek, w którym mieszkali.

Przez całą drogę Billie rozglądała się niespokojnie, nie chcąc przeoczyć niczego, co być może ważne było dla jej syna. Nagle Thad zwolnił.

- Widzisz ten kościółek po prawej stronie? Jeśli chcesz, możemy wejść do środka. Na ślub przystroili go kwiatami. To był piękny dzień. Otami na pewno chętnie pokaże ci zdjęcia.

- Nie, Thad, nie chcę wchodzić. Wystarczy, że go widzę. Kościół San Juan de Bautiste. Co za piękna nazwa - szepnęła.

- Licz teraz. Z szosy widać domek Rileya i Otami. Ósmy z kolei, włącznie z gabinetem dentystycznym.

Billie wstrzymała oddech. Sama nie wiedziała, dlaczego to takie ważne. Fragment życia jej syna. Ostatni fragment.

- Jest! - Przez łzy patrzyła na mały domek, pomalowany na biało z brązowymi wykończeniami. Na podjeździe stała nowiutka półciężarówka suzuki.. - Ciekawe, kto tam mieszka - szepnęła ochryple.

- Na tabliczce jest napisane: Deo. Riley i Otami też mieli swoją wizytówkę, podobną do tablicy przy wjeździe do Sunbridge. Nosiła napis: Riley i Otami Coleman. Nie wiem, kto tam mieszka, ale wiem jedno...

- Co takiego? - Billie otarła łzy.

- Jeśli ci ludzie są w jednej dziesiątej tak szczęśliwi, jak byli Riley i Otami, odnaleźli raj na ziemi. Wystarczy ci zwiedzania?

- Tu jest tak pięknie - znowu poczuła wilgoć pod powiekami. - Cieszę się, że mnie tu przywiozłeś. Dzięki, Thad.

- Szczerze mówiąc, zrobiłem to również dla siebie. Uśmiechnęła się

słabo.

- Wiem o tym.

- Wracamy na lotnisko. Przy odrobinie szczęścia zdążymy.

Wysiadali z samolotu w chłodny, ponury poranek. Zmęczenie podróżą i zmiana czasu dopadły Billie, gdy tylko dotknęła stopami ziemi. Z najwyższym trudem otwierała powieki jak z ołowiu. Odprawa celna i bagażowa, potem pojedzie do hotelu, pod gorący prysznic. Musi się napić kawy, zanim w ogóle pomyśli o spotkaniu z synową. Serce biło jej jak oszalałe. Nie wiedziała, czy ze zmęczenia czy ze zdenerwowania.

Na twarzy Thada widniał niepokój.

- Billie, jeśli jesteś choć w połowie tak zmęczona, jak na to wyglądasz, jesteś w równie kiepskiej formie jak ja. Najpierw pojedziemy do hotelu i się prześpimy. Jest jeszcze wcześnie, mamy mnóstwo czasu. Otami to zrozumie.

- Dobrze. Padam z nóg. Musimy się zdrzemnąć. Chociaż kilka godzin. Ciągle nie mieści mi się w głowie, że tu jestem, że niedługo zobaczę synową i wnuka. Polubią mnie, Thad? Jak myślisz? Nie jestem taka jak Moss. Nie chcę, żeby mnie z nim porównywali. A mimo to spróbuję wytłumaczyć, dlaczego postępował tak, a nie inaczej. Chyba mogę, prawda?

- Oczywiście. Otami i jej rodzina to wspaniali ludzie. Zrozumieją. Nie żywią do ciebie urazy. Bądź sobą Billie. To najlepsza rada, na jaką mnie stać.

- Przywiozłam zdjęcia Rileya z dzieciństwa - wyznała Billie. - Właściwie przywiozłam wszystkie jego zdjęcia. I... zabrałam też rękawicę baseballową i czapeczkę z autografem Hanka Aarona. Japończycy kochają baseball. Niedawno wpadł mi w ręce artykuł o tokijskich Yomiuri Giants. Są znani z celnych ciosów. Dobrze, że przeczytałam ten artykuł, przynajmniej będę miała o czym rozmawiać z wnukiem.

Thad, zdziwiony, zajrzał jej w oczy:

- Nie wątpię w to. Mali Japończycy bez przerwy grają w baseball. Mam nadzieję, że zobaczysz Fudżijamę, zanim wyjedziemy. Choć byłem w Tokio wielokrotnie, tylko dwa razy chmury podniosły się na tyle, bym mógł zobaczyć ośnieżony wierzchołek. Dla ciebie, Billie, chmury znikną z horyzontu.

Uśmiechnęła się z trudem. Nigdy w życiu nie była taka zmęczona.

- Jak długo zostaniemy? Zabawne, że cię jeszcze o to nie pytałam.

- Pięć dni. Nie mogłem załatwić nic więcej. Zdążysz poznać się z rodziną Otami. Na pewno zechcą ci pokazać ich ukochane miasto. Tokio zdecydowanie różni się od Teksasu. Mieszka tu dziesięć milionów ludzi.

Jedna powieka opadła na oko mimo desperackich wysiłków Billie, by nie zasnąć.

- Chciałabym zrobić zakupy na Ginza - ziewnęła. - Sawyer będzie zachwycona.

- Będzie bardziej zachwycona, jeśli jej powiesz, że się zdobyłaś na odwagę i jechałaś superekspresem Shinkansen. To podobno najszybszy pociąg świata, rozwija prędkość do stu trzydziestu mil na godzinę.

- Dobrze, Thad - wymamrotała i zasnęła.

Przesunął się nieco, żeby było jej wygodniej. Przez całą długą drogę z Narita do Tokio przygotowywał sobie w myślach, co powie ojcu Otami. Billie rządziła się uczuciami, i dobrze. Na jego barkach spoczywa ciężar marzenia Mossa. Szkoda, że nie ma z nimi Sawyer. Miał nadzieję, że szybko osiągnie swój cel. Dziadek małego Rileya powinien zrozumieć. Wysłucha go, przekrzywi głowę i zapyta: jak mogę pomóc? Ile potrzebujecie? I będzie po wszystkim.

Delikatnie potrząsnął Billie:

- Obudź się. Jesteśmy w hotelu.

Była zbyt zaspana, by podziwiać piękno otoczenia, gdy szła za Thadem i bagażowym. Chciała tylko spać, żeby jak najlepiej zaprezentować się Otami i wnukowi.

- Tu jest twój pokój. Jestem obok, w 1508. Spij teraz. Zadzwoń do mnie, kiedy się obudzisz. - Musnął jej policzek i odszedł. W pokoju zdjęła płaszcz, zaciągnęła zasłony i w ubraniu rzuciła się na łóżko.

Spała twardo przez dwanaście godzin.

Billie jeszcze spała, kiedy Thad udał się do restauracji Virgo, znanej z francuskiej kuchni i przepięknego widoku na panoramę Tokio. Jadł i szykował się do rozmowy z ojcem Otami, odrzucał jedne pomysły i akceptował inne. W końcu dopił resztki herbaty, uregulował rachunek i wyszedł.

Szedł sprężystym krokiem, trzymał się prosto, jak na wojskowego przystało.

Pan Hasegawa powitał go na sposób zachodni. Uścisnęli sobie dłonie, wymienili ukłony.

- Witaj, Thaddeus. Dużo czasu upłynęło, odkąd ostatnio zaszczyciłeś mnie wizytą. Moja żona i córka oszalały usłyszawszy, że przywozisz panią Coleman. Straciłem już nadzieję, że kiedykolwiek do tego dojdzie. Bardzo mnie zmartwiła wiadomość o śmierci pana Colemana. Moja rodzina nieraz się modliła o to, by wrócił i zaakceptował swego wnuka. Chcieliśmy się podzielić naszym szczęściem. Wiem, że i ty tego pragnąłeś. Powiedz mi, proszę czy znasz nowe ploteczki o gwiazdach dla mojej żony? Dzwoniła już dwukrotnie, żeby sprawdzić, czy o niej nie zapomniałeś. Interesuje ją zwłaszcza... chwileczkę, zapisałem gdzieś to nazwisko. O, jest: Tom Selleck. Tak, Tom Selleck. Wiesz coś o nim?

- To amant lat osiemdziesiątych. Tak, opowiem jej o nim. Jak się ma chłopiec?

- Mały Riley napawa mnie z dnia na dzień coraz większą dumą. Chyba idzie w ślady ojca. Obchodzą go tylko samoloty i latanie. Mamy własny odrzutowiec. Ciągle chce ze mną latać. Niestety, wolę się trzymać blisko ziemi. Usiądź, Thaddeus. Napijemy się szkockiej i zapalimy hawańskie cygara, które mi ostatnio podarowałeś. Potem porozmawiamy. Opowiedz mi, co się ostatnio wydarzyło.

Thad zwlekał z opowieścią do chwili, gdy butelka była prawie pusta, a pokój błękitny od dymu. Mówił płynnie, spokojnie, zwięźle.

- A więc... pani Coleman potrzebuje mojej pomocy. Powiedz, co mam zrobić. Muszę mieć przynajmniej tydzień, żeby załatwić sprawy z moim bankiem. Czy konieczna jest moja obecność w Ameryce?- zaniepokoił się nagle staruszek.

- Tylko, jeśli sam tego zechcesz.

Starzy przyjaciele przegadali dwie godziny. Kiedy pokój przesiąkł dymem, przenieśli się do innego. Rozmawiali o minionych latach, córkach i wnukach. O marzeniu Mossa Colemana, które się spełni dzięki pieniądzom Shadaharu Hasegawa. Co za ironia losu, pomyślał Thad.

- Nie wiem, jak ci dziękować. Zainwestowane sumy zwrócą ci się z nawiązką, gwarantuję.

Ojciec Otami zbył jego słowa machnięciem ręki.

- Thaddeus, czasami mężczyźnie nie zostaje nic oprócz marzeń.

Naszym celem jest tworzyć, budować, kończyć. Dlatego smutek mnie ogarnia na myśl, że czyjeś marzenie pozostało nie spełnione. Nie mam dobrego zdania o tych, którzy unicestwiają marzenia innych. Robię to dla Mossa Colemana, dla jego syna, którego kochał całym sercem, i dla mego wnuka, którego ja kocham całym sercem. Powiedzmy, że Wschód w końcu spotkał się z Zachodem, i tyle.

- Pięknie powiedziane - Thad nie ukrywał wzruszenia. - Muszę wracać do hotelu. Pani Coleman będzie się niecierpliwiła. Może już nie śpi.

- Przywieź ją do nas, gdy tylko się obudzi, bez względu na porę dnia i nocy. Nie pozwolimy jej czekać dłużej niż to absolutnie konieczne. Zresztą, my też bardzo chcemy ją poznać. - Shadaharu Hasegawa uśmiechnął się lekko. - Obiecałeś, Thaddeus.

- Tak. Do zobaczenia, stary przyjacielu.

- Do zobaczenia. -Uścisnęli sobie dłonie, wymienili ukłony. Załatwione.

W pierwszej chwili po przebudzeniu Billie nie wiedziała, co robi w tym obcym łóżku, z dala od Sunbridge i tego, co było obsesyjnym marzeniem Mossa. Kiedy jej oczy przywykły do ciemności, odnalazła nocną lampkę i zapaliła ją. Zegarek wskazywał pięć po piątej. Wkrótce wzejdzie słońce. Nie ruszała się z łóżka. Zaraz wstanie, weźmie prysznic, ubierze się, umaluje i zadzwoni do Thada. Wypiją razem kawę w hotelowej restauracji, a potem złożą wizytę jej synowej. O przyzwoitej godzinie. Czytała, że Japończycy przywiązują wielką wagę do etykiety.

Nie mogła przestać myśleć o Mossie. Może później wybaczy mu to, co zrobił. Nie, nie będzie sobie teraz zawracać tym głowy. Nic jej nie zepsuje tego dnia.

Gorący prysznic zmył z niej resztki senności. Owinęła się hotelowym ręcznikiem, zręcznie nałożyła makijaż i zadzwoniła do Thada. Umówili się za dwadzieścia minut. Nie był zaspany - prawdopodobnie wstał już dawno i czekał na jej telefon.

Wyjęła sukienkę z fiołkoworóżowego jedwabiu i powiesiła w łazience, żeby odeszły zagniecenia. W ciągu pięciu minut wysuszy włosy, ubierze się i będzie gotowa.

- Jak wyglądam, Thad? Ubrałam się zbyt elegancko? Może powinnam włożyć kostium? - dopytywała się niespokojnie.

- Wyglądasz bardzo dobrze. Pięknie, mówiąc szczerze. Przestań się martwić. Od tego robią się zmarszczki, i co wtedy? - zażartował.

- Ależ Thad, ja już mam zmarszczki! - zatrzymała się w pół kroku.

- Tak? Nie zauważyłem. W moich oczach w ogóle się nie zmieniłaś od dnia, w którym cię poznałem. To ja się postarzałem. Chcesz zmarszczek? Bierz moje.

- Nie widzę twoich zmarszczek, naprawdę - stwierdziła, dokładnie przyglądając się jego twarzy. - Wiesz, mam pomysł. Zapomnijmy o zmarszczkach. Muszę się napić kawy. Ale nie przełknę ani kęsa, jestem zbyt zdenerwowana.

Półtorej godziny później zamknęła się za nimi brama z kutego żelaza. Zaprowadzono ich do domu, do salonu, w którym czekała Otami z rodzicami i dwiema siostrami. Billie stała jak wmurowana w ziemię, niezdolna podejść do synowej. Nagle przypomniała sobie, jak dawno, dawno temu Jessica Coleman powitała ją z otwartymi ramionami. Uśmiech i gest wystarczyły. Otami zapomniała o japońskiej rezerwie i rzuciła się Billie na szyję. Billie miała łzy w oczach. Która z nich drży? Czyje serce tak mocno bije? I czy to w ogóle ważne?

- Wybacz mi, matko Coleman. Od tak dawna modliłam się o tę chwilę, że teraz zapomniałam o dobrym wychowaniu. Witaj. Riley będzie tu za godzinę. Prosimy, moja rodzina i ja, żebyś ty i wuj Thad towarzyszyli nam przy śniadaniu.

- To ja proszę o wybaczenie, dla mojego męża i dla mnie. Nie wiedziałam. Przecież nie... Nie miałam pojęcia, Otami.

- Wiem o tym, matko Coleman. Jesteś tu dzisiaj, a to najważniejsze. Po śniadaniu ty, ja i Riley porozmawiamy o twoim i moim synu. - Pod wpływem impulsu, objęła Billie ponownie. Tym razem rozpłakała się jawnie. Teściowa przytuliła ją i razem poszły do jadalni, gdzie czekał stół nakryty na sposób zachodni.

- Na pani cześć, pani Coleman, zjemy amerykańskie śniadanie. Mój kucharz szykuje jajka na bekonie i naleśniki z syropem klonowym. Prawdziwym syropem klonowym, Thad. - Pan Hasegawa zachichotał.

- Doprawdy, znasz mnie lepiej niż ja sam. Podadzą nam kawę czy tę okropną zieloną herbatę?

- Dla ciebie wszystko co najlepsze. Dziwaczną kawę, oczywiście. Otami parsknęła śmiechem.

- Tato, sam bardzo ją lubisz. Riley nauczył mnie pić kawę, a potem

ja zaraziłam tym zwyczajem całą rodzinę. Mój ojciec sobie z ciebie żartuje, wuju Thadzie, o czym dobrze wiesz. - Choć mówiła do Thada, nie spuszczała wzroku z Billie.

- Te kobiety mnie zniszczą. A teraz, zanim moja żona pęknie z ciekawości, porozmawiamy o gwiazdach filmowych.

- To jedyna słabość mojej mamy. Jest idealna pod każdym innym względem. -Otami pośpieszyła z wyjaśnieniem. - Wujek Thad informuje nas, co się dzieje w Hollywood. Przysyła czasopisma, recenzje, wywiady, zdjęcia. Mama nie mówi po angielsku, ale rozumie opowieści wujka Thada.

Billie wybuchnęła śmiechem.

- Thad, nigdy mi o tym nie mówiłeś! Co jeszcze ukrywasz?- Od razu pożałowała tych słów, mimo że wypowiedziała je lekkim, drwiącym tonem.

Billie i Otami nie zwracały uwagi na innych. Nie mogły się sobą nacieszyć. Thad opowiadał o Tomie Sellecku i Kennym Rogersie. Gdy zaczął się rozwodzić nad urodą i talentem Dolly Parton i Jacqueline Bisset, mrugały do siebie porozumiewawczo. Zajęty opowiadaniem, Thad nie zauważył nagłej ciszy przy stole. Przestraszył się, gdy pan domu klasnął w dłonie. Otami zachichotała, Billie spuściła głowę, by nie widział rozbawienia w jej oczach.

Podano śniadanie. Zaczęli od soku i owoców, potem jedli tosty i bułeczki. Thad z apetytem zajadał naleśniki, Billie poprosiła o dokładkę jajek na bekonie. Drobna służąca co chwila dolewała kawy. Bez patrzenia na zegarek Billie wiedziała, że godzina już prawie minęła. Jej wnuk zaraz tu będzie. Spojrzała na Otami.

- To normalne, że nie możesz się doczekać spotkania z nim. On także bardzo się niecierpliwi. Jest bardzo podobny do swego ojca, wkrótce sama się przekonasz. Po mojej rodzinie odziedziczył jedną cechę: zamiłowanie do amerykańskiej muzyki. Zaraz tu będzie, matko Coleman. Jesteśmy rodziną. Marzyłam o tej chwili. Mój ojciec wierzył, że kiedyś nadejdzie. Miałeś rację, czcigodny ojcze.

- Słyszałeś, Thad? Nazwała mnie czcigodnym ojcem. Nie pamiętam, kiedy ostatnio to zrobiła. Pani Coleman, żartujemy, żeby się mogła pani odprężyć, ale najwyraźniej nam się to nie udaje. Rozumiemy. Otami, zaprowadź panią Coleman do biblioteki. Przyślę wam Rileya.

Billie odetchnęła z ulgą. Nie wzdragała się przed powitaniem wnuka na oczach całej rodziny, ale potrzebowała chwili spokoju, by wziąć się w garść. Otami wzięła ją pod rękę.

- W bibliotece mamy krzesła, żeby naszym gościom z Zachodu było wygodnie. Mamy sobie tyle do powiedzenia, tyle lat do nadrobienia. Opowiem ci o Rileyu i o mnie. Gdyby żył, sam by to zrobił.

- Otami, dlaczego nie wyszłaś powtórnie za mąż?

- W moim sercu jest miejsce dla jednego mężczyzny. Riley zginął, ale jego syn żyje. Wystarczy mi to, co mam. A wracając do twojego pytania: nie znajdę nikogo, kogo pokochałabym tak jak Rileya - odparła miękko. - A powiedz, matko Coleman, czy poślubisz innego mężczyznę?

- Tak, Otami.

- Czy popełnię nietakt pytając, czy oddałaś serce wujkowi Thadowi?

- Nie, nie popełnisz nietaktu. Tak, oddałam serce właśnie jemu.

- Jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu, porozmawiamy o tym później. Tyle jest rzeczy, których chciałabym się dowiedzieć i o których chcę ci opowiedzieć. Przez całe życie, to jest, odkąd poznałam Rileya, sądziłam, że wasza rodzina mnie nie zechce. Jednocześnie pragnęłam, żebyście mnie pokochali, wszyscy. Riley chyba chciał mi dać do zrozumienia, że to niemożliwe, kiedy wymógł obietnicę, że się z wami nie skontaktuję. Próbował mnie chronić.

Niech cię diabli, Moss. Niech cię diabli. Billie wzięła synową za rękę. Nie będzie bronić ani tłumaczyć postępków męża. To przeszłość. Liczy się teraźniejszość. Niech Otami sama zadecyduje, w co wierzyć.

Ktoś zapukał do drzwi. Japonka podniosła głowę.

- To mój syn śpieszy na spotkanie z babką.

Billie wstała. Przez łzy patrzyła na sobowtóra małego Rileya. Odnalazła spojrzenie ciemnych oczu i nagle objęły ją silne chłopięce ramiona. Oparła podbródek na ciemnej główce, łykając łzy. Kiedy ją puścił, mały Riley był zażenowany wybuchem uczuć, jak każdy dziesięciolatek. Miał pogodne, wesołe spojrzenie, nie błękitne, jak ojciec, lecz koloru palonej kawy, jak matka.

- Dzień dobry, babciu. -Uśmiechnął się. -Witaj w naszym domu. Mama i ja długo czekaliśmy na ten dzień.

- A ty o mały włos jej nie udusiłeś! -zganiła go Otami.-Przeproś.

- Ależ mamo, mówiłaś, że ojciec tak się z tobą witał. I jego ojciec z jego mamą. Chciałem przywitać babcię po teksasku. Nie miałem zamiaru cię urazić - tłumaczył się chłopiec.

- Skądże! Otami, Riley ma rację. To teksaski obyczaj. Bądź sobą, inaczej nie poznamy się dobrze.

- Mamy nad tobą pewną przewagę, babciu. Mama opowiadała mi o ranchu Colemanów, o Teksasie i o samolotach. W przyszłości zostanę konstruktorem samolotów.

- Zupełnie jak moja wnuczka, Sawyer! Znajdziecie wspólny język! - ucieszyła się Billie. -Przywiozłam zdjęcia. Obejrzymy je wspólnie z twoją mamą. Zrobimy odbitki tych, które będziesz chciał zatrzymać. Jedno jest wyjątkowe: twój tata na swoim pierwszym kucyku. No, niedokładnie tak: spadł z niego, kiedy pstryknęłam zdjęcie.

Otami roześmiała się perliście.

- A Riley mi wmawiał, że nie ma konia, na którego grzbiecie nie mógłby się utrzymać.

- Cóż, to lekka przesada. Riley zawsze fantazjował, jeśli chodzi o konie. Z samolotami radził sobie o wiele lepiej. Dobrze, zwracam mu honor: z kucyka się ześlizgnął, nie spadł. Ale potem jeszcze wiele razy konie wyrzucały go z siodła. Nigdy nie rezygnował, zaraz wsiadał z powrotem. Jego dziadek nalegał. Twój ojciec zawsze robił to, czego od niego oczekiwano.

- Dopóki mnie nie spotkał - wtrąciła Otami smutno.

- Nie, nie mów tak. Nie wolno ci tak myśleć. -Billie otoczyła ją ramieniem. -Riley cię kochał. To normalne, że cię poślubił. Obawiał się po prostu, że jego rodzina tego... tego nie zaakceptuje. Przykro mi, że tak sądził, ale rozumiem go. Jak mawiał mój teść, mąż i syn, to już przeszłość. Zostały nam wspomnienia. Niektóre są bolesne, inne będziemy nosić w sercu do końca naszych dni. Jednak nie można żyć tylko przeszłością. Mam swoją teorię na ten temat.

- Jaką, babciu? - zainteresował się Riiey.

- Wspomnienia stanowią część naszego życia. Z czasem blakną i gmą, i tak ma być. Tylko tchórze żyją przeszłością, bo boją się teraźniejszości. - Mały Riley uroczyście kiwał głową. Otami pobladła. - Nie, nie, Otami, nie miałam na myśli ciebie.

- Ale to prawda. Krewni powtarzają mi to od wielu lat. Syn wbija

mi to do głowy co najmniej raz dziennie. Nigdy nie rozpatrywałam tego w kategoriach odwagi i tchórzostwa. Nie przepraszaj, powiedziałaś prawdę. Widzisz, jak mój syn kiwa głową? Wreszcie ma sprzymierzeńca. Jesteście tego samego zdania. - Promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz: - Obiecuję, że popracuję nad sobą.

- Trzymamy cię za słowo, mamo. Między nami, babciu, może zdołamy ją przekonać, że świat się nie kończy na tym domu.

- Na to nie macie szans - stwierdziła Otami z westchnieniem.

- Jak to nie? Teraz możemy pojechać do Ameryki i zobaczyć dom mego ojca. Obiecałaś, że jeśli jego rodzina nas zaakceptuje, pojedziemy do Teksasu. Teraz musisz dotrzymać słowa.

- Riley, gdzie twoje maniery? Nie zostaliśmy zaproszeni.

- Och, jesteście zaproszeni, w każdej chwili. Niech cała rodzina przyjedzie do Sunbridge. Riley, ty i moja wnuczka Sawyer macie wiele wspólnego. Opowie ci o marzeniu Colemanow. Ty je zrozumiesz. Później do tego wrócimy. Przywiozłam coś dla ciebie, Riley. Jest w paczce przy drzwiach. Przyniesiesz?

Wybiegł jak z procy. Otami uniosła pytająco brwi.

- Przywiozłam... przywiozłam kij i rękawicę baseballową Rileya dla jego syna. W paczce są także zdjęcia. I jeszcze czapka Rileya... Czy to źle?

- Och, nie! Mój syn ma tak niewiele pamiątek po ojcu. Kilka drobiazgów, które przysłało nam wojsko, to... chcę powiedzieć, że ucieszy się z twoich prezentów, bo pochodzą z domu ojca, z czasów jego dzieciństwa.

Riley wrócił z pakunkiem pokaźnych rozmiarów. Śledził ruchy Billie, gdy ta rozplątywała sznurek i rozrywała papier.

- Pomyślałam, że chciałbyś mieć te rzeczy. W Sunbridge jest ich więcej, gdybyś... gdybyś...

Riley zajrzał do pudełka. Uklęknął. Z nabożną czcią wyjął podniszczoną rękawicę. Czapeczkę od razu włożył na głowę. Piłkę przytulił do policzka.

- Czy tak pachniał mój ojciec? - podał Billie czapkę. Powąchała posłusznie. Skinęła głową, niezdolna mówić.

- Rzeczy twojego ojca należą do ciebie. Teraz nie czas na tę rozmowę, ale uważam także, że ty i twoja mama macie prawo do spadku po Rileyu. Moi prawnicy się tym zajmą. Do niedawna nie

miałam pojęcia o waszym istnieniu.

- Myślisz, że wujek Thad ma ochotę zagrać w baseball, babciu?

- Na pewno. Idź, zapytaj go. Twoja mama i ja mamy sobie tyle do powiedzenia. Riley pocałował je szybko. Uważnie przyjrzał się Billie.

- Mój ojciec był do ciebie podobny.

- Tak, troszeczkę. Ale miał w sobie dużo z Colemanow. Był wspaniałym człowiekiem, Riley. Możesz być dumny z takiego ojca.

- Dziękuję za prezenty. Będę o nie dbał.

Otami spojrzała na Billie:

- To bardzo miłe z twojej strony. Często żałowałam, że nie miałam dla niego żadnych pamiątek oprócz starych ubrań. Uszczęśliwiając mojego syna, zarazem uszczęśliwiłaś mnie. Obiecuję, że poważnie się zastanowię nad naszą rozmową o wspomnieniach.

- Nie jesteś na mnie zła?

- Nie. Powiedziałaś prawdę, a to wymaga odwagi. Czy możemy teraz obejrzeć fotografie? - Billie posłusznie wydobyła ciężkie albumy z dna pudełka.

Oglądały je z Otami. Potem z Thadem i Rileyem, i jeszcze raz z rodzicami Otami. Kiedy spojrzała na zegarek, było popołudnie.

Każdy dzień spędzony z nową rodziną był piękniejszy od poprzedniego. Riley uparł się pokazać babce uniwersytet. Otami postarała się, by spacer po Ginza był tak piękny, jak Billie to sobie wyobrażała. Pan Hasegawa namówił ją na przedstawienie teatru kabuki. Było to wyjątkowe przeżycie.

Ustalono, że Otami i Riley przyjadą do Teksasu za miesiąc, gdy się skończy semestr.

Na lotnisko odprowadzała Triada i Billie cała rodzina Hasegawa. Mieli właśnie wchodzić do samolotu, gdy pan Hasegawa podał Billie kopertę. „Na marzenie" wyszeptał, całując ją w policzek i ukłonił się. Podziękowała, choć nie wiedziała, o co mu chodzi. Jeszcze jedno pożegnalne spojrzenie na synową i wnuka i zniknęła w tłumie.

- Co, twoim zdaniem, miał na myśli pan Hasegawa mówiąc, że ta koperta jest „na marzenie"? - zastanawiała się głośno w samolocie.

Thad miał minę kota, który opił się śmietanki.

- Otwórz i się przekonaj.

Rozerwała kopertę. Na jej kolana wysypały się podłużne paski papieru. Pobladła. Były to czeki in blanco. Drżącymi rękami

rozprostowała arkusik sztywnego papieru. Nie mogła czytać, więc poprosiła o to Thada.

Droga Pani Coleman!

To pożałowania godne, że marzenie Pani małżonka ma pozostać nie zrealizowane wyłącznie z braku funduszy. Uczyni Pani zaszczyt mnie i mojej rodzinie, pozwalając nam uczestniczyć w finansowaniu tego przedsięwzięcia. Proszę tylko o jedno: aby pozwoliła Pani uczestniczyć naszemu wnukowi w urzeczywistnianiu marzeń jego dziadka. Niech fortuna towarzyszy Pani każdemu krokowi.

Pozostaję z szacunkiem Shadaharu Hasegawa.

Billie głośno wytarła nos.

- Thad nie mogę w to uwierzyć. Nie chciałam go o nic prosić, nawet o tym rozmawiać. Co on sobie o mnie myśli?

- Odpowiedź na to pytanie jest w liście. Billie, znam go od wielu lat. Wiedziałem, że ci pomoże. Jak widzisz, nie ma tu warunków, kontraktów, umów. On ci ufa. Robi to z własnej woli. Przyjmij jego gest. Jeśli odmówisz, umrze ze wstydu. Potraktuj to dosłownie.

- Ale Thad, czeki in blanco? Co to znaczy? Skąd mam wiedzieć, że wzięłam za dużo?

- Masz brać, ile ci potrzeba. To proste. Innymi słowy, masz nieograniczony kredyt.

- A co, jeśli nam się nie uda i znów utopimy masę pieniędzy, jak ostatnio?

- Wtedy dostaniesz więcej czeków. Załatwione.

- Pięć dni temu w ogóle mnie nie znał, a dzisiaj daje mi wolną rękę. Nie, Thad, to nie jest załatwione.

- Pozwolę sobie się nie zgodzić. Hasegawa zna cię lepiej, niż ci się wydaje. Mówiłem ci, że przyjaźnimy się od lat. Pozwól mu ci pomóc. Sam tego chce.

- Nie zrozumiem tego. Nie wiedziałam, że na świecie istnieją tacy ludzie.

- A co ty byś zrobiła na jego miejscu?

Jej śmiech przyprawiał go o rozkoszny dreszcz.

- Chyba to samo! Dziękuję, Thad. Dobrze, że mnie nie posłuchałeś. Co sądzisz o małym Rileyu? To przemiły chłopiec. Taki podobny do

Rileya, a jednocześnie inny dzięki wschodniemu dziedzictwu. Mam wnuka. Boże, tyle się ostatnio wydarzyło.

- Może się zdrzemniemy? W Teksasie czeka na ciebie dużo pracy, a ja muszę wracać do bazy, zanim mnie uznają za dezertera.

- To jeden z twoich lepszych pomysłów. Ciągle czekam na ten najlepszy.

- Już niedługo. Uzbrój się w cierpliwość.

- Zrobiłam to.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Mijały miesiące. Sawyer i Billie powoli realizowały marzenie Mossa. Otami i mały Riley czuli się w Sunbridge jak w domu. Otami badała każdy zakamarek, zaglądała do każdej mysiej dziury. Śmiała się częściej, ciemne oczy nabrały życia. Dom jej męża. Wreszcie zobaczyła to, o czym tyle opowiadał. Czuła to, co on, kochała, co on kochał. Smutek ustąpił miejsca optymizmowi.

Osiem miesięcy po ich przyjeździe do Sunbridge sprawy układały się fatalnie. Pieniądze rozchodziły się bez śladu. Billie drgnęła słysząc dzwonek telefonu. Obawiała się dalszych złych wieści. Miała rację.

- Mogłabym powiedzieć ci w domu - rzuciła Sawyer, ale nie chcę denerwować Otami. Powiem krótko: spieprzyłyśmy to, babciu. Byłyśmy o krok od celu i spieprzyłyśmy. Jesteśmy dziewięćdziesiąt jeden milionów dolarów do tyłu.

- Dziewięćdziesiąt jeden milionów dolarów, czy to znaczy... - w głosie Billie był strach i niedowierzanie.

- Tak, babciu. Ten samolot jest jak wór bez dna, pochłania każdą sumę, jaką się w niego zainwestuje. Rozmawiałam z doradcami finansowymi dziadka. Jeśli się zgodzisz, chcemy się przenieść z projektem do Japonii. Pan Hasegawa twierdzi, że załatwi nam wsparcie finansowe. To jedyne wyjście, babciu.

- Dlaczego tak się stało? Gdzie popełniliśmy błąd? - dopytywała się Billie. -Podaj mi jakiś powód.

- Niedostatecznie zmniejszyliśmy ciężar. Źle wyliczyliśmy zużycie paliwa. Wiedziałam, że tak będzie. Tracę kontrolę, babciu. Musimy to zrobić. Jeśli zostaniemy tutaj, stracimy wszystko, a nie chcę, by do tego

doszło. Więc tak czy nie?

Billie kręciło się w głowie. Otami patrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Tak, Sawyer. Masz moją zgodę. Otami i ja zaczynamy się pakować. Śmiech w słuchawce sprawił, że uniosła brwi.

- Babciu, Riley mówi, że jego dziadek trzyma rękę na pulsie. Hangar będzie gotowy, inżynierowie i robotnicy na miejscu. Możemy lecieć w każdej chwili.

- Zabierasz wszystkich pracowników? - zapytała z wahaniem.

-Nie. Tylko tych, którzy mi się nie sprzeciwiają. Ja mam rację, babciu. Musisz mi uwierzyć.

Kiedy Billie usłyszała desperację w jej głosie, przypomniała sobie słowa Mossa: *pomóż Sawyer, Billie, Popieraj ją, cokolwiek zechce zrobić. Da sobie radę. Jeśli popełni błąd, co nieuniknione, nie powtórzy go więcej. Obiecaj mi.*

- Kochanie, wierzę ci - powiedziała serdecznie. - Rób, co trzeba. Hasegawa to nasza rodzina. Niech dziadek Rileya sprowadzi kogo może do pomocy.

Wzruszyła ją ulga w głosie wnuczki.

- Babciu, jesteś najlepszą babką na świecie.

Billie odłożyła słuchawkę i wytłumaczyła sytuację Otami, która słuchała uważnie.

- Riley rozmawiał ze mną na ten temat w zeszłym tygodniu. Chciał pomówić z tobą ja także o tym myślałam, ale przecież nie znam się na samolotach... To tylko pieniądze, matko Coleman. Mój ojciec dopilnuje, żeby samolot został w rodzinie, w naszej rodzinie.

- Ale zaczynać od początku! Tyle pieniędzy, tyle czasu... Nie wiedziałam, nie miałam pojęcia...

- Marzenia nie spełniają się tak po prostu, matko Coleman. Trzeba je urzeczywistniać. Wasz Bóg tworzył świat przez sześć dni. Nam zajmie to nieco dłużej. Kiedy wyjeżdżamy ?

- Pojutrze. Czy to za wcześnie?

- Jestem już spakowana.

- Muszę zawiadomić Thada.

- On już wie. Mój ojciec i Thad na pewno wymyślili to razem. Milczeli, bo nie chcieli sugerować... to znaczy...

- Propozycja musiała wyjść od Sawyer. Musiała sama zrozumieć, że potrzebuje pomocy. Wierzę w nią. Moss nie powierzyłby jej tego

zadania, gdyby nie był przekonany, że da sobie radę.

- Ale z nas dobrana gromadka - zachichotała Otami.

Billie uściskała ją serdecznie.

- Mój świat wreszcie wrócił na swoje miejsce. Tak jest dobrze. Wiesz, o czym mówię, Otami?

- Tak, matko Coleman. Wszystko będzie w porządku.

- Mam taką nadzieję. Czy mówili coś o terminie? zaniepokoiła się nagle Billie. - Inwestorzy zawsze się domagają konkretnego terminu. Przez to... przez to można stracić wszystko. Czy będzie jakiś nieprzekraczalny termin?

- Nie wiem.

- A nawet gdyby tak było, nie będziemy zawracać sobie głowy. Sawyer zdąży. Ona jest taka młoda, Otami.

- Tylko w latach. Tutaj - Otami oparła dłoń na piersi -jest bezwiekowa. Jej dziadek nie powierzyłby swego marzenia dziecku.

Po jedenastu miesiącach pobytu w rezydencji rodziny Hasegawa Billie czuła się tam bardziej u siebie niż przez wszystkie lata w Sunbridge. Teraz była rada, że niedługo przekaże posiadłość Maggie. Gdyby sprzedała Sunbridge, pieniędzy nie starczyłyby na długo, nie przy kolosalnych wydatkach związanych z samolotem. Tak będzie lepiej dla Maggie, lepiej dla nich wszystkich.

Mimo późnej pory nie mogła zasnąć. Oczywiście przyczyniła się do tego wiadomość o rychłym przybyciu Thada. Może nocny spacer ukoi jej nerwy.

Ogród w niczym nie przypominał teksaskich prerii z kaktusami i trawą. Tu wszystko było zminiaturyzowane. Wodne oczka i mostki nad strumieniami zachwycały doskonale uchwyconymi proporcjami. Billie przysiadła na metalowej ławeczce. Nagle poczuła obecność Mossa. Spojrzała w niebo.

- Sawyer pracuje - szepnęła. - Twoje marzenie się wkrótce urzeczywistni, Moss. Będziesz spoczywał w pokoju.

Pomógł im stamtąd, z wieczności. Denerwowała się, choć wszyscy byli dobrej myśli. Jeszcze sześć tygodni, maksimum dwa miesiące, i samolot będzie gotów. Sawyer trzymała kciuki. Mały Riley szalał z radości.

Dlaczego jest taka niespokojna? Spacer ukoi jej stargane nerwy. Gdyby Thad tu był, poczułaby się lepiej. Thad... sens jej życia.

Obeszła dom dookoła. Okno Sawyer, wychodzące na ogród, było otwarte. Dostrzegła sylwetkę wnuczki. Rozmawiała przez telefon. O tej porze?! Billie ruszyła ku niej powoli, po drodze wąchając kwiaty, podziwiając miniaturowe drzewka.

Sawyer błyskawicznie przystosowała się do nowego otoczenia. Dla robotników nie była przemądrzałą Amerykanką, lecz jedną z nich, nosiła taki sam wybrudzony smarem kombinezon i czapkę z daszkiem. Słuchała ich, a oni słuchali jej. Nie było tu przepychanek, walki o władzę, niedomówień, które bardzo utrudniały pracę w Stanach. Łączył ich wspólny wysiłek. Każdy miał swój wkład. Po dniu ciężkiej pracy, żegnali się ukłonem i rozchodzili do domów. Wielu wracało po kolacji, by omówić plan pracy na następny dzień. Zaangażowali się w projekt całym sercem.

- Mówię ci, Rand, to się uda - krzyczała Sawyer do słuchawki. - Zmniejszyłam ciężar o dalsze dwieście funtów. Mylisz się. Nie bądź taki uparty, posłuchaj mnie! Wiem, co robię. Albo porozmawiajmy o czymś innym. Tęsknię za tobą, naprawdę. Dostałeś mój list? Co to znaczy, że ze mnie niezły towar? To slang! Zakładam, że to miał być komplement?

Billie zapukała o framugę. Sawyer wskazała rozsuwane drzwi. Rozmawiała dalej, podczas gdy jej babcia sadowiła się w fotelu. Billie wsłuchiwała się w uszczęśliwiony głos wnuczki. Może Sawyer tego nie wie, ale była w nim pewna nuta, którą można usłyszeć tylko w głosie zakochanej kobiety. A w jej oczach świeciło to samo światełko, które Billie widziała przeglądając się w lustrze, ilekroć Thad był w pobliżu.

- Potrzebny mi oblatywacz. Jak myślisz, dać ogłoszenie do „New York Timesa"? -Na widok komicznego przerażenia na jej twarzy Billie parsknęła śmiechem. -Ty? Nigdy bym na to nie wpadła, Rand! Coś takiego... Ojej, ale wy, Anglicy, jesteście obrażalscy. Słuchaj, jeśli naprawdę chcesz... kiedy możesz tu być?.... Za późno. A może pojutrze?... Co? Ja? Ciebie? Podpuścić? Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? Tak, zabiorę cię na kolację. Dobranoc, Rand.

- Podpuściłaś go, Sawyer? - zainteresowała się Billie.

Wnuczka przybrała niewinną minkę.

- Właściwie... tak. Widzisz, babciu, on jest bardzo dobry, a nam właśnie tacy są potrzebni. Zna projekt równie dobrze jak ja. Zgadzamy się we wszystkim, z wyjątkiem dwóch czy trzech drobiazgów. Ufa mi.

Nie zgodziłby się, gdyby mi nie ufał. Mam rację, babciu?

- Masz.

- Jeśli mam, dlaczego się tak denerwuję?

- Może dlatego, że zależy ci na nim bardziej, niż chcesz się do tego przyznać? A może te drobiazgi, co do których się nie zgadzacie, są ważniejsze niż myślisz. Będzie dla ciebie ryzykował życiem. To dowód najwyższego zaufania. Musisz być pewna w stu procentach, Sawyer.

- Jestem pewna, babciu, ale tyle się może zdarzyć. Mogę sprawdzać wszystko tysiąc razy, a potem się okaże, że nie dopilnowałam jakiegoś drobiazgu i życie Randa zawiśnie na włosku.

- Twoim obowiązkiem jest dopilnować, żeby do czegoś takiego nie doszło.

- To wielka odpowiedzialność. Wiesz, babciu, czasami mi się wydaje, że mam sto lat. Cieszę się, że Rand przyjeżdża. Muszę sobie na nowo przypomnieć, kim jestem. Zależy mi na nim, może za bardzo. Piszemy do siebie i często rozmawiamy. Przez telefon, oczywiście.

- Thad przyjedzie lada dzień - wyznała Billie. - Może nawet już jutro. - Kiedy się pobierzecie?

- Kiedy tylko samolot wzbije się w powietrze. Pojedziemy do Hongkongu i tam się pobierzemy.

- Cieszę się. Zasługujesz na szczęście. Dziadek wiedział co robi, żeniąc się z tobą.

- Ja też tak uważam. - Billie się roześmiała. - No, czas do łóżka. Jutro musisz wcześnie wstać.

Następne dwa miesiące należały do najszczęśliwszych w życiu Billie. Rodzina Hasegawa darzyła ją miłością i szacunkiem. Thad składał coraz dłuższe wizyty, dopełniając jej szczęścia.

Otami i Billie śledziły z uwagą rozwój uczuć między Sawyer a Randem. Każdy widział, że dziewczyna na pierwszy miejscu stawia marzenie dziadka. Rand się z tym godził... na razie.

Zebrali się w salonie, przy kawie i ciastkach. Jak powiedziała Sawyer, lot próbny wyznaczono na trzydziestego pierwszego marca, ostatni dzień ostatniego miesiąca, zanim inwestorzy zażądają gotowego produktu. Rand był gniewny, Sawyer ponura, Riley ukrył twarz w dłoniach. Pan Hasegawa spoglądał na wszystkich po kolei. Nie wiedział, w czym rzecz.

Nagle odezwał się Rand:

- Mówię ci, Sawyer, kąt sześćdziesiąt stopni to za dużo. Albo zmniejszysz rozwarcie do pięćdziesięciu pięciu, albo szukaj sobie nowego oblatywacza. Wiele dla ciebie zrobię, ale nie dam się zabić.

- A ja ci mówię, że kąt sześćdziesiąt stopni to podstawa pomysłu dziadka! -zaperzyła się Sawyer. - Żyję tym samolotem od dwóch lat. Wiem, co robię. Wszyscy przyznają mi rację. Tylko ty się nie zgadzasz.

- Może dlatego, że tylko ja do niego wsiądę. Chcę wrócić na ziemię cały i zdrowy. Pięćdziesiąt pięć stopni!

- Nie!

- Tak!

Sawyer wstała, obeszła stół dookoła, aż stanęła naprzeciw Randa.

- Naprawdę sądzisz, że pozwoliłabym ci do niego wsiąść, gdybym miała choć cień wątpliwości? Ty cholerny Angliku, odpowiedz mi! Aha, jeszcze jedno: kocham cię. A teraz poważnie się zastanów i odpowiedz na moje pytanie.

Billie otworzyła szeroko oczy. Nie przypuszczała, że Sawyer jest taka twarda. Otami z zainteresowaniem oglądała swoje paznokcie, a Shadaharu wpatrywał się w mikroskopijną plamkę na lnianym obrusie. Tylko Riley patrzył na młodych.

Umysł Randa pracował intensywnie, analizował wszystkie dane. Dwukrotnie się skrzywił. Sawyer domagała się natychmiastowej odpowiedzi. Musi odłożyć na bok swoje wątpliwości. Jeszcze sprawdzi wszystkie wykresy. Sawyer nie upiera się przy swoim ot, tak sobie. Nieraz przekonała go do swoich racji. Spojrzał jej w oczy i skinął głową. Wynagrodziła go niedźwiedzim uściskiem.

- Nie nabierasz mnie? Wiesz, że mam rację. Nigdy nie ryzykuję, a za żadne skarby świata nie ryzykowałabym twoim życiem. Powiedz, że mi ufasz - domagała się.

Znowu skinął głową. Nie był w stanie mówić. Żadne z nich nie zauważyło, że pozostali wstali od stołu. Dopiero po chwili Sawyer zawołała ich z powrotem.

Stanęła u boku Randa:

- Panie Hasegawa, samolot nie będzie gotowy na trzydziestego pierwszego marca. Potrzebny nam dodatkowy dzień - dwa. Czy to coś zmienia?

To w stylu Sawyer: nie przeprasza. Dali z siebie wszystko i nie zdążyli. Dzień, dwa, cóż to za różnica? Zdaniem inwestorów, bardzo

duża. Zgodnie z umową mają czas do końca marca, by zaprezentować gotowy samolot... albo wszystko stracić. Umowa to umowa. Wszystko pójdzie na marne, jeśli nie zdążą przed pierwszym kwietnia.

- Nie mogę prosić moich ludzi o więcej, byliśmy tak blisko...

- Dziadku, zrób coś! - zawołał Riley. - Zrób coś! Pan Hasegawa pogłaskał wnuka po głowie.

- To nie w mojej mocy, Riley.

- Nie wierzę w to, ojcze. Musi być jakieś wyjście. Zawsze byłeś idealnym ojcem i znajdywałeś idealne rozwiązania każdego problemu. Nie możemy się teraz poddać! - krzyknęła Otami. -Błagam, zrób coś!

- Potrzebny nam dodatkowy dzień w marcu. Dwadzieścia cztery godziny. Tylko tyle! - przekonywał mały Riley z dziecinnym zapałem.

- Dość! Zorientuję się w sytuacji, ale niczego nie obiecuję! - Japończyk wyszedł z pokoju.

- Boże, zawiodłam na całej linii! - Sawyer zaczęła płakać.

- Nie zawiodłaś. Byłaś wspaniała. To złośliwość losu - pocieszał Rand. Inni gorliwie kiwali głowami. - Chodźmy do hangaru. Czeka nas dużo pracy. Wszyscy dziś zostali, śpią na zmianę, co trzy godziny.

Billie ukryła twarz w dłoniach. Nie mogła teraz przegrać. Otami objęła ją ramieniem. Riley usiadł obok.

- Dziadek coś wymyśli.

- Mój ojciec to wielki człowiek, matko Coleman. Jeżeli jest jakieś wyjście, on je znajdzie. Bądźmy dobrej myśli.

Billie skinęła głową.

Pracowali do upadłego. Thad służył pomocą i wsparciem. Billie widywała go rzadko, a i wtedy ograniczała się do cmoknięcia w policzek i okrycia go kocem, gdy ucinał sobie drzemkę. W ostatnich dniach myślano tylko o zrealizowaniu marzenia. Wszystko inne zeszło na dalszy plan.

Trzydziesty pierwszy marca nadszedł zbyt szybko. Sawyer miała czerwone oczy i pobladłą twarz, podobnie jak Rand. Billie pomyślała, że wszyscy się poruszają jak w zwolnionym tempie. Podeszła do wnuczki.

- Zdążycie?

- Nie. Jeszcze dwie zmiany. Przy obliczeniach nie uwzględniłam ludzkiego błędu... dziadek mi o tym nie powiedział. Potrzeba nam osiemnastu godzin. Boże, babciu, nie mogę w to uwierzyć. Byliśmy tak

blisko.

O szóstej wieczorem Shadaharu Hasegawa wkroczył do hangaru z szerokim uśmiechem na twarzy. Wraz z Rileyem i Sawyer zniknął w kantorku. Kiedy wyszli, zmęczone oczy Sawyer błyszczały radością. Pomachała do Billie. Wszystko będzie dobrze.

- Dzięki ci, Boże - szepnęła Billie.

Świtało. Na kalendarzu widniała data pierwszego kwietnia, ale dziadek Rileya dodał marcowi jeden dzień. Gazety koncernu Hasegawa nosiły datę trzydziestego drugiego marca, a gazety, jak wiadomo, nie kłamią.

Wydawało się, że świat zamarł w oczekiwaniu na spełnienie największego marzenia Mossa Colemana. Dziennikarze tłoczyli się za barierką. Pracownicy, rodzina Hasegawa, Billie, Sawyer i Thad trzymali kciuki.

Sawyer spojrzała w słońce. Wybiegła na pas startowy i uniosła kciuk, życząc Randowi powodzenia. Posłał jej całusa i zniknął w kokpicie.

Samolot nabierał szybkości. Billie się przeżegnała i szepnęła:

- Spoczywaj w pokoju, Moss. Za moment ta chwila przejdzie do historii.

Objęły ją silne ramiona. To Thad.

- Pamiętaj, co mi obiecałaś - szepnął. - Klęska czy zwycięstwo, leci czy nie, jutro się pobieramy.

- Niecierpliwie czekałam na ten dzień - odparła miękko.

Ogłuszający ryk silników się wzmógł. Rand był na końcu pasa startowego. Billie trzymała kciuki, Wpatrzona w niebo.

- Zaraz się dowiemy.

- Dowiemy się, czy było warto?

- Nie. I tak było warto, nie żałuję łez i radości, i żadnego z tych lat, które mnie przywiodły tutaj, do ciebie.

Pocałował ją w czubek głowy. Kochał ją przez całe swoje życie.

Spojrzała na niego z uśmiechem w piwnych oczach. Srebrny samolot wzbijał się coraz wyżej.

- Thad, czasami zdajesz się wątpić. Czy nie wiesz, że pewne miłości to część przeszłości, a inne są od zawsze?

Promienny uśmiech rozwiał jego obawy.

- Właśnie tak cię kocham, Billie. W przeszłości i na całe życie.

Rozdział dwudziesty drugi

Maggie Coleman spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Wygląda okropnie. Machinalnie dotknęła włosów i twarzy. Jaki dziś dzień? Nie mogła sobie przypomnieć dnia ani nawet miesiąca.

Ile czasu upłynęło, odkąd mąż ją zostawił? Pół roku, rok? Nie pamiętała. Nic to ją nie obchodzi. Nie przejęła się tym, że go straciła. Ich małżeństwo się skończyło i tyle.

Zrealizowało się także marzenie taty. Srebrny ptak wzbił się w przestworza z Randem za sterami. Sawyer go do tego namówiła. Świadomość, że do zwycięstwa przyczyniła się Sawyer, napawała ją goryczą. Podekscytowana mama dzwoniła z Japonii, jakby oczekiwała, że Maggie będzie się cieszyła razem z nimi. Mimo awantur, mimo blokady prawnej, nadal uważała córkę za współtwórczynię sukcesu. Staruszka wiedziała, jak wzbudzić poczucie winy.

Wszyscy odeszli. Tata, mama. Sawyer, mąż. Coleman był w szkole kadetów, widywała go dwa razy do roku, na Gwiazdkę i w czasie wakacji. Los odebrał jej wszystko, co miało znaczenie. To bolało. Płakała całymi dniami, tygodniami, miesiącami. Daremnie szukała bandaża na rany, które ciągle sprawiały dotkliwy ból. Gdzie się podziały najlepsze lata życia? Na co je zmarnowała?

Błędnym wzrokiem rozglądała się w poszukiwaniu butelki wódki. Przezroczysty płyn tłumił ból, przynajmniej na kilka godzin.

O, jest, na stoliku, obok listu od starego Dudleya Abramsona. Nie otworzyła go jeszcze, leży tak od kilku dni. Nalała sobie pełną szklankę i cisnęła białą kopertę do kosza na śmieci. Niech się wypcha swoimi radami!

- Nie potrzebnie się wysiliłeś na znaczek, stary sępie - powiedziała głośno.

Kilka minut później wygrzebała kopertę z powrotem. Zobaczymy, co pisze. Wytrzeźwiała, potrafi to znieść. Głęboko zaczerpnęła tchu i rozerwała sztywny papier. Nic nie rozumiejącym wzrokiem patrzyła na trzy arkusiki. Kiedy zdała sobie sprawę, że jeden z nich to akt własności Sunbridge z doczepionym kluczem, osunęła się na łóżko. Notatka od adwokata była krótka:

Szanowna Pani Tanner!

Zgodnie z wolą Pani rodziców, przesyłam niniejszy akt własności Sunbridge. Załączam klucz. Od tej chwili jest Pani prawowitą właścicielką posiadłości.

Zarazem pozwalam sobie przypomnieć, że termin płacenia podatków minął pierwszego kwietnia. Moja firma jest do Pani dyspozycji.

Z poważaniem Dudley Abramson.

Długo trwało, zanim roztrzęsionymi rękami wyjęła list od ojca z nie zaklejonej koperty. Była to pojedyncza kartka zapisana nierównym, odręcznym pismem. Data wskazywała, że napisał to tydzień przed śmiercią.

Kochana Maggie!

Nie mogę udać się w to nieznane miejsce, gdzie odchodzimy wszyscy bez wyjątku, zanim do Ciebie nie napiszę. Oby pan Abramson jak najszybciej przekazał Ci moje słowa. Twoja mama i ja dużo rozmawialiśmy o mojej decyzji przekazania Sunbridge Tobie. Obiecała, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by nie sprzedawać posiadłości. Gdyby mimo wszystko musiała to zrobić, chciałbym, żebyś wiedziała, czego pragnąłem. Nasze życie to ciąg wątpliwości, ale nie wolno się nimi przejmować; musimy iść do przodu. Ty także, Maggie.

Wiele myślałem podczas ostatnich tygodni. Starych ran nic nie zaleczy. Nie choroba, która wyniszcza ciało, sprawia mi największy ból, lecz świadomość tego, co przegapiłem. Przebaczenie brałem za coś oczywistego, co mi się należy. Nie mogę uwierzyć, że mi wybaczysz, ale Twoja matka jest o tym przekonana. Kochana Maggie, szczerze żałuję, że byłem ślepy i głuchy, gdy mnie potrzebowałaś. Ten żal zabiorę ze sobą na tamten świat.

Tylko ty, Maggie, możesz wypełnić Sunbridge miłością, życiem, śmiechem, muzyką i poezją. Sprowadź tu swego syna i zacznij nowe życie. Wierzę, że Bóg, jeśli jest, pozwoli mi czuwać nad Tobą tutaj, w tym miejscu, które nazywamy Sunbridge. Uwierz mi, Maggie: jesteś częścią mego życia, moją córką, moją miłością. Bądź szczęśliwa.

Tata.

Rzuciła się na łóżko i płakała. Szlochała, aż trząsł się materac. Kiedy jej zabrakło łez, wytarła twarz o narzutę. Jej uśmiech był promienny jak pierwszy letni dzień. Cztery godziny później Maggie Coleman Tanner zmierzała do Teksasu. Jechała do domu.

Klucz, który ściskała w dłoni, stanowił najlepszy dowód na to, iż to nie sen.

Wynajęty samochód zatrzymał się gwałtownie. Wyskoczyła zza kierownicy. Dom. Co za wspaniałe słowo.

Klucz łatwo przekręcił siew zamku. Nacisnęła klamkę i drzwi stanęły otworem. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był wieszak na kapelusze. Miał cztery haki, a wisiały na nim tylko trzy stetsony: Setha, taty i Rileya. W głębi duszy wiedziała, że ostatni los przeznaczył dla jej syna, Colemana. Jego kapelusz zawiśnie tam, gdy tylko wróci ze szkoły do domu.

Do Sunbridge.